

Miłosz Czesław

## ROK MYŚLIWEGO

© Institut Litteraire, S.A.R.L., Paris

Pierwsze wydanie: Instytut Literacki, Paryż 1990, Biblioteka „Kultury”, Tom 462

### PRZEDMOWA

I Skąd ten dziwaczny tytuł? Przede wszystkim po to, Żeby uczcić pamięć książki, którą lubiłem w moich latach szkolnych i która tak się nazywała. Autorem jej był Włodzimierz Korsak, nigdy nie zaliczany do literatów, ale znany wśród miłośników przyrody, zwłaszcza tej, której pierwotnym pięknem szczyliły się ziemie byłego Wielkiego Księstwa. Korsaków wśród szlachty, zwłaszcza na Białorusi, było tam bez liku („Co krzaczek to Korsaczek”). Pochodził z Witebszczyzny. Po pierwszej wojnie światowej znalazł się w Polsce i jako zawód wybrał leśnictwo, ale też pisał. Powieść dla młodzieży Na tropie przyrody ma za przedmiot wakacje dwóch chłopców w jego rodzinnych okolicach. To samo cofnięcie się w czasie i te same krajobrazy przynosi powieść z wątkiem miłosnym W puszczy. Główną treścią obu tych utworów jest polowanie i obserwacja fauny. Korsak do swoich opisów dodawał niekiedy rysunki tuszem, bardzo ładne, które jednak dowodzą, że nie tyle sztuka go obchodziła, ile dokładność i wierność szczegółom. Tyle wiedzy o ptakach i czworonogach mu zawdzięczam, że złożenie mu hołdu przez wzięcie od niego tytułu jest chyba na miejscu. i| Rok myśliwego jest kalendarzem zajęć podzielonym na \ miesiące i wręcz podręcznikiem łowiectwa, co prawda w pierwszym rzędzie dla leśnych obszarów północy. Moja ' książka jako żywo nic nie ma wspólnego z tą tematyką, za to sporo z samą formą kalendarza. Jest diariuszem jednego loku od sierpnia 1987 do sierpnia 1988. A że w tych zapisach, codziennych albo co kilka dni, powracam nieraz do dawnych zdarzeń i ludzi, których znałem, splatają się ze sobą na tych stronach przeszłość i terażniejszość.

Rok ten spędziłem w Berkeley, ale nie tylko, bo z częstymi wyjazdami do różnych miejscowości w Stanach na występy autorskie, a także do Europy. Stąd wiele zapisów robionych w samolocie albo na lotnisku. Mniej tego było niż w poprzednich latach osiemdziesiątych, ale i tak dość gorliwie podróżowałem.

Istnieje też inne wytłumaczenie tytułu. Młodociane marzenia o wyprawach „na tropie przyrody” nie spełniły się, a jednak zostałem myśliwym, choć innego rodzaju: moją zwierzyną był cały świat widzialny i życie poświęciłem próbom uchwycenia go słowami czy też trafienia go słowami.

Niestety, ten rok myśliwego przynosi już głównie refleksję nad niewspółmiernością dążeń i dokonań, mimo całej półki napisanych przeze mnie książek. Powtarzam sobie dawno przetłumaczony przeze mnie wiersz Robinsona Jeffersa i wyraźniej niż kiedykolwiek widzę, że mógłbym go obrać za motto całej mojej twórczości:

#### KOCHAJ DZIKIEGO ŁABĘDZIA

„Wstręt mam do moich wierszy, do każdego słowa.

Och blade, kruche kredki, zawsze nadaremnie

Falistą linię trawy chciały narysować

I ptaka, jak się stroszy w pierwszym białym świetle.

Och popękane moje zakopcone lustra.

Niechbym nie splendor rzeczy, odbłysek jeden chwytał.

Niezdarny ja myśliwy, z wosku moja kula.

Gdzież piękność lwa, lot łabędzia, huragan skrzydeł?"

- Ten dziki łabędź świata nie cel myśliwemu.

Lepsze kule niż twoje w białą pierś godziły.

Lepsze lustra niż twoje pękały w płomieniu.

Wstręt... do siebie, czy ważne? Umysł, który słyszy

Grzmot i muzykę skrzydeł, oko, co pamięta,

To kochać masz. Kochaj dzikiego łabędzia.

Tom zapisów jednego roku leży przede mną, a ja, przyznając, waham się z jego ogłoszeniem. Bo można chcieć zbudować siebie, ułożyć swój obraz, taki, jaki powinna

6

wedle naszych życzeń otrzymać potomność, co jest przyjęte i na ogół nie ściąga zarzutów. Powstaje pytanie, czy warto postępować wręcz odwrotnie: odsłaniać swoje słabości, pokazywać pokręcony życiorys dlatego tylko, że tak się w diariuszu dla siebie samego prowadzonym zapisało. Na pewno myśl o przyszłych czytelnikach była obecna, odbiegłbym od prawdy, gdybym zaprzeczył. Jednak żaden obraz idealny, mnie samego, takiego, jakim chciałbym być widziany, nie dostarczał wskazówki i sam się zastanawiam, co jakiś przyszły mój biograf zdoła odcyfrować z tej mozaiki, w której utrwaliły się przypadki enigmatycznej dla mnie samego postaci.

Waham się tedy i jeżeli ten tom ogłoszę, zamiast zostawić w maszynopisie i powielić dla kilku przyjaciół, będzie to znaczyło, że zdobyłem się na pewne oderwanie czy pobłażliwość, niezupełnie jednak pewien, czy nie działam na własną szkodę.

fe

1 VIII 1987, Berkeley

Ciągle zdumienie, każdego dnia; zacząłem siedemdziesiąty siódmy rok życia. Powtarzam to sobie i nie udaje mi się siebie przekonać, że tak jest naprawdę. I że to, co dzieje się teraz we mnie i dookoła mnie, odbywa się nie gdzie indziej tylko tutaj, w Berkeley, w Kalifornii (tak daleko od Wilna).

Piękne lato, dotychczas mało dni z mgłą, jeżeli, to słońce rozprasza mgłę koło południa. Kwiaty na patio szaleją z nadmiaru: heliotrop, lobelie, petunie, impatiencie rodem z Nowej Gwinei. Princess tree kwitnie od miesiąca i będzie kwitnąć do późnej jesieni. Zasadzony rok temu włoski buckthorn jest ciągle nędzny, bo objadany przez jelenie, które zjadły też wszystkie kwiaty sąsiednich krzaków. Wczoraj wieczorem znów górą drogą wzdłuż Grizzly, tam zaparkowane samochody, ludzie podziwiają ogromny widok w dole na zatokę, mosty, San Francisco, Oakland, sławne kolory tutejszych zachodów słońca, tym razem delikatne, orientalnego malarstwa, przyprószone szarością. Potem sauna i pływamy w basenie pod ciemnym niebem, przewracając się na wznak i patrząc na gwiazdy, choć co raz to kwestia otwarta: gwiazda, samolot czy pojazd międzyplanetarny?

2 VIII 1987

„Nie wiedziałem, że pagórki Berkeley będą ostateczne”, mówi mój wiersz. Może nie będą, bo dopóki się żyje, nigdy nie wiadomo, ale wygląda na to, że będą. Wilno jest<sup>^</sup>

9

Atlantyda, życia w Polsce nie umiałbym sobie wyobrazić, mimo że odwiedziłem ją w okresie względnej swobody za „Solidarność”, Paryż dla mnie wyludnił się, kiedy umarli kolejno moi trzej przyjaciele, Zygmunt Hertz, ksiądz Józef Sadzik i Kot Jeleński. Zresztą gdziekolwiek bym mieszkał, to zawsze na zasadzie oderwania, jak tutaj, gdzie prawie nie mam po co zjeżdżać na dół do miasta.

Książki i słowniki. Byłoby dość materiału w moim życiu na powieść, ale cieszę się, że nie piszę powieści. Co mogłoby być ambicją laureata Nobla, zważywszy, że moja sława wąska, ograniczona do czytelników poezji. Z pewnością, wołałbym, żeby wyższe były nakłady moich książek, ale doceniam opatrnościową równowagę, z góry w mój los wpisaną: zawsze rozgłosu nie za dużo, w sam raz.

Zaletą powieści jest możliwość opisu stosunków naszych z różnymi ludźmi bez pokazywania ich palcem, czyli chroniąc ich dostatecznie. Pisząc dziennik czy pamiętnik nie ma się tego przywileju, chyba że odrzuci się, jak to robi dzisiaj wielu, wszelkie względy.

Warszawska „Polityka” ogłosiła bez mojego pozwolenia odnaleziony przez nichjną artykuł z lat czterdziestych, Elegia, jją im tylko wiadomych ceTsw. O tym artykule pisze nawet warszawski korespondent „The New York Timesa”, Kaufman, bo jest tam między innymi o karuzeli kręcącej się obok murów getta, a więc niejako dalszy ciąg dyskusji rozpetanej przez artykuł Jana Błońskiego w „Tygodniku Powszechnym” o polskiej współwinie. Kaufman słowo „karuzela” tłumaczy dosłownie

jako carousel, co oznacza koniki, na których jeżdżą w kółko dzieci, podczas kiedy był to chairoplane, skoro pary wlatywały wysoko w niebo. Ale chairoplane mało znane.

Zupełnie zapomniałem o istnieniu mego artykułu i czytałem, jak by to napisał ktoś inny. Jeszcze jeden dowód na to, że nie jesteśmy świadomi naszych dobrych ani złych uczynków, to znaczy mało wiemy o sobie i gdyby założyć, że nie ma Sądu Ostatecznego, nigdy ani my sami, ani

10

nikt wiedzieć nie będzie. W tym artykule, który niezbyt mi się podoba, litość jest autentyczna.

Naturalnie, że próbuję się bawić w sędziego moich uczynków, ciągle zastanawiając się nad stopniem mojej samoświadomości. Bo jak odróżnić obsesje, urojenia, akty symboliczne, od prawdziwej oceny? Za dobrze wiem, że poczucie winy i ciągle oskarżanie siebie jest cechą egomaniaków i chyba pierwszą zasadą musi być uzbrojenie się przeciwko egomanii przez możliwie najlepszą wiedzę o jej pokusach.

3 VIII 1987

Wypisuję ze swego notatnika sprzed dwóch lat, bo to łączy się z tym, co wczoraj zanotowałem.

„Książka Marka Zaleskiego Przygoda drugiej awangardy. Zupełnie jakbym dowiadywał się o sobie w innym, dawnym wcieleniu. Sprzeczne: to chyba nie ja. A jednak to ja. Ciekawość, bo natykam się na cytowane moje wypowiedzi w artykułach, w listach, o których zupełnie zapomniałem.

Odnajduję też logikę mojego wyobcowania. Jeżeli tomiki wierszy moje i moich kolegów ukazywały się w stu czy trzystu egzemplarzach, to nie znaczy, że tylu miały nabywców<sup>^</sup>Jiowraca rnnjs ówczesne przekonanie, że piszemy mniej więcej dla, dwudziestu, trzydziestu osób, kolegów-poetów. I tuż obok tysiące, T)acnie nadstawiające ucha, kiedy tylko wiersz zatraci o politykę, gotowe nas zaadoptować, pod warunkiem, że będziemy służyli sprawie. Lewicowej oczywiście. Na dole wielka masa tych, co nie czytają nic, bo są niepiśmienni albo ledwie piśmienni, ta masa, dla której została wynaleziona telewizja. A trochę wyżej wyraźny podział. Z jednej strony postępowość, lewicowość, otwarcie się na nowinki, snobizm, jaki taki intelektualizm, wędrująca granica pomiędzy polskim i jidysz, w Wilnie jidysz i rosyjskim - bo to całe środowisko było w 80 procentach żydowskie. Z drugiej strony prawicowe skłonności, obrzędowy katolicyzm, brak intelektualnych zainte-

11

resowań. O moim losie przesądziła urazowa niechęć do tego drugiego obozu. Ciepło, ciepło, /ara/, znajdę klucz, bo powiedziałem »urazowa«. Inteligentny wobec prymitywów? Żyd wobec gojów? Mądry wobec głupich? Mistyk wobec wyznawców religii narodu, w której pomocniczą funkcję spełniała Matka Boska? I niewątpliwie powoływanie się na genealogię litewską było dla mnie jeszcze jednym sposobem odcięcia się od moich rzeczywistych czy urojonych prześladowców-Lech i tó w. Pewnie jestem niesprawiedliwy, ale nie zajmuje mnie socjologiczna czy polityczna analiza tamtego okresu. Tak wtedy czułem. Tylko gdzie jest naprawdę klucz do urazu?"

„Ależ ta cała awangarda śmiechu była warta, kilku zagubionych młodych ludzi, zupełny margines codziennego życia paru miast uniwersyteckich, a lym bardziej całego kraju. I to codzienne życie przeminęło - prace, zabawy, miłości, śluby, narodziny, dzieje milionów istnień nie do odtworzenia, a tutaj przychodzi literaturoznawca i nadaje byt temu, co musi zastępować tamto prawdziwe życie, dlatego tylko, że pozostaje w języku. Choć jakim deformacjom rzeczywistość ulegała w umysłach i pisaniach awangardowych poetów, pełnych urazów jak ja chociażby, nie da się już sprawdzić.

Wyobraźnia podsuwa mi poszczególnych ludzi, którzy wtedy, równocześnie ze mną, przeżywali świat w zupełnie innym niż ja wymiarze, pośród innych myśli i innych percepcji zmysłowych".

„O Polsce lat trzydziestych pisze Izaak Baszewis Singer w swojej autobiograficznej książce Love and lixile. Nigdy nie byłem w klubie pisarzy żydowskich w Warszawie, ale i bez tego wyrobiłem sobie opinię. Był to czas odejścia młodych Żydów od wiary i obyczaju ich ojców, nie do wolnomyślicielstwa i liberalizmu, ale wprosi do komunizmu i wynikających z tej nowej wiary fanatycznych nienawiści między stalinowcami i trockistami. Nie brak podobieństw między moim wyobcowaniem i wyobcowaniem Singera. Religijnie wychowany, syn rabina, już zeświecczony, ale dostatecznie wielopoziomowy, żeby w komuniz-

12

mie swoich kolegów literatów odgadywać kult Molocha, nie za dobrze ze syjonistami, wyrabiał sztukę dystansu w pustce: pisarz w jidysz, ale dla kogo naprawdę? Z dojściem do władzy Hitlera w Niemczech jego środowisko było przeświadczone, że ten wkrótce zajmie Polskę. Singer -wyjechał w 1934 roku do Ameryki i przez szereg lat, jak sam opowiada, cierpiał tam na niemoc twórczą, chyba logiczne następstwo zagubienia, które okazało się jednak opatrnościowe, bo szukając gruntu pod nogami, odnalazł tradycyjny świat żydowski swego dzieciństwa. A przede wszystkim wielkie kwestie metafizyczne, zaprzatające go od dziecka. Podobnie ja, w moim emigracyjnym kryzysie, szukałem na zawsze minionego kraju mego dzieciństwa.

Singer, któremu szczerze zazdroszczę daru narracji, \_cale. \_\_

życie krążył wokół jednego pytania: jak Bóg może na tyle zła~pozwalać? Tragedia żydowska, krzyk Hioba w imieniu milionów oTiar są u niego przetransponowane, ukryte, choć jego odraza do grzesznej ludzkości, która jest współwinna zbrodni Hitlera i Stalina, wybucha otwarciem w jego krótkiej późnej powieści *The Penitent*. Prawowanie się z Bogiem, żywe poczucie obecności diabła, wiara w Opatrzność - jak u mnie. Kiedy przeczytałem *The Penitent*, powiedziałem sobie, że przecież Singer ma taki sam stosunek do chasydzkiej ortodoksji jak ja do ortodoksyjnego katolicyzmu. Stąd prawdziwe pokrewieństwo z Singerem, silniejsze niż z jakimkolwiek żyjącym prozaikiem polskim czy amerykańskim. Nagrody Nobla dla dwóch wyobcowanych".

Tak, trudno uwierzyć, że następujące cytaty z powieści I' Szosza Singera nie są mego pióra, że pisaliśmy o tym j samym równocześnie, nie umawiając się przecież:

„Wynalazłem dla Szoszy teorię, że historia świata jest księgą, którą człowiek może czytać tylko wprzód. Nigdy nie może przewracać stronic tej księgi świata w odwrotnym kierunku. Ale wszystko co kiedykolwiek było, nadal jest. Yippe gdzieś tam żyje. Kury, gęsi i kaczki, które w Zaułku Jonasza co dzień mordują rzeźnicy, dalej żyją. Gdaczą, kwaczą i pieją na innych stronicach księgi świata - tych

13

"z prawej strony. Bo księga świata jest napisana w jidysz, czyta się więc z prawa na lewo".

„Gdzie podziały się te wszystkie lata? Kto je przypomni, kiedy nas nie będzie? Literaci będą pisać, ale wszystko przewrócą do góry nogami. Musi być jakieś miejsce, gdzie wszystko jest zachowane, zapisane aż do najdrobniejszego szczegółu. Powiedzmy, że mucha wpadła w sieć pająka i pająk ją wyssał. Jest to fakt wszechświata i taki fakt nie może być zapomniany. Gdyby taki fakt został zapomniany, powstałaby skaza na świecie".

4 VIII 1987

I O maju w Europie. Przylot trzeciego po południu do fParyża na rue de l'Universite. Następnego ranka zjawia się telewizyjna ekipa z kulturalnego programu, podczas nagrywania telefon, wiadomość o śmierci Kota Jeleńskiego, nieuniknionej, oczekiwanej od kilku tygodni. Nic sensownego nie da się pomyśleć poza wyobrażeniem sobie mnóstwa sytuacji, w których jego nieobecność będzie dotkliwa. Był tak potrzebny. Kilku ludziom, mnie. Świadomość tego odsunięta przez pisanie nekrologu do „Le Monde”, na prośbę Leonor, i wyjazd do Lille na sesję Les Confins Orientaux de L'Ancienne Pologne. W ciągu trzech dni mego aktywnego udziału, w tle myśl o wszystkim, co łączy się z rokiem 1944/1945, czyli z ostatecznym końcem „kresów” i dziwność, że możliwa taka konferencja tutaj, po czterdziestu z górą latami, z tyloma referatami na dobrym poziomie, też profesorów z Polski. Odczucie samej materii czasu, zmian zachodzących stopniowo. I Deszczowo, chłodno i tak prawie cały maj, też w Luga-no, gdzie kongres PEN zaczyna się dziesiątego. Jedyna zaleta to obecność Jeanne, mamy oboje atwjejająceJiongres przemówienia. Przez te dni kongresu zupełna moja obojętność, ani mnie to ziębi ani grzeje, także kiedy zabierają nas autobusami do Mediolanu do La Scali na koncert pianisty (zły) i przyjęcie wydane przez wielki dom mody Crizia.

14

Krótki pobyt u Jeanne w Genewie - deszcz. Z Jeanne' samochodem do Lozanny, żeby odwiedzić „babcię”, jak ją tradycyjnie nazywam, czyli p. Irenę Vincenz. Cóż za urok. Że też tacy ludzie jak ona chodzą po ziemi. A tej wiosny ziemia traci człowieka, który był dla mnie wzorem prawości i przyjacielem - w Warszawie zmarł Tadeusz Byrski, ten, z którym pracowałem w wileńskim radiu.

Skojarzenie na zasadzie tego samego podziwu dla ludzi prawych w przeciwieństwie do raszaim, bezbożnych. Byrski był o parę lat ode mnie starszy. Ale tu Jeanne i ja występujemy jako „młodzi”, z nawyku, jak przed trzydziestu kilku laty.

5 VIII 1987

Z Genewy na dwa dni do Mentony, do znanego mi hotelu L'Aiglon. Tutaj też deszcz. Znów, jak kontrapunkt, rozmowy z Nelą i Jankiem. Powrót do Paryża, pochmurnie i deszczowo.

Jeleńskim byłem, jak inni, oczarowany. I zazdrościłem. Czego? Pełnego życia, bo uważałem, że jest z lepszego metalu niż ja, mimo jego strefy dla mniej mrocznej, która istniała także, kiedy w 1950 roku poznali się w Rzymie, jak opowiadała mi Leonor, jego pasji do ragazzi.

Francja teraz, od kilku lat, dla mnie przyjemna, na zasadzie odwetu za doznane poniżenia. Może nie czułym się wtedy, w latach pięćdziesiątych, tak poniżony, gdybym nie żądał uznania siebie jako poety. Parę osób coś o mnie wiedziało, Jean Cassou, Supervielle, ale ogólna aura dokoła mojej osoby odczuwana przez skórę: jakiś tam narwaniec, może trochę pomieszany, robiący w antykomunizmie. Gallimard mnie wydawał z powodu Prix Europeen, ale wygląda na to, że moje książki były w dystrybucji sabotowane, tak były trudne do znalezienia w księgarniach. Tylko dopóki żył Camus, miałem u Gallimarda sojusznika. Kiedy wydawca włoski zapytał Gallimarda listownie (chyba już w końcu lat siedemdziesiątych, tuż

15

przed Nagrodą Nobla) o Zniwolony umysł, odpowiedziano mu, że autor nieznan.

U Gallimarda czekałem w przedpokoju, także z powodu przesadnej może wrażliwości na ledwo uchwytny znaki wskazujące, że moje miejsce w przedpokoju. Nigdy nie czułem się tam w domu, a bardzo ważne dla autora móc przyjść do wydawcy i być zaliczonym do swoich. Tak właśnie jak teraz na rue des Saints Peres u Fayarda.

Zachody słońca jak w górach, bo mgła wypelza od oceanu, ogarnia San Francisco, kładzie się na wyspach i przylądkach, czyli widzi się stąd, z wysoka, białe skłębione ławice ze sterczącymi tu i ówdzie szczytami drapaczy, fantastyczne plamy światła, i to gęstnieje, przybiera, aż słońce zapada jakby za łańcuch górski.

Musee d'Orsay. Trudno nazwać moje przeżycia estetycznymi, zresztą nie wiem, co to są przeżycia estetyczne. Refleksja idzie w dwóch kierunkach.

1. To wszystko, co nadziało się od połowy dziewiętnastego wieku do dzisiaj, te niezliczone żywoty istot ludzkich poddanych i zmianom fizjologicznym, i modom, i przesunięciom czy skokom historii, istot, które umarły, każda jej tylko rodzajem śmierci, ten ogrom nie do ogarnięcia wyobraźnią, jednak zagęszczony do jakiegoś ekstraktu, na przykład do tancerki Degasa, która jest i sobą, i wlecze cały ciąg - swojej rodziny, rozmów tam, łóżek, kuchni, ówczesnego Paryża, roku, dnia. Degas mnie wzrusza, bo za tym malarstwem jest litość. Dla kruchego ciała, dla aspiracji tych dziewcząt, dla ich kochanków, mężów, dla ich dalszych przygód, jakich, nie wiadomo. Bourgeoises, poules, wielkich baletnic. Zatrzymany czas, tu, teraz, razem z jego potencjalnością. W Musee d'Orsay obchodzi mnie malarstwo realistyczne, raczej to sprzed impresjonizmu. Chodzę po salach także z celem praktycznym, żeby wybrać obraz do reprodukcji na okładce Nieobjętej ziemi po angielsku, w wydaniu kieszonkowym. I znajduję krajobraz pod tytułem Uespace, z salonu

16

1866 roku, Antoine Chintreuil, jeszcze nic impresjonistycznego.

Czyli, wracam do mego tematu, w malarstwie utrwała się, gęstnieje, zastyga w formę ludzko-czas biegnących dziesięcioleci, poza tym nieuchwytny, nie do dotknięcia, choć powiedzą: a fotografia. Może. Niech kto inny zastanawia się, dlaczego nie to samo. Dla mnie ważne, że pod każdym tutaj obrazem jest data.

2. Gdyby zastanowić się poważnie, nie do uwierzenia, że z dużej odległości, kiedy nie znamy jeszcze nazwiska malarza, potrafimy odróżnić i powiedzieć, kto. Na przykład, że to pejzaż Corota. To znaczy istnieje, jak to określić, ton, odcień, melodia, właściwe tylko jednemu człowiekowi, i nikomu innemu, znak osoby, a sztuka dostarcza tylko szczególnego środka, żeby to sobie uświadomić, bo malarz zdołał to swoje wyrazić, ale to nie znaczy, że inni ludzie są tej szczególnej nuty pozbawieni. Chyba jedyny dowód nieśmiertelności duszy, co prawda z uwzględnieniem

dodatkowej przesłanki: że to ściśle indywidualne, własne, nie może być zniszczone na zawsze, bo byłoby to bezsensowne i niesprawiedliwe.

Oblegają mnie wiersze nie napisane i których nigdy nie napiszę, obrazy, sytuacje, tematy, w nocy, nad ranem.

6 VIII 1987

Skłębienie mgły tam w dole, nad San Francisco, zapowiadało zmianę pogody. Mgła od morza pochłonęła i nas, wczoraj słońce ukazało się tylko około czwartej po południu i około szóstej znów mgła.

Przygody mego życia. „Wieszcz obrotowy”, jak to nazwałem. W Polsce trzydzieści lat jako Orwellowska non-person, następnie przyjęcie na moją cześć w pałacu Letnim w Łazienkach wydane przez Ministra Kultury, po czym znów do lamusa. Ale moja przygoda z Oskarem Miłoszem jeszcze bardziej zadziwiająca. Oto jest niedziela -24 maja 1987 roku, na Dworcu Lyońskim wziąłem pociąg

17

do Fontainebleau. Po kilku minutach, na prawo od toru znajome skarpy i drzewa, przelatuje moja stacja Mont-geron, a później, kiedy pociąg mija Brunoy i wbiega na pola, szukam na horyzoncie wieży katedralnej w Brie--Comte Robert.

W pociągu do Fontainebleau siedziałem latem 1931 roku. Miałem dwadzieścia lat. Do Paryża dostaliśmy się we trójkę z Robespierrem (Stefanem Jędrzychowskim) i Słoniem (Stefanem Zagórskim), mając na sobie koszule i krótkie majtki, bo plecaki utonęły na porożach górnego Renu. Oskar przysłał mi pieniądze i doradził kupić garnitur w Samaritaine, byłem więc ubrany niezbyt elegancko, ale przyzwoicie. Naprzeciwko mnie siedziała młoda kobieta, intrygowała mnie, wileńskiego prowincjusza: paryżanka. To nie jest tak, że teraz w tym pociągu o niej wcale nie myślę, bo liczę: mogła mieć, dajmy na to, około trzydziestki, dodać pięćdziesiąt sześć lat, miałyby teraz osiemdziesiąt sześć, więc prawdopodobnie dawno już umarła.

Wtedy, w Fontainebleau, Oskar przyjął mnie w swoim pokoju w hotelu de L'Aigle Noir. Ptaki w klatce (czy klatkach) to były afrykańskie wróble, których nie mógł przecież wypuścić do parku, a nie trzymałby miejscowych ptaków w niewoli. Mój trwożny szacunek, moje snobowa-nie się na francuskiego krewnego, mój rzeczywisty zachwyt Miguelem Manarą w przekładzie Bronisławy Ostrowskiej i moja zupełna niewiedza o sprzęgnięciu się naszych losów ze skutkami po dziesięcioleciach. Bo jednak w Ameryce odkryłem jego korespondencję z Christianem Gaussem, uważałem też za swój obowiązek propagować jego pisma, przetłumaczyłem więc na angielski *Ars Magna* i *Les Arcanes*; nie natrafiłbym na trudności z ich drukiem, gdyby dały się zaliczyć do modnego, taniego okultyzmu, co nie da się, a ich przepowiednie triumfu Kościoła rzymskiego odstręczały. Ale wreszcie weszły w skład dużego tomu jego pism z moją przedmową, *The Noble Traveller*, wydanego w 1985 roku staraniem Christophera Bamforda. Na wiadomość o Noblu pomyślałem, że to zrządzenie z powodu Oskara, żeby ciągnąć jego nazwisko. I rzeczywiście, na

18

przykład w księgarniach w Berkeley *The Noble Traveller* jest na półkach obok moich wierszy. Więc maj 1987. Stowarzyszenie *Les Amis de Miłosz* celebrytuje coroczne śniadanie właśnie w hotelu *L'Aigle Noir* i jadę tam jako nowo wybrany prezes honorowy tego towarzystwa, po śmierci Jean Cassou. Jedyny chyba dzień słoneczny w tym maju. Składamy kwiaty na grobie, który ma nowy napis po litewsku i po francusku: „pierwszy przedstawiciel niepodległej Litwy w Paryżu”. Tłumek składa się z Francuzów i Litwinów. Andrzej, który przyjechał z Warszawy kilka dni temu, zaskakuje ich, odzywając się do nich w czystej litewszczyźnie. Po czym zwiedzanie *Place Miłosz* i domu, gdzie Oskar umarł, przy *rue Royale*, z ogrodem wewnątrz murów, dokąd pozwala nam wejść grzeczny obecny właściciel, były kupiec obuwia. Śniadanie długie, przemówienia, następnie spacer po parku wokół pałacu, gdzie identyczność moja z młodym człowiekiem oprowadzanym tutaj pięćdziesiąt sześć lat temu jest wątpliwa.

7 VIII 1987

Słońce wynurzyło się koło trzeciej po południu, zachodziło w żółtych i czerwonych odbłaskach na szybko biegnących tumanach mgły. W- szkółce na San Pablo kupowanie *bougainvillei*. Te

wędrówki roślin i nazw: osiemnastowieczny podróżnik francuski Bougainville żeglował dookoła świata, nadał (czy on sam - nie wiem) nazwę krzakowi, który znalazł na Antylach.

9 VIII 1987

W Walnut Creek na ślubie Ewy, następnie przyjęcie urządzone w Danville w parku. Kiedy przyjechałem do Berkeley w 1960 roku 7 Tanką i z dziećmi, i obwoził nas Alfred Tarski pokazując okolicę^jiajBSchód od pasa pagórków Berkeley zaczynała się\_wieś\_z^w kotlinach sady kasztanów, wyżej

19

zbocza koloru słomy, przez większą część roku punktowane czarnymi dębami. Teraz wszędzie miasto: ulice i domy w zieleni, trawniki, korty tenisowe, baseny, parki. Także linia metra, tutaj nie podziemna, przeprowadzona aż z San Francisco. Nie wiem, czy jestem tak bardzo za konserwacją i przeciwko zabudowie. Dość jałowe to były krajobrazy, co po suchej trawie i kolczastych dębach? Bo klimat tu inny niż w Berkeley, mgła od morza nie dochodzi, niebo stale niebieskie, wszystko sprazone, więc ludzie i zielen idą razem.

Tak więc dane mi było widzieć w ciągu jednego życia koniec wsi. To tutaj jest wzorem dla całej planety, nie, że wszędzie musi to tak samo wyglądać, ale wzór zarysowuje się wyraźny, choćby ze względu na gęstość zaludnienia. A więc dzielnice mieszkalne rozrzucone na dużej przestrzeni, z zachowaniem reliktyw wsi, ale już utrzymywanych sztucznie: nawadnianie, drzewa, przestrzenie dla sportów. I osobno rolnictwo, ale już nie wioski.

Moje wiejskie dzieciństwo różniło się od dzisiejszego dzieciństwa. A głównie chmarami owadów, które bzykały, cięły, gryzły, wlażyły w oczy. Bose nogi pokryte szramami i strupami od ciągłego drapania się. W trawie przyskały świerszczyki, biegały żuki, mrówki czerwone (te najbardziej piekące) i czarne, różnych wielkości, na liściach odkrywało się gąsienice wielu kolorów i kształtów, a wewnątrz, w kuchni czy w niektórych izbach, na przykład tych koło mleczarni, na ścianach czarny ruszający się kozuch much. W szklanych muchołówkach serwatka gęsta od warstw muchtopielców. Środki chemiczne dały radę całemu temu rojowisku, które jeszcze jednym odróżniało moje dzieciństwo, otoczone mnogością ptaków. Dzisiaj ptaki owadożer-ne mają trudne życie, choć mała ich liczba nie musi zastanawiać ludzi, którym brak porównań.

10 VIII 1987

Istnieje szczególna jakość światła Północy i odkryłem to po zwinięciu namiotu na kempingu w kanadyjskich

wu

20

Górach Skalistych, w parku narodowym Jasper, skąd (w sierpniu) wygonił mnie i Jankę pierwszy śnieg. Był rok 1969. Droga do Edmonton stamtąd idzie na północ, potem dopiero skręca. I tam, nad Athabasca, spotkałem tę jakość północnego światła, która jest przecież zwykła dla wielu mieszkańców naszej planety, tak że jej nie dostrzegają. Pierwszy raz miałem to odczucie, kiedy na krótko przed wybuchem II wojny światowej przyjechałem z Warszawy do miasteczka Głębokie, gdzie wtedy pracował mój ojciec. Głębokie nie jest bardziej na północ niż mój rodzinny powiat, ale sporo dalej na wschód, więc może stąd różnica. Nigdy nie opisałem tego miasteczka. Najbardziej rdzenna Białoruś naokoło, a tutaj barok pojezuickich kościołów i w środku szteta znany z literatury żydowskiej i malarstwa Chagalla, ale takiego zagęszczenia drewnianych kramów ani przedtem, ani potem nie widziałem. Wyglądało to jak jeden drewniany korab z przedziałkami na poszczególne kramy. Przyzwyczajony już do światła Kalifornii, do północnego światła prawdopodobnie adaptowałbym się z pewnym trudem. Już ostatni szary maj w Europie trochę mnie przygnębiał. Wczorajsze niebieskie niebo (od pierwszej mniej więcej) łagodziło, jak zwykle, moje różne rozpacze, którym zabraniam dostępu. Choć może gustowałbym też w klimacie jak na Antylach - gwałtowne ulewy trwające kilka minut, znów splendor mokrej, jarzącej się w słońcu zieleni. W Kalifornii w ciągu miesięcy letnich prawie nigdy nie pada!

-----  
11 VIII 1987

Moja wrażliwość na klimat stąd chyba pochodzi, że życie minęło i teraz każdy dzień jest cenny.

Leopold Staff napisał w starości wiersz Most:

Nie wierzyłem Stojąc nad brzegiem rzeki,  
Która była szeroka i rwista, Że przejdę ten most,

21

Spleciony z cienkiej, kruchej trzciny

Powiązanej łykiem.

Szedłem lekko jak motyl

I ciężko jak słoń,

Szedłem pewnie jak tancerz

I chwiejnie jak ślepiec.

Nie wierzyłem, że przejdę ten most,

I gdy stoję już na drugim brzegu,

Nie wierzę, że go przeszedłem.

Jak to zrobiłem? Jak przeszedłem ten most? Wyliczanie własnych cech brzmiałoby nieprawdziwie, ale mój sąd o sobie jest rzeczywiście ujemny. Z niejaką skłonnością do "szukania genetycznych obciążeń, od strony Miłoszów. Oskar mawiał: „No, po miłoszowsku", co miało znaczyć „po wariacku", a odnosiło się chyba do jego dziadka

— inwalidy po bitwie pod Ostrołęką, który ożenił się z włoską śpiewaczką, do ojca, który skończył na klinicznej paranoi, czy kuzynów z linii drujskiej, też nie bez potężnych bzików. Co prawda powiedzenie Oskara mnie zaskoczyło, bo trafiało w moje podejrzenia - skąd podobieństwo, jeżeli tamci zarówno czerejscy, jak drujscy Miłoszowie, to nie tak znów bliscy krewni? Czyżby rodowe piętno

- i przeciwko niemu mocna krew długowiecznych Kuna-tów i jeszcze mocniejsza Syruciów?

Artysta i odchylenia od normy. Od czasów romantyzmu przyzwyczajono nas do tego związku, nawet związku z chorobą, a Tomasz Mann umieścił go nawet w centrum swoich tematów. Pewnie pod wpływem romantyzmu wcześniej wpadłem na pomysł działań zastępczych, kompensacyjnych, ale tak naprawdę nie mam sympatii do „chorych geniuszów" i kto wie, czy moja ambicja nie zostałaby lepiej nakarmiona przez zwykłe cnoty, nawet jeżeli znaczyłyby to, że nie stworzę żadnego dzieła.

Przeciętność jako ideał? Bo wtedy nie ma poczucia winy własnego istnienia. Sprawia mi przyjemność, kiedy w Ber-kfley\_zwracają się do mnie „doctor" albo „professor". To znaczysaTysTakqaliależenia do szacownego klanu, ale bez

22

wyskoków, bo przecież „za wszystko się płaci", jak mówi wicedyrektor hotelu Eden, czyli diabeł w sztuce Leszka Kołakowskiego.

Wczoraj wieczorem na kolacji u Nathanów i rozmowa o tym, jakimi słowami odmawiać udziału w imprezach niepoważnych, organizowanych dla celów światowych. Uczciwość nakazywałaby podawać powody, dla których uważamy, że debaty np. o tym, jak wprowadzić na kuli ziemskiej demokrację, tolerancję i pokój są stratą czasu. Ale ludzie lubią przejechać się do Paryża na cudzy koszt, a jeżeli odmawiają, wolą to robić grzecznie.

12 VIII 1987

Marek przygotował grunt i sadziliśmy bougainvilleę. Jest delikatna i przyjmuje się z trudem. Ta, którą kupiłem Neli zeszłego roku na starym mieście w Mentonie, długo chorowała, straciła liście. Tak więc próbuję zrozumieć moje życie. Trzeba przyznać, że strach przed korelacją choroba-geniusz był u mnie wręcz obsesyjny i on to wyjaśnia wiele moich decyzji. Uparty, podejrzliwy, skąpy, ostrożny - prawdziwy Litwin - postanowiłem gospodarować swoimi zasobami na ich miarę, wierząc, że rozpadłbym się, gdybym zapomniał o swoich słabościach. Moje małżeństwo trwało lat bez mała pięćdziesiąt, pomimo wszystko. Jankę wybrałem po to, żeby jej oczy, jej sąd regulowały moje zachowanie, choć przyczyniłem jej wielu cierpień. I być może z lęku przed ciemnym przypiływem nieodpowiedzialności i wariactwa narzucałem sobie tak dużo dyscypliny, byłem tak dokładny, precyzyjny, punktualny, że niemal mógłbym uchodzić i za wzorowego piekarza, naukowca czy biznesmena.

W Kalifornii przy końcu dwudziestego wieku, ja z moją wiedzą o piekłach Europy, niby Mr.



Stammler z powieści Saula Bellowa. Także z niejakim sceptycyzmem co do

23

przywileju, który zagarniają dla siebie amerykańscy poeci, przywileju wariackich papierów. Alkoholizm, narkotyki, pobyty w klinikach psychiatrycznych, samobójstwo - takie mają być znamiona jednostek wyjątkowo uzdolnionych. Ameryka ich w to wpycha już od czasu Edgara Allana Poe. To możliwe, ale możliwe też, że mit romantyczny, utożsamiający wielkość z odchyleniem, otrzymał nową zachętę w postaci permissive society i powoduje rzeczywiste, nie urojone skutki. Kiedy Robert Lowell co pewien czas lądował w klinice, nie mogłem oprzeć się myśli, że gdyby wrzepić mu piętnaście razy bizunem na goło, zaraz by mu przeszło. Uznaję, zazdrość przeze mnie przemawiała: jeżeli ja nie mogę sobie pozwolić, dlaczego on ma sobie pozwalać?

13 VIII 1987

Zatoka szara, trochę słońca w środku dnia. Sauna i pływanie. Żyję płytko, prawie na powierzchni. Wiedząc, że mnóstwo dzieje się tam w głębi, ale wolę nie zaglądać. Sny głupawe i zaczeplone o drobne wydarzenia dnia.

Także z dystansem wobec własnego ciała. Zależy mi na nim (a myślę o wszystkich, którym tak jak mnie zależało). Nie chcę, żeby było starsze, niż czuję siebie od środka. Kot Jeleński mówił, że mam twarz czterdziestoletniego mężczyzny, porytą, to prawda, kogoś qui a beaucoup vecu. I nadal działa magnetyzm pomiędzy mną a kobietami, które oczywiście wiedzą, czy ktoś jest w grze czy poza nią. Ale świadomość, z dystansu, obserwuje. Dante, dzieląc życie ludzkie na okresy, podawał 65 lat jako granicę starości, za którą zaczyna się wiek zgrzybiały. Wszyscy dziś żyją dłużej, na moje ciało nie mogę narzekać, niemniej po starej maszynie można się w każdej chwili spodziewać, że zepsuje się karburator albo wysiadzie transmisja. Ten nasz związek z ciałem - równoczesność i tożsamość, i przebywanie na zewnątrz - jest już sam w sobie zadziwiający. I słusznie fascynuje myśl ludzką z końca dwudziestego wieku. W ostatniej powieści Milana Kundery co jest

24

najlepsze, to chwile Teresy, kiedy stojąc nago przed lustrem, próbuje odkryć, gdzie jest jej dusza.

W dzieciństwie słyszałem zawsze legendę o serbskim pochodzeniu Miłoszów, może z powodu tożsamości nazwiska z imieniem średniowiecznego bohatera. W Belgradzie mieszkałem przy ulicy Kneza Miłosza. Fetowanie mnie w Jugosławii, przekłady prawie wszystkich moich książek, wybór do serbskiej Akademii Nauk i teraz jugosłowiańska dziennikarka w Paryżu powiedziała, że uważają mnie prawie za swego. Zadała pytanie, skąd u mnie tyle zrozumienia komunizmu, tak że Zniewolony umysł jest „biblią jugosłowiańskich intelektualistów”.

Wczoraj dostałem z Budapesztu mój tomjwierszv po węgiersku, pięknie wydany. Przez- dłuższy czas był blokowany przez Interwencję ambasady PRL w węgierskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. A kilka dni temu Tomas Venclova przysłał mi tom wierszy i przekładów Juozasa Kekstasa wydany w Wilnie, gdzie znalazłem 26 moich wierszy. Kekstas zmarł w Warszawie w 1981 roku, był jedną z postaci mojej wileńskiej młodości. Cóż za biografia. Aresztowany przez polskie władze za komunizm (siedział w jednej celi z białoruskim poetą, którego znałem, Maksymem Tankiem), znów aresztowany, zesłany do obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej, po zajęciu Wilna przez wojska sowieckie deportowany do gułagu, następnie armia Andersa, Iran, Irak, Egipt, Italia. Walczył pod Monte Cassino, ranny, dekorowany, potem wyemigrował do Argentyny, gdzie wiele lat pracował jako robotnik; kiedy zachorował (paraliż), przeniósł się do Warszawy, bo był obywatelem polskim i tam przez dwadzieścia lat mieszkał w domu weteranów.

14 VIII 1987

Od moralistyki chciałbym się wyzwolić, ale nie umiem. Romantyczny nawyk kompensacji za silny. To znaczy: ponieważ chciałbyś być dobry, a nie jesteś, niech twoje

25

książki służą dobru. Ale one niezależne od ciebie, ambiwalentne; raz myślisz, że służyły dobru, innym razem, że nie. A ty zazdrościsz wielbicielom sztuki dla sztuki, tym dawniejszym i, pod

trochę inną nazwą, dzisiejszym, bo nie stawiali sobie takich pytań.

15 VIII 1987

Trzeba sięgnąć do powodów mojej rozpacz. Jeżeli czyjeś życie upłynęło pod znakiem \_nieszczęść publicznych i prywatnych, nietrudno wyliczyć. JCo zastanawia, to że od dzieciństwa mieszkałemjy krajach, które się właśnie kończyły. Najpierw Rosja^arska7Dc^ywiscie7ivie~bTłem wtedy świadomy. Ale może istnieją fluidy końca, a te całkiem wyraźnie czułem w Rzewie nad Wołgą owej jesieni rewolucyjnej 1917 roku, tak że później nawet usiłowałem to uchwycić w młodzieńczych wierszach, ale nie udawało się. Następnie wojna 1920 roku, obrazy przegranej bitwy, ucieczki, odwrócony los w bitwie pod Warszawą, tyle że na krótko. Co prawda lata szkolne wyjątkowe, bo normalne, ale już w wieku młodzieńczym narastająca świadomość, że cały ten układ naokoło jest prowizoryczny. Wiedziałem, że wszystko się rozpadnie, ale rzecz ciekawa, były dwa poziomy, jeden to możliwość apokaliptycznej wojny; drugi, który, przynajmniej jawnie, bardziej mnie przejmował, ideologicznej pustki i w niej - ale tu trzeba znowu odwołać się chyba do prądów (fluidów), czy znaków do odczytania przez bardziej wrażliwych - jako jedyna siła naładowana potencjalnie rzeczywistością, marksizm. Polsce niósł klęskę, ale żadnej przeciwwagi nie widziałem i mówiłem o tym otwarcie mojej dyrektorce w Polskim Radiu, Halinie Sosnowskiej. Brała moje słowa poważnie. Po czym\_widzia-łem koniec dwóch krajów własnymi oczami: niepodległej Polski i Litwy. A takżewkrótce koniec F.nropy. Jakiegokolwiek będą dalsze losy jej kadłuba, ograniczonego do zachodnioeuropejskiego półwyspu (na pociechę można się powołać na długie jej zagrożenia przez islam, najpierw od

26

południa przez Saracenów, poiem od wschodu przez Turków), wrażenie tymczasowej jej egzystencji w pierwszych latach po wojnie przypominało mi to, co czułem w Polsce lat trzydziestych. Była to jakby egzystencja pośmiertna. W wypadku zachodniej Europy, przemiana żywych krajów w muzeum i cicha gotowość przyjęcia niewolnictwa (według klasycznej heglowskiej formuły jest niewolnikiem, kto chce żyć za wszelką cenę, nawet za cenę utraty wolności).

Tyle więc determinant mojego pesymizmu. Ale tu, w Ameryce, komu przekazywać „wiedzę końca”, której sam poniekąd się wstydzę? Bo po pierwsze, człowiek tak naznaczony nawet dla samego siebie jest niewiarygodny, po drugie, istnieje odpowiedzialność za słowo mówione, nie tylko pisane; skoro nie ma czystej diagnozy, każda diagnoza zarazem stwarza rzeczywistość.

16 VIII 1987

Wizyta ogrodnika, który doradza przesadzić fedżoje, bo ich wzrostu pod oknami nie da się poskromić. Stwierdza też, że sosny są zdrowe i mogą stać jeszcze ze dwadzieścia lat, mimo ich olbrzymiej wysokości, choć tej zimy była mowa o ich niebezpieczeństwie dla domu podczas sztormów od morza.

Na popołudniowej party u Karlińskiego, gdzie wręczono Frankowi Whitfieldowi Festschrift na jego cześć. Dowiedziałem się, że sposobem na odstraszanie jeleni jest pojechać do Zoo i dostać tam łajno lwa albo tygrysa (?).

Moja „wiedza końca” znajduje przeciwwagę w podziwieniu, jaki mam dla lu^^o^d^r^onych cnotą nadziei. Taki był RyrskL-Ież Turowiec Papież \_jan\_Paweł II. Obdarzeni cnotami wiary i nadziei. A jeżeli ktoś ma niewiele nadziei? To bliższe mego wypadku. Czy jest we mnie miłość? Nie mnie sądzić. Nadzieja tych, których

27

podziwiam, pochodzi z wizji ludzkości w ruchu chrystologicznym, tak że klęski zadawane przez historię (np. ustrój totalitarny) nie przeszkadzają - w ostatecznym rachunku - rozwijać się duszom ludzkim, a nawet, choćby nieprędko, okazują dobroczynne skutki.

Być może Jeanne reprezentuje inny rodzaj nadziei wzięty z „wiary filozoficznej” Jaspersa. Jest to wiara w wezwanie transcendencji wpisane w samą naturę człowieka.

Otrzymałem z opóźnieniem prezent urodzinowy, dzieło Renaty: książkę złożoną z facsimile mego tomu Trzy zimy plus rozprawki różnych autorów po każdym z wierszy. Trzymając tę książkę w rękach, byłem całkowicie po stronie sztuki, może nawet przez wielkie S. Dumny z tego, że wiersze

mają swój byt własny. Przedmioty, których nie było i nagle za moim pośrednictwem powstały, tak że, jak na przykład obraz Chardina, ciągle są, a cokolwiek się o nich powie, będzie tylko naokoło nich. I to odczucie wzmocnione przez zdziwienie: w jaki sposób to mogło się ze mnie wysnuć? Bo ciało i duch zmieniają się, przechodzą różne fazy, także fizjologiczne i któraś dawna faza, jeżeli utrwalona, zaskakuje.

17 VIII 1987

Stefan Kisielewski w swoim komentarzu do Bram Arsenau: „Miłosz to dla mnie poeta lęku, fascynujący niewiarą, pesymizmem wynikłym z przenikającego go do szpiku kości poczucia kruchości, polotności wszelkich światów: duchowych czy materialnych. Wierzę w autentyczność jego grozy, nie wierzę w jego pociechy. Ani w pociechy świeckie rozsądnie i lewicowo »humanistycz-ne«, ani w podpory religijne, mistycyzmy, Swedenborgi, ziemie Ulro. A przekłady starotestamentowe? To poetycko-językowy kostium, maska duszy - trzeba przecież coś robić na tym świecie, »pan się religijnie bałamuci, pan to przecież jutro zrzuci«".

28

18, 19 VIII 1987

W samolocie Panam zbliżającym się do Londynu, w podróży do Castel Gandolfo na seminarium papieskie o Europie. Motyw - kurtuazja wobec papieża, choć nie oczekuję wiele po obradach starych pawianów. Referaty, które czytałem - takie sobie.

Kisiela („Stara mała") bardzo lubię i cenię. W tym fragmencie ma dużo złośliwej racji. Jednak nie bierze pod uwagę pewnej rzeczy dość zasadniczej: wszystkie moje ruchy umysłu są religijne i w tym sensie moja poezja jest religijna. A również (może to samo) jest za Bytem przeciw Nicości. Choć, jeżeli chodzi o chrześcijaństwo, jest stale na tak i nie. Zauważyła to J.W. i w rozmowie prywatnej o Sześciu wykładach wierszem powiedział Jan Paweł II: „Robi pan zawsze krok naprzód i krok w tył", na co ja: „A czy dzisiaj można inaczej pisać poezję religijną?"

25 VIII 1987

Po powrocie z Castel Gandolfo. Doznanie Europy w samolocie z Londynu do Rzymu: przy wychodzeniu z samolotu spotykam Leszka Kołakowskiego i razem cieszymy się radością tej grupy młodzieży włoskiej (szkolna wycieczka?) - śpiewają, całują się, skandują „Italia", biją brawo, obraz swobody i spontanicznej aprobaty życia. Wdzięk.

Na lotnisku w Rzymie spotykają nas Krzysztof Pomian i ksiądz Tischner, jeden z organizatorów seminarium, razem z Krzysztofem Michalskim. Wkrótce samolotem z Zurychu zjawia się Jacek Woźniakowski. W drodze do Castel Gandolfo wdycham zapachy dymu - palą trawy na polach, upał po Kalifornii, duszno, wewnątrz pieca. Kolacja w pensjone zakonnic, Casa Nostra, gdzie nas lokują. Polskie grono, dokładnie to, czego tak brakuje mi w Ber-

29

keley i dużo dałbym, by mieć często te polskie rozmowy przy winie, które pomimo wszelkich przeszkód odbywały się jednak w Brie-Comte Robert i Montgeron, nie bez cichego sprzeciwu Janki i jak najgorszego wpływu na dzieci. Bo dla kogoś, kto słucha nie wiedząc dokładnie, o co chodzi, takie rozmowy brzmią absurdalnie, a ich humor ma odcień makabryczny. Mnie są jednak i były potrzebne.

Konferencja o „Europie i co z niej wynikło" - w połączeniu z moim je t lag, bo różnica dziewięciu godzin i niemożność snu z powodu upału. Codziennie rano autobusik zabiera uczestników do papieskiego pałacu, wjeżdża w bramę salutowany przez straż szwajcarską w kolorowych strojach. Sesja w obecności papieża, który przysłuchuje się, trwa od dziesiątej do pierwszej, znów w dół miasta do naszych zakonnic na lunch i moja jedyna szansa snu podczas sjeisty, po czym popołudniowa sesja też z papieżem od czwartej do siódmej. Mury pałacu są grube, co częściowo chroni od słońca, ale nie ma klimatyzacji. Sala otwarta na długi taras, skąd widok na jezioro, powiew porusza firanką. Siedzimy przy długim stole, przed mikrofonami, stół papieża w rogu, pełen książek, które przegląda, słuchając. Europeizacja planety, ale ciekawsza nie w zbyt specjalistycznych referatach (Europa a Indie, Europa a Islam). Nie dosyć szerszej wizji, którą mają: Niemiec, prof. Robert Spaeman i prof. George Kline (Rosja a Zachód). Germanocentryzm Niemców, aż muszę zabrać głos i powiedzieć o stałej niemieckiej tendencji (poprzedzającej nazizm

i wyjaśniającej przegraną wojnę Hitlera z Rosją) do traktowania tego, co na wschód od Niemiec jako „ciemności zewnętrznych”. Po tej sesji dostaje pochwałę od papieża („to był ostatni” moment, żeby o tym przypomnieć”). Później jeszcze mówię o Shoah (tam zawarte oskarżenie chrześcijaństwa) i o korozji wyobraźni religijnej wskutek europejskiego przewrotu, zapytując, jak to działa i działać będzie na poszczególne wielkie religie ludzkości.

Obiady papieża z grupami językowymi: angielską, niemiecką, polską. Na obiedzie polskim rozmowa pra-

30

wie wyłącznie o sprawach polskich, nieskrępowana. Papież mówi wiele sam, wiele śmiechu - dowcipy góralskie ks. Tischnera.

Na zamknięcie konferencji mój wieczór autorski w dwóch językach o dziewiątej wieczór w sobotę, 22 VIII. Nie jestem z niego szczególnie zadowolony, pocę się, nie widzę dobrze, bo stoję, a nie ma podium, tylko książki leżą niżej na stole, tracę czas na szukanie strony, poza tym chcę ze względu na papieża jak najwięcej przeczytać po polsku.

Księżna Aldobrandini wydaje obiad dla uczestników konferencji w swojej willi niedaleko Castel Gandolfo, ale grupa polska zjawia się dopiero po obiedzie u papieża. Ten papież nie kultuwyje jak jego poprzednicy związków z wielkimi rodzinami rzymskimi. Chwała Aldobrandinich datuje się od Klemensa VIII. Dobry był papież, powiada w rozmowie księżna, tylko że kazał stracić Beatrix Cenci.

Papież żegnając uczestników konferencji powiedział, że przysłuchując się obradom, myślał stale o decyzji Piotra, żeby przyjechać do Rzymu i że Piotr zdziwiłby się, widząc, co z tej decyzji i z Europy wynikło.

26 VIII 1987

Ulga klimatu w Berkeley. Zanotowałem Castel Gandolfo jak gdyby nigdy nic, to znaczy jakbym wewnątrz nie pękał ze śmiechu nad moim udziałem i nie miał „Metafizycznego Poczucia Dziwności Istnienia”, co razem jest jednym uczuciem i powinno mieć osobną nazwę, żeby nie być zmuszonym ciągle powtarzać niezbyt precyzyjnie: „Zdumiewam się”. Bo zważmy, jednak jestem tym samym chłopcem, który był tak nieśmiały, że posłany do sklepu bał się wykrztusić, po co przyszedł. I tym samym, który w Krasnogrudzie cierpiał męki swego towarzyskiego nieo-bycia i nieumiejętności zachowania się przy stole. I dotychczas jest we mnie każda minuta mojej bezgranicznej zazdrości, kiedy tam, w Krasnogrudzie, patrzyłem na tych

31

trzymających się razem wysokich, urodziwych, wysportowanych warszawiaków, Michała, Zdzisia i Edka. Zważmy też na moją tożsamość teraz, w roku 1987, ze mną, dajmy na to, w 1940. Padła właśnie Francja, widziałem sowieckie czołgi w Wilnie na placu Katedralnym, a teraz w letnią noc posuwam się, grzęznąc po pas, rojstem, w zupełnej euforii. Dotychczas dla mnie niezrozumiałej. Za próbę ucieczki z granic Związku dostałbym osiem lat łagru i wszystko potoczyłoby się inaczej, założywszy, że bym przeżył. A przede mną możliwość Sachsenhausen albo Oświęcimia. I nic, euforia: sprawnego ciała, przygody, niebezpieczeństwa. Ode mnie tamtego do dzisiejszego, od tamtej Europy do tej Europy. Jakie zagęszczenie historii, poza jakimkolwiek słowem. „Mogłoby być gorzej”, powiada papież. Co by było gdyby. Co by było gdyby nie. I tak dalej. Wśród nieprawdopodobieństw: odporność polskiego katolicyzmu, polski papież, taka konferencja jak ta i na taki temat. A mnie gdyby ktoś przepowiedział, że będę kiedyś professor emeritus Uniwersytetu Kalifornijskiego, gdybyż to tylko profesor, ale emeritus, ile w tytule zmagazynowanego czasu.

27 VIII 1987

Rankiem zimna mgła kapie z drzew. Po przebudzeniu niespodzianka i przykrość: jeleń zjadł wszystkie kwiaty heliotropu, tak obfite, że podobnych nie mają ogrodnicy.

Papiestwo jako skała, na której mogą schronić się czyści. A zewsząd napiera ludzkość grzeszna, moralnie podejrzana, szalona, kręcąca biodrami w takt beatu, wystawiona na brednię, zbrodnię i telewizję. Z punktu widzenia Kościoła są ich całe armie, objęte powszechnym rozpasaniem; homoseksualiści, lesbije; te, które raz czy kilka razy spędzały płód; ci, którzy tak czy inaczej są odpowiedzialni za spędzenie płodu; te czy ci, których

źródłem zarobku są ich genitalia; wszyscy sypiący ze sobą poza kościelnym ważnym związkiem małżeńskim; rozwodnicy i rozwódki - czy mało? A jeszcze niepoliczono miliony mężczyzn i kobiet nie stosujących się do zakazu używania środków antykoncepcyjnych. Ze skałą porównuję papieżstwo, nie Kościół. Bo gdzież, po której stronie jesteśmy my, bądź co bądź ochrzczeni w obrządku rzymskim? Czyż nie rozpoznajemy siebie w jednej z wyliczonych kategorii? I czyż na nauki Watykanu nie patrzymy z szacunkiem i pokorną zazdrością jako na coś, co jest dla nas, zwykłych śmiertelnych, za wysokie?

Papież w bieli, potężny i przyciągający obraz człowieka nad ziemią, nad naszą szczipioną w pożądlivościach małpią masą. Gdyby był wysuszonym starcem, obraz nie miałby tej siły, ale on jest mężczyzną na schwał, należy do tłumu przechodniów, zarazem nie należąc. Powraca w snach. Czy warto byłoby, jak to na wpół żartem podsuwał amerykański literat, zastrzelić go, bo wtedy zamiast konserwatysty przyszedłby papież postępowy, pozwoliłby na środki antykoncepcyjne, zniósłby celibat księży, wprowadziłby rozwody, zrównałby kobiety dając im prawo do kapłaństwa? Jan Paweł II jako „znak sprzeciwu”. Już raz chcieli go sprzątnąć, wiadomo kto.

Pewnie, że lepsza otwartość niż faryzeizm. Ale może lepsze są tamy niż otwarcie śluz z niewłaściwego powodu.

28 VIII 1987

Sen: zostałem nauczycielem w amerykańskiej szkole średniej. Po egzaminach końca roku dyrektorka (tak, kobieta) prosi, żebym przemówił do uczniów. Stoję obok niej na podium. Nie bardzo wiem, co powiedzieć, zaczynam im opowiadać o swoich egzaminach w szkole. Zaczynają wychodzić, najpierw pojedynczo, potem niemal tłumem. Zrozumiałem, że zamiast powiedzieć parę słów, zabrnąłem w nudziarstwo i jestem starym ramolem.

33

p W Castel Gandolfo ktoś opowiedział mi, jak to było / z wizytą papieża w więzieniu rzymskim, u Turka-mordercy, Agcy. Na zdjęciach wyglądało, jakby Agca spowiadał się papieżowi. W rzeczywistości dzielił się z nim swoimi obawami. Strzelał z tak bliska, że jeżeli papież przeżył, to chyba tylko wskutek interwencji Matki Boskiej z Fatimy, to była jej rocznica. Agca, przesądny, teraz bał się, że Matka Boska będzie się mścić. Papież musiał go uspokajać, zapewniając, że Matka Boska mścić się nie ma zwyczaju.

Otrzymałem egzemplarz mego Świadectwa poezji w wydaniu Czytelnika i porównywałem z wydaniem „Kultury”. Dość liczne cięcia cenzury, głupawe, ale dobrze pouczające o tym, czego nie wolno.

29 VIII 1987

Pogody. Mgła tylko w dole, nad San Francisco. Wczoraj wizyta u doktora Goetscha. Upłynęły dwa lata i trzy miesiące od dnia, kiedy wyciął mi rakowaty polip. Zaryzykowałem wtedy i nie zgodziłem się na ciężką operację zapobiegawczą. Wiadomość przyjąłem dość spokojnie, nie żebym o tym nie myślał, ale mogłem myśleć też o czym innym. Teraz doktor Goetsch dumny z pacjenta. Rak nie odnowił się.

„Nieuniknione unicestwienie ludzkiej osoby ukazuje się nam jako ostateczna klęska bytu; w przeciwieństwie do biologicznego rozpadnięcia się organizmu, nie należy do naturalnego porządku w kosmosie. Zaiste, pogwałca ten porządek. O porządku, jako że jest empirycznie niedosięgalny, może być mowa jedynie wtedy, kiedy *contingentia rerum* jest odniesiona do jakiejś koniecznej, a tym samym wiecznej rzeczywistości” (Kołakowski, *Religion*, s. 157, przetłumaczyłem z angielskiego).

Według Kołakowskiego nie można wierzyć w Boga, zarazem nie wierząc w nieśmiertelność, bo taka niewiara obala Boga; nie można wierzyć w nieśmiertelność, zarazem

34

nie wierząc w Boga, bo taka niewiara obala samą możliwość nieśmiertelności.

Kiedy czujemy, że nasza śmierć jest realna, zdolni jesteśmy ocenić argument Leibniza o świecie, wprawdzie niedoskonałym, ale najlepszym z możliwych, bo kim bylibyśmy, gdyby nie ból i śmierć?

W moim starym notatniku znajduję zapis sprzed dwóch lat i trzech miesięcy:

„Mój bliźni. Trzeba ciągle myśleć o znaczeniu tych słów, ale przeszkadza nam nasze »ja«, wszystkie jego bezgraniczne ambicje i strachy, tak że ten drugi ukazuje się nam owinięty swoją w-sobnością, niebezpieczny, tajemniczy i w swoich myślach, chęciach, działaniach, i w zakątkach swego ciała, które podglądamy ukradkiem. I tylko w krótkich chwilach refleksji nad własną chorobą czy zbliżającą się śmiercią umiemy odnaleźć tożsamość, powiedzieć sobie: przecież on (ona) to ja! Na domiar złego jesteśmy podzieleni według płci i podejrzewamy, może słusznie, a może nie, że filozofia penisa nie może być taka sama jak filozofia waginy. A przecież »mój bliźni« znaczy, że jesteśmy jednym człowiekiem zamieszkującym planetę Ziemię, podzielonym według płci, usposobień, siły, apetytów itd. »Co mnie może łączyć z nim?« - pytanie, w którym zawarta jest wdzięczność losowi za to, że nie jestem jak ten głupiec, czy goryl, czy zbrodniarz. »Co mnie może łączyć z nią?« - na przykład z tą pijaną murzyńską prostytutką na rogu ulicy, w jaskrawym makijażu. Ale wobec gwiazd, wobec zwierząt - naszych sąsiadów, psów i kotów? Wobec motyla? Tylko jeden człowiek tożsamy w swoich pragnieniach i nasyceń. A przede wszystkim w bólu. Uniwersalność bólu jako gwarancja mojej (naszej) natury. A jednak całkowicie wrjnrjjj^jyjllifriifco i do^nnwårjpgn nicipi7r7ęśrin jakby było\_jiasze własne, potrafi ehvha tylko święry. t lżv~iez i^świętość nie wystarcza7Bóg~musi wcielić się w"~człowieka. W jednego, a tym samym we wszystkich".

Jana Pawła II próbuję od dawna przeniknąć. Ściślej, nie Jana Pawła II, ale jego polskość.

Amerykański jezuita

35

polskiego pochodzenia napisał do mnie z Perugii po pobycie w Polsce: spotkał tam tylu prawdziwych diabłów i aniołów, że Dante znalazłby w nich dla siebie wzory. Papież reprezentuje Polskę czystą, ofiarnych młodzianków, co są jak kamienie rzucone na szaniec, Polskę najszlachetniejszą, ale niepokoi mnie to, że jest ona norwidowa. Złoto-pszczoła. („Poznał-ci-że bym ją-na krańcach bytu!") Norwid jest jak Warszawa jego młodości: równina pokryta jabłecznymi sadami i w każdym sadzie domek-dworek, tak przynajmniej opisuje ją w 1813 roku podróżny-cudzozie-miec (niejaki Johnston). Legenda o Piaście-oraczu, niebieskookie i Inianowłose anioły, cnoty rycerskie, zdziwienie złem świata. U Norwida jest wiara w niepowtarzalną esencję i zapewne w powołanie każdego narodu jako plemienia (pogrzeb Bema jest obrzędem plemiennym). Nacjonalizm w sensie formacji historycznej pełniej wyraża się u Norwida niż u Mickiewicza i Słowackiego. Norwid jest bardziej etnocentryczny, i wyczuwali to zwolennicy nacjonalizmu jako ideologii politycznej. Norwid nie był tknięty herezjami jak wieszczowie, prawowiernie katolicki, snuł rozmyślenia o historii spełniającej się ofiarami jednostek, żeby wreszcie „męczeństwo uniepotrzebniło się na ziemi".

30 VIII 1987

f Papież wychował się na Mickiewiczu i Słowackim, ale, moim zdaniem, przede wszystkim na Norwidzie. Tamci byli jeszcze poetami dawnej Rzeczypospolitej - Mickiewicz bo Litwa, Słowacki bo Ukraina. Mimo litewskiego pochodzenia nazwiska, Norwid już reprezentuje cofnięcie się do etnicznych granic. Choć z doświadczeń dziejowych Rzeczypospolitej, pewnie bardziej niż z jakichkolwiek filozoficznych lektur, pochodzi jego wrażliwość na historię, jako pewien ład do odczytania, pochod ludzkości cierpiącej, ale już odkupionej. Pełno w nim tego, co wyróżnia polską literaturę, historyzmu, storicismo polacco, jak to

36

nazywał Brzozowski. Pod tym względem chyba tylko literatura rosyjska może z nią współzawodniczyć, stojąc jednak na przeciwnym biegunie, ciągle wracając do idei Moskwy jako Trzeciego Rzymu.

Kłęska kraju i kłęska osobista Norwida - a tu raptem wciela się on w przywódcę światowego chrześcijaństwa występującego do walki z siłami ciemności. Jest nad czym się zastanowić i zadrzeć - to jakiś wielki temat, godzien genialnego pióra. Wątpliwe, czy cudzoziemcy coś z tego rozumieją. Bo każdy papież musi mieć wizję historii prawdziwej, Civitas Dei, przeglądającej spoza złud historii świeckiej. Ale teraz zasiada na tronie Piotrowym ktoś przez Norwida przygotowany do

interpretowania wielowiekowego marszu Rosji na Zachód jako procesu jej ucłowieczenia, poprzez niesione przez nią, Polakom przede wszystkim, męczeństwo.

Mesjanizm Norwida istnieje, chociaż jest różny od mesjanizmu bluźnierczego, który Polskę nazywał Chrystusem narodów. Żadne ciało zbiorowe nie może być Mesjaszem. Ale szczególne cechy niektórych krajów, dające znać o sobie w ich dziejach, mogą stanowić otoczkę dla działania większej niż gdzie indziej liczby duchów bezinteresownie ofiarnych.

Sen o znieważeniu rosyjskiego pisarza (podobnego do Ważyka) i o mającym się odbyć pojedynku. Sen o moim długim przemówieniu po polsku, które nie jest przetłumaczone i nikt z zebranych go nie rozumie.

1 IX 1987

^Na dnie swojej nędzy Polska dostała^króla^i to takiego, o jakim śniła, z piastowskiego szczepu, sędziego pod jabłoniemi, nie uwikłanego w skrzeczącą rzeczywistość polityki. Jego stolica najpierw w Krakowie z tamtym środowiskiem- „Tygodnika Powszechnego" i „Znaku", następnie \_\_w Rzymie. -Król nosiciel wiary mesjanicznej, głęboko przekonany, że istnieje państwo duchów, gdzie 37

odbywają się zapasy, zmagania, triumfy, tuż obok tej drugiej historii, żywych, ale w ścisłym z nią związku. Zapewne, każdy inny papież musiałby też wierzyć w świętych obcowanie, ale niekoniecznie widziałby współpracę tamtego świata z tym jako tkaninę historii. TerazJtiedy\_to piszę, uświadamiam sobie, do jakiego\_s^paia\_Polska zostałaaukształtowana przez co dzień odcmwaną^sjjójno-tși^wySh^^ wstecz niż

chrześcjr^stwoTjak--w\_x)brzędzie „dziadów", ale również ten aspekt chrześcijaństwa najsilniej wydobywali poeci romantyczni. Wszystko z ducha i dla ducha. Norwida: „Wielki-Pan... Duch!" Podróże Jana Pawła do Polski mogą być rozumiane jako walka toczona w zaświatachTo jęf duszę. Jakby każde łączenie się tysięcy jego słuchaczy wBraterskiej miłości, choćby na krótko, poruszało niebiosy, zdarzało się razem i tam, i tu na ziemi. Czyżby wiedział z góry, że ze zbiorowego poniżenia potrafi ludzi podnieść w insurekcji bezkrwawej? Że może nastąpić coś takiego jak „Solidarność", na miarę niekrwiożerczych nawyków tego ludu? I jakby odpowiedź symboliczna na pytanie Stalina: „A ile papież ma dywizji?"

Wychowany na Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim i Norwidzie, jestem wdzięczny za to dziedzictwo, które daje możliwość intuicyjnego wglądu w wymiar historii. A jednak jest we mnie nieufność wobec Polski Norwidowej. I dotykam tutaj z pewnością mego newralgicznego punktu.

r

1 Kędy przebiega linia między katolicyzmem i polskością? Czy jest możliwa do przeprowadzenia? Jeżeli mam być szczery, w każdym niemal Polaku wietrzę niewinność wysokiej retoryki ducha, tak że mam wspólny język tylko z Polakiem zdemonizowanym, takim, który przeszedł przez marksizm, ateizm czy może jakieś tam dewiacje, na przykład narodowościowe w rodzinie, albo seksualne. I jak mam umieścić Jana Pawła II, kiedy jego filozoficznym pismom, niby pismom Norwida, brak tej skazy, która mnie jest potrzebna? (

38

2 IX 1987

Ubiegła niedziela, ja w roli dobrotliwego dziadka. Zabranie dziewcząt na mszę do Newman Hall, obie wychowane bez religii, nie żeby nawracać, ale niech mają szacunek dla tej strefy. Kazanie księdza-póstepowca o oddzieleniu się chrześcijaństwa od judaizmu, jako klęsce. Pytam Martę, czy księża tam u nich mówią w kazaniach przeciwko antysemityzmowi. Na to ona: „Raz byłam w kościele na obozie w Szklarskiej Porębie, coś mówił o Żydach, ale odwrotnie". Po mszy na lunch do restauracji Skates nad zatoką, za oknem duża fala i manewrowanie żaglówek. Marta opowiada, że na maturze miała porównać jakąkolwiek powieść z przeróbką jej na film, wybrała Dolinę Issy - „ale film nie ma z nią prawie nic wspólnego".

Nacjonalizmy mojej części Europy są mocno patologiczne. Nie mogę mieć zaufania do myśli poczętej z poniżenia i z prób pociechy w przegranej. Kiedy z materii nic wam nie wychodzi, dalejże w krainę ducha. Ironia Nor-wida maskuje jego litowanie się nad sobą i to wyłazi w przekładach jego wierszy na angielski, z którego to powodu jego pozycja w poezji światowej musi być

wątpliwa. Gdyby tak ktoś napisał studium porównawcze o trzech pisarzach urodzonych prawie równocześnie: Melville, Dostojewski, Norwid. Pomimo wszelkich różnic, także różnic tła, skoro już przewrót kapitalistyczny w Ameryce Melville'a, i zaledwie początki kapitalizmu I w Rosji Dostojewskiego, obaj są profetyczni, bo szamoczą się z kryzysem wiary chrześcijańskiej - pierwszy zrozpaczony, że nie może uwierzyć, drugi chcący uwierzyć za wszelką cenę i zmagający się ze swoim diabłem. Norwid i zacy, ani krzty demonizmu, ale powstaje pytanie, czy literatura bez tej domieszki nie jest dla nas już kuchnią

zanadto jaską. I Gdybym nie miał za sobą doświadczenia polskiego

1 nacjonalizmu w praktyce, nie tylko w jego pięknych i rod o wodach i pożywkach, inaczej bym na to patrzył.

Nowoczesny patriotyzm nie jest zwykle swoich uwarunkowań świadomy, nie nazywa siebie nacjonalizmem, chętnie natomiast mówi o nacjonalizmie sąsiadów. Ale w Polsce na dodatek główną ideologią była (i bodaj jest) tak zwana ideologia narodowa i ten czy ów patriota nie zdawał sobie sprawy, że był anima naturaliter endeciana. Termin ten powstał w moim Wilnie uniwersyteckim, wtedy kiedy Henryk Dembiński, przywódca katolickiego „Odrodzenia”, zaczynał dopiero lewicować. Ojcowie Kościoła nazywali Platona anima naturaliter Christiana, co Dembiński przerobił, określając duszę polską jako endecką z natury. Tak czy owak, Warszawa okupacyjna była dla mnie miejscem i czasem spotkania z polskim nacjonalizmem w jego najwyższym natężeniu, kiedy to występował wyłącznie jako patriotyzm, którego nikt nie ma prawa krytykować. Niósł on ze sobą cały swój system wartości i nie wyzwoiliłbym się z niego, to znaczy zostałbym w jego władzy, nie mogąc go ogarnąć niejako z zewnątrz, gdyby nie wewnętrzna moja niewygodna jako poety, intuicyjne odgadnięcie jakiejś jałowości i fałszu, co da się sprawdzić na poetyckim warsztacie. Za podniosłe. Za wysokie. Za szlachetne. Znadto uduchowione. Co poradzę, jeżeli Norwid zrósł się dla mnie z niektórymi twarzami ówczesnych znajomych, naznaczonymi egzaltacją, jakby co dzień w gorączce, ludzi, którzy zginęli i o których myślę ze ściśniętym sercem. Jak wielkie było wtedy napięcie tej egzaltacji, świadczy wiersz Anny Swirszczczyńskiej, przed wojną autorki kapryśnych i uroczych poetyckich miniatur. Kiedy do mojej antologii Pieśń niepodległa dała wiersz bardzo dobry artystycznie, pod tytułem Rok 1941, zdumiałem się. Skąd jej do takiego hymnu? „Lecz chociaż tak wielu zginie / może ja, może ty / nie zginie naród”.

3IX 1987

Lipiec 1944 roku, upalny. Warszawa, po pięciu bez mała latach okupacji, uśmiechnięta, tak lekkomyślna jak

v40

tylko ona umie, mury jej kamienic poszczerbiona tam gdzie na rogach rozstrzelivano zakładników, jej śr^dkowe dzielnice nie istniejące, zmienione w pustynię zburzone,0 przez Niemców getta. Jakże wesołe miasto, przyglądające się z tłumionym chichotem pośpiesznej ewakuacji u rzędów wroga, ładowaniu szaf, kufrów, waliz na cięż^roWiri Jaskółki w nieskazitelnie błękitnym niebie, kwiecist>e stroie kobiet, w podwórzach śmiechy i krzyki chłopców dolewających się wodą z węża, skaczących do improwizow\anyCj1 basenów. Oto więc koniec wojny. Po tyłu śmierciac^ njech żywi cieszą się słońcem, zielenią, nadstawiając v>icha na pomruk zbliżającego się frontu.

Ilu mieszkańców tego miasta rozumie, że nie jest to zwycięstwo, tylko klęska zupełna, całkowita, kraji^ który opierał się inwazji i następnie trwał lata w walce, n^ia(jzje na morzu, w powietrzu i tutaj, w „podziemnym par\stwje"? Ilu z nich potrafi rozróżnić pozór od rzeczywistości,0 jst\_ nienia? Nigdy już nie będzie kraju takiego, jaki b\,} choć zdołał przetrwać do tej chwili, kiedy słycać ciężkie działa armii ze wschodu.

Kroński wobec kolegów z podziemnej gaz^j ^o której pisał, udawał patriotę starej daty, prywat^nje' wy\_ śmiewając ich absolutyzację ojczyzny. Ich tępo^a prze. szkadzała im widzieć jasno zrządzenia historii. Xam.iasX zdać sobie sprawę z winy i kary, chronili się w drobne dramaty swego podwórka. A tymczasem próba zjednoczenia Europy przez faszyzm kończyła się zbrodnią, mny to był podbój niż Grecji z zewnątrz, przez Filipa Macedońskiego, bo wewnętrzny, a teraz Grecję-Europę mieli za Jcare zalać Persowie. Jeżeli tak, to nie miały znaczei\ja kuity lokalnych bóstw. Syn mecenasa Krońskiego, Tadeusz, zwany pr^ez przyjaciół Tygrysem, Żyd po ojcu, filozof,



przyjaciół Qzeskiego filozofa Patoćki, jak najjawniej swoje myślenie 'Wyprowa. dzał z prywatnych urazów i nienawiści. W Warszawie podziemnej widział dalszy ciąg tej samej mentamo{ sprzed 1939 roku, która przyczyniała mu cierpien ^e smutkiem czy raczej melancholią kogoś, kto wie t\ a pewno

41

to, czego inni nie chcą wiedzieć, przepowiadał najstraszliwsze nieszczęścia, do których ta mentalność nieuniknienie musiała doprowadzić.

Co mnie do niego przyciągało? Wymiar zjawisk. U nikogo poza nim nie znajdowałem tak rozbudzonej wyobraźni historycznej, którą słusznie się szczycił. Ta wyobraźnia mogła być tylko tragiczna. Chcieli powrócić do stanu sprzed wojny, jakby komory gazowe i krematoria mogły być jedynie epizodem, a nie wołały o pomstę do nieba. A wołały tak skutecznie, że sprowadziły najazd Persów.

O Persach Kroński zabraniał sobie i innym myśleć i mówić. Nie sądzę, żeby miał co do nich złudzenia, ale nie wolno było rozdrażniać siebie gniewem na nieuniknione. Tutaj był punkt naszej niezgody. Nieszczęśliwy z powodu wyrzutów sumienia, bo zmuszałem siebie do szlachetnych uczuć, potrzebowałem świętokradczego, brutalnego aktu, a nie zdobyłbym się na to, gdyby nie jego wpływ. Odciałem trzymająca mnie martwa ^ękę przeszłości i od "wtedy, ód 1^43\_ roku. datuje się rnojawewrictrzna wołność, a tym samym możność poezji innej niż bezustanny lament nad przegraną honoru. Jak zwykle jednak brak mi było konsekwencji, czego się nie wstydzę, bo ten brak sprzyjał memu umysłowi. Wbrew zaleceniom Krońskiego, nie wzbraniałem się ani myśleć, ani mówić o Persach.

I O składzie nasion Hosera (największa warszawska 'firma ogrodnicza) na Okęciu mógłbym dużo opowiedzieć, a zwłaszcza o przypadkowym towarzystwie, które tam się zebrało 13 sierpnia 1944 roku. Wyobrazić sobie trzeba duży nie wykończony budynek (tamte okolice Warszawy miały ich niemało z chwilą wybuchu wojny, czyli miasto rosło), stojący prawie w szczerym polu, z jednej tylko strony górujący nad jakąś niby uliczką z małymi domkami. Nie zdążono pięter obmurować ścianą, czy nie śpieszono się, w każdym razie istniały tylko te piętra i leżeliśmy na najwyższym, między workami nasion. A przyszliśmy tam z Zygiem i Futą Poniatowskimi i z innymi przez pola, kiedy Niemcy zaczęli podpalać domy i ogień zbliżał się

42

do domu, gdzie było Poniatowskich mieszkanie, jak dopiero teraz odtworzyłem posługując się pamiętnikiem Marii Dąbrowskiej, przy ulicy Kieleckiej 16. U Zygów znaleźliśmy się z Janką, ponieważ w dniu wybuchu powstania, niczego się nie spodziewając, szliśmy naszą Aleją Niepodległości ku przystankowi tramwajowemu na Rakowieckiej. Żeby jechać z wizytą do Krońskich. Zaczęło się od ognia niemieckich karabinów maszynowych z bunkrów na rogu Rakowieckiej. Szliśmy lewym chodnikiem i uskoczyliśmy w bok, do Zygów stamtąd było parę kroków, najbliżsi nasi sąsiedzi, ale doczołgaliśmy się tam dopiero następnego dnia.

Mówi się „powstanie" i jakoś zapomina się, że nie była to żadna jednolita całość, tylko zbiór wydarzeń, na przykład dom przy Kieleckiej 16 po prostu z dnia na dzień czekał, nasłuchując, kiedy to się skończy i wejdą sowieckie czołgi. Już zresztą ta jedna nieduża nowoczesna kamienica dostarczała materiału do obserwacji, gdyby tak wziąć każdego z jej mieszkańców, mężczyzn i kobiety, i przyjrzeć się im z osobna. Ale skład nasion spełniał wszelkie warunki potrzebne do narracji czy do filmowego scenariusza. Bo tak. Przypadkowo zebrani ludzie; ich zagrożenie, skoro pod budynkiem pojawiali się od czasu do czasu tzw. własowcy, chętni do gwałcenia i mordowania, dobrze, że jakiś pusty hangar ich nie nęcił, zajmowali się dobrami cywilizacji zachodniej, to jest uczyli się jeździć na rowerach, gdyby jednak zajrzeli, byłoby źle; w tym zagrożeniu starcia temperamentów, charakterów i poglądów i niesamowite nieraz ludzkie typy, których istnienia w mieście nie odgadywaliśmy; jak też tło, niebywałe, bo przy braku ścian widziało się stamtąd całą panoramę białego miasta w słońcu, z ogniami i dymami pożarów, z muzyczną oprawą odgłosów bitwy, wybuchów, kucia artylerii, terkotań ręcznej broni. Spośród tamtejszych współtowarzyszy niedoli najwyraźniej zapisał mi się w pamięci znajomy Zygów, pan Okulicz. Jak wskazuje nazwisko, był pochodzenia szlacheckiego i kresowego, z zawodu urzędnik. Mówił: „Ja tylko całe

życie przed nimi uciekam. Pamiętam, siedem lat

43

miałem, kiedy w salopce przez lód biegłem pod Mińskiem". Zważmy ten dziw nad dziwy, z którego można by wysnuć głęboko sięgające wnioski. Tu Niemcy, tu bezpośrednie niebezpieczeństwo, a on (czyżby dlatego, że rodem stamtąd, z Wielkiego Księstwa?) wie jedno: idą bolszewicy.

4IX 1987

Zniknięcie ludzkiej istoty. Jej wygląd, ruchy, sposób bycia, charakter przechowują się w pamięci kilku osób, które ją znały bliżej i teraz wyliczam na palcach te osoby. Jerzy Andrzejewski -już nie żyje. Zygmunt Hertz -już nie żyje. Kot Jeleński - już nie żyje. Jeszcze zostało paru przyjaciół. Jeden po drugim ci, z którymi można by rozmawiać o nieobecnych, umierają i zostaje milczenie, imię nie przywołuje żadnego obrazu, zniknięcie jest na zawsze.

W małżeństwie zadajemy sobie rany i poczucie winy, kiedy niczego już nie da się naprawić, nie ustępuje, choć ulega ciągłym zmianom. Ulgę wtedy może przynieść myśl, że ze śmiercią kończy się wszystko, że co było, minęło na wieki wieków, że nie ma odpowiedzialności, i ten, kto pamięta, też wkrótce minie na wieki wieków bez śladu. I zaraz przeciwko tej myśli odzywa się sprzeciw: niech będzie sąd, niech będzie cierpienie wiedzy o sobie, byle sprawdziła się wiara, że każda chwila naszego życia utrwala się gdzieś tam na zawsze.

Skoro jestem jedyny, który tyle wie, czy nie mam obowiązku mówić o niej, przeżywszy z nią wiele lat? Nigdy nie chciała, żebym mówił, usuwała się. W jej zazdrosnej prywatności, w zgodzie na anonimata, wyrażał się jej arystokratyzm, choć nie była arystokratycznego ani nawet inteligenckiego pochodzenia, wywodziła się z warszawskiego ludu, tego o przeszłości drobnoszlacheckiej. Jej ojciec, Józef Dłuski, szczupły, lnianowłosy, o uroku człowieka skromnego i cichogłosego, w młodości terminował u majstra-mosięznika, potem dwa lata przepracował w fabryce metalurgicznej na wschodnim brzegu w Amery-

44

ce, ale wrócił, bo czuł się tam samotnie. Przed II wojną był woźnym w sądzie. Jej matka, Czesława ze Szczerbińskich, być może ze śladami psychicznych zaburzeń, była choleryczna, ale kiedy mieszkaliśmy we czwórce z rodzicami na końcu ówczesnej Alei Niepodległości, dochodziło do krótkich tylko jej wybuchów, i owe lata 1941-1944 upłynęły nam w harmonii. Będąc w Polsce w 1981 roku odwiedziliśmy z Tonim mazowiecką wioskę Zuzela, miejsce urodzenia . Janki (a także jej rówieśnika, kardynała Wyszyńskiego. Sodejrzewała, że był jednym z wioskowych chłopaków, którzy rozkołysali i przewrócili ich łódkę pełną małych dziewczynek w niedzielnych strojach). Do zalet Janki należały wysokie, zbyt może wysokie wymagania, jakie stawiała ludziom, książkom, dziełom sztuki. Miała rzadki zmysł jakości, i ten przysparzał jej wrogów. Do jej wad zaliczyłbym utrzymywanie dystansu wobec bliźnich, a zwłaszcza wobec moich kolegów-literatów, podczas kiedy ja, jak to określiła Wikta, siostra przyrodnia Józefa Wittlina, byłem dzieckiem, które zawsze chce się w błocie z innymi dziećmi pobabrać.

6IX 1987

Zadaję sobie pytanie, czy w ogóle jest możliwe opisanie małżeństwa, jego różnych faz, szczęśliwych i nieszczęśliwych. W moim wypadku niemałej trudności przysparza to, co mnie oddziela od niej prawdziwej, czyli te dziesięć lat jej choroby. Że też mnie, z moimi manichejskimi skłonnościami, musiał przypaść ten codzienny widok niezawinionego cierpienia, straszliwego nieszczęścia, poniżającej nędzy ciała. Z obrazem jej dawnej, pięknej i roześmianej, musiałem oglądać żalony ludzki szczątek, jego bezbronność, bierność, zależność od rąk, które go podnoszą, wysadzają, kąpią. Rozdzierające\*, niemożliwe do zniesienia, a zamazuje się i znieczula rutyną. Słowa „litość" i „współczucie" nie przylegają do tej sytuacji, trzeba byłoby coś innego, może bliższe jest misericordia,

■\*f

' - ■'} f

H ^{

S| vof

^1 T

of &  
{. ^i  
J^: 5 -

odczucie mizerności. Choć litość była kiedyś „lutością” i to znaczenie, srogości i biadania nad srogością, byłoby dokładniejsze. I jak nie rzucać tego wynalezionego przez ludzi słowa przeciwko niebiosom? Zdawałoby się, że okrucieństwa dwudziestego wieku, jeżeli wyobraźnia zdolna jest je ogarnąć w cierpieniach poszczególnych istot ludzkich, że te okrucieństwa wystarczają, żeby obalić wiarę w Opatrzność. Ale jeszcze gorzej, kiedy z jej wyroków jest zgniatany na naszych oczach pojedynczy człowiek. W pierwszej fazie choroby, kiedy paraliż posuwał się od nóg coraz wyżej, w głosie Janki było jakby osłupienie: „Kto to robi? Komu to potrzebne?” I zaiste - kto to robi? Przyjmując, że ktoś, nie można ustrzec się myśli, że jest złośliwy. Przyjmując, że nikt, zostajemy sam na sam z bezmózgim, zimnym jaszczurem materii.

Podczas jednego ze szpitalnych pobytów Janka miała za sąsiadkę w pokoju Ukrainkę, która wyliczała przebyte operacje i opisywała przebyte rodzaje bólu, absolutnie przekonana, że Bóg tak chce i że powinna przyjąć cierpienie z jego ręki. Umysł Janki już wtedy walczył z nasuwającą się zasłoną rozkojarzeń, ale nawet gdyby działał poprawnie, nie szukałby pociechy w równie gorliwej wierze. Na swój sposób była pobożna, ale ten sposób był raczej agnostyczny.

Umysł, który jest świadomy swego obsuwania się w ciemność, zapominanych dat, nazwisk, wydarzeń; wysoka inteligencja, którą stać jeszcze na to, żeby służyć paranoicznym lękom i niepokojowi o los dzieci. Miała dar miłości, ekskluzywnej, ślepej, ktoś mógłby rzec, zgodnej z jej charakterem nie uznającym kompromisów, zawsze na tak albo nie, zdolnym do determinacji w aktach samopo-święcenia. Gdyby te dziesięć lat to była tylko nędza rażonego chorobą ciała, ale nie, jeszcze poniżenie ducha, który co dzień traci następny ułamek swojej władzy, aż chroni się nie wiadomo gdzie, może w lęz jako jedyny znak świadomości w momencie agonii, podczas kiedy wszystko inne zdaje się być dowodem na redukcję do czynności schorzałych komórek mózgowych.

46

Cierpienie niewinnych. Była najzupełniej prostolinijna, czysta. To pisząc, nie mam bynajmniej zamiaru uprawiać idealizacji, tak pospolitej, kiedy wspominamy o umarłych, znam jej wady, inne od moich wad, i cnoty, których mi brakowało. Jej umysł na tak i nie był przeciwieństwem mego dialektycznego i pokrętnego umysłu, jej prawość narażała ją na zarzut wyniosłej ironii i pogardy dla innych. I być może nie Alzheimer czy schizofrenia, czy tzw. skleroza mózgu, ale głęboka depresja rozwinęła się z jej coraz silniejszego, lękowego albo dumnego izolowania się od ludzi.

7IX 1987

Pora kwitnienia dzikich koprów (foeniculum vulgare), wyższych niż wzrost człowieka, koło drogi, którą chodzę rano. Dla mnie powtarzający się akcent jesieni. Dalej pogoda, ale niebo często zakryte chmurą dymu, która stoi nad całą Kalifornią z powodu pożarów leśnych w Sierras.

Żona Miłosa. Żona pisarza. Nie lubię słowa „pisarz”. Żałosna to konfraternia. Gdzieś znalazłem taki obraz zachowania się wszelkiego rodzaju artystów: łąka, na której tłum ludzi i każdy wypuszcza swój balonik, niebo ich pełne, a każdy marzy o tym, żeby inne baloniki pękły, żeby je przekłuć, a został jeden tylko balonik, jego. Literaci gromadzą się, mają tę potrzebę, niemal instynkt stadny, bez tego nie byłoby rytuału wzajemnych obgadywań i stawiania stopni. A zarazem każdy swojego kolegę uważa za trochę niższego od siebie. Po czym to szczone towarzystwo przemija i na pięćset czy tysiąc nazwisk jedno ocaleje dla potomnych.

Janka nie była podobna do tych żon pisarzy, które celebrowały, ustawiają po kolacji świece i z przydechem uwielbienia mówią: „Kazio będzie czytać”. Na to zbyt była ironiczna, a mnie ta jej ironia wychodziła na dobre. Do „środowiska” odnosiła się wzgardliwie, zdolna i do przyjaźni z niektórymi moimi kolegami. Przed wojną był to Józef „Czechowicz”, z którym w Polskim Radiu przy placu „Dąbrowskiego” stanowiliśmy nierozłączne trio. W wojennej Warszawie Jerzy Andrzejewski, Stefan Kisielewski. Nie znosiła natomiast Iwaszkiewicza, którego uważała za demoralizatora z powodu jego przedwojennych książek, czytanych przez nią i przez jej koleżanki w szkole. Nigdy też nie była u Iwaszkiewiczów na Stawisku, dokąd jeździliśmy ucztować ja i Andrzejewski. We trójkę natomiast jeździliśmy kolejką EKD do rodziny Wertensteinów, która

wynajmowała domek koło Komorowa. Cóż za widok w środku okupacji, kiedy mordowano mieszkańców getta: podwieczorek i najspokojniej w świecie trzy żydowskie pokolenia zasiadają przy stole, babcie, ciotki, kuzynki, kuzyni, idylla z wysiłkiem utrzymywana przeciwko bezustannemu zagrożeniu.

Janka lubiła pić wódkę z Andrzejewskim, miała dla niego dobre uczucia, ale była złego mniemania o jego pisarstwie i chyba od niej jednej przyjmował słowa krytyki, tak wobec innych godny i wyniosły, że zazdrościłem mu tej pewności siebie. Dla Janki okres wojenny był czasem otwarcia się, ciepła i przyjaźni, alkohol jej nie raził, później alkohol znienawidziła z powodu mojej potrzeby literackich gadań i nieodłącznego od nich picia, a także z powodu moich przynoszących wstyd zalecań się do kobiet po pijanemu.

Ceniła moje pisanie, i aż zarzucałem jej, że jestem jedynym piszącym, którego aprobuje. Kiedy w 1953 roku dowiedziała się w Departamencie Stanu, że już na pewno wizy do Ameryki mi nie dadzą, wykrzyknęła w gniewie: „Będziecie żałować, bo on dostanie Nagrodę Nobla”. Niemniej zawód literata, poczynszy od naszych lat francuskich, coraz bardziej wchodził w konflikt z jej miłością do dzieci, mimo że długo stanowił źródło utrzymania naszej rodziny. Ceną, jaką się płaci, są samoudręki zbyt aktywnej wyobraźni, ponurość, wielogodzinne odgradzanie się od otoczenia w pracowni, wszystko dla rodzinnego życia wysoce szkodliwe. I Janka, kochając mnie, wolałaby jednak,

48

żebym był zwyczajniejszym człowiekiem, piekarzem na przykład. A już Nagroda Nobla była dla niej tragedią.

10 IX 1987

Po dwóch dniach nad Pacyfikiem, na północ od San Francisco. Wszystkie prawie moje wizyty w Mendocino z szarym niebem, tym razem wyjątek, słońce i niebieskie morze, czyli letnie mgły jakby minęły. Splendor skał--katedr, pośrodku pian, szumów, bezustannego ruchu fali, stałego, ale zawsze z wariacjami. Mój czas i wszelki czas ludzki, małeńkie, „Je te salue, vielil ocean!” (Lautreamont). No tak, jestem literacki, patrząc na ciągnący w wieczornym niebie piękny sznur pelikanów, myślę o Robinsonie Jeffer-sie, który je opisywał.

Kolonie kormoranów na skalistych wysepkach. Mewy. Brunatne pelikany i następnie widziane koło Bodega Bay przez lornetkę duże stado białych pelikanów. Czaple kilku gatunków. Murre - nie wiem, czy mają polską nazwę. Stada ptactwa pracowicie brodzące na płytkich zalewach.

Obiektywne istnienie świata jako ulga. Postanawiam nie zagłębiać się zanadto w swoje uczucia pisząc ten pamiętnik, z obawy żeby nie fałszować, co nieuniknione, bo nie upiększając, jak można siebie znieść?

Wieczorem zaraz po powrocie pokaz filmu sowieckiego Pokuta w Wheeler Hall, w obecności reżysera, sala pełna, czyli kilka tysięcy widzów. Film zadziwiający, odpowiedzi Abuladze na pytania z sali dowodzą jego zaprawy jako homo sovieticus. Zapytuję siebie: czy ideał moralny (mówić prawdę) w służbie państwa jest tym samym, czym może być dla ludzi wolnych?

12 IX 1987

Reżyser Abuladze cytował powiedzenie jakiegoś Amerykanina, że tak szczery i otwarty film niejrWłby być

m

49

w Ameryce zrobiony. Co jest głupstwem, zwykłym amerykańskim biciem się w piersi. Prawdą natomiast jest, że taki film nie mógłby być w Ameryce zrobiony z zupełnie innych powodów niż brak szczerości. Widziałem kapitalistyczne finansowanie filmów przed wojną w Polsce przez właścicieli kin, którzy dyktowali, co w filmie ma być. Ten kapitalizm polski tak się miał do amerykańskiego, jak ulica w Drohobyczu opisana przez Schulza w Ulicy krokodyli do amerykańskiej ulicy. Amerykańskie krokodyle finansujące filmy dbają o należyłą dozę seksu i przemocy, tudzież, jeżeli możliwe, obłądu, choroby, perwersji. A również działa samoczynne zarażanie się tak wytworzoną aurą odczłowieczenia, paraliżując wyobraźnię, zupełnie niezależnie od finansów.

13 IX 1987

Po dniu spędzonym na dorocznym Pig roast, czyli pieczeniu wieprza, które Allan urządza w letnim domu swojej rodziny koło Big Sur. Pomiędzy stromymi górami przeważnie sprażonymi słońcem na żółty brąz, parów strumienia, bujne trawy, drzewa (przeważnie olchy i sekwoje), cień, powoje, ławy rzeżuchy przy wodzie, prawie ta czarodziejska zieleń, nagle pośród suchości jak w wąwozie koło starego klasztoru w Nonza na Korsyce. Cały wieprz rozpostarty nad paleniskiem piekł się od szóstej rano do czwartej po południu. Ścieżką wzdłuż strumienia do małej plaży między skałami, ale nie można się kąpać, gwałtowny przy bój i morze za zimne.

14 IX 1987

Gdyby tak zbadać skłonności polityczne poszczególnych ludzi sięgając aż do cech im wrodzonych, do charakteru? Wtedy moja stała niechęć do kapitalizmu okaże się mniej więcej tym samym co moja niechęć do Natury.

50

A powodem jest poczucie zagrożenia, wstręt do brutalności, litość, zmieszane ze sobą, trudne do rozplatania. Wszystkie moje obserwacje okrucieństwa w przyrodzie. „Krzyk rozdieranego zająca napętnia las”. I świadomość, może aż przesadna, losu ubogich w Ameryce, ich nędznych dzielnic, ich tyrania, ich strachu przed bezrobociem, tudzież piekiel murzyńskiego getta. Mnie Ameryka nie zagraża, mnie się w Ameryce udało, ale co z tego. Niewykluczone, że tak czy owak w Ameryce bym nie zginął, chroniony dostatecznie przez moją pracowitość i zdolność poddania się dyscyplinie. Nigdy jednak nie mogłem się zgodzić na stan naturalny, to znaczy, żeby człowiek musiał żyć jako stale zagrożony, niby w czasach jaskiniowych. Oczywiście, że kapitalizm jest naturalny, kto chce czego innego, działa przeciwko elementarnemu prawu przeżycia silnych i nie wiadomo, czy próby wyjścia poza to prawo mogą się udać.

W parowie koło Big Sur przy świniopieczniku ja zintegrowany w Amerykę klas średnich. Niekoniecznie jako literat, profesor emerytowany to dosyć. Następnie w Carmel odwiedziły Tor House Robinsona Jeffersa, teraz w posiadaniu i pod opieką stowarzyszenia wielbicieli Jeffersa, Tor Foundation.

15 IX 1987

W „Arce” czytam dwie recenzje z książki Walickiego Rozmowy z Miłozem i Walickiego odpowiedź. Ma rację, kiedy kwestionuje rozprawianie o stalinowskim okresie przez ludzi, którzy go nie pamiętają i sądzą na podstawie swoich późniejszych doświadczeń. Na przykład Michnik i jego Dzieje honoru w Polsce. Cóż dziwić się cudzoziemcom, jeżeli nawet ci, którzy w Polsce wyrosli, nie mogą wnikać w ówczesne nasilenie grozy. Nie tylko strachu. Ataki na moi Zniewolony umysł, że niby wymyśliłem jakieś głębie, podcząTg<sup>^</sup> działał po prostu strach o sw<sup>^</sup>łjg-sterrryr nie trafiają "w sedno. Była to groza nagle uzyskanej

51

świadomości, że następuje światowe zwycięstwo komunizmu i że marzenia o niepodległej Polsce trzeba złożyć do muzeum. Czy to mało? I z tego powodu, pamiętając, patrzę na szlachetne wypowiedzi w książce Trznadla Hańba domowa z niedowierzaniem. Pewnie, jeżeli robi się powrót do Polski-męczennicy, tej samej sto lat temu i dwieście lat temu, ten podział: tu czystość, a tu hańba, jest uzasadniony. Sam nawet porównywałem Wałęsę do Kościuszki. Tory uczuciowe są nieźle wygładzone. Ale tak na trzeźwo? Obiektywnie? Trzeba by było dowieść, że okres stalinowski stanowił tylko odchylenie, po czym nastąpił powrót do stanu normalnego, którym jest od dwustu lat słoń a sprawa polska.

16 IX 1987

Ci, którzy stali się komunistami w 1945 roku, mieli wszelkie logiczne argumenty za sobą. A co do młodych literatów, to nawet ich inna opcja była mało prawdopodobna. Kraj był włączony w nowe imperium na stałe: wystarczyło spojrzeć na mapę. Któż więc mógł się opierać? Nie rozumiejący, stawiający na nową wojnę, na cud itd. To jedna kategoria. Druga, ludzie z niezgodą na ateistyczną religię komunizmu, co jednak zakładało większą znajomość rosyjskiego zjawiska i lepsze jego przemyślenie, niż mieli w Polsce literaci. Niewielu chyba z nich czytało prorocze Biesy Dostojewskiego. Oczywiście, naród katolicki miał intuicyjne rozeznanie i wystarczyło, żeby

zobaczył ślady diabelskich pazurów. Wśród intelektualistów konsekwentni byli ludzie wierzący: Turowicz, Malewska, ale to, o czym się dziś zapomina, oznaczało wtedy zgodę na przyjęcie (całkiem prawdopodobnego) męczeństwa.

Mój Ketman był jakoś pokrewny katolickiej niezgodzie na służbę ciemnym, w sensie metafizycznym, siłom. Jakbym się zachował pod bezpośrednim zagrożeniem, nie wiem, ustrzegłem się tego.

Najbardziej enigmatyczne było zachowanie się stoików,

52

>\*

to znaczy - w dzisiejszej ich odmianie - ludzi uznających świat za pozbawiony etycznych sankcji. Profesor Elzenberg. Herbert. Czy też może u Herberta stoicyzm jest pozorny. Rozważając wiersze Świrszczyńskiej, znalazłem u niej, obok agnostycyzmu czy ateizmu, ślepe przywiązanie do jednego imponderabilium: ojczyzny. Coś podobnego u Herberta. Jeden absolut.

17 IX 1987

Pogody nieskazitelne od rana. Elzenberga może też nie należy uważać za stoika, skoro skłaniał się do buddyzmu, religii zresztą a-teistycznej. A tacy poeci jak Herbert mogą wskazywać na nurt prawdziwy, moralistyczno-patriotyczny, ukryty w Polsce pod pozorami, które zbiorowość utrzymuje z szacunkiem, na nurt świadczący o zasadniczej niemetafizyczności Polaków.

Myślę, że moje opory wobec komunizmu miały inne źródła, zarówno „temperament metafizyczny”, jak zrozumienie powagi tego ruchu, naprawdę zajętego jednym: detronizacją Boga. Tak, że całkiem konsekwentne było moje późniejsze wykładanie w Berkeley Dostojewskiego. A skoro brakowało mi kultu Polski jako nadrzędnej wartości, lepiej bym zrobił nie zbaczając w mojej poezji ku sprawom publicznym. Niestety, zważywszy przypadki historii, trudno było zdobyć się aż na taką powściągliwość.

Jednak cała ta część mojej poezji, w której jestem wiernym kronikarzem rzeczywistości według zasady „widzę i opisuję”, i niczym więcej, jest uczciwsza. Nie inaczej niż poezja Leśmiana („Jak ustalić w niebycie byt ekonomiczny?”).

Wskazane jest, żeby autor diariusza pamiętał o aforyzmie Simone Weil: „Cokolwiek dobrego i złego pomyśli się o sobie, będzie to fałszywe w chwili, kiedy się pomyśli. Dlatego trzeba myśleć tylko źle o sobie. I nie trzeba wiedzieć, że to fałszywe” {La Connaissance surnaturelle}.

53

18 IX 1987

Dni wizyty papieża w Ameryce i na naszym Zachodnim Brzegu. Wołałem oglądać w telewizji, wielu, bardzo wielu też, stąd mniejsze tłumy niż oczekiwano. Gazety na ogół bardziej przyjazne niż komentatorzy telewizyjni, których postępową gładkość po stronie dissent powinna zawstydzić nie zgadzających się katolików: opinia publiczna jest pchana przez środki masowego przekazu w stronę banału i nagle oni, ci katolicy, swoje poglądy mogą oglądać jako banał, podczas kiedy papież stara się im przypominać, że chrześcijaństwo jest „znakiem sprzeciwu”. Papież w Hollywood: przyszedł do jaskini lwów i nie bacząc, że gotowe go rozszarpać, doradza im przejście na jarskie kotleciki zamiast dań krwawych. Jego tekst znakomity. I nasuwa myśl, że jednak można przemawiać do najbardziej nawet zepsutego środowiska i kogoś tam wzruszyć czy przekonać. Papież w San Francisco: to samo, odwaga głoszenia Słowa w mieście najluźniejszych obyczajów, w stolicy homoseksualizmu, w mieście, które powinno mieć uszy zamknięte. Św. Paweł w Koryncie? Przemówienie w Mission Dolores było arcydziełem konstrukcyjnej równowagi. O patronie miasta Św. Franciszku i jego duchu miłości. Następnie przypowieść o Synu marnotrawnym i miłości Ojca do każdego grzesznego syna. Po czym cytaty ze św. Pawła, wroga homoseksualistów, ale właśnie o czym innym,

O jego, Pawła, upadkach, tak że jest najniższym z grzeszników.

Wielkość Jana Pawła II i jego misyjnych podróży. Dla intelektualistów jest to powtarzanie do znudzenia tego samego w dużej ilości słów. Zapominają jednak, że miliony ludzi słyszą najprostszą prawdę po raz pierwszy.

1 umysł Jana Pawła II ogarnął te miliony, jako dzieci, którym najbardziej potrzebny jest jego urząd

nauczyciela.

54

19 IX 1987

Tego samego dnia, kiedy papież odleciał z San Francisco do Detroit, jeden z uczestników dyskusji telewizyjnej, jezuita, profesor teologii z Berkeley, wypowiedział się dokładnie przeciwko papieskim naukom. Według niego nikt nie ma prawa zabronić udziału w Eucharystii również tym, którzy rozwiedli się i zawarli niekatolickie małżeństwo. Ciekaw jestem, co zrobi biskup, do którego diecezji należy Berkeley. Stosując się do papieskiej admonicji danej trzystu biskupom w Los Angeles, powinien zastosować sankcje. Ale to znaczyłoby rozgłos, reklamę. Więc pewnie nic. Bawi mnie moja surowość, moja obrona dyscypliny. Zupełnie jakbym to ja się stosował. Ale, powiedzmy, wyraża się w tym moja wielka potrzeba wyższego ładu. W czym jestem włoski albo polski, nie amerykański. My możemy sobie świntuszyć, ale niech będzie nad nami to wysokie. Przepisy są po to, żeby były, nie po to, aby ich nie łamać.

Chwilami wydaje mi się, że jestem postacią z jakiegoś literackiego utworu. Jest to intuicja poważna, sięgająca głęboko. Bo nasze wyobrażenia o sobie, czy zapisane czy nie, są kompozycją. Świadomość jest podobna prawu formy. Mój kot Tiny nie snuje żadnej opowieści o sobie.

20 IX 1987

Wśród mężów stanu, monarchów, wodzów dwudziestego wieku, ani jednej postaci, która by odpowiadała naszemu obrazowi królewskiego majestatu, z wyjątkiem Karola Wojtyły. Tylko on mógłby naprawdę grać królów Szekspira.

Uniesienia. Moje życie pełne było uniesień, to znaczy zachwyty samym istnieniem, ludzi czy dzieł. Nawet teraz, kiedy od paru dni paskudny wirus siedzący w piersiach utrudnia oddychanie.

55

Przegroda dzieląca życie od śmierci tak cienka. Niewiarygodna kruchość naszego organizmu, tak że nasuwa się wizja: rodzaj mgły zgęszcza się w kształt ludzki, trwa chwilę i zaraz rozwiewa się.

21 IX 1987

Trudności z oddychaniem i słabość. Główna moja lektura to Congregation, książka w korektach przysłana przez wydawcę. Amerykańscy pisarze żydowscy o Biblii, każdy o innej jej księdze. Piękny pomysł i niektóre rozdziały wręcz pasjonujące. Czytam polegając po południu w dzień, także obudzony przez kaszel w nocy.

22 IX 1987

Wczoraj zakończyliśmy z Hassem naszą pracę nad Collected Poems.

Przeglądam teksty z okolic 1950 roku, na przykład tłumaczenia Gałczyńskiego z Szekspira, ale także z Schillera (Oda do radości), z Nerudy i poetów rosyjskich. Cóż za temat: triumfalny komunizm dwudziestego wieku po wielkich zwycięstwach armii Stalina w latach 1942-1945. Czy oni nie przesadzają dzisiaj, krzycząc o niemoralności tych, co wtedy poszli komunizmowi służyć? I wydziwiają na ich zaślepienie, bo tam miliony było gnojonych na śmierć w gułagach, a tutaj ody do radości, entuzjazm nowego życia, „nowego człowieka”? Raczej powinni by zastanowić się nad zasadniczą dwoistością słowa pisanego i rzeczy tak jak są, kto wie czy nie dwoistością stałą, coraz to w innym nasileniu, być może potrzebną ludziom. Wszyscy ci poeci na kilku kontynentach, pewni, że uczestniczą w olbrzymiej przemianie człowieka w istotę nową, świetlaną, wysławiający młodość planety, radośni, po opowiedzieli się po właściwej stronie, nie po stronie umierającego kapitalizmu, Yallejo, Neruda, Alberti, Ara-

56

gon, Eluard, Quasimodo, Ritsos, Hikmet. Przekłady z tych poetów wypełniające stronicę polskich pism, polscy poeci, którzy naprawdę, moim zdaniem, w pewnym momencie uwierzyli, porwani gorącym braterstwem, marszu razem z lepszą częścią ludzkości: Mieczysław Jastrun, Gałczyński. Pieśń za pieśnią niechaj płynie, niechaj dźwięczy w każdym czynie tam, gdzie sen się z jawą spotkał,...

Pieśń za pieśnią niechaj płynie, niech walecznych sławi imię, bo to dla nich pieśń wyrosła, oni przemoc zgnetli ciemną -i to ponad nimi Rosja rozpostarła dłoń promienną.

Aleksander Prokofiew w przekładzie Gałczyńskiego

Próbka ówczesnej aury. Pewnie, że niezrozumiałej dla polskich działaczy antyhitlerowskiego podziemia, którzy po 1945 roku siedzieli w celach więziennych, czekając na wykonanie wyroku strzałem w tył głowy.

Neruda. Pamiętam nasze spotkania łącznie z ostatnim, na kongresie PEN-Clubu w Nowym Jorku w 1966, kiedy zapytałem, dlaczego pisał o mnie obrzydliwości („kupiony przez Amerykanów” itd.), a on odpowiedział: „Miłosz, myliłem się, przepraszam”. Nie wiem, co sądzić o jego sławie i szansach na jej przetrwanie. To krasomówstwo, te potoki słów, prawie logorrhea...

23 IX 1987

Jesień na berkeleyjską modłę. Mgły inne niż letnie. Rudawy kolor liści platanów, ale przecież one zaczynają rudzieć już w lipcu, po tutejszej pełni lata w maju-czerwcu. Słabość i antybiotyki, bo rzekomo jakiś wirus atakujący brzuch i płuca.

57

-1

jgjjMP^^gMMMWW

Guillevic przysłał mi dwa nowe tomy swoich wierszy wydane przez Gallimarda. Stary satyr zmożony wiekiem pisze o żuczkach, kwiatkach, strumyczkach, czyli wychodzi na to, że zbliżając się do osiemdziesiątki jesteśmy skłonni modlić się do swojego bóstwa, jedni do Boga, drudzy, jak on, do przyrody. Niestety, przemawiał dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu.

Sny lękowe. Ucieczki. Zmysłowe szczegóły pochodzą z Kalifornii (brzeg morza, duże sosny, pod nimi ścieżki z igliwiem, górskie stoki). Narracja z grozy lat wojennych, odczucia (bicie serca w biegu pod górę) z organizmu. Co poczyna co? I druga część snu, uzupełniająca tamtą: o żarłoczności. Okazałe sandwicze z mięsiwem, dużo ich, smak szynki, pastrami, kiełbasy. Jak na wieszca, sny twoje całkiem zwyczajne, czyli jak na garbatego jesteś przystojny, jak mawiał Zygmunt.

Prawie codziennie programy w Educational Television (telewizja oświatowa, wychowawcza?) głównie dla młodzieży, o przyrodzie. O pająkach, rybach, jaszczurkach, kojotach, zwierzętach pustyni, hali wysokogórskiej i tak dalej. Świetność techniczna tych fotografii nie powstrzymuje mnie od zaliczania tych programów do obscenów. Ponieważ to, co pokazują, obraża nasz, ludzki, zmysł moralny, nie tylko obraża, unicestwia, bo teza tych programów brzmi: oto widzicie, jak to się odbywa w Naturze, i dlatego jest to naturalne, a my też jesteśmy częścią Natury, należymy do łańcucha ewolucji i mamy przyjąć świat jaki jest. Jeżeli zamykam telewizor, przerażony, ze wstrętem do obrazów wzajemnego, obojętnego pożerania się, ale także do umysłu człowieka, który to filmuje - to czy dlatego, że umiem sobie wyobrazić, jak to wygląda przetłumaczone na życie ludzkiego społeczeństwa? A te dzieci, te miliony młodych umysłów, czy patrzą bezkarnie, bo nic im się z tępym okrucieństwem Natury nie kojarzy? Czy też, nie zdając sobie z tego sprawy, są zatruwane powoli, systematycznie, przez owych mistrzów fotografii, którzy też nie wiedzą, co czynią?

58

25 IX 1987

Sprawcy tych filmów mają światopogląd naukowy i pokazują prawdę, nic więcej niż prawdę, poza tym doceniają wspaniałą fotogeniczność przyrody. Trudno wysunąć przeciwko nim zarzuty. A przecież nie są samymi oczami, które patrzą, soczewki ich kamer filmowych są na usługach tego, co zamieszkuje ich głowy, czyli teorii. Opowieść przez nich w obrazach podawana jest ruchomymi ilustracjami do teorii ewolucji, doboru naturalnego, i tak dalej. Czy ta ich teoria jest naukowo prawomocna, czy nie, ona to dobiera i komponuje ich materiał.

Balzac żył w czasach, kiedy historia naturalna królowała, na to nie trzeba było czekać Darwina. W Komedii ludzkiej chciał przedstawić gatunki wchodzące w skład ludzkiego społeczeństwa. I przedstawił. Czytaliśmy Balzaka namiętnie za niemieckiej okupacji, ponieważ otaczająca nas rzeczywistość, zbrutalizowana, wyszydzała utwory zbyt podniosłe, ale potwierdzała zbrutalizowana Francję pierwszej połowy dziewiętnastego wieku u Balzaka. Oczywiście, jego pisarstwo jest wzorem powieści realistycznej i tak dalej. Dzięki niemu możemy wiele zrozumieć z ówczesnych codziennych układów pomiędzy ludźmi. Ale tak naprawdę Komedia ludzka jest wielką fantazją,



niby Ameryka Teodora Dreisera. Prawdziwą? Falszywą?

Czy wzajemne polowanie na siebie i pożeranie się jest samą esencją Natury? Jest - i to dlatego jej nie lubię. Staram się jednak zachować dystans do naszych, do moich, wyobrażeń. Znaku równania pomiędzy naszymi fantazjami (choćby naukowymi) i rzeczywistością wolałbym nie stawiać.

26 IX 1987

Powtarzający się sen-koszmar o spóźnieniu się na pociąg. Miasto - chyba Paryż. Bilety na godzinę dziewiątą rano. Na zegarku, kiedy jadę taksówką, za pięć dziewiąta.

59

Następny pociąg o jedenastej wieczór. Mnóstwo walizek, Janka, synowie, mobilizowanie całego tego towarzystwa na czas i - znów za późno.

Pamiętam sowieckie dyskusje, z epoki największych ideologicznych szalów, o darwinizmie, kiedy doborowi naturalnemu przez mutację genów przeciwstawiano dziedziczenie cech nabytych (Łysenko), a ślepiej walce o byt współpracę między zwierzętami (powołując się aż na Kro-potkina). Kto wie, czy główne cele tej dyskusji nie były pedagogiczne, żeby zapewnić nowym pokoleniom szczeniwoje dietstwo dzięki indoktrynacji jak najbardziej pogodnej, jak najbardziej odległej od rzeczywistości. Darwinizm na to za ponury.

Obawiam się, że podzielam poglądy skrajnych beha-wiorystów. Wychowanie totalitarne w tym stuleciu okazało się nie tylko możliwe, ale skuteczne. Pionierzy, Komsomoł, Hitlerjugend, zdumiewająco podobne w ich mundurkach, krawafach i wpajaniu głębokiej wiary. Obiekcje: że nigdy się nie uda, bo przemówi człowiek wieczny, jego potrzeba prawdy itd., nie wydają się przekonywające. Dlatego, po prostu, że to wychowanie odpowiada rzeczywistym potrzebom młodego serca. Dzieci potrzebują świata uładzonego, a także malowanego w jasnych kolorach, kochają dyscyplinę i wyraźnie podane wytyczne postępowania.

Czytając krótką powieść litewskiego autora Bubnysa, Arberon, wydaną w polskim przekładzie w Warszawie, oglądałem moje Wilno, tym razem należące do dziewcząt i chłopców z klasy sowieckiego liceum. Świat, w którym urodzili się i wyrosli, przedstawia im się jako oczywisty i normalny, nie mniej niż mnie ongiś, choć tak był wtedy inny. I wszelkie radości oraz dramaty rozgrywają się, jak wtedy, między nimi i nauczycielką, przezwaną, dajmy na to, Żyrafą, kolegami, stopniami etc.

Kultura wyższa, czyli pisana i niższa, czyli ustna. Rozróżnienie z referatu Gellnera w Castel Gandolfo rozwijam w tym, co przygotowuję jako odczyt o nacjonalizmie

60

na konferencję w Ann Arbor. Popchnęła mnie ku temu także książka Alaina Finkielkrauta *La defaite de la pensee*, kupiona w tym roku w Paryżu. Przeczytałem też esej Isaiah Berlina o nacjonalizmie. Polityczny romantyzm jako moment przejścia mas ludzkich od kultury ustnej do kultury wpajanej w szkole. Spożywanie rodzimej literatury jako „narodowego dziedzictwa”. Potwierdzenie w moim własnym wychowaniu. Podręcznik literatury polskiej profesora Chrzanowskiego był najzwyczajszą nacjonalistyczną indoktrynacją.

Czemu służymy my, pracujący w języku? Czy niemożliwy jest lotniskowiec pod nazwą „Puszkina”, albo łódź podwodna „Dostojewski”, albo statek międzyplanetarny dla podboju odległych planet „Gogol”? Biedny Gogol. Nie chciał. Nie wiedział. A czy my wiemy, jak nas spożyją?

I

i

27 IX 1987

Czytam w memoriale o naukach humanistycznych w amerykańskiej szkole, oficjalnej publikacji National Endowment for the Humanities, *The Humanities and the Nation*:

„Odmowa pamiętania, jak twierdzi laureat Nobla Czesław Miłosz, jest naczelną cechą naszego wieku. Z pewnością są liczne dowody na to, że jest naczelną cechą naszego narodu. Słyszymy o studentach, którzy nie wiedzą, że George Washington dowodził amerykańskim wojskiem w wojnie o niepodległość, że była druga wojna światowa, że hiszpański a nie łacina jest głównym językiem Ameryki Łacińskiej. Ogólnokrajowe ankiety wskazują na uderzające luki w wiedzy. Według badań ostatnio przeprowadzonych z inicjatywy' Hearst Corporation, 45% odpowiadających na ankietę

sądziło, że zdanie Marksa: »Od każdego wedle jego zdolności, każdemu wedle jego potrzeb«, figuruje w Konstytucji Stanów Zjednoczonych".

Tak to wyszedłem na reformatora amerykańskiego systemu szkolnego, czy przynajmniej jestem do tego na-

61

■■

tchnieniem. Ja, który to i owo mogę powiedzieć o pamięci zbiorowej, choćby dlatego, że moje dzieci zaczynały naukę historii w Brie-Comte Robert od zdania „Nos ancetres les Gaulois”... - „Nasi przodkowie Gallowie mieli jasne włosy i niebieskie oczy”. A więc pamięć w szczególnie sposób przyrządzona, zupełnie wbrew hasłu Francuskiej Rewolucji, że należy się do „La Nation”, na zasadzie wolnego wyboru.

A gdyby tak było, że im mniej pamięci, tym mniej okazji do indoktrynacji, im więcej pamięci, tym większa pokusa jej układania w wybrane z góry wzory? Poza tym sama pamięć danej zbiorowości jest połączona z bólem i poniżeniem. Pamięta się to, co bolało. Żydzi pamiętają. Polacy pamiętają. Wiedza historyczna polskiej młodzieży, biorąc porównawczo, jest ogromna, karmi narodowe legendy i nimi jest odżywiana. Pytanie: jak zachować możliwie dużo pamięci przy możliwie skromnej dozie indoktrynacji.

28 IX 1987

Według londyńskiego „Pulsu” w Polsce 577 rocznica bitwy pod Grunwaldem. Na Polach Grunwaldzkich odbyła się „wielka patriotyczna manifestacja”.

„Idee grunwaldzkie są dzisiaj nierozzerwalnie związane z ideologią Polski Ludowej, jej racją stanu, akcentującą suwerenność państwową, silną gospodarkę, zdolność obronną, mądrość polityczną, trwałe sojusze”.

Część artystyczna:

„Rozbrzmiewają fanfary... relacjonuje specjalny wysłannik »Trybuny Ludu« — po odegraniu hymnu narodowego i po wystąpieniu sekretarza Komitetu Centralnego tow. Bednarskiego zaczyna się widowisko poetycko-muzyczne według scenariusza Bohdana Głuszczyka, dyrektora olsztyńskiej Pantonimy Głuchych. Przy dźwiękach Bogurodzicy, Gaudę Mater Polonia, Roty, muzyki Fryderyka 62

Chopina, Feliksa Nowowiejskiego i Sergiusza Prokofiewa na tle błękitnego nieba, nad koroną amfiteatru pojawiają się choreograficzne układy [?] symbolizujące jedność Polski i jej dzieje... Płyną słowa napisane ongiś przez Jana Długosza, Jana z Wiślicy, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego... Członek Biura Politycznego, przewodniczący ogólnopolskiego Komitetu Grunwaldzkiego tow. Bar-cikowski przyjmuje od młodzieży zobowiązania podjęcia działań służących krzewieniu idei grunwaldzkiej... Z głośników słychać tętent kopyt”...

Tego rodzaju plugawy nonsens w przeszłości mnie gniewał i doprowadzał do rozpacz. Teraz jestem daleko, bo jeszcze rok czy dwa, a mnie nie będzie, stąd ulga. Należę do krainy, w której mieszkają Janka, i Andrzejewski, i Jane, i Czechowicz, i Kot Jeleński, i Sadzik, i Zygmunt Hertz, i gdzie wszystko jest równoczesne. Czy stracili tak wiele, umierając wcześniej i nie widząc dalszych przemian, jak na przykład tej „uroczystości grunwaldzkiej”? I czy stracę tak wiele, nie doczekawszy roku 2000?

A zarazem lektura grubego skryptu przysłanego z Polski, referatów i zapisów dyskusji na dwudniowym nieoficjalnym seminarium o twórczości Kundery. Tak wiele wiedzy o przebiegach XX wieku i tyle bystrych a młodych inteligencji - nie, czterdzieści lat temu to nie było możliwe. Przeczytałem także książkę o stosunkach polsko-litewskich w latach 1939-1940. Autor (Łossowski) pisze o litewskich nacjonalistach i polskich nacjonalistach na ówczesną modłę. Co mnie do twoich łąk, ziemio? Nazwiska, mnóstwo nazwisk, ludzi znanych a minionych. Biedny Juozas Keliuotis, redaktor „Naujoji Romuva”, później wieloletni więzień gułagu.

29 IX 1987

U Kundery w Nieznośnej lekkości bytu (książce słabszej, zgadzam się, niż Księga śmiechu i zapomnienia) wszystkich fascynuje przeciwstawienie Boga i ekskrementu. Ponieważ

63

"■i

człowiek wypróżnia się, Bóg jest niemożliwy. Trudno zrozumieć, czemu tak ma być, równie dobrego argumentu jak system trawienny dostarczy urządzenie organów płciowych i groteskowość aktu kopulacji. Powinniśmy być aniołami, szkoda, że nie jesteśmy. Ale poza tym rozumowaniem jest u Kundery coś innego: sama obsesja gorszą, wstydliwą stroną cielesności, w tej czy innej formie powracająca w literaturze XX wieku i przesądzająca o jej może ateistycznej, ale pokrewnej barokowi metafizyce. Tematy, dokoła których bez ustanku krążyłem w moich wierszach i tylko częściowo coś się udawało. I nawet przygotowywałem się całe życie do zaatakowania tego węzła wprost, traktatem, w wierszu czy w prozie.

Jesienne upały, uciążliwe, bo od samego rana, żadnej mgły. Jelenie od kilku tygodni nie zjawiają się. Heliotrop odrasta prawie dosłownie w oczach i wkrótce będzie znów Jswitnąć. Tańce kolibrów. Jak co roku w tym sezonie, finches, dokładniej - house finch spokrewniona z polską makolągwą.

Od dawna noszę w pamięci następujące porzekadło, zabawne, bo dowodzi, że tam u nas, daleko, nie brakło domorosłych filozofów:

Czy na Litwie Czy na Rusi kaki siusi każdy musi.

W zasięgu naszej wyobraźni była wtedy Litwa i Ruś, jak tam dalej, nie wiadomo, ale nasz obszar dostatecznie duży, żeby obserwacje tam zebrane stosować do całej ludzkości.

Dla mnie ten wierszyk kryje głęboką treść. Przede wszystkim „kaki siusi” są dziecinne i odsyłają do fazy ludzkiego życia, kiedy te funkcje są przyjęte jako najzupełniej naturalne, przedrefleksyjnie, i przez dzieci, i przez ich dorosłe otoczenie. Nie wstyd jest siedzieć na nocniku, nie wstyd jest siusiać na oczach wszystkich, a nawet zdolność

64

wypuszczania bystrego strumienia z własnej pompki może jednoczyć chłopców w pieśni bojowej, jak ta, którą śpiewał Toni i jego koledzy ze szkoły w Brie-Comte Robert:

Allons pisser sur le gazon Pour ennuyer les coccinelles, Allons pisser sur le gazon, Pour ennuyer les papillons!

Choć w tej pieśni jest trochę przekory, już w tle jest zakaz siusiania na trawniku. Kiedy zamiast niewinności wkracza świadomość? Polega ona na wyobrażeniu sobie ludzi, na których patrzymy, jako istot podwójnych.

30 IX 1987

Ludzie tworzą co dzień swoje społeczeństwo duchów. Mowa, zwyczaje, obrzędy, wymiana pieniędzy i dóbr, polityka, religia, sztuka i tak dalej - czyż nie dzieło duchów? Ale zarazem podejrzenie: tylko udają, że są duchami. Bez ustanku biorą udział w teatralnym spektaklu, ukazują się na scenie w przepisanych kostiumach (moda) i wykonując przepisane gesty. Co chwila jednak muszą latać do wygodki, żeby wypróżnić pęcherz albo robić kaku, co raz to gardło albo płuca, albo brzuch wypowiadają im posłuszeństwo z powodu choroby, organizmy starzeją się i zaraz ich już nie ma, inni aktorzy zajmują ich miejsce. Ani przebranie, ani wyuczone gesty nie mogą całkowicie przesłonić faktu, że np. ta oto eteryczna pani „ma tam gdzie i wszyscy” i że niestety, ach, śmierdzi. O smrodzie z powodu postępu w ilości łazienek częściowo się zapomina, ale smród jest nam przyrodzony i jeżeli Beatrycze pozostała dla Dantego duchem, to tylko dlatego, że był żonaty z inną osobą i nie z Beatrycze, ale z nią dokonywał aktów, które w paryskim argot nosiły różne wynalazcze nazwy, między innymi melanger ses urines. Zdawałoby się, że ta podwójność ducha i ciała jest czymś najbardziej oczywistym, ale, jeżeli się zastanowić,

65

pokazuje swoją tajemniczość, przesądza o wyjątkowym miejscu gatunku, znajduje się w centrum religii i sztuki. Podziałajia duszę i ciało był tylko jedną z wielu prób -nazwania"tejkohdycji, która wymyka się nazwom. Tutaj należą wszelkie traktaty o ars moriendi, a więc o pożegnaniu ciała i schronieniu się w duszę, tańce szkieletów, cmentarzyska białych kości zwiedzane kiedyś jako atrakcja miejskich spacerów w Paryżu, a zapewne i burdele na parterze teologicznych szkół Sorbony. Eros i Thanatos: ładne słowa, ale ich związek dowodzi po prostu, że oznaczały oba coś

przeraźliwie elementarnego, a więc narodziny i śmierć. Pozostaje pytanie, na ile można myśleć zupełnie nago, to znaczy odrzucając wszelkie wyobrażenia wyższe niż fizjologia. Trzeba by zapytać o to prostytutki, bo mają dużą wiedzę o komizmie i nędzy najprostszyc bodźców, ale nie dałoby to żadnego wyniku, bo są to na ogół istoty uwikłane w swoje ambicje i marzenia, i często sentymentalne. Simone Weil uważała ten zawód za równy niewolnictwu i tłumaczyła go wyłącznie nędzą, co miałoby zastosowanie do Londynu 1862 roku, tak jak opisywał go Dostojewski - hordy prostytutek, też nieletnich, kult Baala, na ołtarzu którego Anglia ówczesna składała swoje klasy niższe. Sądy Simone Weil, przesadne, trafiają jednak w sedno tam, gdzie mówi ona o marzeniach kompensacyjnych właściwych niewolnikom, tak że niewolnik jest oddzielony od rzeczywistości swoim ciągłym szukaniem złudnych pociech. Tak czy owak świadomość ciała buduje swoje fatamorgany i zejście na poziom zwierzęcy nie jest możliwe. Ani nie jest możliwe długie przebywanie w sferze ducha, a chęć zepsucia podniosłości, pokazania języka, należy do atrybutów literatury od dawna. Ulubiona moja scena w Tris-tramie Shandym Sterne'a: podczas dysputy teologicznej przy stole gorący kartofel wpada komuś do rozporoka.

Gdyby nie było w tle myślenia o cielesności, Eros nie byłby w ogóle obecny: wyobrazić sobie nie-człowieka, przybysza z innych planet, który ogląda beznamiętnie i naukowo kobiety mnie podniecające przez domyślne kształty ukryte pod suknią.

66

Od rana biała mgła, choć pewnie jeszcze daleko do sezonu deszczów. Wczoraj wizyta ogrodnika. Ponieważ Marek nie może teraz pracować, ogrodnik wykopie i przesadzi fedzaje, które trzeba będzie podlewać, zanim nie zaczną się deszcze.

1 X 1987

Wczoraj mgła opadła koło południa i znów gorąco. Pod wieczór jazda do San Jose na seminarium w stulecie urodzin Robinsona Jeffersa. Bagnista nudna równina, teraz już nie rolnicza, fabryki. Ogromny nowy kompleks zakładów samochodowych, japońsko-amerykański. Przed San Jose garb górski, prawie nierealny w zachodzącym słońcu, widmo różowego koloru. Zjechać w bok do Milpitas na sandwicza: mnóstwo ulic świeżo zabudowanych, całe dzielnice. Seminarium w San Jose State University. Nie bardzo orientuję się, że trafiłem do jaskini lwów, to znaczy w towarzystwo „badaczy owadziach nogów”, głównie profesorów anglistyki, którzy spożywają i trawiają Jeffersa, tudzież należycie go wielbią. Myślę, że moje przemówienie było bliższe duchowi Jeffersa, choć wymierzone przeciwko jego filozofii, bo wystrzegam się over--sophistication, czyli utoncznienia. Niestety, cały czas mam uczucie, że nikt nie rozumie, co chcę powiedzieć, czytam swój wiersz Do Robinsona Jeffersa, gdzie przeciwieństwo chyba jasno jest pokazane. Ale ja, który Jeffersa wielkości broniłem, kiedy nikt na uniwersytetach nim się nie zajmował, wychodzę tylko na wroga czy zawistnika. Ten występ nie przynosi mi ujmy, jest jedynie błędny taktycznie: co brałem za oczywiste, dla słuchaczy było abrakadab-rą. Ciekawe zresztą, że wzgardzony do niedawna Jeffers powraca teraz jako ten od Natury godnej budzić ekologiczne pasje. Na odczyt Staś z córką przyjechali z Los Gatos. Staś prosi mnie, żebym jeszcze nie umierał, bo z naszej klasy u Zygmunta Augusta tak niewielu zostało. Powrót do Berkeley około dwunastej w nocy.

67

i

Wracam do mego tematu cielesności. Nie jest ona bez związku z moim myśleniem o ludziach jako o dzieciach, które na chwilę wydorosłały, czyli jakby trochę spar-szywiały, podczas kiedy stan dzieciństwa jest dla nich naturalny, łącznie z jego głupotą, niewiedzą i niewinnym stosunkiem do czynności wydalania. Tudzież te wstydy, kiedy następuje odkrycie seksu, i nawet odkrycie, że przyjemność pochodzi z robienia źle, jak u panny Vinteuil u Prousta, która nie miałaby żadnej przyjemności, gdyby nie poczucie, że to grzeszne.

Zresztą seks bywa dwóch różnych rodzajów, górnego piętra i dolnego piętra, żeby tak rzec w braku lepszych określeń. Pierwszy rodzaj jest jakby pudique, skromny czy też ptasi, doświadczenie całościowe, poza myślą o szczególnym, fizycznym układzie organów. Drugi rodzaj polega na wspólnym lubującym się zstępowaniu w strefę obrzydliwą a ponętą.

Montaigne w Próbach, przekład Boya-Żeleńskiego: „A jeżeli zważymy teraz pocieszoną świerzbiączkę tej rozkoszy, nedorzeczne, mózgowcze i obłąkane ruchy, w jakich wstrząsa ona Zenonem, i Kratypem; ów niepohamowany szał, oblicze rozpalone wściekłością i okrucieństwem w samym najśłodszym uczynku miłości, a później tę surową, uroczystą i ekstatyczną powagę wśród czynności tak płoczej; jeżeli zważymy dalej wspólne pomieszczenie, jakie natura wyznaczyła naszej rozkoszy i naszym plugastwom; i to, że najwyższa rozkosz ma coś z ostrości i żałośliwości jakoby cierpienia: przyjdzie nam wziąć za prawdę, co powiada Platon, iż bogowie sporządzili człowieka jako zabawkę dla siebie, i że to na pośmiewisko najbardziej powszechną z naszych czynności natura uczyniła wraz najbardziej mętną, aby porównać nas tędy i ze-strychować, mądrych i głupich, nas i zwierzęta. Najbardziej roztropnego i myślącego człowieka, gdy sobie wyobrazę w tej roli, uważam cały jego rozsądek i kontemplację za zuchwałę szalbierstwo”. Zbigniew Uniłowski, którego krótko znałem w Warszawie (ale nigdy o nim nie pisałem), śpiewał piosenkę,

68

dotychczas przeze mnie pamiętaną, która mówi mniej więcej o tym samym.

Zauważyłem, że Amerykanie, z rzadkimi wyjątkami, mają ogromną trudność z uchwyceniem, na czym polega podwójność, fizjologiczno-duchowa, człowieka i dlatego niedostępny jest im pewien rodzaj humoru. Jak czytają np. Baudelaire'a, którego cała myśl krąży wokół przeciwstawienia świadomość-ciało, nie pojmują. Nie pojmują też, jak w kraju o podłożu protestanckim doszło do radosnego zaakceptowania wszystkiego co „naturalne”, np. seksu jako rodzaju gimnastyki. (Aldous Huxley w swoim Nowym wspaniałym świecie był dobrym obserwatorem dwudziestego wieku.)

3 X 1987

\*

W samolocie Oakland-Chicago-Detroit. Wczesnie rano, ale senność i słabość powoli mijającej choroby Uniłowski prowadzi do rozważań o międzywojennym Dwudziestym. Mówiono o nim, że jedynym realistycznym prozaikiem, jak się wtedy objawił. Teraz cały ten fenomen ukazuje się jako zdumiewająco krótka pauza. Ale dla gospodarstwa literatury płodna. Pomyśleć, ile się nadziało. O Uniłowskim nieraz medytowałem, zapytując, dlaczego wśród nas w Wilnie nie było ani jednego prozaika, bo przecież nie liczył się Putrament. Sądzę, że przyczyny były podobne do tych, które spowodowały słabość dziewiętnastowiecznej polskiej powieści. Jednak, żeby do nich dotrzeć, trzeba byłoby sięgnąć bardzo głęboko w siebie, do pokładów ledwie dostępnych. Zdaje mi się, że dzieciństwo i młodość w Wilnie musiały być doświadczeniem nie lada nihilistycznym. Byłem indoktrynowany patriotycznie - szkoła, „panie z POW”, defilady, Polska Macierz Szkolna, Biblioteka im. Tomasza Zana, cała wileńska polskość „miłego miasta”, wrogość wobec tych, którzy jej zagrażają, a więc bolszewików, litewskich „klausiuków”, Żydów, bo witali bolszewików i zawieszają 1 maja czerwone sztandary na

69

I

telegraficznych drutach. Me zaraz podejrzenie, że to nie całkiem tak, że istnieje inna racja niż polska, że „nasi” to mogą być Litwini, Żydzi, że mogą patrzeć na Polaków jako obcych. Tylko że przynależność danego człowieka do językowej czy plemiennej grupy zawsze była na pierwszym miejscu. Ogarnąć świadomością równocześnie polską arogancję, polski antysemityzm, litewski fanatyzm, który doprowadził podczas II wojny do bicia wiernych w kościołach za śpiewy po polsku, prorosyjskie ciągoty Żydów - znaczyło chyba zwątpić o zasadności więzi grupowych w ogóle. Coś jak kiedyś teraz usłyszę o bójkach Flamanów z Walończykami o język nabożeństw: a niech ich diabli, jednych i drugich. Niemniej człowiek poza swoją grupą nie istniał, nie był dostępny. I nie wchodził w stosunki z bliźnim bezpośrednio, tylko za pośrednictwem swego udziału w grupie. Proza opisowa wymaga zastanawiania się nad indywidualnością, a indywidualność było Wilno miało egzaltacje patriotyczne, a w dodatku jeszcze jedną zasadę stratyfikacji - podziały klasowe. Wśród żagarystów nie było nikogo plebejskiego pochodzenia. Sama szlachta, średnia albo drobna. Henryk Dembiński był synem maszynisty, ale to mezalians matki szlachcianki zresztą nazwisko też szlacheckie. Jeden Jędrzychowski po matce z niemieckich mieszczan. Pańska Polska -

pewnie i że pańska. Obserwować i pisać prozę o tamtym Wilnie? Chyba mając ten stopień świadomości co mój dzisiaj, ale i on niedostateczny. Jakiej odwagi trzeba byłoby, żeby zrobić z tamtego miasta to, co Joyce zrobił z Dublinem!

Uniłowski miał przynajmniej swoje dzieciństwo na proletariackim Powiślu, pisał o poszczególnych ludziach, korzystając z krótkotrwałego uwolnienia od patriotycznego patosu, może jakoś przez te ludowe źródła pokrewny Białoszewskiemu.

70

4 X 1987

Ann Arbor, Campus Inn. Wczoraj na lotnisku spotkała mnie Marysia, wieczorem piliśmy i rozmawialiśmy z księdzem Tischnerem i Krzysztofem Michalskim, następnie kolacja w gronie osób mówiących po polsku, między innymi ze Zbigniewem Brzezińskim.

"—Zafascynowanie podwójnością~uch-ciało, czyli metafizyczna strona poezji dwudziestego wieku. To drażnienie, te jej gorzkie żale są w niej najciekawsze, przez to wybiega naprzód poza teologię i filozofię, które straciły dar dotyku do rzeczy ostatecznych. Do tego kręgu w poezji należy refleksja nad czasem, nad tajemnicą czasu, największą, według Simone Weil. I chyba należy wszystko, co upodabnia poezję do poszukiwań przedsokratycznych, „naiwnych”.

Nie jestem pewien, czy zaliczyć tu można Robinsona Jeffersa, choć chciał być poetą-filozofem. Jego system, inhumanizm, czyli daleko posunięty naturalizm (Darwin plus Nietzsche) nie jest trudno poddać krytyce, ale nie o to chodzi. Założona jest u Jeffersa małość wszelkich spraw ludzkich w zestawieniu z ogromem i doskonałością wszechświata: trzy miliony lat życia na Ziemi, co to w ogóle znaczy! Wszechświat równa się Bóg, wspaniały, obojętny na nasze małe dobro i zło. Piękno jest metaforą nienazwanej jego energii. Tak jak pył w świetle niesiony wiatrem pozwala zobaczyć siłę wiatru. Czy jednak Jeffers stoi wobec Natury czy wobec teorii Natury? Przejął się nauką i ogląda Ziemię tudzież galaktyki oczami naukowca. Tak jak autorzy filmów telewizyjnych o przyrodzie. To znaczy, jak naukowcy umieszcza siebie na zewnątrz albo z boku wszechświata. Stąd chyba u niego nadmiar makro-wymiaru i niedostatek mikro-wymiaru, a także nieuprawnione uogólnienia zamiast ziarnistej tkaniny ludzko-historycznej. Czego przykładem są jego najgorsze, polityczne wiersze przeciwko udziałowi Ameryki w II wojnie światowej, gdzie Roosevelt i Hitler są potępieni razem - ale w towarzystwie innych „uwodzicieli”: Chrystusa, Joanny D'Arc, Napoleo-

71

i

na, Marksa. Czytałem kiedyś wiersz amerykańskiego poety, później nie mogłem znaleźć ani tytułu, ani nazwiska autora, i ten wiersz przeciwstawiłbym filozofii Jeffersa, bo ma w sobie czułość dla naszej ludzkiej kondycji i spotkanie „naiwne” rzeczy oczywistych. Opowiada o ubogim pokoju hotelowym bez łazienki, tylko z umywalką. Dwoje, on i dziewczyna. Kochają się, zasypiają, w nocy on budzi się i widzi, jak ona, cicho, żeby go nie obudzić, siusia do umywalki. I to wszystko. A u Jeffersa: „Zniszczenie, które przynosi orła, z nieba, jest lepsze niż litość”. Normalnym naszym odruchem jest powiedzieć: nieprawda, litość jest lepsza niż zniszczenie, choćby wspaniałe. Jeżeli w ten sposób składamy dowód naszych upodobań demagogicznych i sentymentalnych, to trudno. Tylko ludzie. Mali. Owadki.

5 X 1987

Ann Arbor. Campus Inn. Jesień pogodna, drzewa bardziej zielone niż w Berkeley. Nie jestem zadowolony z mojego wczorajszego odczytu na tym seminarium 3-dniowym, Contemporary Religious Movements in Central Europe. Jeżeli nie napiszę tekstu, tylko podyktuję jak ten, zawsze będzie gorszy. A pisać mi się nie chciało, zresztą byłem chory. Poza tym kwestia nacjonalizmu nie obchodzi mnie naprawdę, pozostaje - zwłaszcza jego historia - czymś szkolarskim, wykoncypowanym. Zawsze to będą tak zwane konstrukcje. Czy zaczyna się „naród” od Oświecenia, od Rewolucji Francuskiej, od Romantyzmu? Mniejsza z tym. Moje osobiste: spożycie pisarza przez naród, tylko to było w tym odczycie istotne.

7 X 1987

W samolocie Detroit-Oakland, ze zmianą samolotu w Denver, zdałem sobie sprawę ze swego

zmęczenia

72

i ciągle jeszcze choroby. W Berkeley dowiaduję się, że ominęła mnie fala upałów, 102 stopnie, rekord od lat, trwająca akurat dwa dni mojej nieobecności. Zastałem fedzoje przesadzone, zamiast nich posadzone krzaki leptospermium. Przesadzona bougainvillea zaczyna kwitnąć. Kładę się na sofie i ani ręką, ani nogą. Za duży był to dla mnie wysiłek, ta podróż.

Jeżeli wyobrazimy sobie pracę mniejszych diabłów zebranych przy łożu konającego, jak to opisuję w Dolinie Issy, albo w ogóle ich pracę przy zmniejszonej witalności delikwenta, jak to u mnie w ostatnich tygodniach, to polega ona na odsłonięciu zła jego duszy. Tak, żeby zgodził się na swój demonizm, od którego nie ma ratunku. Definicja demonizmu: przyznać się przed sobą do uczuć albo braku uczuć, jakie się ma naprawdę wobec osoby X. albo Y., nie takich, jakie powinniśmy mieć, żeby utrzymać swój obraz człowieka moralnego i dobrego, ale takich, które nas przerażają, tak wydają się potworne. Wtedy wszelkie nasze dobre odruchy są podejrzwane o teatralność na użytek samolubstwa i nie ma dla nas zbawienia, bo hak Nieba, żeby się tak wyrazić, nie ma o co w nas się zaczepić, żeby nas porwać w górę.

Zebrałem w życiu dużo przeżyć obowiązku spełnianego z zaciśniętymi zębami. I zwłaszcza wobec choroby. Co może pozwalałoby mi na napisanie traktatu o pielęgniarstwie. Wśród wielości ich usposobień i temperamentów jest na pewno miejsce na współczucie i miłość bliźniego. Ale założmy stany, w których nie występuje ani agape, ani storge. Pozostaje obowiązek tudzież odraza, być może gniew, litość, ale nie współczucie.

Na przykład pielęgniarstwa, które zajmowały się Arturem w tym przerażającym domu dla starców i nieuleczalnych w Oakland. Dużo pisano o piekłach dwudziestego wieku założonych przez ludzi, żeby mogli ludzi dręczyć. Ale przecież tutaj, obok, co dzień działają te „schroniska” o ładnie brzmiących nazwach, drogie, jednak rodziny wolą płacić, byle pozbyć się matek, ojców, żon, pokrewnych, bezwładnych, niepotrzebnych, a ciągle jeszcze żywych.

73

Albo oddają swoich, jak Rózia oddała Artura, bo żeby podnosić paralytyka, trzeba dwóch albo trzech osób. Moje wizyty w tym piekle połamanych lalek, niezawinionym, nikt nie jest odpowiedzialny poza bezlitosnym urządzeniem świata. Przynajmniej nie oddałem Janki na tę poniewierkę świadomości, bo przecież pensjonariusze zakładu patrzą na podobnych sobie i muszą wiedzieć, że taki jest kres. Choć czy na pewno? Uczestniczka mego seminarium w Harvardzie opowiadała o swoich zajęciach z nieuleczalnie chorymi w szpitalu, gdzie odbywała praktykę jako studentka teologii (obecność przy umierających). Większość z nich, wbrew oczywistości, wierzyła w polepszenie, w powrót do domu i tak dalej - tak że studentka, litując się, miała za złe Simone Weil jej bezwzględność surowość wobec snującej złudne pociechy wyobraźni (niewolnicy, chorzy). Wbrew temu jednak, Artur był świadomy, że to koniec, i przez parę miesięcy z jego ust wydobywał się ryk protestu, który słyszałem przez kilka sal zbliżając się do jego sali. Odwiedzać chorego przyjaciela jest obowiązkiem, czy jednak nie chciałem wyjść jak najprędzej, zostawić za sobą tę otchłań, tę udrękę? A pielęgniarstwa? Czy widok poniżonego ludzkiego ciała, czy gorzej, ducha (bo ukazuje się sprowadzony do najprostszyc egoistycznych odruchów) nie działa tak znieczulająco, że zostaje jedynie obojętność i cynizm?

9 X 1987

Mógłbym napisać traktat o prowizorium. Co dzień pojawiają się tematy, ale nie chce mi się rozwijać ich w eseje, jak dawniej.

W Warszawie na początku okupacji niemieckiej założono kawiarnię naprzeciwko Dworca Głównego, którą nazwano „Tymczasowa”. Ktokolwiek ją mijał, uśmiechał się: Niemcy są tutaj tymczasowo. Przetrwała jednak pięć lat. Ale chcę sięgnąć dalej niż te oczywistości. Przyjmuje się dany okres własnego życia, warunki, ludzi nas otaczających, jako prowizorium, ponieważ zakłada się, że gdzieś

74

jest życie prawdziwe, którego to terażniejsze jest namiastką. Robię rachunek sumienia i widzę jedną po drugiej fazy, wtedy uważane przeze mnie za przejściowe, a które nabrały konsystencji we

wspomnieniu. Rzekłbym, że można by było ułożyć sposoby przeżywania czasu hierarchicznie. Na samym dole byłyby stany nieomal chorobowe, kiedy rzeczywistość jawi się jako bezbarwna, pusta, wydrążona, powodująca uczucie zbliżone do mdłości. Wyżej byłyby różne odmiany niezgody na to, co jest, w imię jakiejś zmiany, która wszystko rozwiąże. Znałem takie stany w Wilnie, gdzie rozwiązanie miało być osobiste, znałem w Warszawie wojennej, gdzie czekało się na koniec wojny, znałem później we Francji, w Ameryce. Zawsze teraz zostaje obezwładnione, obezwartościowane, pełnego waloru nabiera tylko jakiś wymarzony przełom. Ponieważ jednak żyjemy wśród ludzi, obrastamy w przyjaciół tymczasowych, tymczasowe kobiety, a nie można wykluczyć, że tych innych, nie tych przyjętych od niechcienia, wcale nie będzie. Czy możliwe byłoby uważne przeżywanie każdej minuty? Bez ucieczki do przodu, z pełnym zatrzymaniem się w teraz?

i

10 X 1987

Pod wpływem męczącego kaszlu i trudności z oddychaniem pomyślałem, że moja wdzięczność Panu Bogu była uzasadniona. Żeby napisać tyle książek, trzeba przede wszystkim zdrowia. Nieprawdopodobna suma sprężonej energii zawiera się w jednej stronie dobrej prozy, w jednej linii wiersza, co można by mierzyć ilością wypalonych papierosów. Skończyłem,?; palfinifm (ki?dxLZTJj-tnaŚf;if'lat\* temu), ale wypaliłem ich już nieskończone tysiące, może będę za tó~płaćł? ~ ~ ~

-Wrosną 1936 roku „Teraz” dla mnie jednak istniało, czego wiersz Powolna rzeka jest dowodem. Zaczyna się przecież od słów ekstazy: „Tak pięknej wiosny, jak ta, już od dawna / Nie było”.

75

if

Moja uwaga skierowana była jednak na szczegól zmysłowy, natomiast Wilno ówczesnych ludzi było nie gęstsze od mgły. Rozluźniły się moje związki zarówno z żagarys-tami, jak i z grupą Dembińskiego, wydającą pisma „Po prostu” i „Karta” (choć to ja, uczestnicząc w jakimś ich zebraniu, wynalazłem ten tytuł). Zupełnie jakbym żył na innej planecie. Nie pamiętam ani jednej poważniejszej rozmowy z Dorkiem Bujnickim, wtedy sekretarzem Instytutu Badań Europy Wschodniej. Owszem, pamiętam, jak pracowaliśmy nad jakimś radiowym słuchowiskiem, razem z trzecim, spikerem wileńskiej rozgłośni Polskiego Radia, Wiktorem Trościanką - zachowała się nawet fotografia nas trzech przy tej pracy. Trościanko był endekiem, do jakiego stopnia - miało okazać się później, podobnie jak miało okazać się, że chce być pisarzem: płodził później grafomańskie powieści. Po wojnie należał do zespołu Wolnej Europy w Monachium i on to ścigał zaciekle swoich wileńskich kolegów, tańcząc na grobie zdrajcy Bujnickiego, puszczać oszczerce plotki o mnie i o Józefie Mackiewicz, w imię patriotyzmu, oczywiście.

Głównie tedy Radio i przyjaźń z Tadeuszem i Ireną Byrskimi. Pewnie traktowana przeze mnie jako prowizorium, a przetrwała dziesiątki lat. Była mnie ofiarowana: Byrski wciągnął mnie do Radia, co dzień spędzaliśmy razem sporo godzin i mieliśmy podobne poglądy - w sztuce, w polityce. Byrski wyszedł z Reduty Osterwy. Wysoko cenił (jak Osterwa) misterium Oskara Miłosza Miguel Manara. I, jeden z dających się policzyć na palcach czytelników moich wierszy, uważał mnie za wybitnego poetę. Potrzebowałem takiego. I całkiem możliwe, że ta potrzeba cmokaczy zbliżała mnie do niektórych ludzi. Choć zależy jacy cmokacze. Oboje Byrskich podziwiałem. Byli dla mnie moralnym wzorem i pozostali do dzisiaj.

Wtedy, w 1936 roku, bardzo chciałem być zdolny do miłości i przyjaźni, ale wątpiłem, czy zdolny jestem, a nawet rozpacziałem z tego powodu. Dzisiaj nie mam ochoty zapuszczać się w psychologiczne przyczyny, przyjmuję pewien chłód czy oderwanie jako rodzaj choroby

76

zawodowej. Co ściśle łączy się z uczuciem prowizorium, być może po prostu życia jako prowizorium - bo to inne, prawdziwe, jest gdzie indziej. Nie mam na myśli wiary religijnej, jest to znacznie bardziej elementarne i może skłaniać do wiary religijnej albo nie. A może jest tak, że to „gdzie indziej” odnajduje się w wierszu, w obrazie, w muzyce? Tutaj, w życiu, zostaje jakby bierność, poddanie się takiemu obcowaniu z innymi, jakie los nadarzy, zamiast ich szukać, czy nawet, co przykre, roztargniona nieobecność:



Czułe zwierzęta wiernie, ludzie krótkotrwali szarpią na próżno ręce skrzepłe w zachwyceniu. Do tych rozważań dał asumpt Artur. Jego prochy są złożone o kilkanaście metrów od prochów Janki, na tym górzystym cmentarzu w Berkeley, dokąd jeżdżę, żeby składać na jej grobie kwiaty, zwykle nieśmiertelniki. Stamtąd jeden z najwspanialszych widoków na zatokę w dole, na wyspy, mosty, drapacze San Francisco, aż po ocean. Przyjaźń z Arturem była jak najbardziej prowizoryczna i trwała dwadzieścia kilka lat. Najpierw Artur odwiedził nas w Montgeron, później zastaliśmy Artura i Rózię w Berkeley, kiedy przyjechaliśmy tutaj w 1960 roku i mogliśmy zbliżyć się z nimi bardziej niż z Amerykanami czy Polakami nie-Żydami. Artur pochodził z Bielska, był człowiekiem kultury niemieckiej - gimnazjum niemieckie w Bielsku i ekonomia na Uniwersytecie Berlińskim, Rózia urodziła się w Czańcu, wiosce pod Żywcem. Między sobą mówili po niemiecku, ale z nami po polsku. Ameryka, Polska, antysemityzm, judaizm, chrześcijaństwo, socjalizm, Tomasz Mann i inni Mannowie, kolonia niemiecka w Berkeley były przedmiotami naszych rozmów.

11 X 1987

Wczoraj oglądałem w piśmie „Chrysalis”, portret młodego Swedenborga z okolic roku 1700, kiedy był studen-

77

i

tern w Uppsali. Jedna ze śliczniej szych twarzy ówczesnej, co prawda skłonnej do upiększania, sztuki portrecistów. Twarz zmysłowo-figlarnie-duchowa, że chciałoby się określić: *sensuel et spirituel*. Myślę o jego protektorze, Karolu XII i bitwie pod Połtawą.

Przykreść: dzisiejszy (niedziela) „The New York Times Book Review” przynosi rozdział książki *Conversations with Miłosz*, oczywiście bez zmian, o które prosiłem, ale, co gorsza, pod zmienionym tytułem. Zamiast *The Image of the Poet* idiotyczne *Separate Nations: Poetry and the People*. Czyli jeszcze raz przekręcenie moich wypowiedzi. Nigdy nie głosiłem, że poezja i lud to dwa różne narody.

Więc Artur. Trudno było się z nim porozumieć, bo, pełen zapalczywych gniewów i urazów, wybuchał, tak że nie chcąc zerwania, należało się miarkować. Nienawidził judaizmu z powodu swego dzieciństwa w chederze, zarazem był Żydem absolutnym, naprawdę tylko Żydzi go obchodzili i każda rozmowa na nich schodziła. Nienawidził chrześcijaństwa, a zwłaszcza znakomicie wykształconego w Piśmie Żyda, który chrześcijaństwo zbudował, św. Pawła. Zarazem znał Ewangelię dobrze, prawie na pamięć. Nienawidził socjalizmu, który był wiarą jego młodości, ale nadal kierował się emocjami i odruchami buntownika przeciwko ustalonemu porządkowi, co ujawniło się szczególnie podczas *Free Speech Movement* i całej berkeleyjskiej „rewolucji” lat sześćdziesiątych. Być może dla tej młodzieży miałem więcej sympatii niż Aleksander Wat, wtedy, w początkach ruchu, w Berkeley obecny. Jemu te fanatyczne dziewczyny (a wódem była Bettina Aptheker, córka nowojorskiego dygnitarza Partii Komunistycznej) przypominały te, które w Warszawie lat dwudziestych zbierały na MOPR i mówił o nich „Chajka iz Odesska Czerezwyczaj-ka”. Artur natomiast dawał upust swojej nienawiści do władzy. Raz, dosłownie, pluł na policjantów, ku mojemu zgorszeniu, bo co oni winni. Nota bene Artur znał Wata, ale odnosił się do niego wrogo, jako odstępcy od żydostwa, bo Żydowi wolno być ateistą, ale flirty z chrześcijaństwem to już źle.

78

Czyli że Artur był trudnym człowiekiem, trudnym zresztą też dla kochającej go Rózi. Z jej, w znacznym stopniu, powodu gryzłem się w język, nie chcąc go wpędzić w jeden z jego szarów, szkodliwych dla zdrowia. Rózia zresztą była cieplejsza, bardziej polska niż niemiecka, w swojej polskości obolała, bo jej dzieciństwo w Czańcu, w jedynej żydowskiej tam rodzinie, pozostawiło pamięć codziennych tam prześladowań i wyłączeń z wioskowej wspólnoty, przez co Polką zabroniono jej zostać. Mój i Janki takt w obcowaniu z Arturem bardzo się opłacił. Odbiliśmy z nimi sporo wędrowek samochodem po Kalifornii, a także, choć Artur uważał mnie za nieźle wtajemniczonego w sprawy żydowskie, dużo się od niego nauczyłem, szczególnie o Jakubie Franku, i frankistach, bo ich dzieje studiował, dużo wiedział, nawet napisał o nich książkę. Artur i Rózia byli przyjaciółmi wiernymi, na których można liczyć w potrzebie. Co prawda i ja

okazałem niejaka wierność, próbując kiedyś wydobyć Artura z przygnębienia przy pomocy zadania powierzonego mu przez niemieckiego wydawcę: chodziło o przekład mojej Historii literatury polskiej. Było to częściowo wbrew moim interesom, bo co do jego stylistycznych nawyków miałem pewne wątpliwości. Tutaj wkraczam w dziedzinę niebezpiecznych pytań: jak mamy zachowywać się wobec przyjaciół, którzy zajmują się tym samym co my - pisaniem, malarstwem, medycyną etc, ale których nie zaliczamy do pierwszorzędnych w ich zawodzie? Artur w młodości był dziennikarzem, później profesorem. W Ameryce próbował wydać parę książek, dostając na ogół negatywne odpowiedzi od wydawców, niestety, jak wiedziałem, uzasadnione. Wygląda na to, że pewność własnego sądu jest konieczna tam, gdzie obowiązuje ścisła hierarchia dokonań, ale ta pewność graniczy z pychą i arogancją, pospolitymi zwłaszcza u literatów i artystów. Czy jednak, szczerze mówiąc, nie uważałem się, potencjalnie chociażby, za lepszego od moich wileńskich kolegów, Bujnickiego i Zagórskiego? A od Józefa Czechowicza? Od niego nie. Natomiast żadnego współzawodnictwa z Byrskim, skoro ambicji literackich nie

79

Ł

miał. Poza tym oboje, Tadeusza i Irenę, szanowałem jako reżyserów teatralnych.

12 X 1987

Mimo słabości i kaszlu zabrałem się do czytania listów Kota Jeleńskiego do mnie i przeczytałem w ciągu wieczoru cały ich plik. Razem pasjonująca książka. Kot ukazuje się jako bardziej jednolity w swoich upodobaniach i sądach, niż można byłoby przypuszczać. Konsekwentny, prawy, wierny, mądry. Uświadomiłem sobie, jak wiele miejsca zajął w moim życiu i jak bardzo na moją wdzięczność zasłużył. Przez całe lata miałem jednego tylko czytelnika, jego. Moja proza znajdowała czytelników polskich i niepolskich, ale jako poeta byłem przyjmowany na wiarę nawet przez tych, którzy uznawali mój talent. Na przykład od Zygmunta Hertza nie oczekiwałem opinii o wierszach, bo na nich się nie znał. Za najlepszą moją książkę uważał Dolinę Issy i doradzał: „Czesław, pisz dla ludzi”. Już wiersze były nie bardzo dla ludzi, nie mówiąc o esejach. W mojej emigracyjnej izolacji były miesiące, kiedy zastanawiałem się, czy nie warto pisać do siebie listów, żeby coś znajdować w skrzynce. Jedyne potwierdzenie wartości tego, co robię, znajdowałem w listach Jeleńskiego. Jeden czytelnik - ale jaki - to już chyba dosyć. To prawda, Litwin, nieufny, odbierając jego pochwały, odliczałem coś na jego dobroć, bo wiedział o mojej samotności i mógł chcieć pocieszyć. Poza tym niektóre umysłowe jego konstrukcje wydawały mi się zbyt paryskie, na przykład kiedy mówił o moim a-humanizmie (ja jako a-humanista, który próbuje być humanistą, Gombrowicz jako humanista, który próbuje być a-humanistą), czyli tłumaczyłem je niebywałą wrażliwością jego anten na zmienne prądy. Teraz jednak, czytając te listy, jestem innego zdania. W ocenach był swój własny, szczerzy, nie cofał się przed krytyką, a zarazem zdolność do zachwyty miał niezwykłą. I to nas łączy: utrwalona chwila zachwyty. Aż tak, że

80

moim wierszom przypisywał zdolność odradzania tkanki pamięci o własnym dzieciństwie, która uległa, z powodów jemu znanych, atrofii.

13 X 1987

Wczoraj, na zaproszenie Leonarda Nathana, wziąłem udział w seminarium Wydziału Retoryki o twórczości Czesława Miłosza, które prowadzi razem z Arturem Quin-nem. Inteligentni studenci, udana dyskusja, ani obejrzelismy się, jak upłynęły dwie godziny, bez przerwy na kawę. Wydział Retoryki, czyli seminarium oparte wyłącznie na tekstach w przekładzie. Może za dwadzieścia lat zrobi takie seminarium Wydział Języków i Literatur Słowiańskich.

Z listów Kota wylania się obraz Paryża z kręgu „Kultury” i Editions du Dialogue. Przyszli historycy i poloniści będą nurzać się w tych materiałach. Najintensywniejszy okres umieściłbym między 1960 a 1980, a główne postacie wtedy to Jerzy Giedroyc, Zygmunt Hertz, Zofia Hertz, ksiądz Józef Sadzik, Jaś Lebenstein, Olga Scherer, Danuta Szumska, później Ola Watowa. Korespondencja Kota, Zygmunta, Sadzika, zestawiona z numerami „Kultury”, „Preuves”, itd. pozwoli na odtworzenie ówczesnych temperatur. Lepiej jednak odczekać czas dłuższy z ogłaszaniem listów Kota do mnie, bo za dużo w nich uwag drastycznych.

Lata mojej nieobecności w Paryżu, a jednak obecności. Wygląda na to, że o ile w latach pięćdziesiątych tkwiłem jeszcze silnie w „środowisku” Warszawy czy Krakowa, to następnie coraz bardziej zadomawiałem się w tym Paryżu, między rue Surcouf czyli Editions du Dialogue, rue des Ecoiffes czyli pracownią Jasia Lebensteina, Maisons--Laffitte czyli „Kulturą”, korespondując, przyjeżdżając przynajmniej raz w roku. Myślę, że działające wtedy postacie miały o wiele mniej poczucia prowizorium niż ja (nawet zaraz po wojnie, kiedy los zachodniej Europy wydawał się niepewny, a gdyby wierzyć ówczesnym opi-

81

I

niom Hostowca, wręcz przesądzony). Uczestniczyłem jakoś w krzepnięciu prowizorium i prowizorycznie dani przyjaciele zmieniali się w trwałe. Taki był Zygmunt, którego zastałem na avenue Corneille, szukając w 1951 roku schronienia w Maisons-Laffitte. Zygmunt nie był z intelektualistów i punktów styczności mieliśmy niewiele. Zostałem powoli zagarnięty przez jego dobroć, jego ciepło, jego przywiązanie i wspólny nam gatunek humoru. Nie od razu też ustaliła się przyjaźń z Kotem. Długo byliśmy ze sobą na „pan”. Może najbliższe od początku, od pierwszego wejrzenia, było spotkanie z Józefem Sadzikim. Mogła tu działać świadomość, że mam przed sobą zupełnie wyjątkowego księdza. Teoria „krystalizacji” Stendhala Stosuje się nie tylko do miłości, także do przyjaźni.

Erotyczne tło w męskich przyjaźniach istnieje, choć byłoby śmiesznością zaraz mówić o homoerotyzmie. Jest to fizyczna radość, radość oczu na widok przyjaciela, taka sama jak na widok kobiety, którą kochamy, rodzaj aprobaty bytu. Jak mój wiersz Esse o siedzącej naprzeciwko mnie dziewczynie w metrze, przedmiocie mojej miłości przez parę minut.

Czytając listy Kota uświadomiłem sobie, że to dzięki niemu właśnie zostałem sprzęgnięty z Gombrowiczem, że I my trzej zostaliśmy sprzęgnięci. Jak również, że chcąc czy I nie chcąc, sam też reprezentuję ostatnią literaturę wiejskiego dworu. Nie prostolinijnie, jak u Orzeszkowej, Rodziewiczówny, Weysenhoffa albo w piśmiennictwie pamiętnikarskim, raczej dość pokrętnie, niemniej zastanawiające, że dwór utrwała się nie przez najbardziej ku temu powołanych, czyli względnie zdrowych, mocno osiadłych w ich staroświeckich lojalnościach. Jeleński doskonale rozumiał podstawową niezdolność do życia u Gombrowicza, jego oddzielenie od rzeczywistości jakby szklaną szybą i zastępcze budowanie siebie poprzez dzieło, w którym dwór opisuje obcy, kaleka. Zdaniem Kota ja natomiast byłem samą witalnością i pasją, a więc wręcz odwrotnie, według mnie jednak byłem jeszcze bardziej pokręcony niż Gombrowicz, czy też tak mi się tylko zdawało. I niepoślednie

82

miejsce zajmował w tym mój wstyd pochodzenia, wstyd klasowy. A sam Kot, niby panicz z dworu, ale jaki tam polski panicz. Włoch po ojcu, wynalazca niezwyklej formuły - i pełnej polskości, i pełnego kosmopolityzmu, trzeźwo oceniający polskość, a przecież jej zawsze wierny, podwójny we wszystkim, bo i kobiety, i chłopcy, a zarazem jednolity - gdzież mu do postaci z pocziwej szlacheckiej powieści. Choć można wysunąć argument, że zawsze, kiedy bliżej się przyjrzeć, „normalność” okazuje się całkiem krzywa, tak jak szukając choinki na Boże Narodzenie przekonujemy się, że nie ma drzewek idealnych.

I

14 X 1987

W nowym numerze „Kultury” przeczytałem Kisielewskiego pożegnanie z Zygmuntem Mycielskim. Jeden z najlepszych jego tekstów, cudowna zwięzłość i zadyszane bogactwo szczegółów biografii przyjaciela. Mycielski, maj, przyjaciel też, ale daleki, tak jak mówi się „daleki kuzyn”.

Ch~óć"" więcej niż tylko kolega Pierwszy raz usłyszałem ońTm w jesieni bodaj 1934 roku, kiedy mieszkałem w domu stypendystów na Lamandzie, czyli rue Lamande, i znalazłem się w sali koncertowej, gdzie odbyło się prawykonanie jednej czy dwóch pieśni Mycielskiego, wtedy ucznia Nadii Boulanger. DotycTlc^aT^plmuętam: ^Tań-cowała izba, stół / Cztery konie, piąty wół" - to ze Słowa o Jakubie Szeli Brunona Jasińskiego. Żeby galicyjski hrabia akurat to wybrał... Później wiele godzin przegadaliśmy w Wilnie zimą 1935/1936. Następnie spotkania, głównie w Paryżu, i

korrespondencja, wreszcie moje odwiedziny w Oj aj i w Kalifornii, dokąd przyjeżdżał na wakacje, żeby lam komponować. Dom należał do bogatych starych Francuzek, jedna z nich była kiedyś w Paryżu jego przyjaciółką, stąd czuła nad nim opiekę.

Człowiek niezwykle, wspaniały przez swoje oderwanie, której to cechy nie spotkałem w tym stopniu u nikogo. Unosił się jakby obok siebie, przyglądając się pobłaż-

83

liwie swoim przypadkom, tak jak pobłażliwie przyglądał się innym ludziom, historii swego stulecia, wojnie, zwykle pesymistyczny, co jednak nie przeszkadzało mu działać.

14 X cont.

Stoicyzm zalecał kiedyś zaangażowanie w sprawy ludzi, ale tak jakby się nie było zaangażowanym, czyli przyjętą z góry zgodę na niepomysłne wyroki losu. W Zygmuncie nie było nic ze stoika, chyba dlatego, że chłód czy kamiennosc, które zwykle kojarzymy ze stoicyzmem, były mu obce. Wyobrażam sobie, że podobnych mędrców można szukać chyba tylko wśród mistrzów buddyzmu Zen. Umiał być tutaj, przede mną, a równocześnie przebywał w innej krainie, skąd własne „ja” wydawało się maleńkie, jakby widziane przez odwrócony teleskop. Kiedy, choć z rzadka, opowiadał o swoim udziale w wojnie, można było wierzyć, że i wtedy, tak jak w jego opowieści, odczuwał to, co się z nim działo, jako komiczne. Gay, stale nękany „bodźcem ciała”, w swojej erotycznej pogoni zachowywał, myślę, tę samą ubawioną nadrzędność umysłu. Odgadywałem w nim przeżycie metafizyczne, które przeniosło go w górę, niemal w wymiar świętości. Kto wie, czy nie naprowadza na ten ślad jego ostatnia kompozycja Liturgia Sacra]

15 X 1987

I Tak więc prawie już miesiąc mam bronchit, astmę czy I coś w tym rodzaju i mało korzystam ze słonecznych pogód. O takich dzieci francuskie, kiedy mieszkaliśmy w Mont-geron, mówiły:

„p.p.h.” - „ne passera pas l'hiver”\*

W Mycielskim nie było nic z pychy, zarozumialstwa, nic też ze snobizmu. Był arystokratą, ale prawdziwym, to znaczy zachowywał się jak najnaturalniej. Podobnie jak

\* Nie przeżyje zimy.

84

Jeleński, przełamywał niezbyt dobry wzór wyższych klas w Polsce, „puszających się na wartość”. Jeszcze jeden szlachcic, z Sołgudyszek na Żmudzi, przychodzi mi na myśl: Witkacy. Mycielski mógłby być postacią z jego powieści albo sztuk, bo wszelkie miał po temu dane: hrabia, ale „zdegenerowany”, kompozytor, ped, zupełnie Putrycydes Tenger. Tylko że Witkacy by go zdemonizował, odebrałby mu jego skromność, styl zachowania się niedbały, od niechcenia. Poza tym jego postaciom brakło oderwania od swego „ja”, ich metafizyczne poczucie dziwności istnienia nie wyzwalało ich, przeciwnie, potęgowało ich ego i przez to zamykało w więzieniu izolowanej monady.

Moje pokolenie już nie zakosztowało zakopiańskich orgii, które przypadły na lata dwudzieste i sam początek trzydziestych. Witkacy, Karol Szymanowski i jego Harnasie, Iwaszkiewicz, Rytard, Chwistek. Ostatecznie Zakopane, już w pewnym sensie artystyczna stolica przed I wojną, dostarczyło niemało modeli Witkacemu. Z młodszych otarł się o to środowisko Uniłowski. Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy i kiedy bywał w Zakopanem Mycielski, starszy ode mnie o cztery lata. Znałem Iwaszkiewicza, Szymanowskiego, Rytarda, ale tylko tyle, on natomiast należał do klanu. Z tego, co czytałem o Londynie artystyczno-literackim tego mniej więcej okresu, np. o Wirginii Woolf, swoboda erotyczna sięgała tam bardzo daleko. W Zakopanem uprawiano ciężkie picie z góralami pod muzykę góralską, tudzież odchodziły amory, homo-i heteroseksualne. Jak się zdaje, dla uczestników był to czas dionizyjskiego upojenia, bez przecucia grozy, czyli Witkacy ze swoją czarną wizją był tam wyjątkiem.

16 X 1987

W samolocie Oakland-Denver-Iowa City. Mimo bronchitowej słabości zdecydowałem się pojechać, bo liczą na mnie organizatorzy - jest to dwudziesty jubileusz Inter-

85

^\*

national Writing Program Paula Engle i jego chińskiej żony. W samolocie mam miejsce w trzynastym rzędzie. W innych wszystkie miejsca zajęte, ten prawie pusty, czyli ludzie są nadal przesądni.

Działo się to latem 1939 roku. Słoneczna niedziela na basenie „Legii”. Muzyka z głośnika gra przeboje, oczywiście Paloma i inne, ze słowami polskimi dorabianymi do importowanych melodii. Często powtarza się płyta Był zakochany złodziej, dotychczas mam ją w uszach. Opalone ciała młodych mężczyzn i kobiet. I ta polska młodzież szlachetnie patriotyczna (zaciekle nacjonalistyczna) w chwili tuż przed początkiem horroru, którego nikt sobie nie umie przedstawić, zajęta sportem i flirtami, jest wyznaczona na ofiarę, na giniecie od kuli, w więzieniu, w obozie, na sumę niewyobrażalnych cierpień. Nagle zamieszanie, coś się stało, nurkują szukając. Chłopak skoczył i nie wypłynął. Znajdują, stosują sztuczne oddychanie, ale nie pomaga. Umarł chyba na atak serca. I zaraz uspokaja się, znów z głośnika Był zakochany złodziej.

Przypadek. Czy też Opatrzność chciała, żeby nie konał powoli od postrzału w brzuch albo nie był kopany butami w Oświęcimiu. Przyzwyczajono nas wszystko składać na przypadek. Tylko że to jest jedynie górna warstwa, sprawdza się, kiedy myślimy o innych, a sami będziemy zaopatrywać się w amulety i oddawać się w szczególną opiekę Matki Boskiej. A co więcej, zejście poniżej pozornej oczywistości jest zupełnie uzasadnione. Myśleć o tym trudno, bo nic nie daje się tutaj myślowo docisnąć. Boimy się? Opatrzność w chrześcijaństwie rozciąga się na predes-tyzację zbawionych i potępionych (w katolicyzmie też). Potępieńcy w Piekło Dantego mieli być grzesznikami, zanim się urodzili. Komu to się może podobać?

17 X 1987

Wczoraj, zaraz po przylocie i jeździe z lotniska w Cedar Rapids do Iowa City, dyskusja z udziałem Seamusa

86

Heaney, Levitasa z „New York Times”, poety Colemana McCarthy i mnie, prowadzi Paul Engle. Na sali sporo znajomych - Ivar i Astrid Ivask, Janusz Głowacki i Jan Józef Szczepański z Krakowa. Następnie cocktail w Mu-seum of Art. Czuję się tak słabo, jedna szklanka wina, a kręci mi się w głowie, że wychodzę po pół godziny, leżę w moim pokoju w Iowa Union i opuszczam bankiet. Czytam filozofa ze szkoły Kyoto, Nishitani, czyli jednak umysł działa, bo tekst trudny.

Jeszcze jedno moje przebranie. Dyskutując o literaturze, udaję, że mnie ona obchodzi, zamiast oświadczyć, że jest to zajęcie niepoważne i bezbożne. Niepoważne, bo choć powinna zamieniać w słowa rzeczywistość, niewiele rzeczywistości w nią przenika, exemplum na ile utrwalił się w niej wiek dwudziesty. A wczoraj Paul Engle opowiedział o swoim dziadku, który walczył w Wojnie Domowej. Jako kawalerzysta Armii Północnej przemierzył tysiące mil - i ten weteran najkrwawszej z dziewiętnastowiecznych wojen na pytanie wnuka, jak to było, odpowiadał: „Paul, słów nie ma, żeby to opisać”, i nigdy, jak to było, nie mówił.

Zajęcie bezbożne - a jakie ma być w czasach, kiedy literatura i sztuka oddzieliły się od religii, co zresztą nie pomogło im wkupić się w łaski nauki. I tak ani tu, ani tu, pomiędzy religią i nauką, przeważnie eksplorując różne odmiany ateizmu.

Ale jeżeli nie literatura, to dokąd pójść? Do filozofii? Keiji Nishitani w Religion and Nothingness (przekład z japońskiego, 1982) robi wielki wysiłek, żeby ogarnąć dwa dziedzictwa, zachodnie i wschodnie, jednak cytaty z literatury (Dostojewski, Nietzsche, haiku buddystów Zen) są wymowniejsze niż stronicy jego niby-to rygorystycznych wywodów. Bądź co bądź literatura daje wyraz miotaniom się człowieka pod władzą nauki, któremu nauka nie wystarcza. I czasem jeden, drugi wiersz jakiegoś hermetycznego poety...

Papież-Polak, Solidarność itd. zuniwersalizowały problematykę polską tak, że moi koledzy mogą być polocen-tryczni bez większych oporów. A jednak religijność tego

87

kraju utrzymuje się wbrew ruchowi całej Europy, łącznie z Rosją, z tą tylko różnicą, że tu zabija się Boga obojętnością, tam ogłaszając go za przeciwnika. Gdyby nie rola Polski od początku dziewiętnastego wieku, jako romantycznego wzorca środkowo- i wschodnioeuropejskich nacjonalizmów, Kościół polski spadłby na znacznie skromniejsze miejsce. Czyli kto zaczyna

tańczyć od Polski, może być skłonny zbyt optymistycznie oceniać żywotność chrześcijaństwa. W Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Wilnie odkryłem sprzeczność pomiędzy lekcjami fizyki i biologii z jednej strony, lekcjami religii z drugiej, ta sprzeczność nadała kierunek mojej poezji i różni mnie od moich współczesnych jej dogłębne przeżycie, podczas kiedy oni albo ją pomijali, albo opowiadali się za ateizmem. Jednak łągodzenie i udawanie nie przystoi. Sednem dwudziestego wieku jest zwycięstwo nauki, a próby religii wydobycia się z jej kleszczy jak dotychczas nie powiodły się. Metoda nauki, nie ma co się łudzić, niesie ze sobą ateizm i ona to wyznacza środowisko filozofii tudzież literatury i sztuki. Czemu można przeciwstawić religijność mas i pielgrzymki ludowe, ale tego nie dosyć.

18 X 1987

1 Jan Józef Szczepański dał mi wczoraj książkę wydaną w drugim obiegu, Kadencja, tj. raport o swoich działaniach jako prezesa Związku Literatów tuż przed Solidarnością, za Solidarności i później, aż do rozwiązania Związku. Przeczytałem ją w samolocie Cedar Rapids-Chicago-Oakland. Jest tam też co nieco o mnie. Oto passus o mojej

V wizycie w Polsce w 1981 roku:

„Miłosz przyjechał 5 czerwca. Spotkania z nim oczekiwałem z niepokojem. Stosunki między nami nie były dobre. Poznaliśmy się wiele lat temu w majątku żony Jerzego Turowicza, gdzie spędziliśmy pod jednym dachem ostatnie tygodnie wojny - on jako wysiedleńca z Warszawy, -ja jako »meliniarz« urlopowany z lasu. W jednym z moich

88

wczesnych opowiadań opisałem ostatniego wojennego Sylwestra, przeżytego w tym wiejskim domu. Wśród występujących w opowiadaniu postaci jedna wzorowana była na osobie Czesława Miłosza. Poeta poczuł się głęboko urażony tą podobizną. W czasie kilkukrotnych moich pobytów za granicą odmawiał spotkania ze mną, a kiedy wreszcie do spotkania takiego doszło, w Berkeley, w 1979 roku, zapewniał wprawdzie, że te dawne sprawy nie mają już znaczenia, ale czułem, że uraza tkwi w nim nadal".

Kiedy teraz spotkałem się z nim w Iowa City, nie myślałem o Sylwestrze 1945 roku w Goszycach. Czy odmawiałem kiedyś spotkania z nim, nie umiem powiedzieć. Wiem tylko, że raz, kiedy byli oboje z żoną w Berkeley, bodaj w 1969 roku, żałowałem, że rozminęliśmy się, bo ja i Janka byliśmy wtedy w podróży. Ale oczywiście zostało to zinterpretowane jako odmowa widzenia się: system poszlak, jak w Kosmosie Gombrowicza, musi układać się w logiczną całość.

Prawdą jest, że on uosabiał dla mnie bolesną i wstydliwą przeszłość, utrwaloną w owym nieszczęsnym opowiadaniu, choć jak widzę, nigdy nie zrozumiał, dlaczego poczułem się urażony. Tamten Sylwester był zstąpieniem do piekieł, na dno historycznego koszmaru, piłem i wymalowałem się, żeby zgnieść myślenie, ale na próżno, świadomość była jasna i ona to, nie mogąc podołać aż tak groteskowemu układowi, zmieniała go w dręczący koszmar. Odwiecznie polskie, polski dwór, Nawłóć na minutę przed dniem obrachunku, przed zniknięciem na zawsze, i ja z moim wstydem i ambicją ucieczki ze dworu wtrącony z powrotem w niego, na znak, że chcę czy nie chcę, tutaj należę, że darmo próbowałem wydostać się poza niemiłą mi obyczajowość i religię wyabsolutyzowanych wartości. Gdyby opisać sceny tego Finis Poloniae, byłby to prawie Dante Sarmacji. Tak sobie mówiłem w myśli, ale przeżycie, zanadto traumatyczne, nigdy nie przedostało się do mojej prozy, natomiast, tam, nie gdzie indziej, są źródła rozdziału „Duch dziejów" w moim Traktacie poetyckim. Przeżycie nie tylko paru godzin zabawy sylwestrowej, także

89

tego, co wyobrażnia także wtedy, równocześnie, podsuwała jako nieuniknione i tego, co dokładnie tak, za kilka dni nastąpiło, czyli według wzoru prapremiery 1918/1919 roku: „bolszewicy w polskim dworze". Wyprowadzanie z obór i ze stajni bydła, koni, baranów, chwytywanie kur, kaczek, gęsi pod nóż, rozpasanie grabieży, koniec dobrobytu. Jednym ze zbiegów z Warszawy była Helena Bilińska, nauczycielka, stara panna, dochowująca wierności narzeczonemu, który zginął walcząc przeciwko bolszewikom w 1920 roku. Ona też czuła, że odbywa się coś, co woła o świadectwo, i jej pamiętnik, dzień po dniu, dostałem do przeczytania wiele lat później, kiedy wykładałem na Harvardzie. Bilińska po wojnie znalazła się ze mną w ambasadzie polskiej w Waszyngtonie, ze

względu na swoją znajomość angielskiego, następnie została nauczycielką w Nowej Anglii. Jej pamiętnik dobrze oddaje polską grozę wobec najazdu przez obcą, niepojętą cywilizację czy raczej przez kontynent, który wyroił się mnóstwem plemion w pochodzie i toczył się na zachód, czołgami, artylerią, ale przede wszystkim milionami nóg piechoty. Oddałem Bilińskiej jej pamiętnik i powiedziałem, że nikt go w Ameryce nie wyda, ponieważ oskarżą ją o rasizm. W istocie wkroczenie sowieckiej armii przedstawiło się jej oczom jako najazd innej rasy niż rasa ludzka, w każdym razie ludzi białych, jako najazd Mongołów, co wskazuje na atawistyczne lęki sięgające wstecz do tatarskich zagonów pustoszących kiedyś polskie ziemie. Wśród żołnierzy było oczywiście sporo Azjatów, ale ona jakoś ich głównie widziała.

Opowiadanie Szczepańskiego mnie odtrąciło nie przez to, co w nim jest, ale przez to, czego w nim nie ma. Można wypadkom odejmować ich apokaliptyczny wymiar, czy jednak wtedy nie pomniejsza się tragedii krajów i społeczeństw, krojąc ją na zanadto lokalną miarę? Istniało kiedyś ogromne suwerenne państwo, upadło i zostało podzielone przez sąsiadów, ale przetrwało sto czy ileś tam lat jako Nawłoc - i nawet jeżeli niezbyt dobrze starzeje się Żeromski, ta diagnoza z Przedwiośnia zostaje. A potem koniec Nawłoci jako koniec Polski, najniewątpliwiej wtedy,

90

w styczniu 1945 roku, włączonej do Imperium na stałe. Tragedia najbardziej paradoksalna, pańska Polska jako Polska istotna i prawdziwa, a jej zatonięcie jako otwarcie szkoły niewolników. Szczepański o tym nie pisze, bo forma opowiadania nie po temu, a i cenzura. Ale i świadomości autora nie wyczuwa się w tle. Michnik znalazł w opowiadaniu dość materiału, żeby omawiać je w książce Dzieje honoru w Polsce, bo przeciwstawienie moralnych postaw jest w nim zarysowane jasno. Właściwie, ponieważ przedmiotem sporu jest ostatnia bitwa Powstania Warszawskiego, chodzi już o zachowanie się w kraju podbitym: albo honor, albo kolaboracja. Zawsze przykro jest oglądać swoją wewnętrzną zawilgość, uproszczoną do typu, jak u poety Wielgosza, który zresztą okazał się konsekwentny. Jeżeli to ja mam być Wielgoszem, książkę Michnika pochwalam, ale tylko dlatego, że mieszkam bezpiecznie w Ameryce. Zbadana bliżej, książka pokazuje abstrakcyjność podziałów na czarne i białe; poszczególne wypadki Elzenberga czy Malewskiej mają swoją spoistość, natomiast podniesione do rzędu katońskiej zasady dzielą słabość wszelkiej moralistyki kaznodziejów. Wielgosz, mieszkając w Polsce, uprawiałby pewnie taki czy inny rodzaj kolaboracji. A Miłosz „względny gronostajem”, jak sam, to nazwał, stał się tylko dlatego, że w porę urwał się z PRL.

Moje czytanie wierszy wczoraj było udane. Trzymać uwagę sali, jakichś 600 osób, i dostać brawa nawet za poszczególne wiersze, czytając w obcym języku, jest miodem dla ambicji.

19 X 1987

W Iowa/ Cityjrozprawiałem z polską poetką. Joanną Salamon, kTófs' IERaz mieszka w Holandii. Zaatakowała mnie za Ziemię Ulro. Z jej zdaniem, że książka wprowadza esoterica, w Polsce nie znane, nikt więc nie ośmiela się o niej pisać, chętnie się zgodziłem. Poza Barańczakiem nie

N

91

było polskich recenzji, choć pocieszała mnie wysoka ocena Sadzika i Jeleńskiego. Pani Salamon prowadziła dalej atak. Rzekomo postponuję Słowackiego i Gombrowicza, ponieważ ja to Mickiewicz, a Gombrowicz to Słowacki, ja utożsamiam się z Mickiewiczem, a Gombrowicz w całej swojej twórczości utożsamiał się ze Słowackim, biorąc z niego postacie, sytuacje, imiona bohaterów etc, poza tym ich biografie, np. przekorny stosunek do matki, podobne. Na to odpowiedziałem, że nic mi o analogiach Słowacki -Gombrowicz nie wiadomo, że pierwszy raz o tym słyszę i że nigdy nie brałem siebie za Mickiewicza.

Masz babo placek. Ale muszę potraktować to o tyle poważnie, że zostałem wrobiony w tę binarność (na zawsze?). Przed wojną poruszaliśmy się po zupełnie innych ścieżkach i nikomu takie zestawienie nie przyszłoby do głowy, mogło to być najwyżej Bruno Schulz - Gombrowicz. A i później, kiedy w 1945 roku ukazało się w Krakowie Ocalenie, a Gombrowicz bujał gdzieś w portowej dzielnicy Buenos Aires, nikt takiej pary nie przewidywał. Zaczęło się to dopiero, kiedy on emigrant i ja emigrant, po prostu chyba na zasadzie braku innych poważnych pisarzy, z którymi

mógłbym stowarzyszyć się czy polemizować. Poważny był Józef Mackiewicz, ale zupełnie inne rejestry, zawłości myślowe naszego stulecia niewiele go obchodziły. I nasze polemiki, i osoba naszego wspólnego promotora (czy słowo to ma prawo obywatelstwa w polskim?) Jeleńskiego stopniowo doprowadziły do zbliżania nas według mocno osiadłego w Polsce modelu pary wieszczów, tak że ciągle czytam w polskiej prasie literackiej „Gombrowicz, Miłosz”, i Może błędem było wprowadzać Gombrowicza do Zie-I mi Ulro. Albo w ogóle pozwalać sobie na taką fantazję i pisać książkę, która wyłącza mnie spośród Polaków, narodu rdzennie antymetafizycznego. Na przykład miły memu sercu Kisiel, kiedy wspomina lekceważąco o Ziemiach Ulro i innych moich religijnych dziwactwach, przemawia głosem ludu. Książka w samym swoim założeniu miała znaleźć pięciu polskich czytelników, nie więcej. Znalazła trochę więcej,

92

ale głównie z powodu tego, co mówię o Mickiewiczu, Słowackim, Gombrowiczu, nie o niepotrzebnych nikomu esotericach. Dla mnie stanowiła dalszy ciąg Zniewolonego umysłu, czyli pogłębienie poruszonych w nim kwestii, i spotkało ją coś podobnego, to znaczy oratio obliqua odczytywano jako oratio recta. Czyli ja jako przeciwnik materialistycznej nauki, „spirytualista”, rzekomo ducha przeciwstawiający materii itd. Dążyłem do diagnozy, a nie kazania, ale hopki mego dialektycznego umysłu chciano brać dosłownie. Befszyk raz.

Moi koledzy, pogrążając się w marksizmie po II wojnie, mieli słabe rozeznanie w genezie myśli rewolucyjnej i nie byli świadomi powodów oczywistości, z jaką narzucały się umysłowi dogmaty „naukowego socjalizmu”. Może ta oczywistość rozwiła się w Polsce, ale to nie znaczy, że rozwiła się w świecie. Bo w ciągu dziewiętnastego i dwudziestego wieku umysł wdraża się w pewne sposoby rozumowania, które stają się naturalne jak powietrze. Poznający podmiot staje wobec świata jako przedmiotu, który należy poznać porządkując, opanować racjonalizując. Niemal nieunikniony jest przerzut tego stanowiska podmiotu z nauki w dziedzinę społeczeństwa i polityki. Inteligent rosyjski z ubiegłego stulecia, mnie współczesny uczony z amerykańskiego laboratorium, nauczyciel szkoły podstawowej w Hondurasie czy Salwadorze należą do tej samej umysłowej rodziny i jakiegokolwiek są ich polityczne poglądy, wszystko, co nosi znamię albo pozór naukowości, zaopatrywane jest przez nich znakiem plus, ponieważ chaosowi, na przykład chaosowi gospodarki wolnorynkowej, przeciwstawia porządek edyktów. Oto dlaczego, jeżeli już mamy szukać praktycznych uzasadnień, warto zajmować się samymi przesłankami myślenia naukowego.

20 X 1987

Oglądać się wstecz i przypominać sobie tytuły swoich książek, które w tłumaczeniu na różne języki zajmują wiele

93

N

półek biblioteki. Tak skąpiec porządkuje, przekłada swoje talary, czasem zaniepokojony. Choć właściwie „nikt nie zna dróg do potomności” i własne pomyłki trzeba wpisać w rachunek. Voltaire cenił przede wszystkim swoją poezję, a kto dzisiaj łączy jego nazwisko z poezją? I Boecjusz na przykład, pisząc De Consolatione w więzieniu nie wiedział, że z powodu tego pisania dla siebie będzie po stuleciach wspominany. Nie wiem, co po mnie, jak zwykle się mówić, „zostanie”. Przez trzydzieści kilka lat byłem świadkiem rośnięcia Zniewolonego umysłu do pozycji „klasyka”, czemu zresztą pomógł znakomity przekład na angielski pióra Jane. Dla mnie produkt uboczny, niby traktat teologiczny poety z czasów reformacji. Tak samo Ziemia Ulro. Przetrwac czy nie przetrwać jest rzeczą zupełnie obojętną, choć nie obojętną pod jednym względem: sprawdzianu, a więc czy rzeczywiście pokonywaliśmy opór, czy oddawaliśmy się bezkosztnemu marzeniu. Patrz L'Étre et la forme pióra Jeanne Hersch. Poza tym ważne jest tylko, ile kto „pona-rozrabiał” w swojej dziedzinie, ja zdaje się naszumiałem (rosyjskie szumiet!). „Pragnąć, czynić i minąć, a dalej jest noc”.

Zniewolony umysł, bolesny, pod wewnętrznym przymusem, począł się z modlitwy. Gdyby nie moja pobożność dziecka wychowanego w katolicyzmie i zdolność do modlitwy w wieku dojrzałym, nie dałbym rady, zginąłbym dziesięć razy. Na pograniczu modlitwy, to jest przy zgęsz-czonej uwadze, nawiedzany byłem, z rzadka, w ważnych chwilach życia, przez rodzaj intuicyjnego jasnowidzenia,



kiedy ukazywała się na mgnienie moja przyszłość. Według Sartre'a, ktokolwiek postuluje, że wszechświat jest zainteresowany jego istnieniem, to jest, że jego własne istnienie ma grunt metafizyczny, jest łajdakiem (salaud). Gdyż powinniśmy sobie uświadomić, że gruntem naszym jest nicość, warunek naszej absolutnej wolności. Ponieważ wierzyłem, że mam miejsce w boskim planie i prosiłem o zdolność wypełnienia czekających mnie zadań, byłem typowym salaud.

Rycerz niewidzialnie pasowany do walki przeciw kłam-

94

com? W Ziemi Ulro galeria postaci, z których każda wyznaczała sobie miejsce proroka - Swedenborg, Blake, Dostojewski, Oskar Miłosz. I moja zasmucona tolerancja: cóż, jeżeli tak wielka jest ludzka słabość, że nie możemy niczego dokonać, nie pompując siebie wiarą w wyjątkowe nasze znaczenie dla ludzkości? A sam, jako autor Ziemi Ulro, czyż nie giermek proroka na białym koniu, jeżeli nie głosiciel dobrej nowiny, to przynajmniej prostowacz ścieżek? Że nauka i technika przebudowują człowieka od wewnątrz, zmieniają jego wyobraźnię, to niewątpliwe. I dlaczego zamykać oczy, wbrew oczywistości udawać, że Rzym starożytny jeszcze raz nie pada, tym razem nie Rzym pogański pod ciosami chrześcijaństwa, ale Rzym Boga monoteistów? Skoro to, nie co innego, jest nie wyznany temat dzisiejszej poezji w różnych językach, widocznie ten konflikt tkwi tuż pod progiem powszechnej świadomości. Czy oni, przeciwnicy Ziemi Ulro, zapowiadając nową erę odrodzonej wyobraźni mieli rację, nie wiemy. Być może zostanie tylko jeden Kościół Nauki i po przejściowych wahaniach wróci do zasadniczo mechanistycznej ortodoksji. Albo otworzą się nowe perspektywy w niczym nie podobne do zapowiedzi tamtych proroków. Tylko że nie powinien o tym rozmyślać poeta piszący w języku kraju, w którym kościoły są pełne.

21 X 1987

Posadzona niedawno gardenia zakwitła. Heliotrop, choć odrósł po pożarciu przez jelenie, ociąga się. Słońce słońcem, ale jednak to koniec października.

Kością\_ nipa7;fTr>rly 7 P7yt^lnikami Ziemi Ulro zostanie pewnie Oskar Miłosz, to znaczy moja skłonność do (niekiedy^przyjmowania jego poglądów\_ za swoje. Szczegół-nie we wsz^sSĘm, co mówi n mrhu i przestrzeni. Biorę z półki Wybór pism Simone Weil w moim przekładzie i znajduję zapis, który mógłby służyć za most pomiędzy nią i Oskarem Miłoszem:

95

\

„Połączyć rytm, w jakim żyje ciało z rytmem świata, czuć stale ten związek i czuć również stałą wymianę materii, dzięki której istota ludzka jest zanurzona w świecie”.

„Czego nic nie może odjąć istocie ludzkiej, dopóki ta żyje: jako ruch, gdzie przejawia się wola, oddychanie; jako percepcja, przestrzeń (nawet w lochu, nawet z wylupionymi oczami i przebitymi bębenkami w uszach, doznaje się przestrzeni)”.

Prawdopodobnie wykroczyłem poza przyzwoitość, wspominając w Ziemi Ulro o jego przepowiedni dotyczącej ustroju zjednoczonej planety Ziemi i jakby się z nim zgadzając, kiedy dopuszczam możliwość, że będzie to „ustrój teokratyczny idący w parze z daleko posuniętą decentralizacją”.

Groza. Obruszył się na to gorliwy i entuzjastyczny czytelnik książki Kot Jeleński, słusznie, bo i w Iranie Chomeini, i ciche aspiracje tu i ówdzie katolickiego kleru pachnące stosami inkwizycji.

Pewnie powinienem był to zdanie wykreślić, tylko czy teokracja musi oznaczać rządy kasty kapłańskiej? Może w dwudziestym drugim wieku będzie to oznaczać coś innego, aż do pobożności wobec niedostępnej naszym dzisiejszym pojęciom zasady porządkującej rytm wszechświata.

Wpływ Oskara Miłosza na mnie oceniam jako dobroczynny i szkodliwy. Szkodliwy, bo Kaliban nie powinien chcieć latać jak Ariel, człowiek „wciałowzięty”, l'homme sensuel, nie powinien przenosić się w zbyt romantyczne rejestry i poszukiwać miłości niemożliwej, braterstwa dusz. Jakby mało było polskich poetów romantycznych, zafundowałem sobie jeszcze jednego, dokładnie jak tamci, z Beatrix i z eschatologią, z oczekiwaniem spełnienia się Historii.

22 X 1987

Albo smutek przegranego życia, albo smutek dokonania? A może jedno i drugie? Oblega mnie nadmiar tego, co chciałbym wyznać, nie wiadomo jak i komu, potrzeba

niemiej spowiedzi, jakby sam żal za grzechy wystarczał. I dziwne trochę, w rachunku sumienia pokaźne miejsce zajmuje antytalent towarzyski, tak że nie można pojąć, jak przebrnąłem przez tyle lat, nie mając żadnej kindersztuby. Co pośrednio oznacza niewidzenie ludzi, znudzenie ludźmi, którzy ukazują się jako magma twarzy-masek, a nie jako poszczególne istoty. Zaczynało się od mąk przy stole w Krasnogrudzie, mąk nieśmiałości, i otwierało rozmaite serie poniżej snobistycznego rzędu, a więc, że nikt na mnie nie zwraca uwagi i że wysilam się, żeby okazać się ^ inteligentnym, a nic nie wychodzi.

J;

O szóstej rano obudził mnie telefon dziennikarza z Oslo, bo Josif Brodski dostał Nagrodę Nobla. Mój odruch serca - żeby, kiedy znalazł się na Zachodzie, napisać do niego list pocieszający (pamiętaj, że tylko początki na wygnaniu są najtrudniejsze), bogato oprocentował trwają- / cą wiele lat przyjaźnią, a w przyjaźni jest wierny, mimo niebotycznej arogancji, której nieraz byłem świadkiem. Zazdrościłem mu tej wyniosłości i arogancji, która osadzała pyszałków i wyznaczała mu stanowisko nadrzędne. Tego nie umiałem. Byłem najczęściej grzeczny (nieśmiały), ale mało przytomny, odgradzony szklaną taflą. Choć czasem zdarzały mi się wybuchy wyniosłej wściekłości. Jeżeli moje dzieje, triumfu głupiego Jasia nad mądrzejszymi braćmi, są pełne moralnej nauki, to dzieje Josifa - tym bardziej, i morał nastąpił znacznie szybciej niż w moim wypadku. Śledząc przygody „dysydentów” rosyjskich, polskich, czeskich, litewskich, którzy przymusowo albo dobrowolnie emigrowali, począwszy od lat siedemdziesiątych, trochę im zazdrościłem. Bo mnie utrzymywanie się na powierzchni przychodziło z największym trudem. W latach 1951-1953 byłem w Paryżu na samym dnie, Zygmunt Hertz często pożyczał mi na papierosy. Prix Litteraire Europeen, Genewa 1953, była przełomem umożliwiającym sprowadzenie rodziny z Ameryki, ale nasze życie kolejno w Bon nad Lemaniem, w Brie-Comte Robert i w Montgeron było ledwo-ledwo. Dopiero w 1960 Berkeley zapewniło stabil-

97

\t

ność. A oni, ci dysydenci, dostawali honory, stypendia, a przede wszystkim byli akceptowani, już nie trędowaci jak ja.

Serię Nagród Nobla dla emigrantów otworzył Singer.

Ja jednak, dowiadując się o zabiegach przyjaciół (Jeleński, Kołakowski), nie brałem tego zbyt poważnie, bo w przeszłości emigranci nie mieli szans (dawno kiedyś, Bunin).

' Niemniej posypało się: Miłosz, Canetti, teraz Brodski.

Przyjemność, jaką mam z tego pamiętnika: z dawną moją skłonnością do wyciskania ekstraktu (wielkie wydarzenia, prądy, idee) tym razem poddaję się tkaninie, która sama spleta się z poszczególnych ludzi, dawnych i nowych wydarzeń, może przez to bliższa akcentom (okrucinom) poezji.

Odkryłem sens czytania równocześnie Japończyka Ni-shitani (Religion and Nothingness) i Prousta. Krytyka filozofii zachodniej, poczynając od Platona i Arystotelesa, jest u profesora z Kyoto znakomita, natomiast wątpię, czy proponowany przez niego środek na zachodni, dzisiejszy nihilizm trafi do zachodnich umysłów, jako że równałoby się to pozarozumowemu i pozajęzykowemu buddyjskiemu olśnieniu. Niemniej nowoczesna fizyka do tego zdaje się usposabiać, a już Proust wręcz mógłby służyć za ilustrację -jego rzeczywistość jest prawie taka jak u Nishitaniego: jej byt jest równocześnie niebytem, fosforyzującą, mieniącą się falą morza, które jest sunyata czyli absolutna nicość--pustka, a każde mgnienie zyskuje wyrazistość dzięki tożsamej z nim nicości.

23 X 1987

Spadł nieduży deszcz, pierwszy po suchych miesiącach, ale zaraz się rozpogodziło. Albumy Chardina, wybieranie reprodukcji martwej natury na okładkę. Konferencja podatkowa z Mrs. Fujie. Lubie jeździć do jej biura, bo mam słabość do Azjatów i wydają mi się rasą ładniejszą niż biali. Mrs. Fujie oblicza moje podatki od tak wielu lat, że śledzę

98

z roku na rok zmiany w jej twarzy, ale Japończycy jakoś dobrze się starzeją i moja sympatia do niej

ma nadal tło estetyczne.

m

24 X 1987

Miasto na dole jak wymyte, słońce, lato. Tu i teraz - tam i kiedyś, później. A jeżeli nie będzie już i\*  
Żadnego „tam” i „później”? Do wad moich liczę, że za\_

M mało żyłem „teraz”, toteż muszę patrzeć dokoła siebie P uważnie, albo zęby zabrać ze sobą  
(dokąd?) pamięć szczegółów, albo poza jakimkolwiek „zabranie” (bo to też ruch ku przyszłości)  
umocnić samą chwilę. Na przykład f moje domostwo, te cztery młode kobiety, których obecność  
mnie ogrzewa: Carol; Ewa porządkująca bibliotekę; Mary porządkująca korespondencję; Ania z  
córką Natalią i mężem Markiem w domku w ogrodzie. Tymczasowe grono - ale upływają tygodnie,  
miesiące i ani spostrzec, jak mija rok i drugi. Te osoby są jak najbardziej w polu mojej  
świadomości, wyobrażam sobie o nich to i owo, i poddałbym ich obrazy artystycznej przeróbce, na  
którą jednak pewnie nie będę miał czasu, skoro ta następuje zwykle i z dużym opóźnieniem.

Tutaj wypada dodać, że przeżycie

któregoś „teraz” nieuważne, mimochodem, nie oznacza jeszcze, że pod powierzchnią nieuwagi nie  
zapada głęboko, co mogłem sprawdzić empirycznie.

Momenty intensywnej cierpienia miłosnych. Że też mam ochotę wskrzeszać te momenty przez  
lekturę Prousta. Męki zazdrości Swanna, tak bardzo moje. Jest w tym pociecha, bo zepchnięte,  
zapomniane, wracają, przez chwilę realne i dowodzą, że musiałem naprawdę kochać.

25 X 1987

Tylko powolne polepszenie astmy, z którą jak żyję, nigdy nie miałem do czynienia. Wylegiwałem  
się na patio,

99

J

patrzac na kwitnienie, patrzac na kwiaty, ale nie chcę dać się obezwładnić słońcu.

Pamięć. Nasz stosunek do niej zmienia się w ciągu życia. W lipcu 1980 roku przyjechałem do  
Genewy z Paryża, gdzie z Józkiem Sadzikim poprawialiśmy mój przekład Księgi Hioba. (W  
miesiąc później zmarł, przywiózłszy gotowy skrypt do drukarni.) Mój wynalazek, jeszcze kiedy  
byłem w szkole, pod wpływem IV części Dziadów (opowieść Gustawa o powrocie do rodzinnego  
domu) i Słowackiego Godziny myśli, polegał na wyobrażeniu sobie słodkiej melancholii, z jaką  
będę wspominać kiedyś to, co działo się ze mną teraz. Czy też, poprawniej, wpadłem na ten  
wynalazek wcześniej niż moje romantyczne lektury, mając wrodzony talent do tej melancholii,  
która według Edgara Poe jest najbardziej właściwym tonem poezji. Idąc rano do szkoły patrzyłem  
na pagórki za Wilią i podróżowałem w myśli do rajy utraconego, Szetejń, czyli już wtedy, któż by  
pomyślał, byłem zwrócony w przeszłość, niepomyślny na  
/”jej dopiero zapowiadające się przyrastanie.

f A teraz niemożliwa wtedy do pojęcia przeszłość. Do

i Genewy przyjechałem na obchodzone przez przyjaciół siedemdziesiąte urodziny Jeanne. Powinno  
to być stać się melancholijnym powrotem do wiosny 1953, poprzez dziesięciolecia, do czasu, kiedy  
odbierałem w tym mieście Prix

. Litteraire Europeen, a ona wprowadzała mnie w swoje środowisko i podróżowaliśmy razem po  
Szwajcarii. Szedłem wzdłuż jeziora, patrzyłem na ten sam pióropuszczyk wodotrysku, nic się tu nie  
zmieniło, następnie wzięłem taksówkę i znalazłem się na przyjęciu w ogrodzie, gdzie spotkałem  
znajome-nieznajome twarze: jak to, ten starzec to Robert Hainard, a ta stara kobieta, to córka pani  
Naef? I, prawdę mówiąc, niewiele czułem, choć byłem świadomy pewnej egzotyczności sytuacji.  
Towarzystwo szwajcarskie dla mnie, ubogiego kuzyna z gorszej Europy, mogłoby przywołać echa  
jakichś dawnych moich kosmopolitycznych tęsknot, ale teraz dzielące nas różnice upadały wobec  
wspólnego nam starzenia się. Może zresztą byłoby inaczej, gdybym na te obchody urodzin  
przyjechał stamtąd, z ob-

100

szaru samych nieszczęść, natomiast ja zjawilem się jako profesor zza morza, amerykański turysta.

Tak jak wtedy chłopiec idący rano do szkoły w Wilnie nie mógł odgadnąć przygotowanej dla niego

przyszłości, tak z kolei owego lata w Genewie nie spodziewałem się wielu wydarzeń o nowym dla mnie wymiarze, choćbym nawet odgadywał półświadomie, że przygotowuje się jakiś zakręt. Znowu teraz, po jeszcze jednej fazie, niewiele znajduję w sobie skłonności do łagodnego smutku przemijania, raczej niepokoi mnie jak zawsze sama jego tajemniczość.

26 X 1987

Cudowne wiersze Zagajewskiego w 20. numerze „Zeszytów Literackich”. Równocześnie przeczytałem Souve-nirs de Starobielsk Czapskiego w wydaniu szwajcarskim Noir sur Blanc. Jakże trwale owocowanie tego człowieka, jak wiele dokonał. I to jego świadectwo o zamordowanych i w imieniu zamordowanych, zostaje na zawsze, nie tak jak „zostają” dzieła sztuki, co do których nigdy nie jest to pewne, ale jako nieustraszony zapis okropnej prawdy. Łącznie z nazwiskami i postaciami jego kolegów-współ-więźniów, którzy, gdyby nie on, nigdy nie pojawiliby się w ludzkiej pamięci. Jak długo będzie istnieć Rosja, ta zbrodnia będzie ją obciążać i wołać o pomstę do nieba. Kilka dni temu byłem u Jakuszewów na obiedzie z Aleksandrem Zinowiewem. Od niechcienia powiedział, że w 1943 roku oficerowie jego oddziału o tym, kto zrobił Katyń, wiedzieli. „Ale ocenialiśmy to pozytywnie”. Horror.

I czterdzieści siedem lat po tej mogile poezja Zagajewskiego. Zaiste, podziwiać odporność i niespodziewaność życia. Myśleć o poetach, którzy tam leżą zatrzymani na stylu sprzed II wojny, Władysławie Sebyle i Lechu Piwotarze. A zarazem przerażające, że jedyną bronią Polski pozostaje męczeństwo.

101

»

27 X 1987

W samolocie Oakland-Denver.

Te chwile, kiedy ma się ostre odczucie szczególności danej naszej fazy, niepodobnej do innych, jak dzisiaj podczas jazdy na lotnisko górą, przez Grizzly, Fish Ranch Road i tunel. Za każdym razem wydaje się, że gdyby tak żyć nieskończenie, nie byłoby granic ciągłemu następstwu faz nowych i nowych. A także nowemu, z coraz to innej strony, układaniu tego, co się kiedyś dawno przeżyło i czego jesteśmy ledwo świadomi. Widzę papier, czcionki tego numeru „Kwadrygi”, który kupiłem przypadkiem w Wilnie w roku chyba 1929. Były tam wiersze Gałczyńskiego, po raz pierwszy przeze mnie spotkane, i wiersze, o wsi naturalnie, Słobodnika, a ja nie rozumiałem słowa „gar”, znałem „garnek”. Potem pojawiała się i znikła ni to plotka, ni to legenda „Kwadrygi”, głównie jako St. Ryszard Dobrowolski, który bodaj odbywał służbę wojskową w Wilnie, ale poszczególni jej poeci wschodzili na moim horyzoncie osobno, wcale nie jako zespół i chyba zespołu nigdy nie było. Stefan Flukowski i ubogie mieszkanie jego ojca - krawca przy ulicy Złotej w Warszawie, moje tam wizyty i długie rozmowy; Lucjan Szenwald i konwentykłe lewicowej młodzieży, przeważnie żydowskiej, twarze zapamiętane - Magda, córka bajkopisarza Benedykta Hertza i jej chłopak Salman, później oboje w Ameryce i wreszcie znowu w Polsce, on jako dziennikarz Arski. Wtedy też chyba po raz pierwszy widziałem Leszka Raabe, o którym trzeba by opowiadać w związku z okupacją niemiecką i socjalistyczną organizacją „Wolność”. Promienny, śliczny, szlachetny, bohaterski - wydany Niemcom przez kogo? Mówiono, że przez komunistów. Gdzieś w tych regionach czasu sprzymierzony z „Kwadrygą” Zbigniew Uniłowski. Wreszcie Władysław Sebyła, połączony z rodziną Micińskich, choć w jakiej sekwencji czasowej, nie pamiętam, kojarzący się z moją nieosiadłością, niepewnością siebie w Warszawie. Stali mieszkańcy tego miasta, poruszający się w nim normalnie, mający

102

swoją rutynę codzienności, swoje towarzystwo, chodzenie razem na koncerty, wystawy, seminarium uniwersyteckie, jak Bolesław Miciński, poruszali się dla mnie w strefie istot nadprzyrodzonych. Nigdy, mimo starań, nie nauczyłem się wierzyć w realność Warszawy, ani tej przed zniszczeniem, ani tej po zniszczeniu i jej mieszkańcy pozbywali się tej aury tylko, jak na przykład Nela Micińska, kiedy obcowało się z nimi w innym mieście czy w innym kraju. Stąd też szczególne stosunki z Bolkim i Nela, krótkie z nim, rozciągające się na większość życia z jego siostrą, już za granicą. Jak Bolek mnie widział, nie wiem. Korzystałem z ich mieszkania na Saskiej Kępie, kiedy on i Halina

byli na stypendium w Grenoble, następnie poleciłem go do Sosnowskiej i wciągnąłem go do Radia. Chyba onieśmielał mnie swoim filozoficznym wykształceniem. Ciągłe w rozmowach powracało seminarium, Apcio (skrót od Apollo, tak Bolek i Kroński nazywali profesora Tatarkiewicza), antysemickie awantury na uniwersytecie, seminaryjni koledzy. Podróże do piekieł ukazały się w 1937 roku nakładem „Prosto z mostu”, co było bezsensowne, skoro Bolek podczas miesięcy, kiedy wykładał filozofię w warszawskich liceach, rozpaczał nad nacjonalizmem młodzieży. Przyjaźnił się z Jerzym Stempowskim i był nastawiony kasandrycznie, ze wstrętem odnosząc się do różnych lepięć prawicowej ideologii. Jego eseje przyjmowałem dość nabożnie, niezbyt rozumowo, skoro ich zasada była raczej poetycka i myślę, że moje eseje wtedy pisane dowodzą jego wpływu, bo w polskim nie było wtedy innego wzoru. Dzisiaj sędzę, że esej powinien być gatunkiem jasnym, klarownym, nie sugerować pośrednio, ale prowadzić tok myśli. Wtedy esej był w polskim piśmiennictwie nowy i nawet moje eseje czasu wojny nadal lubują się w lirycznych transpozycjach, czyli brak im tego, co stanowi zaletę solidnej prozy. Tę cechę eseistyki Micińskiego, też mojej, uważam za piętno ówczesnego zagmatwania.

Miciński zapoznał mnie z kolegami-filozofami. W mieszkaniu jego matki odbył się odczyt Juliusza Tadeusza

103

Krońskiego, po rocznym pobycie w Pradze. Nic nie pamiętam, odczyt był wysoce techniczny, o fenomenologii, i padało nazwisko Patočka.

Twarz, gesty, fajka, częste wtrącanie słów i zdań rosyjskich dla humoru, jak u Witkacego.

Naprawdę jednak, przy całej sympatii, niedookreśloność osoby, z wieloma obszarami poza moim zasięgiem, a więc Haliną Krauze, narzeczoną, a następnie żoną, jej depresjami, psychoanalizą, którą interesował się Bolek, jego przyjaźnią z Witkacym itd. Rzekłbym, że w Micińskim spełniła się pewna Warszawa międzywojenna, natomiast mnie jakby ominął ten wymiar, a kto wie czy nie cały wymiar Polski międzywojennej, prawie nie znanej w Wilnie. Nela, wtedy pracująca w bibliotece Ministerstwa Spraw Zagranicznych, mnie też onieśmielała i tam jest początek moich ciepłych, ale nieerotycznych związków z rodziną Micińskich, a więc z nią, i później z Dunką, córką Bolka.

Chyba u Neli poznałem Sebyłę. Przyjaźnili się i jej niektóre wiersze dedykował. Widocznie przyciągał mnie swoimi próbami wykroczenia poza poezję Skamandra i poza Awangardę ku poezji filozoficznej, jeżeli specjalnie wybrałem się na Pragę, żeby go odwiedzić. Człowiek bardzo łagodny, zamyślony, ze smutnym uśmiechem, mówiący powoli. Bardzo, po swoich społecznych wczesnych wierszach, samodzielny i gospodarstwu polskiej poezji potrzebny. „A nagle zorza ocieka krwią / przez wszystkie szpalty niebios - / jak wiersze Sebyły, / jak zamordowana rodzina cesarza Mikołaja " - zakpił w Zabawie ludowej Gałczyński.

Ale nie krąg „Kwadrygi”, o wiele bardziej realny był dla mnie Józef Czechowicz i jego mieszkanie na Smulikowskiego. Zatrzymuję się na kilku nazwiskach, bo ostatecznie tyle się nadziało w krótkiej przerwie, za Polski między wojnami, że aż trudno uwierzyć. Co znaczy dziesięć, dwadzieścia lat w dziejach krajów, języków, społeczeństw?

ś

104

29 X 1987

Przedwczoraj i wczoraj rano doświadczenie jeszcze innej fazy. Przyleciałem do (Denver)spotkany przez dwóch profesorów i zabrany autem" flo Greeley na kampus University of Northern Colorado (stanowy). Miasteczko 50 mil od Denver, 50 mil od Boulder, 50 od Cheyenne, płaskowyż, wysokość 5000 stóp, ale ciepło, słońce. Na horyzoncie Góry Skaliste. Rolnictwo - kukurydza, buraki cukrowe, tu sięga irygacja wodą z gór, na wschód zaczynają się, jak mówią, suche kultury, pszenica.

Rozmowa w aucie i wywiad, który następnie robi ze mną profesor R., dają mi pojęcie o nim. Żaden Europejczyk nie przyzna się, że czegoś nie rozumie, będzie udawał, że rozumie. Profesor R., kiedy mówi o Sartrze, mówi, że próbował kilka razy czytać L'Étre et le Néant, ale po siedmiu stronicach nie pojmował ni w ząb i książkę odkładał. Być może jest w tym wyznaniu jakby pokora, a w każdym razie naturalność i zupełny brak arogancji, nie bez związku z powszechnym u amerykańskich liberałów biciem się w piersi, pacyfizmem (bo wróg taki sam człowiek) i

nawykiem, nie do wyplenienia, równoległości w ocenie Rosji i Ameryki.

Z pytaniami jego wywiadu daję sobie nieźle radę, następnie w hotelu czytam i odpoczywam.

Wieczór przy pełnej sali, udany, chociaż publiczność mniej śmiała niż w Iowa City i tylko z rzadka oklaskuje poszczególne wiersze. Jest i grupa Polaków z nowej, solidarnościowej emigracji.

Następnego dnia rano godzinna sesja z profesorami i studentami, ku ich i mojemu zadowoleniu, bo bardzo żywa gra pytań i odpowiedzi.

Na pozór tedy znakomita komitywa i moja europejskość jedynie jako dodająca smaku prawie już amerykańskiemu poecie i amerykańskiemu profesorowi. Jednak dużo w tym mojej zręczności, czyli wiedzy, gdzie zaczynają się tereny zabronione. Zresztą zakres tematów ciekawiający zwłaszcza profesorów anglistyki tak szeroki, że można ustrzec się wykraczania poza ten zakres bez trudu. Nie-105

mniej w każdej chwili mam świadomość, że ułatwiam sobie, a zarazem że gdybym nie ułatwiał i tak niczego bym nie wskórał. Jest wielkim szczęściem móc obcować z ludźmi dobrymi, życzliwymi bliżnim, szukającymi prawdy i chcącymi czynić dobro. Gdyby im jednak próbować wytłumaczyć, że istnieje diabeł, czyli czyste zło, byłiby urażeni reakcyjnością takiego przypuszczenia. Czy są laickimi humanistami, czy należą do jakichś wyznań, ich religia doskonale się bez diabła obywa. I te dwa dni w Colorado były doświadczeniem mojej podwójności, jeszcze jednej, choć nie nowej. Poza tym refleksja o wpływie takich profesorów na studentów. Nieskończone odradzanie się postaci naiwnego Amerykanina.

31 X 1987

„Oko nie widzi siebie”. „Ogień nie pali ognia”. Te maksymy (Nishitani) sięgają głęboko, wymierzone przeciwko zachodniemu rozumowaniu, zawsze zaczynającemu od podmiotu, od kartezjańskiego cogito. Ten podmiot przeciwstawiony przedmiotom, czyli substancjom, sam jest pojmowany jako substancja. Ale oko nie widzi siebie, widzi to, co jest poza nim, świadomość nie ma uchwytu naszej osoby, wymykającej się kategoriom, definicjom, formie. Ani wiem, kim byłem, ani wiem, kim jestem. Stąd pewnie prawdopodobieństwo, że tłem nas samych jest owa nicość, sunyata. Czy boska pustka Mistrza Eckharta.

Pobłażanie i cierpliwość. Przypisuję sobie te zalety, choć być może pojawiły się dlatego, że jestem stary (nie mogę oswoić się z tą kategorią zastosowaną do siebie: stary). Z przykrością głyśłę o swoich dawnych fanatycznych wymaganiach, furiach, złych humorach. Co prawda, szybko przemijały, w przeciwieństwie do złych humorów i depresji Janki, która potrafiła „karać” mnie dziesięciodniowym milczeniem. Ale były i dręczyły mnie podskórnie. <A teraz, kiedy umiem powściągać się i wzruszać ramionami nad tym „jak być powinno”, chwilami łapię się na podej-106

rzeniu, że moja zaciekłość wymagań, przykra dla ludzi bliskich i dalszych - dalszych, bo raniła, na przykład ich zawodowe ambicje - że ta zaciekłość stanowiła niezbędny warunek mojej pracowitości. I że pobłażliwość nie jest bez odrobiny pogardy dla siebie i innych: „Co będę się szarpać? Ile mi jeszcze zostało?”

Piszę to w samolocie San Francisco<^onoluh<jadąc na tydzień wakacji, niby to dla rekonwalescencji po astmie. Też chyba jako ustępstwo. Amerykanin na wakacjach, marynarka w pepitę.

Wymagać. Ale przecież nierówność ludzi polega między innymi na tym, że mniejszość pośród nich jest sumienna i kompetentna. Staranni rzemieślnicy, uważni na obyczaje i potrzeby ziemi rolnicy, korektorzy, którzy nie przepuszczą błędu, muzycy ćwiczący bez końca w pościgu za doskonałością. Większość udaje, że coś umie, że coś robi i przemyka się. Ich ideałem jest nic-nie-robienie, wakacje. Dla mnie wakacje dla wakacji zawsze były trochę nieprzyzwoite. Nawet kiedy w grudniu 1984 roku pojechałem na Martynikę i Gwadelupę, żeby spotkać się z Jeanne, pretekstem było publiczne wystąpienie. Trafiłem tam na prowincję francuską na przykład z okolic Bordeaux, z rozwarstwieniem towarzyskim według koloru - biali kolonowie, mulackie mieszczaństwo, niżej czarni.

Zawiniłem wobec mego dziadka, Zygmunta Kunata, który był wzorem kompetencji. Gospodarzył nieźle w Sze-tejniach, to znaczy w majątku, którego litewska reforma rolna dzięki jego staraniom

nie uszczupliła. Był zawodowym agronomem, skończył warszawską Szkołę Główną i wychował się w tradycjach pracy organicznej. Nie twierdzą, że Szetejnie nie mogły być dworem zamożnym - a nie były - ale działały tu inne przyczyny niż jego nieumiejętność. A w jednej z rozmów z Aleksandrem Fiutem powiedziałem, że właściwie nic nie robił. Dlaczego tak powiedziałem? Nie rozumiem. Oto jak mało należy polegać na ustnych wypowiedziach. Pewnie, że nie miał się pracy

107  
fizycznej, ale marnie by wyglądały pola i obora, gdyby zabrakło oka i umysłu. I czyż rys pilności i rzetelności w moim charakterze nie jemu w znacznej mierze zawdzięczam?  
1 XI 1987

Hotel Kahala Hilton. Na zasadzie „ostatecznie dlaczego nie”. Mój pretekst dobry, bo wczoraj po południu wypływałem się i rzeczywiście zaczynam powracać do zdrowia. Myślę o zmniejszaniu się planety Ziemi za mojego życia. W samolocie jako sąsiad młody Szwajcar, który właśnie skończył szkołę średnią i jeździ, żeby się rozejrzeć po świecie. W Honolulu bierze samolot do Australii. Od kiedy zaczyna się podróżowanie? Po Europie najpierw. Mój pradziadek Syruc zginął w katastrofie kolejowej (!) pod Baden-Baden, w r. 1870. Jeden z Kunatów, Stanisław, emigrant po 1831 roku, był w Paryżu profesorem Ecole de Batignolles. Ojciec Władysława Miłosza, też na emigracji, mieszkał we Włoszech. Jego syn bywał wszędzie, otarł się podobno też o Afrykę Północną. Z kolei jego syn, Oskar, kosmopolita. Ale to już taka rodzina. Mój ojciec był i na Syberii, i w Brazylii, jego wnuczka, moja bratanica Joanna mieszka w Melbourne i odwiedziła nas z córką Natalią w Berkeley. Ojciec Janki dwa lata przepracował w fabryce metalurgicznej gdzieś w New Jersey czy Pensylwanii. A moda podróży przed I wojną? O przeżyciach „rozkwitających dziewcząt” w spotkaniu z oceanem w Biarritz

wiemod^ajnejJEIL\_\_\_\_\_

(^J^fe Hawajach jestem po raz drugi? Przygotowany od dziecka literacką legendą o rajach ziemskich skażonym przez protestanckich misjonarzy. Z goryczą myśląc o krajach wchłoniętych gładko przez duże potwory i strawionych. Nie mogąc ufać żadnym historycznym przekazom, skoro sporządzili je zdobywcy. Setki lat istnienia Polinezyjczyków na tych wyspach, bez białych. Epopeja wyprawy w nieznane obszary oceanu z Tahiti, z woli i rozkazu

108

wodzów, następnie długie dzieje autokratycznego, feudalnego (bo jak je nazwać) społeczeństwa przybyszów, z religijnym tabu jako strażnikiem ich cywilizacji. Te śliczne kelnerki w hotelowej restauracji nic nie wiedzą, nic nie pamiętają, straciły też język swoich przodków.

2 XI 1987

Naprawdę nie mogę pojmować życia inaczej niż jako przygotowanie. I tutaj jest powód mojego obecnego kryzysu. Bo jestem jak niemy, który bełkocze, a zarazem wie, że już nie przemówi. Dotychczas wierzyłem, że przemówię i śladem tej wiary są napisane przeze mnie wiersze. Znam oczywiście długie okresy niemoty, które następnie okazywały się powolnym wewnętrznym dojrzewaniem. Teraz jednak refleksja o tym, co się we mnie odbywa, nie prowadzi do pomyslnych wniosków. Najbliższe są mi krótkie wiersze z 1985 roku, ale chyba nie potrafię tak znowu. Urywki nie dopełnionych wierszy: „Nie myślałem, że pagórki Berkeley będą ostateczne”, „Żyję płytko. Oddech mój za krótki”. „Niedużo tego było. Trochę dni i nocy / Między datą i datą na kamieniu”. Urywki historii wysp hawajskich. Wyobrażenia, ani wnioskami w ich poprawność. Najzupełniej szka kastowość, królowie, książęta, wodzowie, kapłani, lud, spośród którego dobór wojów, wreszcie kasta niewolnicza. Mnóstwo zakazów okrutnej religii. Brak niesprawiedliwości społecznej w naszym pojęciu. Zawile gry dyplomatyczne, sięganie po władzę poprzez małżeństwa i komeraże książęcych rodzin, z morderstwami, jeżeli trzeba. Ciągłe krwawe wojny toczące przez królów poszczególnych wysp przeciwko innym wyspom, inwazje, porażki, bitwy na wybrzeżach. Późne zjednoczenie w jedno państwo. Dokonał tego król Kamehameha, wystawiając armię złożoną z tysiąca piróg i zmuszając inne państwa-wyspy do posłuszeństwa jego państwu na wyspie Hawajii. Ale to działo się już z użyciem armat, równocześnie z przybyciem misjonarzy. W pamięt-

109

niku ostatniej królowej z tej dynastii, Liliuokalani, czytam o tym, jak oddano ją w 1842 roku do

szkoły-internatu misjonarzy, dla dzieci wyłącznie z rodzin książęcych. Wpajano tam zasady religii chrześcijańskiej i przywiązanie do języka angielskiego, ale misjonarze byli skąpi, żywili dzieci nędź, te więc kradły w okolicznych ogrodach, i jak powiada królowa, ponieważ odziedziczyły umiejętność krzesania ognia przez pocieranie dwóch patyczków, same przyrządzały sobie posiłki. Wkrótce zresztą misjonarzom znudziła się religia, założyli biznes i dali początek bogactwu plantatorów.

Nie było podboju. Było stopniowe, z zachowaniem (prawie) pozorów demokratycznych, wchłonięcie, królewska dynastia rządziła przez cały niemal wiek dziewiętnasty, działał parlament - ale zawsze przy milczącej obecności siły w postaci amerykańskich okrętów na redzie. Porównywać - co lepsze dla ludności? Której, tamtej czy tej chińsko--japońsko-białej? Co czułbym, gdybym był Hawajczykiem, czy byłbym zajęty wszystkim tylko nie tym, jak te kelnerki w hotelu?

Plakałem rzewnymi łzami czytając o nieszczęściach mieszkańców Mediolanu zburzonego przez Fryderyka Bar-barossę. Była to powieść dla młodzieży z czasu, kiedy lektury dostarczały mi roczniki „Kłósów”, „Biesiady Literackiej” i „Przyjaciela Dzieci”, wydobyte bodaj z bibliotecznego pokoju w Sztejniach, ale podczas zimy spędzanej w ciepłym, za to szurszącym dużymi czarnymi karaluchami Podkomorzynku. Przy świecy. To teraz przypominał się średniowieczny Mediolan, ale równie dobrze mogłyby mnie nawiedzić inne powieści, cały zbiór motywów dziewiętnastowiecznej literatury, tłumaczonych, przerabianych, skracanych na doraźny użytek.

Na plaży czytam wewnątrzniemiecką dyskusję o historii Niemiec i odpowiedzialności za zbrodnie 1933-1945. Oni są niezdolni widzieć siebie z zewnątrz, oczami nie--Niemców. Dlatego ciągle pytanie: jak to było możliwe. Ale gdyby wcielili się na chwilę w Polaków albo Rosjan (czemu przeszkadza im brak wyobraźni), wiele by zro-

110

zumieli. Bo hitleryzm nie był tak znowu wyraźną cezurą. Wcześniej niż on i później niż on rządzi nimi przeciwieństwo: czyste-brudne, porządne-nieporządne, jasne-ciemne, wysokie-niskie, kulturalne-barbarzyńskie. Na granicy wschodniej Niemiec zaczynał się ten drugi człon przeciwieństwa. I nawet „ostateczne rozwiązanie” musiało poczynać się z ich wstępu do Żydów polskich, czyli wschodnich.

3 XI 1987

„Ponieważ znamy jedynie namiętności innych ludzi, a czego dowiadujemy się o własnych, tylko od nich mogliśmy się nauczyć” (Du cbte de chez Swann, I, sam tłumaczę).

Trzeba łuskać jak cebulę, jedną warstwę po drugiej, żeby dobrać się do własnych snobizmów. Pokonując własny opór, który zabrania przyznać się, że znalezione się w towarzystwie pewnych osób było przez nas pożądane, ponieważ nadawało nam wyższy status. Winogrona uznaje się za kwaśne, ponieważ są za wysoko - phi, co mi po bywaniu u X. albo u Y. - ale jaka radość, jeżeli zaproszą.

Tropienie własnych nie wyznanych namiętności. Tylko że, niestety, nie były one ważne, chyba jako temat zwykłej ludzkiej komedii.

4 XI 1987

Wróć do tego, tymczasem o prawdzie. Co się dzieje, jeżeli stoimy przed wyborem: albo prawda, albo życie? Istnieją całe obszary w dziejach poszczególnych osób i całych społeczeństw, starannie na co dzień omijane albo takie, do których zbliżamy się ostrożnie, na palcach. I zwykle nawet zagładnięcie w prawdę kończy się wycofaniem, bo trzeba się jakoś wewnętrznie urządzić... Pełne przyjęcie prawdy prowadzi do samobójstwa. Na przykład ktoś odkrywa prawdę o swojej aferze miłosnej, dajmy na to

,111

o niewierności kochanki, i strzela się. Prawda jest czymś dobrym, kompromis nędźnym? Ale założmy, że ten ktoś przeżywa i później zdumiewa się błahością powodu. Powstaje wtedy pytanie o wagę dwóch prawd, tej pierwszej i tej drugiej. „Życie zwyciężyło”. Nie jest to ostateczny argument. Aforyzm Lwa Szestowa:

„Być może prawda jest z natury taka, że uniemożliwia obcowanie ludzi z ludźmi, w każdym razie obcowanie za pośrednictwem słów. Każdy może ją znać dla siebie, ale po to, żeby wejść w związki



z bliźnimi, musi wyrzec się prawdy i przyjąć jakiegokolwiek umowne kłamstwo" (Predposlednije słowa, 1911).

/ Wiosna 1945 roku w Krakowie. Mieszkaliśmy wtedy k Brezami przy ul. Św. Tomasza. Równoległe z ponurym 'widokiem wędrówki ludów odbywały się teatralne premiery, rządowe przyjęcia itd. I ważne było, kto dostał zaproszenie, a kto nie. Byłoby to obojętne, ale tu Breza, on zaproszony, ja nie zaproszony i trzeba przyznać się szczerze, cierpiałem. Polecam ten szczegół użyteczny dla zrozumienia związków między rządami a literaturą.

Dr Wikta Winnicka przed swoją samobójczą śmiercią spaliła ogromny zbiór listów Tuwima do niej, bo jej zdaniem kompromitował poetę cierpiącego na przesadną miłość do Moskwy. Opowiadała mi, że raz Tuwim z przejęciem i dumą mówił o zaproszeniu do prezydenta Bieruta. Na to Wikta: „Wstydzilibyś się, Julek, jaki prezydent, drobny agenciak, a ty wielki poeta, ty jemu robisz łaskę, nie on tobie”.

Z dumą mogę o sobie powiedzieć, że dbałem o gospodarstwo polskiej poezji i w tym sensie byłem patriotą. Ale niechby ktoś neutralny, z zewnątrz, spróbował wczuć się w stan umysłu poety, który ma jasną świadomość tego, co dzieje się z jego krajem, a tym samym, potencjalnie, z jego językiem, w 1945 roku. Drobni agenci jak Bierut, mianowani z zewnątrz, choć co prawda od osiemnastego wieku to terytorium było dojrzałe do agentów z zewnątrz.

112

Mandelsztam w 1945 roku już nie żył. Przykład poety zajętego fanatycznie gospodarstwem rosyjskiej poezji. Wiele wierszy Mandelsztama o jego poprzednikach, zasłużonych, torujących drogi. Tudzież jego patriotyzm imperialny sięgający dalej niż Rosja. „Wtedy, kiedy dzieci całego świata będą uczyć się po rosyjsku”. Napisał to w jednym ze swoich esejów. I czyż w 1914 roku nie oburzali go strielki, czyli legionści Piłsudskiego, z ich głupią ideą oderwania Polski od Rosji, aż wiersz temu poświęcił?

Narody robią z nas, poetów, użytek. Nawet po tym, kiedy nas zabijają albo skazują na wygnanie. Ale jaka różnica pomiędzy poetą małego języka i małego narodu, polskim, i poetą rosyjskim! Co mogłem, co mogę, co będę mógł?

5 XI 1987

Wczoraj objazd wyspy Oahu. Niektóre zakątki oplecio- » ne tropikalną bujnością, zachwycające, porównuję z Gwa- I delupą. Ogrody botaniczne koło wodospadu, radość oczu i zamyślenie nad grzecznym tłumkiem turystów, białoskórych i jasnowłosych, wśród których ja, nie wiadomo czemu. Ten park ma cechy i ogrodu botanicznego, i skansenu. Tańce hula-hula w nieporadnym wykonaniu miejscowej młodzieży. Przez czterdzieści lat, jak słyszę, hula--hula były zabronione, i rozumiem czemu: są to tańczone recytacje wierszowanych sag i plemiennych legend. Może zresztą dlatego, że biali widzieli w nich tylko kręcenie biodrami. Zapytałem wykonawców, czy mówią po hawaj-sku. Nie, tyle tylko, żeby recytować tańcząc. Od starej kobiety „urzędującej” w tym skansenie, która mówi, pisze i czyta po hawajsku, dowiedziałem się, że takich jak ona jest na wyspach osób sześćset. Ale język już wykładają w szkołach. W Prowansji, bodaj czy nie do II wojny światowej, karano dzieci, jeżeli mówiły między sobą po prowansalsku.

Świadomość bywa używana do zabiegów zażegnującej

113

magii. Wygląda to mniej więcej tak: jestem świadomy swojej starości i znalezienia się na linii ostrzału, skoro moi rówieśnicy umierają jeden po drugim. Ponieważ jednak jestem świadomy, ja akurat wypadnę z serii. Logicznie to nie ma sensu, ale dowodzi odruchowego przeciwstawienia umysłu prawom nieuniknionej powtarzalności.

Richard ma swoją teorię długiego życia. Według niego jest sprawiedliwe, żeby tacy jak on i ja, z entuzjazmem żarłoków i smakoszków, żyli długo, a ci, którzy nie mają z życia wiele przyjemności, krótko. Taka teoria wydaje się dobra, ale tylko dopóki nasz organizm pracuje bez zarzutu.

Sprawdzianem jest tytoń i alkohol. Kiedy paliłem, najlżejsza przypadłość, katar na przykład, odbierała chęć papierosa, ale także odbierała chęć pisania. Alkohol mniej tu miarodajny, ale naprawdę smakować zimną wódkę umie tylko organizm zdrowy.

^ Picie, często do lustra, było dla mnie zbyt ważne, żebym mógł je w pamiętniku pominąć.

Widocznie jednak piłem mniej niż Jerzy Andrzejewski, który dość wcześnie zachorował na marskość wątroby, podczas kiedy moja wątroba czysta. Jakby triumf: punkt dla mnie. Jak też niskie triumfy przeżycia kolegów o rok, o kilka lat.

Niestety, główny pożytek z tych not jest negatywny. To znaczy pozwalają przekonać się, że prawda w nich nie mieszka. Cezanne powiedział: „Le monde, c'est terrible”, ale mój stosunek do świata ma jeszcze więcej horroru, wstrętu, litości. A równocześnie zawsze pękałem ze śmiechu, bo widowisko ludzkie było niedorzeczną bajką i groteską. I język nie dostarczał żadnych środków na wyrażenie tych skrajności, tak jak nie dostarczał słów dla prawdziwego zachwytu.

7 XI 1987

Wróciwszy do Berkeley, zastałem list Czapskiego, odpowiedź na mój telefon do niego, w którym dziękowałem mu za pamięć o zamordowanych ludziach w Souvenirs de

114

Starobielsk. List wielki. Napisany dużymi kulfonami przez człowieka prawie ślepego:

„Może to jedyny sposób reakcji - powiedzieć, napisać zaraz. Powiedziałeś mi, że zrobiłem ważną rzecz, że przywróciłem do życia ludzi, o których niewiele kto wie, i ja niewiele co wiem. Ten staruszek ze Lwowa on chciał tak mało - we Lwowie umrzeć. Odjeżdżał co dzień w czapce i płaszczu z paczką swoich skarbów na kolanach. Co dzień tak czekał, aż go zabrali... nie do Lwowa. Ten młody nauczyciel, który nas zaklinał przed wyjazdem, żebyśmy język polski bronili, to nasze całe bogactwo. A ja mam myśli złe (?) - co im przyjdzie po naszych słowach? Czy zmartwychwstanie żywot wieczny? Amen. Mój ojciec ożenił się po śmierci mojej matki z Rosjanką, już niemłodą, i z nią jeszcze kilkadziesiąt lat przeżył. Dzień po pogrzebie na cmentarzu, blisko domu, poszedłem z nią na grób ojca. Dżdżyste chłodne lato, śliskie błoto, koło pagórka grobu ławeczka... Ona ciągle płakała i naraz spytała mnie: Ty wierzysz? Ty wierzysz czto on żyw? Czto on gdzie to jest? Prawie z krzykiem: Niet, niet! Eto liudi wydumali! Potomu czto sliszkom trudno żyt! Ten jęk-krzyk do dziś pamiętam. Ten kruchy staruszek, ten młody nauczyciel doczekali się kuli z tyłu czaszki i śliskiego dołu już pełnego. Myśmy ich śmierci tyle razy zapisywali, opisywali, i dyskutowali, ile trupów, gdzie, i mnie się zdawało, że zapominaliśmy ich za stosami zapisanego drukowanego papieru. Jedna zbrodnia wśród milionów innych... (nieczytelne) po co Ci to piszę, wiesz nie gorzej ode mnie, znasz »diabelski wodewil«.

Kiedy Bierut (Berman?) czy jego następcą u Ojca Narodów dopominał się o swoich zaginionych pięciu komunistów; kiedy za każdym razem Ojciec Narodów wzdychał, udawał, że telefonuje, budiem loma! dyrektorów więzień, że ich nie wypuszczają - po ostatnim pożegnaniu wyprowadzający go Beria nie wytrzymał: Otjebities' od waszych komunistowl — powiedział". Czapski załącza swój artykuł w „Tygodniku Powszechnym”, gdzie znajduje: ....., że nie potrafiłem, jak to zrobił

115

Goya, jak to zrobił Soutine i tylu innych na świecie malarzy, wzruszyć moim malarstwem i wyrazić najciemniejszą stronę istnienia: nieustanne i powszechne cierpienie".

W podyktowanej sekretarce części listu:

„Temat krzyku w literaturze zawsze mnie obchodził i nawet moi najbliżsi tutaj, jak Wojtek Karpiński i paru innych, są tacy klasycy, że krzyku nie znoszą i są przekonani, że to musi być zła literatura. Jestem przekonany, że nawet największy krzyk może być literaturą, jeżeli człowieka na to stać i dlatego uważam moje malarstwo za pół--porażkę”.

A moja poezja? Chciałem krzyczeć, ale równocześnie wiedziałem, że krzyk jest nieskuteczny.

Czując się winien, że nie krzyczę.

8 XI 1987

/ Chciałbym przeczytać powieść o dwudziestym wieku, / nie jedną z przypowieści, w których sprawy ludzi ukazują / się poprzez metaforę, ale powieść, a więc raport o wielu ' postaciach oraz ich działaniach. Musiałaby to być powieść międzynarodowa, skoro stulecie jest międzynarodowe, mimo rozkwitu przeróżnych nacjonalizmów. Takiej powieści nie znajduję, czyli trzeba byłoby ją dopiero napisać - i ciekaw jestem, czy w tej chwili jest gdzieś ktoś, kto czuje się na siłach, żeby ją stworzyć. Modne ostatnio techniki narracji - w pierwszej osobie i o sobie - są przeszkodą.

Musiałyby to być panorama poprzez postacie wydelegowane - jak Czarodziejska góra Tomasza Manna. I bohaterowie nie powinni być przeciętni, szarzy, przeciwnie, modeli dostarczyłyby osobowości barwne i wybitne, których nie brak. Jako miejsce akcji wybrałbym Rzym, albo klasztor, taki jak na przykład Our Lady of Gethsemani w Kentucky, dokąd przyjeżdżali ludzie najrozmaitszych zawodów i poglądów, żeby odwiedzać Tomasza Mertona. Sam Tomasz Merton, z jego sprzecznymi chęciami, mógłby w powieści występować nie tylko dyskutując o filozofii

116

Dunsa Szkota z Maritainem (który też go odwiedzał), również miotając się politycznie. W Rzymie niepoślednim modelem byłby kardynał Poupard. Jego poglądy na stan wiary katolików, zwłaszcza kleru, które w towarzystwie wykladał, były tak beznadziejne, że aż mnie zrobiło się nieswojo. Z filozofów mógłby w Rzymie albo w Gethsemani wystąpić ktoś wzorowany na Leszku Kołakowskim. Pojawiłby się też sławny pisarz, przypuszczalnie ulepiony z kilku sławnych nazwisk i potraktowany niezbyt życzliwie - bo któż, jeżeli nie pisarze, dawał się łatwo uwodzić głupawym ideologom i wiódł prym następnie w uwodzeniu umysłów?

Dzieło nie ograniczałoby się do zderzeń poglądów i postaw, choć spór Naphta - Settembrini u Tomasza Manna odrodziłby się w nowym kształcie. Nie obyłoby się bez romansu, czyli należałoby wprowadzić kobiety. Tutaj kłopot, bo dlaczego żeńska połowa protagonistów miałaby być dobra tylko do łóżka? Ale gdzie są te wybitne intelektualnie kobiety stulecia, zdolne poruszyć wyobraźnię kronikarza? Niewątpliwie najgłośniejsza spośród nich, Simone de Beauvoir, nie przynosi chluby amazonkom feminizmu i im prędzej ulegnie zapomnieniu, tym lepiej. Nie nadaje się na model, bo za niski kaliber, a nie chodziłoby przecież o satyrę. Kiedy wydała powieść Mandaryni, plotkarską, „z kluczem” i na miarę prowincjonalnego Paryża, zapytałem Alberta Camusa, czy zamierza odpowiedzieć. Wzruszył ramionami: „Nie odpowiada się na rynsztok”. Miał rację.

Dwie wybitne kobiety, obie filozofki: Hannah Arendt i Jeanne Hersch. Zasługiwałyby na wprowadzenie, łącznie z mistrzem ich obu, Karlem Jasperssem, a być może, w tle, z wcale nie niewinnym ideologicznie Heideggerem. Hannę Arendt poznałem przez Jeanne w Paryżu, jedliśmy razem obiad. Ale musiałyby się nimi zająć im współczesne pióro, tymczasem Hannah Arendt nie żyje, natomiast ja nigdy nawet nie próbowałem narysować portretu Jeanne.

Tak więc powieść z życia wyższych umysłowo sfer, z międzynarodowych zjazdów w rodzaju „Rencontres de

117

Geneve”, z seminariów papieskich, na które zapraszano też niekatolików, jak Jeanne i Leszek, czy z obrzeży Watykanu. Tak czy owak za swój przywilej uważam, że mogę snuć takie fantazje, bo poznałem w tym stuleciu niemało znakomitości, wśród których byli też ci, o których myślę jako o mądrych i szlachetnych.

9 XI 1987

/Czarodziejska góra Tomasza Manna wcześniej, w moich latach studenckich, weszła w pole mojej wyobraźni i pewnie dlatego wyznaczyła kierunek mojego myślenia o powieści w ogóle. Obrastała też w różne utożsamienia. Moje z Hanssem Castorpem: Kławię Chauchat wyobrażałem sobie jako J. W., później, nieprędko, dowiedziałem się, że młody Georg Lukacs częściowo ukazuje się pod postacią Naphty, a Hauptmann - pod postacią Peeperkorna.

Wypadło też tak, że Kalifornia stała się siedzibą rodziny Mannów na emigracji. Tutaj, o parę mil ode mnie, do niedawna mieszkała wdowa po Tomaszu, a moim kolegą, profesorem na Wydziale Germanistyki był syn, Michał Mann. Czyli niemiecka kolonia w Berkeley, z którą miałem niejaki kontakty przez Artura. Pani Mann powierzyła Arturowi opracowanie not wydawniczych do korespondencji Tomasza. Należący do kolonii niemieckiej doktor Zwang odegrał ważną rolę w życiu mojej rodziny. Pierwsza diagnoza choroby Janki brzmiała: Amyotropic kiteral sclerosis (ALS), czyli choroba nieuleczalna, paraliż nerwów motorcznych - ggarniaiacv 'stopniowo całe ciało,. Parę miesięcy po tej diagnozie zupełnym paraliżu nóg dr Zwang, sprowadzony za radą Artura, orzekł, że to nonsens, co potwierdziły badania w uniwersyteckim szpitalu w San Francisco i natychmiast zrobiona operacja. Wytoczony przeze mnie lekarzom Kaisera proces o błąd w sztuce lekarskiej (ALS zamiast guza w kręgosłupie) trwał około dwóch lat, ale zakończył się naszą

wygraną. Wreszcie, żeby należycie mieszać życie i literaturę, muszę wspomnieć

118

o pozbywaniu się tożsamości z bohaterami Czarodziejskiej góry w miarę przybywania lat. Gdzież tam młodzik Hans. Ale i moje fanatyczne zaciekleści dawno wywietrzały, tak że nie sprzyjam Naphcie. Co mi zostaje, to chyba stary, bogaty Holender Peeperkorn odwiedzający niekiedy w sanatorium swoją kochankę Kławdię (a być może zabierający ją niekiedy na tropikalne wyspy?). Niezależnie jednak od postaci, trwałość ukazuje to, co nazwałbym ukształtowaniem przestrzeni pomiędzy osobami i chyba hipotetyczną powieść o dwudziestym wieku sam bym podobnie ukształtował.

11 XI 1987

Podtrzymywało mnie latami zaangażowanie w gospodarstwo nie tylko polskiej poezji, bo całego polskiego piśmiennictwa, czyli śledziłem intelektualne przemiany odbywające się w ciągu dekad. Czytając dużo w kilku językach, pierwszeństwo dawałem polskim lekturom, dlatego że były najciekawsze. Działo się to, co teoretycznie rzecz biorąc zdawało się niemożliwe. Kraj niewolny bogaciej owocował kulturalnie niż wiele krajów pierwszego rzędu, pojawiały się coraz bystrzejsze pokolenia, a czynna współzależność kraju i emigracji pokonywała zamknięcie. Rzadkie energie, talenty, chłonność, zdolność improwizacji - przy znanej mizerii codziennego bytowania, nacjonalistycznych gorączkach i policyjnym upodleniu, rodzaj wyścigu pomiędzy siłą ciągnącą w górę i ciągnącą w dół. Krucho istnienie, stale na granicy ostatecznego rozpadu. I zawsze, z uporem utrzymywałem przekonanie, że jesteśmy, my z tamtej Europy, bardziej żywotni niż Zachód, a także wschodni monolit. Czyli to, co wreszcie zaczęto określać jako Europę Środkową.

Polscy poeci. Najtrudniejszy jako przedmiot wykładu byłby chyba Gałczyński. Nieprzetłumaczalny, więc prawie nie próbowałem. Ale najtrudniejszy chyba dlatego, że nasuwa wiele pytań bez odpowiedzi. Jakich ukrytych zasobów potrzeba krajowi, żeby wydał poetę tak „zmyśl-

119

nego"? Tak wielobarwnego przybysza z jakichś podziemnych pieczar, kuglarza i kobolda?

Wikta Winnicka, która przez dłuższy czas pracowała w Organizacji Zdrowia Narodów Zjednoczonych w Genewie, opowiadała mi, że raz wszedłszy do pokoju jednego z wysokich urzędników, angielskiego arystokraty (Bur-tona?), zobaczyła na jego biurku fotografię i nie mogła uwierzyć, że zna tę twarz, bo skąd by Gałczyński na biurku Anglika? Potwierdził. Był razem z Konstantym w niemieckiej niewoli- „Najbardziej niezwykły człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem”.

Pisałem o Gałczyńskim, ale teraz mam dodatkową hipotezę. Niezbyt pokrewną przyjętej na ogół hipotezie o jego amoralności, tj. piórze łatwo sprzedajnym. Gałczyński był tym z polskich literatów, którzy w młodym wieku otarli się o Rosję i rosyjskich poetów czytali w oryginale. Jak Iwaszkiewicz, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Wierzyński. Później, wśród o wiele młodszych, Tadeusz Borowski. Otóż Gałczyński, mimo słabości do wierszy Aleksandra Błoka, był z gruntu nierosyjski, nie-apokaliptyczny, nie--historiozoficzno-tragiczny, mimo pobytu w Moskwie w latach I wojny, które zaraziły się taką rosyjskością sprzyjały. Zarazem nie był wcale tknięty etosem dwudziestego wieku, nakazującym poecie negację. Różne odmiany negacji - niewystarczalność świata, wstręt do burżuazji, bunt przeciwko regułom języka itd. - pojawiają się w różnych wcieleniach modernizmu, również w polskich awangardach, ale Gałczyńskiemu były obce. Można to tłumaczyć „radością z odzyskania własnego śmietnika”, żywą wtedy w jego młodości, albo, czy też również, świadomym zwróceniem się przeciwko obyczajowi nowoczesnej sztuki, jakby przyrzekł sobie, że nie będzie nigdy poetą wywrotowym. Jego łączność z „Kwadrygą” w 1929 i 1930 roku była dość luźna. Wątpię, czy był wśród kwadryżan, kiedy przyjechali do Iwaszkiewicza na Stawisko, żeby mu nawymyślać za jego burżuazyjność (wtedy i Sebyła był jeszcze na lewicy). Za kluczową dla całej twórczości Gałczyńskiego uważam Pieśń cherubińską z 1930 roku.

Aprobata rzeczywistości jest

120

w niej ta sama i niemal tymi samymi słowami wyrażona, co później w wierszach na chwałę Polski Ludowej.

Komunizm dla poezji dwudziestego wieku był spełnionym marzeniem o pozbyciu się grymasu upadłych aniołów i przejściu w krainę pełnej afirmacji, czyli, rzekłby Milan Kundera, który nadawał temu słowu szczególne znaczenie, kiczu. Ale nie dla Gałczyńskiego, skoro on zawsze aprobował, tyle że nastąpiła znakomita konwergencja jego najbardziej własnych upodobań i publicznej chwalby, którą umiał posługiwać się mistrzowsko. Wydaje mi się, że Gałczyński naprawdę uwierzył, choć nie tak jak ci, którzy nawracali się przeciwko sobie, żeby od siebie dawnych wyzwolić się na ziemi już obmytej z alienacji. Ta ziemia ofiarowana przez nowy ustrój była zgodna w swojej retoryce ze stylistyką, którą wybrał wcześniej, czyli nie Mahomet przyszedł do góry, ale góra do Mahometa. Oczywiście, lubił pieniądze, ale trudno sobie wyobrazić, żeby pisał śmiejąc się diabelsko ze swoich przewrotnych sztuczek.

Jest co prawda jeden wiersz, w którym można podejrzewać więcej świadomości, niż autor odsłania. Poemat dla zdrajcy z 1951 roku, mający za przedmiot moją ucieczkę, niewątpliwie daje upust nastrojom całego warszawskiego partyjno-literackiego środowiska, jego zupełnej konsternacji, jako że był to pierwszy wyłom. Wkrótce nastąpił drugi, samobójstwo Borowskiego. Ale wiersz świadczy też, że Gałczyński naprawdę był wstrząśnięty:

Uch, przebolełam ja tę sprawę, jakby mnie batem bili, klnę się na matkę i Warszawę, że mnie to jeszcze boli.

Poemat dla zdrajcy jest egzorcyzmem. Posługuje się też wszelkimi chwytami patriotycznej demagogii: niech tam sobie za granicą Palerma i Taorminy, a u nas pięknie, Wisła i dęby, sikorki i dziecióły; zdrajca, który „zamienił Polskę na walizkę”, będzie ukarany, bo tylko w Polsce można pisać wiersze, a kto wyemigruje, skaże się na bezpłodność.

121

Oto nasza  
myśl szopenowska -  
oto nasza  
warta stalinowska.

Truman światła  
nie zgasi nam.

„Ale dlaczego, panie Czesławie - zapytał po przeczytaniu wiersza Stanisław Vincenz - dlaczego on pana umieszcza w Rawennie?”

Okiem zdrajcy patrzysz na Rawennę na mozaik kamyczki promienne...

„Przecież Rawenna to Dante, a Dante to patron poetów-exulów. On zdaje się do pana mrugać”.

Vincenz wiedział, że egzorcyzm, choć kiczowaty, na mnie działa, chciał mnie więc pocieszyć.

Niemniej coś jest w tej Rawennie. Choć interpretuję to inaczej niż mrugnięcie. Wiersz rozwija

pewną argumentację, żeby poprzeć przekleństwo rzucone na zbiega. Wobec kogo zbieg jest

zdrajcą? Czy wobec kraju, czy wobec narzuconych z zewnątrz rządów? Żeby wzmocnić,

wprowadzony jest Kochanowski (jeździł za granicę, ale wracał). Inteligencja Gałczyńskiego

podsuwa mu nagle myśl o Dantem: przecież jeden z największych europejskich poetów był exulem

i nie uznawał rządu Florencji. Może Miłosz potrafi skorzystać z wolności, której w Polsce nie ma?

Nie, to niemożliwe, nie potrafi:

A tyś myślał, że ci będzie lepiej,

a tyś myślał, że lutnia to sklepik,

z którym można koczować przez bruki.

Czyli tym razem trzeba już egzorcyzmować swoją wątpliwość.

Domyślać się mogę, że Gałczyński przywiązywał wagę do mojej poezji i dlatego go tak to

wydarzenie obeszło, choć jak głęboko, nie wiemy. Nie wiemy też, czy nie przeżył kiedyś nagłego

wstrząsu, uświadamiając sobie, że za daleko zabrnął. Musi pozostać zagadką świadectwo usłyszane przeze mnie w Paryżu.

122

Opowiadał mi mianowicie rzeźbiarz Karny, że został wezwany, zaraz po nagłej śmierci

Gałczyńskiego w grudniu 1953 roku, do zrobienia jego maski pośmiertnej. Na szyi zobaczył czarną pręgę, która jego zdaniem mogła pochodzić tylko od sznura. Fakt, że Gałczyński powiesił się, został

starannie i z powodzeniem zatajony, a jako powód śmierci podano atak serca.

Karny nie miałby chyba powodu, żeby wyssać z palca taką wiadomość. Chociaż zdrada Gałczyńskiego mogła skłaniać opinię patriotyczną do schematu winy i kary. Ponieważ był jedynym bodaj świadkiem, a nikomu z rodziny nie zależało na odsłonięciu tajemnicy, wersja Karnego nie może być sprawdzona, chyba że pozostanie po nim raport-testament. Naprawdę nie wiem, co o niej sądzić, choć gdyby okazała się prawdziwa, potwierdziłaby zdanie Anglika o „najbardziej niezwykłym człowieku”, jakiego zdarzyło mu się spotkać.

Dodać muszę, że Gałczyński był wyjątkowo skomplikowany i skryty, tak że wszelkie analizy jego osobowości, łącznie z moją analizą, są zawodne. Na przykład ukrywał swoją ogromną erudycję. Rzadko tylko coś z niej pokazał, np. że umiał na pamięć wiele wierszy w różnych językach, Horacego, Rilkego, Anglików, Rosjan.

Powojenny wiersz Gałczyńskiego ma dwa główne chwytły: pochwałę codzienności; katalogi nazwisk artystów, którzy „są z nami”: Horacy, Wergili, Bach, Beethoven, Brahms, Chopin, Kochanowski, Stwosch etc, a którzy na pewno nie zaprotestują. Razem: życie jest piękne, radosne i kulturalne. Ale ten ton radosny jest ciekawy przez całkowite usunięcie wewnętrznych walk Gałczyńskiego, które przecież istniały i które dają znać o sobie w Notatkach z nieudanych rekolekcji paryskich z 1946 roku - a potem już nie pojawiają się na powierzchni. Musiał jednak pamiętać swoją modlitwę:

Przebacz, Panie, za duży wiatr na moją wełnę; ach, odsuń swoją straszną pełnię, powstrzymaj flukty w oceanie.

123

Poetę mierzy się tym, co u niego najlepsze, nie tym, co najgorsze. Zarzutu, że pomniejszam Gałczyńskiego, nie przyjmuję. O pięknie jego poezji pisałem gdzie indziej, stawiając ją wyżej niż wszelkie jemu współczesne awangardy. Jedno z jego szczytowych osiągnięć, przedwojenny Bal u Salomona, oswaja ówczesne apokaliptyczne nastroje (w przeciwieństwie do Balu w operze Tuwima), przenosząc je w sferę snu.

Dostałem list od J.W., w którym pisze:

„Derek B. był dla Ciebie bliskim człowiekiem, ale to był człowiek małego formatu, nie zrozumiał, że przeszedł czas miłej swojskości, tutejszości, tego, jak go nazwałeś »zadu-pia«, powinien był zrozumieć, że czas był na to, aby powziąć męską decyzję i stanąć po stronie przegranej, miał zresztą kilka dróg do wyboru, a wybrał najgorszą. Może jestem wobec niego niesprawiedliwa? Nie wyobrażam sobie jednak Ciebie piszącego takie okropieństwa”. Wtedy, tj. w 1940.

Po niemal pół wieku stara kobieta i stary mężczyzna nadal dumają o swoim Wilnie i ówczesnych ludziach--cieniach. Żeby nie zrobić takiego wyboru jak Derek, uciekłem „na zieloną”, a dziś pamiętam ówczesne obrady: iść czy nie, ryzyko duże. Leszek Bortkiewicz i jego żona orzekli, że za duże. Zostali. On wziął posadę wykładowcy marksizmu na kursach robotniczych, a kiedy weszli Niemcy, podał się za Białorusina i odzyskał swój majątek, gdzieś koło Dżisny. Chodził z nahajem i groził chłopom: „ja wam teraz pokażę komunizm”. Partyzanci zabili go strzelając przez okno, kiedy siedział przy kolacji.

Moim bodźcem i sekretem mojej energii była, nie ma co ukrywać, miłość, a stan mój w ciągu wielu miesięcy określiłbym jako niezbyt przytomny i „mediumiczny”. Jeżeli przyznaję się do nierozumienia wielu moich wierszy podyktowanych przez dajmoniona, to powinienem też uznać jego niepodzielne władanie całymi okresami życia, które tylko ex post ukazują swoją dziwną logikę, natomiast co mnie naprawdę często popychało do postąpienia tak czy inaczej, było niejasne.

124

Długo niepokoiło mnie pytanie, kiedy w Wilnie umilkły dzwony. Zapytałem J.W., nie wiedziała. Zwróciła się do wielu wilnian, ustnie i listownie. Nikt nie umiał udzielić odpowiedzi. Może zamilkły stopniowo? Może zamiast grać z czterdziestu kościołów, grało ich coraz to mniej? Czy też umilkły jednego dnia wskutek zakazu? Czy zdjęły je czyjeś ręce, i czyje?

Niektóre ulice zachowują swój koloryt i ton, kremowość murów, skośne linie cienia. Tak ulica, którą często przechodziłem, prowadząca od Portowej do Mickiewicza i Łukiszek. Męczyło mnie, że nie mogę sobie przypomnieć jej nazwy. I dopiero w Przewodniku po Wilnie Zahorskiego, chyba z

1928 roku, znalazłem na planie miasta: Styczniowa.

14 XI 1987

Przeszłość. Ależ ona jest terażniejszością, czyli i to, co przeżyte dziesiątki lat temu i wczoraj ukazuje się równocześnie. Obrazy w umyśle tonącego.

Ludzie zawsze zdawali mi się jednego dnia nieskończenie mądrzejsi ode mnie, następnego - nieskończenie głębsi. I trudno było zdecydować, jak to naprawdę z nimi. W każdym razie moje osamotnienie w Berkeley miało przyczynę w mojej ujemnej ocenie amerykańskich liberałów, a wszyscy ci, którzy mogliby zostać moimi przyjaciółmi, mieli te hasła zakodowane w umyśle. Nie znaczy to, że znalazłbym zrozumienie u konserwatystów. Po prostu, czy oceniałem mieszkańców Berkeley wysoko czy nisko, w jednym czułem się wyższy, a to przez nie dające zamknąć się w słowach doświadczenie.

Z tego też powodu dopuszczam myśl, że centrum cywilizacji przesunie się na wschód. Do Sochaczewa? Do Wilna? Do Kijowa? Nie wiem. Może to dokonać się bardzo nieprędko. Na przykład pięćdziesiąt lat po mojej śmierci. I tak samo jak waham się pomiędzy uznaniem ludzi za nieskończenie mądrzejszych i nieskończenie głębszych, jednego dnia wcale nie żałuję, że nie będzie mi dane

125

dalszych skurczów i rozkurczów historii oglądać, a następnego bardzo mi żal. 4 Wczoraj wizyta milej pary z Polski i wywiad dla f „Tygodnika Mazowsze”. Jedyne przy takich spotkaniach / dowiaduję się, że jestem wieszczem. To znaczy niby to wiem, że tam na takiego mnie pasują, ale jest to wiedza teoretyczna, która rozwiewa się wobec mojego sposobu życia tutaj, niczym nie jest tu odżywiana. I chyba to dobrze. Moi rozmówcy pytają mnie, czy zdaję sobie sprawę, kim jestem tam i jak sam odnoszę się do tej roli. Odpowiadam, że powinni zrozumieć moją podwójność. Kiedy czytam wiersze po angielsku na amerykańskich kampusach i panuję nad sześciuset- czy tysiącosobową publicznością, nie są to te same wiersze, które tam mnie koronują na wieszczka, ze względu na różnicę języka i treści. Bo jednak publiczność polska szuka przede wszystkim ideologicznego przesłania. Nie zarzekam się, ciśnienia historyczne wiele ze mnie głosów wydobyły i mógłbym dla tamtej publiczności dobrać zestaw nie najgorszy artystycznie, ale myślę, że trudniejsze treściowo wiersze (np. z aluzją do sporu o uniwersalia) więcej znajdują zwolenników tutaj. Może się mylę. Nierównomierność umysłowego rozwoju grup społecznych, miast, prowincji, także pokoleń utrudnia sąd. Moje doświadczenia: wiersze, które np. w 1937 były rozumiane przez pięć osób, bo wrażliwość czytelnika reagowała na starsze wzory, w miarę upływu czasu wydają się proste jak ze szkolnej czytanki. A wygląda na to, że młode pokolenia tam są coraz bardziej rozgarnięte, choć dlatego, jak to się odbywa przy niskiej społecznie pozycji nauczycielstwa, nie pojmuję.

Moi rówieśnicy twierdzą, że do litewskiej młodzieży też to się stosuje, jak również do rosyjskiej. I są optymistyczni, bo powoli, z roku na rok, wbrew woli rządzących „idzie nowe”.

126

15 XI 1987

Deszcze przeszły, znów klarowne dni, choć bez chłodu. Przeczytałem powieściopisarza Williama Gassa opis wycieczki pisarzy amerykańskich na spotkanie z pisarzami sowieckimi w mieście Vilnius. Zresztą o tym spotkaniu słyszałem już ustnie od Artura Millera i Allena Ginsberga. Amerykanie chodzili po tym mieście nic nie mogąc wiedzieć o innym, które tutaj było, ale minęło, zastąpione przez nowe, mimo tej samej architektury. Tak przecież tolerancyjni, zostali skutecznie obrzydzeni przez drętwą mowę Rosjan, tym bardziej że porównywali ją z żywością i swobodą chińskich pisarzy podczas dwóch spotkań amerykańsko-chińskich. Za to teatr litewski ich zupełnie podbił. A ja, dowiadując się od Gassa nazwisk zespołu, poczułem się pokrzepiony w mojej patriotycznej dumie, bo przecież to ciągle nasi ludzie, czy mówiący po polsku, jak pewnie ich rodzice, czy po litewsku. Reżyser Nekrošius nigdy nie był dla Gassa, jak dla mnie, Niekraszem. Pan Czesław Niekrasz kochał się w mojej matce, jego imieniem zostałem nazwany. (Po I wojnie pan Cześ Niekrasz zastrzelił się.) Autor inscenizacji Kanovičius czy scenograf Jackovskis nie zachowali dla Gassa swojej podwójności jako Kanowicz i Jackowski.

Myślę o Studiu Teatralnym Ireny Byrskiej w Wilnie i nazwiskach jej uczniów. Gdyby przeżyli i zostali w Wilnie? Nie wiem jednak, gdzie podział się najzdolniejszy chyba, Mrongovius. Szablowska miała gruźlicę. Bulsiewicz zginął pod Monte Cassino.

Największa chyba trudność dla pisarza-emigranta z naszej części Europy polega na braku odniesienia do znanej .czytelnikom geografii i historii. Daniło Kiś, sam węgiersko--serbski, uważa, że Rosjanie, np. Nabokov, są w sytuacji o wiele lepszej, bo wielka literatura rosyjska jest powszechnie znana, więc są umieszczani na jej tle, tak że i obszar geograficzny, i ich przeszłość nie muszą być budowane od początku.

Gdyby to tylko Polska, to jeszcze pół biedy. Ale Wilno i wszelkie zawilości narodowościowe! Z uporem posuwa-

127

łem się przeciwko prądowi i moje książki, takie jak Rodzinna Europa czy Zaczynając od moich ulic, czy wreszcie Rozmowy z Miłoszem, no i Dolina Issy, tłumaczone na inne języki, w jakiś sposób zakreślały terytorium dotychczas nieobecne na mapach światowej literatury.

Dowiedziałem się o śmierci Ludwika Śliwińskiego. Niepojęte, że ta śmierć może być abstrakcją. Byliśmy nierozłączni w niższych klasach u Zygmunta Augusta. Odprowadzaliśmy się wzajemnie, nie mogąc się rozstać. Mieszkał koło Zakrętu, czyli od szkoły Małą Pohulanką, a od niego do mnie w dół ulicą Sierakowskiego do Podgórznej. Później został na drugi rok i straciłem go z oczu. Zresztą rozeszły się nasze zainteresowania. Nie spotkałem go ani zaraz po wojnie, ani podczas wizyty w Polsce w 1981 roku. Ożenił się, miał dzieci, mieszkał bodaj w Toruniu czy w tamtych okolicach, jak wielu repatriantów z Wilna. A dla mnie istnieje najzupełniej wyraziście, w każdym fizycznym szczególe, jako dwunasto-, trzynastołatek.

16 XI 1987

i Dostaję z Polski teksty o Litwie i czytam o Litwie w polskiej prasie. Skąd ta mania, skąd to mitologizowanie? Doczywiście dowód jak silnie, silniej niż w innych krajach, iziała na wyobraźnię literatura, Wilno romantyków, bal-ady Mickiewicza, Grażyna, Konrad Wallenrod, Pan Tadeusz, a potem ten Miłosz czy inni, Konwicki. Prawdopodobnie każdy obszar geograficzny może nabrać kształtów legendarnych pod warunkiem, że na nim skoncentruje się uwaga, ściślej, że pojawią się punkty zaczepienia dla uwagi. Ale musi to być obszar obrysowany, o wyraźnym konturze. Ukraina, mimo Malczewskiego i Słowackiego, oyla zbyt szeroka. „Litwa” zwęzła się: na ogół nie utożsamiano jej z Wielkim Księstwem, czyli nie obejmowała Połocka, Mińska, Pińska, Słonima, choć była w Nowogródku i Tuhanowiczach. Dość dowolne granice dla fantazji, skoro obrzęd „dziadów” jest białoruski, nie

128

litewski, ksiądz-unita także, a jednak „Litwa” wyobrażona prawie wyłączała białoruskość. Teksty, które czytam, upię-, kszają i uromantyczniają Litwę. Bądź co bądź jest to kraj o przyrodzie północnej i melancholijnej. Może ładniejszy | niż mazowiecka równina, ale niewiele do tego potrzeba. I Zabawne pomyśleć, że gatunek mojej wyobraźni, jej silna f przestrzenność, skłaniająca do rysowania map nie ist- j niejących krajów, że ta cecha przyczyniła się do przeniesie-1 nia Litwy w wymiar mityczny. Nie bez świadomości, że 1 literatura nie jest rzeczywistym proporcjom wierna. S

O parę kilometrów od Krasnogrudy koniec dużego jeziora Gaładuś był (tak jak dzisiaj) po stronie polskiej, reszta po litewskiej. Chodząc tamtędy jako podrostek i strzelając do perkozów, czego wspomnienie nęka mnie palącym wstydem, nie włączałem tamtych okolic do Litwy, mimo że wioska na końcu jeziora, Zegary, była czysto litewska. A dlaczego nie? Bo dziki i zimny, nawet latem, wiatr, zresztą właściwy całej Suwalszczyźnie wskutek wycięcia lasów, psuł mi Litwę zaciszną nad dolinami swojskich rzek. A przecież znaczna część Litwy składa się z polodowcowych gołych pagórków, jezior i zimnego wiatru. Notuję to dla celów mających coś wspólnego z autoironią i humorem.

i

17 XI 1987

Staram się pilnie czytywać obecną poezję amerykańską, ale bez przyjemności. Zrozumiałe, że tam



gdzie są tysiące poetów, przygniatająca większość musi być niewiele warta, dostarczając napędu i pożywki nielicznym, kilku zaledwie, a tak jest wszędzie. Coś podobnego dzieje się w malarstwie nowoczesnym, przy czym i skutki są podobne, bo przyjemności te obrazy dostarczają niedużo. O tych poetach da się powiedzieć, że technika ich \ pierwszorzędną, ale że nie mają o czym pisać. Ich „byt” / przeziera z każdej linii, jest to byt wykładawców na uniwersyteckich kampusach albo w szkole średniej i opisu-

129

ją się w sąsiednim barze. Jest to rzeczywistość zwyczajna i monotonna, wolna od historycznych trzęsień ziemi; najwyżej z jednym czy drugim trzęsieniem ziemi w znaczeniu dosłownym. Nic ich nie popycha do skoku, niby łososi natrafiających na przeszkodę. I to właśnie, „nie mieć o czym pisać”, jest, według mnie, nie lada problemem do zbadania. Ale tymczasem o czym innym. Oskar Miłosz w latach 1934-35 zaprawiał mnie w niechęci do ówczesnej poezji francuskiej, zarzucając jej notowanie tego, co widać przez okno, czyli bierność wobec percepcji. Po pół wieku myślę, że miał rację. Niesłusznie może wspominałem kiedyś o mojej wrażliwości na Pawła Valery, podczas kiedy hołd otrzymać powinni: Blaise Cendrars, Guillaume Apollinaire. A z tych późniejszych niewiele pożytku. Albo jest skok, albo nie ma skoku - wielki poemat litości o nowoczesnej metropolii, Wielkanoc w New Yorku Cendrarsa, był skokiem. Datuje się z 1912 roku. W ocenie przeszkadza nasza nieśmiałość wobec niezrozumiałych zdań czy gwałconej składni. Wiele wierszy czy obrazów niezrozumiałych okazało się wybitnymi dziełami sztuki, toteż ludzie już się boją. Na swój jednak użytek powiadam po prostu: „nie rozumiem”, i nie dbam o notowanie danego poety na literackiej giełdzie. Nie przemawia do mnie, nie rozumiem, nudzi mnie i basta. Nie mam czasu zgłębiać. Zakładam, że istnieje wiele poziomów nierozumienia i że moje jest dostatecznie wybredne. Jakoś odrzucanie mnóstwa wierszy z powodu ich niezrozumiałości mnie nie zaszkodziło, choć rzecz jest delikatna i nasza profesja nie lubi przyznawać się głośno do tak prostych kryteriów, żeby nie ośmielać maluczkich.

Któż może zgadnąć, jakie pokrętne brednie lęgną się w głowach naszych bliźnich, czasem razem z głębokimi intuicjami? W poezji rozmaite brednie zyskały prawo obywatelstwa, odkąd znikła kontrola logiki, taka jest cena płacona za odkrywczność, ale też z tej przyczyny trudno zakreślić granice pomiędzy poezją wybitną i podrzędną.

130

18 XI 1987

Klarowny ranek i oglądanie szkód po wizycie jelenia. Szopy-pracze mocowały się z zamknięciem pojemnika na śmieci, nie otworzyły, ale zabrały jeden sznur, jakby im był do czegoś potrzebny. Poezja jakiejś cywilizacji jest, cokolwiek się powie przeciw, wiernym odbiciem jej jawnej albo ukrytej istoty. Poezja amerykańska równa się ogromnemu zbiorowi zdjęć migawkowych, z których odgadujemy rzeczy obserwowane i umysł obserwatora. W umyśle tym można znaleźć przekonanie, że „nie ma o czym pisać” i że inni, którymi wypadki historyczne miały (na przykład my), są uprzywilejowani, bo rzeczywistość wrażeń (dzieciństwa, rodziny, związków miłosnych, choroby, starości, śmierci) nie dostarcza właściwie żadnej okazji do interpretacji, poza przemianą wrażeń w słowa. Musi też zaraz pojawić się pytanie o prawomocność języka, czyli jest to poezja, brzydzą się obcymi wyrazami, ale co robić, epistemologicznej sofistykacji albo, jak rzekłby Tołstoj, utonczonij. I stosuje się to nie tylko do poezji amerykańskiej, ale światowej. A jaki jest tu upragniony zakres, w którym „coś się dzieje”? Społeczny, ustrojowy. Howl Allena Ginsberga był skokiem, ale dzięki swojej nieco historycznej amerykańskiej apokalipsie i gniewowi. Tutaj zbliżam się do czegoś ważnego. Nie zapominajmy, że Samuel Beckett jest wyrazicielem przekonań poetów dwudziestego wieku: życie ludzkie cierpi na podstawowy brak sensu. Poza absurdem, nic z niego nie da się wycisnąć. Stąd może wynikać, że coś ciekawego zaczyna się dopiero z liczbą mnogą. Protesty, broń atomowa, Ameryka Łacińska i tak dalej. Czyż nie cechuje wszystkich intelektualistów tego stulecia ucieczka od liczby pojedynczej do liczby mnogiej? I czyż kler różnych wyznań, tak zainteresowany zbawieniem zbiorowości, nie ucieka w ten sposób od rozmyślań nad samą kondycją ludzką grożących nihilizmem?

131

19 XI 1987

Ledwo wczoraj tak napisałem, to znalazłem w biuletynie American Academy of Arts and Sciences: A „Dzisiejszą epistemologią, dzisiejszymi teoriami pozna-# nia, a również poetyką i teorią literatury rządu, w sensie I dosłownym, nihilizm. Nie używam słowa nihilizm w ujemnym, w jakimkolwiek przymiotnikowym znaczeniu. Chcę robić z niego etymologiczny użytek w tym odczycie. Jest nicość. Podstawowym pojęciem, centrum (paradoksem jest mówić o centrum) jest pojęcie braku. Pojęcie braku przewodzi najbardziej energicznym poszukiwaniom i sporom. Brak jest podmiotu, ego, brak kartezjańskiej pierwszej osoby w liczbie pojedynczej. Brak rzeczywistych funkcji prawdy w odniesieniu do sensu. Nie ma już teorii logicznej korespondencji pomiędzy mową i prawdą. Brak wartości w jakimkolwiek obiektywnym i uniwersalnym sensie, brak absolutu, brak kanonu, brak dogmatycznej hierarchii widzialnych autorytetów.

Podmiotowi już się nie ufa, podmiotu już nie uważa się za stały, centralny, niezniszczalny" (George Steiner, odczyt w Akademii 15 IV 1987).

Być może przyjęcie takiej episteme i takiej poetyki oznacza koniec poezji - i my, kilku nas, odróżniamy się wigorem, bo jesteśmy opóźnieni, to znaczy nasze filozoficzne rozmyślanie nadal zachowuje resztki odniesienia do prawdy obiektywnej, czyli Boga.

/ List od Jerzego Turowicza z Rzymu, datowany 1 XI.

/ Przepisuję.

„Czesławie Drogi,

Jestem w Rzymie (wraz z Anną) już od miesiąca, w związku z Synodem Biskupów, za dwa dni wracamy do kraju. Dowiadywałem się tu, czy nie grasujesz po Europie, podobno będziesz w listopadzie w Paryżu, szkoda, że się tym razem nie zobaczymy.

132

Wczoraj rano byliśmy u Papieża na mszy i na śniadaniu. Mówił nam, że teraz czyta poezję więcej niż kiedykolwiek! (Natomiast, że sam - odkąd został Papieżem, nie pisze.) Czytał ostatnio Twoje Trzy zimy (w nowym wydaniu z komentarzami) i bardzo mu się podobały. Mówił też, że lepiej Cię poznał ostatnio w Castel Gandolfo, gdy czytałeś swoje poezje po polsku i po angielsku, i gdy sam jeden dopominałeś się o prawa ludów Europy Wschodniej!

Ja zaś tutaj dostałem Twoje Kroniki, co mi wielką satysfakcję sprawiło i dumny jestem, że mnie uwieczniłeś w Cafe Greco. Z wierszy, których nie znałem, bardzo mi się podobały Moce i Ale książki.

Ogromnie nas ucieszyło, że Josif Brodski został Twoim kolegą w Noblu. Byłbym nawet do niego napisał, ale nie znam jego adresu, a poza tym wątpię, by mnie mógł pamiętać, choć spotkaliśmy się u Schenkera".

Zawsze zdawało mi się, że świadomość leczy. To znaczy, że zapobiega powtarzaniu tego, co raz uświadomione, aż tak bardzo, że potrafi zażegnawać śmierć, skoro powtarzalności śmierci jesteśmy świadomi. Dowodzi to, że moja myśl była mitologizująco-dziecinna. Ileż to stronice druku poświęcono np. ludzkiej próżności, przeanalizowano ją wzdłuż i wszerz i nic nie pomaga, najbardziej świadomi jej wybiegów ulegają jej i narażają się na drwiny bliźnich przenikliwych w śledzeniu cudzych wad, nie swoich.

Próżność jest jedną z głównych komicznych przypraw ludzkiego widowiska, gdyby odjąć ją i odjąć seks, niewiele by zostało przyrodzonego, żeby tak się wyrazić, humoru. A może Eros jest próżny, a wszelka próżność erotyczna? Teraz wyobraźnia podsuwa mi traktat o lustrach. O mnóstwie, tysiącach luster i o twarzach, które na siebie w tych lustrach patrzyły. Nastolatki i dojrzałe kobiety, czesanie włosów, godzinne sesje rozmyślań o nosie, o brodawce, o loku, o naszyjniku i kolczykach, jak dziś wyglądam, jak on mnie dziś będzie widział, czy ta suknia dość twarzowa. W lustrach powinien zostać po tych dawno minionych istotach przynajmniej magazyn, spojrzeń, ale ni śladu.

133

A mężczyźni! Drapieżno-zdobywcze nozdrza, podbijające bokobrody, wzrok nieodpartej samczej siły, kogucie puszenia się. Łatwo śmiać się, tylko że sami byliśmy nieraz nią i nim.

Inne rodzaje próżności, na przykład próżność autorska. Niby to uważam, że jestem jej pozbawiony, ale pamiętam te moje liczne wizyty w księgarniach, kiedy łapałem się na zaglądaniu do działu

poezji albo esejów i nie znajdując moich książek czułem lekką przykrość, zaraz tłumacząc sobie, że przecież to absurdalne. Raz znalazłem Zniewolony umysł w dziale psychologii. I na odwrót, teraz kiedy pojedę do księgarni, do Cody's albo Black Oak Books, sprawia mi przyjemność, że moje książki są tak obficie eksponowane.

W starości próżność szuka potwierdzeń naszego istnienia, to znaczy jakiś inteligentny esej czy książka o naszej poezji przypomina, że jednak byliśmy, pisaliśmy - świadomość czego wcale nie jest zawsze obecna, jak mogłoby się zdawać.

Literatura jest ogromnym jarmarkiem próżności, aż na jego widok śmiech pusty i trwoga. Szeregi piszących wiersze, powieści, dramaty rosą z każdym rokiem, ale nadzieje aspirantów do zawodu są przeważnie złudne, a pośród wydawanych drukiem większość puszy się daremnie. Czego chcą? Podobać się. Eros, jak przed lustrem?

20 XI 1987

Dużo myślę o nie byle jakim temacie, o zbadaniu mojego pobytu w Ameryce w latach 1946-1950. Ściślej, czym była wtedy dla mnie Ameryka. Nie była tym, czym jest dzisiaj, ani, tak mi się wydaje, tym czym dla prawie wszystkich moich współczesnych. Gdyby próbować to ustalić na podstawie moich pism wierszem i prozą z tamtego okresu, nie doszłoby się do jednoznacznych wniosków. Moją sytuację określiłbym jako karkołomną, niesamowitą, nielogiczną, niemoralną, nie-do-opisania. Po upły-

134

wie wielu lat to, czego udało mi się dokonać w literaturze, jest rzutowane wstecz, czyli ówczesna fałszywa gra zyskuje uzasadnienie ex post. Zarazem cała tamta faza historyczna traci ostrość i w swoich być może najważniejszych rysach pogrąża się w niepamięć.

Świadomość jest często niemoralna dlatego tylko, że jest świadomością. Ma ona różne poziomy, na których żyjemy równocześnie, łudząc się, urządzając się chwilowo, dostosowując się do otoczenia, ale istnieje jeden poziom najgłębszy, podstawowy. Przed 1939 rokiem stanowi istniejącemu nie dawałem wiele szans i powinienem był zostać komunistą, coś kiedy moja świadomość tego, czym jest Rosja stalinowska, na to nie pozwalała, a może po prostu tamto było nie moje. Oceniałem jednak polską patriotyczną umysłowość fatalistycznie, jako skazaną. Gdybym mieszkał w jakimś kraju zachodnim, nie musiałbym wybierać, nie byłbym przyparty do muru. Tam u nas natomiast był albo Hitler, albo Stalin, pośrodku trochę złudzeń ocenianych jako złudzenia.

I oto rok 1945, Hitler pokonany za cenę bezmiernych poświęceń i ofiar, zwycięska armia zajmuje Polskę, wyboru nie ma, o mieszkańcach tego kraju mówi się „nasz las, nasze zajęcie”, a o innych krajach „Jeuropa nasza”. Polska „intelegencja twórcza” kluczy, ociąga się, ale wreszcie przyjmuje co nieuniknione. Niektórzy nawet sprytni, wyjeżdżają na placówki. „Słuchaj starego mądrego Żyda - powiedział Antoni Słonimski. - Siedź jak najdłużej za granicą”. Wkrótce potem Słonimskiego, który dekował się w Londynie w Instytucie Polskim, przesunęli do Warszawy i ze strachu zbłąźnił się, pisząc służalczy artykuł przeciwko mnie. Co potem i ja, i inni wybaczyli.

Do Ameryki wyjeżdżałem za protekcją Putramenta i Borejszy. Putrament mnie ostrzegł: „Pamiętaj, że podpisujesz diabelski pakt”. I niewątpliwie, był to pakt diabelski, zważywszy na świadomość tego, co się odbywało. Żadna niewiedza mnie nie chroniła. Miliony w gułagach, deportacje po 1939 roku, Katyń, Powstanie Warszawskie, terror w Polsce - ze wszystkiego zdawałem

135

sobie sprawę. A zarazem istnienie prawowitej armii polskiej na Zachodzie, właśnie demobilizowanej, i prawowitego rządu w Londynie. I ja przeciwko nim, z tym koronnym argumentem, że przegrali i że nie mogą wygrać. Zerwać pakt, stowarzyszyć się z nimi, bo szlachetni, wierni imponderabiliom? To tylko dzisiaj, po kilkudziesięciu latach Polski Ludowej, sławi się niezłomność emigracji. A wtedy to wyglądało inaczej. Janusz Minkiewicz zaraz po wojnie (czy jeszcze podczas?) napisał wierszyk, w którym mówił o rządzie londyńskim: „Z diabłem, a nie z wami”, i niejeden z nas piszących tak myślał, czyli że nie było z kim. Cierpiałem i oskarżałem siebie o prostytuowanie się, choć jeśli opinia emigracyjna skłonna była takich jak ja o doraźne korzyści posądzać, nie trafiała w sedno, były rzeczy gorsze, ideologiczne. Zresztą miała o tyle rację, że dopiero później, sam będąc emigrantem, zrozumiałem męki, na które dobrowolnie, w imię

swoich zasad, skazały się tysiące Polaków poznających Anglię i Amerykę od dna, od ciężkiej fizycznej pracy.

Więc ideologia. Hegel? Konieczność historyczna? Niesłuchanie trudny do rozsąplania węzeł, ale coś niecoś da się może wyjaśnić zaczynając od Ameryki. Przyjechaliśmy do Nowego Jorku z Janką małym stateczkiem burzliwą zimą 1945/46 roku. Za nami była zmiążdżona Polska, już smętny ówczesny Londyn wydał się po niej strefą spokoju i dobrobytu, cóż dopiero Ameryka. Nasze potrzeby i nasze pragnienia były jednak skromne i ta skromność dzisiaj wydaje mi się aż śmieszna. Przyjmowaliśmy bogactwo Piątej Avenue jako coś, co jest i koniec, właściwie ta strona Ameryki nam nie imponowała. Moja obojętność na kapitalistyczne pokusy była należycie odnotowana i stąd głównie uchodziłem za pewnego. Jak także z innego powodu: intensywność przeżyć w Polsce zbudowała dokoła mnie jakby pancerz, to tutaj było nierealne i umysły Amerykanów nierealne, należałem do innej planety i ich planecie mogłem się tylko przyglądać wzruszając ramionami, życzliwie albo nieżyczliwie.

136

21 XI 1987

Próbując odtworzyć kilka lat życia, nie uniknę uproszczeń, jednego miesiąca było tak, innego inaczej, odbywała się też we mnie ewolucja. Ten sam był tylko ton, lewicowy. Do żadnej partii nie należałem, nie wstąpiłem do koncesjonowanej PPS, o socjalistycznej „Wolności” za okupacji pewnie wiedzieli, ale to nie szkodziło. Jednym z pierwszych tomów wierszy w Polsce po wojnie było Ocalenie, zawierające też wiersze okupacyjne. Cały mój system odniesień był tam, w Ameryce zero. Byłem przy tym dość inteligentny, żeby nie zatrzymywać się na gładko naoliwionej maszynie demokracji i uświadomić sobie gwałtowność walki o byt, wielkomięjską nędzę, samotność jednostki, zasadniczy an-tyintelektualizm ustroju. Czytałem dużo, między innymi Louisa Adamica, który z rodzinnej Ljubliany wyemigrował mając lat trzynaście i został w Ameryce pisarzem skrzywdzonych i poniżonych, robotników pochodzenia słowiańskiego. Chyba jedyny wtedy wśród Polaków oddawałem się wybrednym lekturom po angielsku: Henry Miller, „The Partisan Review”, oraz najmniej ortodoksyjne pismo nowojorskich intelektualistów, „Politics”, na które Dwight MacDonald wydawał pieniądze swojej żony. Wtedy też Dwighta poznałem. W 1955 mieliśmy brać razem udział w zjeździe urządzonym w Mediolanie przez Congres pour la Liberte de la Culture. On to występuje w moim wierszu W Mediolanie: „Długo w noc chodziliśmy po Piazza del Duomo”. W tym zjeździe brała też udział Mary McCarthy. Wskutek tych lektur jeden przynajmniej wycinek Ameryki stał się dla mnie zrozumiały i bliski - nowojorskich lewicowych intelektualistów antytotitarnej obediencji. W „Politics” spotkałem się po raz pierwszy z nazwiskiem Simone Weil. Przemawiały do mnie artykuły Nicola Chia-romonte w „Partisan Review”, choć nie wiedziałem wtedy, kto zacz. W bieżącej polityce, i wewnątrz amerykańskiej, i międzynarodowej, orientowałem się dość dobrze. Swój dylemat, czy też nasz, określałem tak: „Czy lepiej być zamkniętym w klatce z inteligentnym bandytą czy z dob-

137

rodusznym debilem?” - co świadczy o niezbyt wysokiej i pewnie traumatycznej ocenie polityki współtwórców Jałty.

Pewien incydent wart jest tutaj odnotowania. Margaret Storm Jameson, powieściopisarkę i działaczkę PEN-Clubu, poznałem w 1945 roku w Krakowie, kiedy (pierwszy zagraniczny pisarz!) przyjechała z Londynu razem z Ksa-werym Pruszyńskim i Antonim Słonimskim. Potem zaprosiła nas na obiad w Londynie - ona i jej mąż, profesor historii w Cambridge, Guy Chapman, mrukliwy, zostawiający zawsze pierwsze miejsce żonie, jakby nie istniała jego przeszłość, bohaterskiego oficera w okopach I wojny, o czym dowiedziałem się nieprędko. Margaret, dziś zapomniana jako powieściopisarka, mogłaby być wzorcem jako osoba, wzorcem anglosaskiego męstwa i prawości, nieodrodna córka kilku pokoleń żeglarzy, kapitanów dalekomorskich rejsów. Młodość jej przypadła przed 1914 rokiem i raz powiedziała do mnie: „Miłosz, nie możesz mieć pojęcia, czym była młodość mego pokolenia, jak bezgraniczną mieliśmy nadzieję lepszego świata, a zaraz wszystko, co było u nas najlepszego, przepadło we krwi i błocie okopów”.

Właśnie Margaret przyjechała do Waszyngtonu, bodaj w 1948 roku, i zatrzymała się u

amerykańskich przyjaciół w Georgetown, u pewnego admirała i jego żony. Zaproszeni z Janką tam na obiad smakowaliśmy przez chwilę Amerykę zamożnych domów. Jednym z zaproszonych był redaktor „Reader's Digest” bodajże „stamtąd skąd wszyscy”, z resztką rosyjskiego akcentu. Wdałem się z nim w dyskusję, a on, paląc grube cygaro, z pogardą: „Wy, intelektualiści, przegraliście. Wasze zamiary zmienienia ludzi nic nie są warte. My wygraliśmy, bo my dajemy im to, czego chcą, nas czytają w milionowych nakładach, a was nie chcą i nie będą chcieli”.

Wtedy chyba uświadomiłem sobie, że jestem prometejskim romantykiem, któremu wpojono wiarę w szczególne powołanie, bo stara się „zjadaczy chleba w aniołów przerobić” i gruby rehot jegomości z cygarem obrażał

138

mnie dotkliwie, ponieważ on zagarniał dla siebie i zdrowy rozsądek, i trzeźwość sądu.

Uświadomiłem też sobie, że, niestety, romantyczny rodowód sprzęgał intelektualistów z komunistami i że jego Ameryka jest nie dla mnie.

Przyjaźniłem się z socjologiem Aleksandrem Hertzem, -1 z którym razem kiedyś pracowaliśmy w Polskim Radiu, \ u Haliny Sosnowskiej. Hertz uwielbiał Amerykę, która j dała mu wolność i uratowała od przedwojennego polskiego / antysemityzmu. W swoich pochwałach konstytucji amery- / kańskiej oraz zabezpieczeń w podziale władz na ustawodawczą, wykonawczą i sądową posuwał się dalej, niż mogłem się z nim zgodzić i po cichu zarzucałem mu entuzjastyczną poczciwość, a nawet trawożerność, bo jego socjologia omijała spięcia tragiczne. Czyli Hertz oceniał Amerykę, jak na mnie, zbyt pogodnie - ale tak właśnie jak Janka.

Ameryka niemalże zniszczyła naszą serdeczną bliskość wypróbowaną przez lata wojny. Po urodzeniu się Toniego Janka zmieniła się, albo ja stałem się zazdrosny, dość że powtarzały się scysje, głównie o Amerykę. Była osobą rozumną i kochającą, nie pierwsza kobieta, która musiała sobie radzić z mężczyzną chorym na filozoficznego czy ideologicznego kręcka, ale wypadek mój był drastyczny. Moje „nie” wobec kapitalizmu nasuwało przypuszczenie, że oznacza „tak” dane komunizmowi. Nic podobnego. No ^ więc czego chcesz, jeżeli ani to, ani to? Janka panicznie X bała się Rosjan. Sięgało to przeżyć dzieciństwa podczas \ I wojny, stamtąd pochodził pewien powtarzający się sen, | i na takie tło trafił styczeń 1945 roku w Goszycach. I Ameryka dla niej nie była przede wszystkim krajem dobrobytu czy bogactwa, oznaczała bezpieczeństwo i ojczyznę dla dzieci. Ironistka, ale zupełnie pozbawiona cynizmu, chciała wierzyć i z chwilą kiedy tam, w Europie, załamały się wszelkie wartości, uwierzyła w demokrację amerykańską. Dlatego później tak ciężko jej przyszło jechać do Francji, z kraju już zadowolona, kraju jej dzieci, do kraju obcości. I jeszcze później zabójstwo Kennedy'ego było dla niej ogromnym wstrząsem, nie tak jak dla mnie - jednym tylko z dramatów, w jakie obfituje historia.

139

22 XI 1987

A jednak kiedy wyglądam przez okno o świcie, cieszą mnie kolory zatoki tam w dole i drapacze San Francisco w przezroczystym powietrzu. Niewiele takich widoków na Ziemi i doceniam to. Zstępować w głąb swoich wstydów. Nie tak znowu tylko moich własnych zresztą. Pierwszy zestaw ambasady i konsulatów był raczej przypadkowy, trochę według klucza stronnictw wchodzących w skład rządu koalicyjnego, a więc PPR, PPS, SL, trochę zupełnie prywatnej protekcji, trochę po prostu z UB, choć kto był ubekiem i donosicielem, zgadywało się tylko i, jak potem przekonałem się, niezbyt trafnie. Wszystko to byli ludzie ciężko doświadczeni i pozbawieni złudzeń co do Wielkiego Brata. Jakie mógł mieć złudzenia np. konsul, który, jako że socjalista, znalazł się w sowieckim więzieniu we Lwowie i następnie wśród więźniów, których koszone z karabinów maszynowych, kiedy w 1941 zbliżali się Niemcy? Przeżył, upadł w porę i przywaliły go ciała zamordowanych. Ogromna większość takich dyplomatów znalezienie się w Ameryce traktowała jako okazję do urwania się, zwłaszcza kiedy skończyła się komedia koalicyjnego rządu i kiedy PPS została przymusowo włączona do PZPR. Niewielu tylko wróciło, odpadali kolejno. Komunistów wśród nich prawie nie uświadczyc, jeżeli, to bardzo świeżego chowu. Oskar Lange, który jakiś czas ambasadorował, wywodził się z socjalistycznej lewicy, Józef Winiewicz (poznński i prawicowy) o marksizmie nie miał pojęcia, z czego podśmiewaliśmy się z Grzegorzem, obaj bądź co bądź

oblatani. Winiewicz należał do tych, którzy wojnę spędzili w Londynie i następnie postawili na Warszawę. Nie zawiódł się, zrobił karierę. Podobnie postawił Ksawery Pruszyński, jakiś czas w ambasadzie, następnie (czy odwrotnie?) w polskiej delegacji do ONZ. W Nowym Jorku spotkałem moją grupę z Wilna, wędrowców do Ameryki przez Japonię, ściągniętych przez Oskara Lange. Zastanawiali się, co robić, wreszcie niektórzy śladem Langego

140

wrócili do Polski, najprzezorniejszy z nich, Władysław Malinowski, urządził się na stałe w Nowym Jorku jako pracownik Narodów Zjednoczonych.

Rok 1950 nie był tym samym co rok 1946; „co robić” urastało do dręczącego koszmaru w dzień i w nocy. Powrót do stalinowskiej Polski byłby najoczywistszym nonsensem. A przecie, śmiesznie powiedzieć, grzeczny Czesio nie mógł po prostu wyrzec się lojalności. Ostatecznie nic mi złego polscy komuniści nie zrobili, tolerowali nawet moje mało prawowierne poglądy. Ja z kolei nie uprawiałem podwójnej gry. Jeżeli nie zrobiłem użytku z listu do wielkich amerykańskich masonów, który dał mi przed wyjazdem z Warszawy Stanisław Stempowski, to dlatego, że bałem się uwikłania. To nie znaczy, że nie rozmawiałem szczerze z osobami, które zaliczałem do swojego, to znaczy intelektualnego środowiska, np. z Thorntonem Wilderem. Zdaje się, że ostatnim przedstawieniem widzianym przeze mnie i Jankę w Warszawie było Nasze miasto Wildera i teraz życzliwość, a nawet przyjaźń cenionego przeze mnie pisarza miała dla mnie dużą wagę. Wilder uważał, że powinienem zostać w Ameryce i obiecywał urządzić nas na farmie, gdzie mógłbym spokojnie pisać. Szczerze rozmawiałem również z Albertem Einsteinem, do którego trafiłem przez przyjaciół Oskara Miłozza w Princeton. (Nie przez Christiana Gaussa, o którego przyjaźni z Oskarem Miłozzem wtedy nie wiedziałem. Jeszcze mógłbym pewnie z nim rozmawiać, bo umarł w 1951 roku. Dopiero nieprędko, w latach siedemdziesiątych, wytropiłem korespondencję Oskara z Gaussem wśród papierów tego ostatniego, złożonych w Princeton University Library.) Einstein pójście na emigrację odradzał.

Z moich wierszy w Ameryce pisanych sporo da się odgadnąć. Dziecię Europy, 1946, nawet przetłumaczone na angielski, byłoby wtedy dla Amerykanów czymś niepojętym, podobnie jak Dwaj w Rzymie, 1946, jak O duchu praw, 1947, jak Traktat moralny, 1947. Wiersz Me ma wzroku, 1949, o Detroit, jest wyraźnie Ameryce nieprzyjazny. Moja zaciekłość - bo czyż nie do zaciekłości rzecz się sprowadza?

141

- była zwrócona przeciwko fizjologicznemu życiu ludzi, przeciwko l'homme moyen sensuel. Jedzą, piją, rozmnażają się i są zadowoleni - a dlaczego?

To nowe Jeruzalem dawnych purytanów, Jch marzenie spełnione, jakkolwiek na opak, >s Jest dla mnie uciążliwą, pustą dekoracją. / Jak we śnie chciałbym krzyknąć, a krzyknąć nie mogę.

{Do Alberta Einsteina, 1948}

Ja jednak nauczyłem się odrzucać. Ten jest

Przywilej nam poetom z dawna zapewniony,

Że zarobki, wesela, chrzciny i pogrzeby

Nie są nam treścią. Błaskiem chyba, lotem światła

Na wielkich czarnych wodach. Jak przez ogród szklany

Idziemy, widząc z żalem więcej niż jest wolno.

Czyż jesteśmy naprawdę wrogowie gatunku,

Którzy przemocą zmienić chcą wszystkich w aniołów

Czystego intelektu? Wydrzeć z głębi iskrę,

Znienawidzoną iskrę prometejskiej męki?

(Tamże)

Fanatyk Naphta z Czarodziejskiej góry się kłania. Staram się teraz wydać sąd możliwie obiektywny i bynajmniej nie przychodzi to łatwo.

23 XI 1987

Literatura i sztuka jako niezgoda na samo krowie istnienie. Co nazywa się także niekiedy wstrętem do burżuazji. Wątpliwe, czy bunt francuskiej bohemy przeciwko społeczeństwu dziewiętnastego

wieku pochodził z głodu sprawiedliwości, raczej był wymierzony przeciwko egzystencji przeżywającej filistynów czy filistrów. Baudelaire, Flaubert, Rimbaud. Następnie pogardliwe odwrócenie się symbolistów plecami do publiki. W Rosji silniejszy impuls moralno-rewolucyjny, ale też od niezgody na fizjologiczne trwanie nie da się oddzielić. Literatura i sztuka gdziekolwiek, w jakimkolwiek kraju, jest dziedzicznie obciążona

142

sprzeciwem i jej adeptci, chcą czy nie chcą, są naznaczeni. Najokrutniej może pokazał to Krasieński w Nie-Boskiej o komedii. Szczęśliwe niby małżeństwo, zaciszny dom, dziecko, ale zarazem dramat. Czują, dobra żona cóż może, żeby gniazdo rodzinne uratować, jeżeli mąż nudzi się w dobrobycie i spokoju, marząc o Dziewicy (czyli poezji), która go wzywa na lot w nieznaną i na niebezpieczne przygody. Dziewica zresztą łączy w sobie ponęty i intelektualne, J i erotyczne, może być równocześnie Muzą, przyjaciółką, kochanką, towarzyszką-aktywistką. Niebezpieczna rywalka zrozpaczonej żony, pod każdym względem od niej wyższa, aż starając się jej dorównać i otrzymać dar poetyckiego natchnienia, biedna kobieta zapada na chorobę umysłową. Uwierzy, że mąż ją pokocha, tylko jeżeli okaże się poetką, jak również, że obcy zwyczajnym (małym) ludzkim uczuciom, pokocha ich dziecko tylko wtedy, jeżeli będzie ono geniuszem. Modlitwy żony są wysłuchane, Orcio otrzymuje znamię barda i proroka, ślepotę. Dziewica natomiast, której udało się wyprowadzić jej wielbiciela z domu na skraj przepaści, objawia się tam jako ohydne truchło, demoniczna uluda. Nie wygląda na to, żeby nieszczęście, jakie ściągnął na rodzinę, i rozczarowanie kochanką uleczyło męża; jego działalność w części drugiej dowodzi, że ściga tę samą uludę pod postacią Historii i eschatologicznej polityki, jak przystoi romantycznemu literatowi, zawsze kuszonemu zarówno przez czyn, jak i słowo. /

Przeważnie chory na niedostateczność samego istnienia f bywa mężczyzna, wzywają go idee, sztuka, rewolucyjne \ projekty. Niekiedy jednak marzycielką-buntowniczką by- ) wa kobieta: czyż nie jest nią Emma Bovary?

24 XI 1987

Kolory jesieni w Berkeley, gdzie jeszcze niedawno, przed pierwszymi deszczami, szarość i płowość; teraz intensywna zieleń traw na zboczach pagórków. Rdzawa żółtość liści sykomorów, nie zmieniona barwa eukaliptusów

143

i drzew iglastych. Plamy jaskrawej cynobrowej czerwieni - to okryte dojrzałymi jagodami krzaki cetoneaster.

Do romantycznych nałogów odnoszę się niechętnie. Ich f satyryczne przejawienie pozwala uświadomić sobie, jak mocno w nas siedzą. Nie powracałbym do rozważań tego rodzaju, gdyby nie dotyczyły delikatnej chemii małżeństwa. Zdrowy rozum i uczciwość były po stronie Janki, należało zostać w Ameryce, jednak dla mnie znaczyłoby to, że wybieram papu, kaku, i lulu, nic więcej. Bo nie mogłem sobie wyobrazić żadnego tutaj działania przez słowo. Nie tylko byłem tutaj nikiem, co upokarzające, ale nie zależało mi na tym, żeby zostać kimś poza obrębem mego gospodarstwa, tj. polskiej poezji. Czy też, po prostu, zamiast wydzielać poszczególne motywy, lepiej byłoby odwołać się do silnie słyszanego głosu wzywającego mnie, żebym spełnił swoje przeznaczenie. Widocznie inaczej być nie mogło, tak w każdym razie sądzę teraz. Mieszaniu biografii i poezji jestem przeciwny, niestety czasami trudno tego uniknąć. Nie odgadnę, co by było, gdybym został w Ameryce zamiast powrócić do niej po dziesięciu latach, ale byłoby inaczej.

Putrament czuwał nade mną z daleka, wielbiciel mego talentu niewątpliwie, dbały o zachowanie mnie dla rządzonej przez komunistów ojczyzny. Napisał przecie później, że starał się ten gejzer skierować w (socjalistyczną) rurę. Kiedy po ambasadorstwie w Paryżu został w 1950 roku sekretarzem Związku Literatów w Warszawie, jako dobry rybak rozumiał, że nie należy mnie gwałtownie podrywać z Ameryki i zaproponował mi Paryż, co psychologicznie było zręczne, bo zostawiało nadzieję przeczekania za granicą - i rzeczywiście odwilż nastąpiła, choć dopiero po sześciu latach. Domyślałem się pułapki i gotów byłem przyjąć najgorsze, byle sam, nie narażając Janki, która była w ciąży z naszym drugim dzieckiem. Ona z kolei nie chciała, żebym zostawił ją samą i jechał w paszczę smoka, ale bała się, że jeżeli nie pojedę z jej powodu, będę miał jej to za

złe. Tak oto toczyła się gra pomiędzy trojgiem znających się osób, choć Putrament chyba nie wiedział, że

144

przed wojną, kiedy chcieli go wyrzucić z pracy w Polskim Radiu jako komunistę (był tak zwanym kontrolerem audycji), Janka poszła do dyrektora naczelnego i zrobiła awanturę, wycofali się. W jesieni 1950 roku odjeżdżałem statkiem do Europy, która była wtedy bardziej odległa niż dzisiaj. Bałem się, ale jeszcze przykrzejsze było powątpiewanie o pełni moich władz umysłowych. Bądź co bądź, jeżeli przyjemność nam sprawiają pochwały i wyrazy wdzięczności za tę czy inną stronicę naszych książek, nieraz to, co za nimi się kryje i być może ją umożliwiło, pozostaje zawstydzające.

25 XI 1987

Tkanina czasu. Ruchoma siatka współzależności zjawisk, które nie mają ze sobą nic wspólnego poza tym, że są równoczesne. Ledwo dostrzegalne zmiany mody, również zmiany języka, tak że pewne zachowania się i pewne zespoły słów są przytwierdzone do dat i nie mogłyby pojawić się ani wcześniej, ani później. Nie obala to podziału na wysokie i niskie, złe i dobre, ale oglądając się wstecz, już przebywając w innym momencie tej tkaniny, w innych okach sieci, mamy dużą trudność z odtworzeniem mnóstwa ówczesnych powiązań.

A może i ludzie są powoływani w którymś czasowo określonym skrzyżowaniu osnowy i wątku, równoległe z takim a nie innym stylem, językiem, barwą wydarzeń? Czy na przykład umiem sobie wyobrazić Ksawerego Pru-szyńskiego później, po dniu, w którym Parki zdecydowały, że pora na niego i zrobiły użytek ze swoich nożyc?

Bałowien' sud'by. Pamiętałem, jak na wieczorze poetyckim Żagarów w Wilnie Pruszyński pochylił się do Jerzego Wyszomirskiego i powiedział tak po rosyjsku - o mnie. Dotknęło mnie to, choć właściwie znaczy to tyle co' „pieszczoch losu”, z odcieniem „igraszki losu”. Dwudziestoletni, utalentowany.- nic innego może Pruszyński nie chciał powiedzieć, ale ja wtedy nie oczekiwałem, że los

145

będzie się ze mną bawić, jak miał się bawić, i najeżyłem się na trafną przepowiednię. Pruszyński przyjechał do Wilna, bo był współpracownikiem konserwatywnego „Słowa”. Wyszomirski był „Słowa” stałym felietonistą. Pierwszy, który nasze zdolności ocenił. Sam był autorem paru tomików słabych wierszy. Mały człowieczek w binoklach, melancholijny, bardzo rosyjski (ojciec jego był oficerem zawodowym w armii carskiej), samotna postać nocnego pijackiego Wilna. Wiele lat później, w okupacyjnej Warszawie, kupiłem dla Ryńcy jego autobiograficzną powieść o dzieciństwie w garnizonowym mieście (Zambrowie?). Nie wiem, czy po wojnie wyszła.

Wyszomirski popełnił samobójstwo w 1955, miał dosyć, nie doczekał „odwilży”.

Pruszyńskiego właśnie można by było nazwać „pieszczochem losu”. Miał dobre urodzenie, był utalentowanym publicystą i jego bardzo męska uroda podbijała kobiety. Złośliwi utrzymywali, że jego wystające kości policzkowe, zielone oczy i skośne brwi były zanadto hajdamackie i że ktoś z ukraińskiej służby musiał jego matkę albo babkę dogonić. Tak czy owak, ziemiańsko-arystokratyczne pochodzenie było mu pomocne i ustawił się dobrze, bo nie na głupawej prawicy, ale przy konserwatystach z „Czasu” i „Słowa”. Sensacją były jego korespondencje z Czerwonej Hiszpanii. Pojechał akredytowany przy rządzie Franco, ale po drodze zmienił zdanie i został w Hiszpanii lojalistów.

Życiorys Pruszyńskiego jest dostatecznie znany i nie muszę go powtarzać. Krajowi służył żołnierskim czynem, walcząc pod Narvikiem i w Normandii, piórem jako autor wojennych opowiadań i znajomością języków jako radca czy attache ambasady londyńskiej w Kujbyszewie. Życie bujne, rycerskie, romantyczne (sam musiał dziwić się, że aż taka trafiła się jego pokoleniu gratka, choć zdawało się, że czas legii polskich we Włoszech bezpowrotnie minął) i zawsze na ścieżce honoru. W opinii wielu jego towarzyszy broni splamił honor przechodząc w 1945 roku na stronę satelickiej Polski. Co prawda, żeby świadomie wybrać kolaborację wzorem margrabiego Wielopolskiego, trzeba było mieć niemało cywilnej odwagi. Nabytkiem dla War-

146

szawy był niezwykle cennym i nikt tego lepiej nie rozumiał niż władca udzielny prasy i literatury,



Jerzy Borejsza, który stworzył swoje państwo w państwie i rządził nim razem z Zosią Dembińską, wdową po naszym wileńskim Henryku. Więc Pruszyński zjawia się w 1945 roku w Krakowie, ze Słonimskim i Margaret Storm Jameson. Następnie spotykamy się w Ameryce. Stosunki nasze były kordialne, ale nie / zasługiwały na miano przyjaźni. Prowadziliśmy czasem zupełnie szczere rozmowy, ograniczone jednak do polityki; inny wymiar, który mnie interesował, był Ksaweremu obcy, czyli nie mogła błysnąć ta iskra, która przebiega między słowami ludzi znających te same książki i drążących te same filozoficzne czy religijne problemy. Pruszyń-skiemu mogłem zazdrościć, bo był w pewnym sensie królem życia, ale chronilem strefę dla niego niedostępną, jako że niestety miałem za sobą wyższą szkołę komplikacji. Jednak Pruszyński był przecie moim kolegą-literatem? Opowiadania jego były ładnie pisane, wzruszające i bardzo sentymentalne. Gdyby nie ich patriotyczna lezka, byłby może nie tylko wybitnym publicystą. Choć Jane w ogóle nie traktowała jego pisarstwa poważnie. Ukazuje się ona w moich zapisach, bo myślę o niej zawsze, wiele lat po jej śmierci, jako o osobie łączącej wyjątkową dobroć z dużą inteligencją, co rzadkie. Przy tym można było z nią prowadzić istotne rozmowy, a jej trochę cyniczny humor i otwartość dodawały tym rozmowom smaku. Otóż Jane była przez pewien czas kochanką Pruszyńskiego i mówiła później o nim serdecznie, ale dużo się śmiejąc. Zdaje się, że bawił ją (jak bawi wiele kobiet) kontrast pomiędzy samczym wigorem i tym, co partner ma w głowie, a co zasługiwało, jej zdaniem, na pobłażliwość. Nie znaczy to, że uważała go za człowieka głupiego, bo przecie był znacznie mądrzejszy niż atakujący go nieprzejeźdźni. Raczej, jeżeli wolno mi sądzić, bawił ją szczególny wypadek polskiej fantazji czy pióropuszu. Możliwe zresztą, że jej śmiech pokrywał prawdziwe zaangażowanie. W każdym razie przez wiele lat starała się zbierać świadectwa zdolne naprowadzić na ślad okoliczności, w których zginął.

147

26 XI 1987

Jane pochodziła z Filadelfii, z nizin społecznych, bo ze / środowiska polskich robotników-emigrantów. Jej ojciec / był biskupem Kościoła Narodowego, jednak ten tytuł J o niczym nie świadczył, było to nadal getto. Z domu wyniosła znajomość języka polskiego, ale jej umysł był już najzupełniej amerykański. Wyróżniła się zdolnościami w szkole i na uniwersytecie, magisterium z anglistyki na Columbii zdała tak celująco, że na pierwszą posadę trafiła do Smith College w Northampton, czyli do znakomitej uczelni. Jej związek z Ksawerym przypada na okres (przed i po), kiedy ten jeździł z New Yorku do Rzymu, żeby tam próbować montować układ pomiędzy PRL i Watykanem. Była taka próba, w którym roku, nie pamiętam, ale można sprawdzić.

O ile sobie przypominam, Ksawery miał nadzieję, że Jane będzie tłumaczyć jego opowiadania, i jej opór wynikał z nieprzychylniej oceny ich treści, bo przecie są oparte na patriotycznym porozumieniu autora z czytelnikiem, to znaczy wydobyte z tej otoczki, czytane nie przez Polaka, przestają być zrozumiałe.

Jane dostała stypendium Fulbrighta i wyjechała bodaj w 1948 roku czy w początku 1949 do Paryża. I natychmiast po przyjeździe tam ciężko zachorowała. Śpiączka, przenoszona przez muchę tse-tse czy komara, ma dwie formy, albo pacjent ciągle śpi, albo cierpi na chroniczną bezsenność i choroba Jane miała tę drugą formę. Prawdopodobnie przywiozła ją ze Stanów, gdzie zdarzały się jej wypadki. Choroba ta jest albo śmiertelna, albo wprowadza tak duże zmiany w mózgu, że wychodzi się z niej o zmniejszonych władzach umysłowych. Latem 1949 roku, w drodze do Polski, zatrzymałem się w Paryżu i pojechałem odwiedzić Jane, wtedy rekonwalescentkę, w Cite Universitaire. Wyciągnął ją i opiekował się nią młody lekarz Francuz, który stopniowo zaangażował się uczuciowo i chciał się żenić. Jak się później okazało, jego praktyczna mama złożyła stanowcze veto przeciw małżeństwu z cudzoziemką, w do-

datku chorą. Potulny syn wyjechał z ekspedycją naukową na Grenlandię.

Z Jane mogłem mówić szczerze o wszystkim, o polityce i literaturze, a bardzo potrzebowałem tego w moim ówczesnym osaczeniu. Przynajmniej była to osoba pewna, która nie poleci opowiadać o mnie Polakom czy Amerykanom, w dodatku mogąca mnie czytać po polsku. Jej gatunek humoru mnie odpowiadał i na ogół mieliśmy dobre porozumienie, z niejakimi przeszkodami, które stwarzała jej amerykańskość. Mieszkańcy mojej części Europy zawsze idealizowali Amerykę, tym bardziej po nieszczęściach, jakie spadały na nich od roku 1939. Z tego też powodu (?) ulicami Krakowa, w kilka dni po wkroczeniu Armii Czerwonej w 1945 roku do tego miasta, maszerował oddział polskiego wojska, śpiewając piosenkę, która wydała mi się wtedy, w tamtych okolicznościach, złośliwym żartem:

To jest Ame-ry-ka To słynne USA To jest kochany kraj, Tam ziemi raj.

Ten raj był jednak nieco wątpliwy dla kogoś, kto urodził się w dużym amerykańskim mieście slumsów, nędzy, bezrobocia i rasowych konfliktów, a zwłaszcza jeżeli dzieciństwo jego przypadło na lata kryzysu. Jane była naznaczona radykalizmem społecznym późnych lat trzydziestych i wczesnych czterdziestych, co sprawiało, że naiwne obrazy dobrodziejstw gospodarki wolnorynkowej niezbyt do niej przemawiały. Na pewno słuchała uważnie świadectw o komunizmie, jej odbiór był jednak nieco neutralny, to znaczy połączony z wiedzą o dwóch szalach, obu więcej czy mniej obciążonych, ale obciążonych. Dla mnie Jane stanowiła część mego amerykańskiego wtajemniczenia, jak książki Henry Millera czy reportaże o imi-gracyjnych dołach Louisa Adamica. Czyli z naszych rozmów korzystałem, zachowując drobną nieufność, jeżeli chodziło o jej cechy typowe dla tzw. amerykańskich

\* 149

liberałów, którym najtrudniej jest wytłumaczyć demonicz-ność niektórych ustrojów. Jane głosowała na lewicę Partii Demokratycznej. Czy na Henry Wallace'a (tego, który jeździł na Kołymę i zobaczył tam, że więźniowie żyją w znakomitych warunkach) nie wiem, pamiętam jednak, że później czynnie działała na rzecz kandydata Adlai Steven-sona.

Jane mieszkała jeszcze w Paryżu, kiedy znalazłem się tam w 1951 roku jako uciekinier ze wschodniego imperium, i jej obecność była dla mnie ważna, bo wyglądało na to, że pomimo moich zastrzeżeń co do jej amerykańskich „ślepych punktów” była mi mentalnie bliższa niż emigracyjni Polacy, choćby ci najsympatyczniejsi i z najlepszą wolą. Jej rekonwalescencja postępowała powoli i ciągle żyła w strachu, że sprawności umysłowej w pełni nie odzyska. Pisałem wtedy Zniewolony umysł i zaproponowałem jej, żeby przetłumaczyła tę książkę na angielski. Zgodziła się i tak zaczęła się jej wielka przygoda, to znaczy dosłownie walka o powrót do życia. Uznała ten przekład za próbę: jeżeli uda się jej, będzie to znaczyło, że chorobę

' pokonała i że może żyć i pracować normalnie. Z końcem 1951 roku mój tekst był prawie gotów, zaczęła wtedy tłumaczyć i tłumaczyła dalej po powrocie do Nowego Jorku, który nastąpił bodaj na początku 1952 roku. Nasza współpraca układała się dobrze, nie dawała mi najmniejszych powodów do wątpliwości o jej wnikliwym rozumieniu tekstu i cenilem jej krytyczne uwagi. Niemniej nie miała ze mną, jak się to mówi, łatwego życia. Przyjaźń przyjaź-

- nią, ale tam, gdzie chodziło o dokładność, byłem nieubłagany. Czyli dręczyłem ją, co wyszło nam obojgu na korzyść. Przekład okazał się znakomity, czyta się go, jakby po angielsku książka była pisana, a więc próba, którą wyznaczyła sobie Jane, wypadła jak najpomyślniej. Kosztowało to ją jednak mnóstwo wysiłku i mimo wielu ofert otrzymywanych po ukazaniu się *The Captive Mind* 1953 roku, nie została zawodową tłumaczką. Zdaje mi się, że jedyną drugą jej pozycją był przekład esejów Leszka Kołakowskiego, w tym słynnego eseju *Kapłan i błazen*,

150

które ukazały się w New Yorku w 1968 roku pod tytułem *Towards a Marxist Humanism*.

Losy zagnały Jane do Genewy, gdzie mieszkała wiele lat i została nawet obywatelką szwajcarską. W swoich podróżach urzędowych (a pracowała dla szwajcarskiego biura turystycznego) odwiedziła nas w Berkeley. W 1980 roku na moje zaproszenie pojechała do Sztokholmu na Nobla i uznała to za najszcześniejszy dzień swego życia. W parę lat potem umarła w Genewie.

Pruszyński przedstawiał dla rządu w Warszawie wartość fasadową, ale okres fasad trwał niedługo i z Waszyngtonu czy z Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku spadł na stanowisko posła w Hadze, co było odstawieniem na boczny tor. W Polsce stalinizacja postępowała szybko, a zaczęła się zaraz po 1948 roku, po międzynarodowym Kongresie Pokoju we Wrocławiu, pomysły i dzieła Borejszy, który dał w ten sposób blokowi wschodniemu cenną broń. Kogo tam nie było na tym Kongresie, intelektuały i literaty zachodnie prześcigały się w gorliwości. Spowodowałem memoriał Einsteina, ale ponieważ wzywał do utworzenia rządu światowego kontrolującego broń atomową, memoriał na żądanie Rosjan nie został odczytany. Czy to, czy co innego (dotychczas sekret) było przyczyną upadku Borejszy. Postać ta zasługuje na obszerną monografię, ale prawdziwe życiorysy komunistów nigdy nie będą napisane.

27 XI 1987

W Hadze Pruszyński był należycie obstawiony, kichnąć nie mógł, żeby nie dostało się to do raportu o jego zachowaniu, jako że wszystko musiało mieć sens polityczny. Rok 1950 był złowrogi, z aurą oskarżeń o dewiacje, procesów, wieszania niewinnych ludzi i śmierci w nie wyjaśnionych okolicznościach. Na placówkach w Ameryce tego jeszcze się nie czuło, ale znalazłszy się w ambasadzie w Paryżu jesienią tego roku, orzekłem: mordownia. W tych warunkach każdy miesiąc za granicą był zyskiem. Pruszyń-

151

ski jednak wybrał się latem do Warszawy, głównie chyba z powodu Julii, z którą zamierzał się zenić, a rozwód z pierwszą żoną de domo Meysztowicz (z „Żubrów” wileńskich) miał już przeprowadzony. Nie pamiętam, od kogo słyszałem, że kupił pas słucki i chwalił jego użyteczność, bo jedna strona na ślub, druga na żałobę.

Jechał samochodem przez Niemcy, sam, nocą. Gdzieś koło Hanoweru zderzył się czołowo z ciężarówką i zginął na miejscu. Szoferowi ciężarówki nic się nie stało. Być może w innym, mniej politycznie straszącym okresie, uznano by to za zwykły wypadek, ale wtedy miliony nieszczęśliwych wychodziły codziennie do pracy w gwałtach na tym samym kontynencie i morowe powietrze szło ze wschodu na całą Europę. Oficjalnie Ksawery zginął w wypadku samochodowym, jednak krążyły różne wersje i to zarówno za granicą, jak i wśród oficjałów w Warszawie. Podaję tutaj, co słyszałem.

Przede wszystkim od Cecylii, pięknej Angielki z zawodową karierą, jedynej osoby, której on, obstawiony w Hadze, mógł się zwierzać. Cecylia specjalnie odbyła ze mną w Paryżu tę rozmowę, zależało jej na tym, żebym wiedział. Według niej Ksawery jechał do Warszawy w pełni świadomy niebezpieczeństwa, na jakie się narażał, był to akt odwagi czy wyzwania; jak na froncie wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Bo został ostrzeżony. Przez kogo? Ni mniej, ni więcej, przez Jerzego Borejszę. „Oni tobie tam chcą zrobić proces o Hiszpanię, że byłeś tam z ramienia polskiej Dwójki”, miał mu powiedzieć Borejsza - i wątpię, czy Cecylia mogłaby to wymyślić. Wierzę, że tak było i że Borejsza odradzał mu przyjazd. Ktokolwiek wie, jak Hiszpania powtarzała się w procesie Rajka, Ślaskiego etc, uzna pomysł jeszcze jednego oskarżenia za prawdopodobny. Natomiast zachowanie się Borejszy było zagadkowe. Odstawiony przez partię i chory (zdarzył mu się jakiś tajemniczy wypadek samochodowy), mógł przechodzić poważny kryzys filozoficzny i zaczął kierować się zwyczajnymi ludzkimi odruchami. Inna jednak hipoteza też jest możliwa. Borejsza działał w interesie partii czy też

152

tych polskich komunistów, którzy pokazowych procesów jak w Czechosłowacji i na Węgrzech woleli uniknąć i starali się działać przeciwko innej grupie czy też organom pracującym do zgęszczenia podejrzeń. Pruszyński byłby pokazany jako podstępny wróg klasowy, który cały czas, również na placówkach, pracował dla Dwójki londyńskiej.

Wynikało z tego, że komuś zależało na tym, żeby Pruszyński albo nie zdecydował się na podróż, albo nie dojechał. Jakie nici były tutaj zaplątane, jakie działały siły, chyba nigdy nie będzie wiadomo. Zauważmy, że łatwo zbudować logiczny system poszlak, podczas kiedy rzeczywistość rzadko bywa logiczna. Z tego, że został ostrzeżony, nie wynika jeszcze, że coś złego musiało mu się przytrafić.

Jane przeprowadziła w New Yorku rozmowy bodaj w późnych latach pięćdziesiątych, po słynnej aferze wysokiego urzędnika UB, Światły. Nie pamiętam, na kogo powoływała się, bo przecież do samego Światły, starannie ukrytego gdzieś przez Amerykanów, nie miała dostępu. Według niej Światło miał oświadczyć: „Ta sprawa została przekazana towarzyszom niemieckim”, czyli odpowiednie wschodniemieckie organy zrobiły co trzeba.

29 XI 1987

W samolocie do Nowego Jorku: po szamotaniu się całe godziny na lotnisku w Oakland samolot nie odleciał, zmiana lotniska na San Francisco i inna linia. Ogromne zmęczenie, astma jeszcze trzyma i nonsens tej podróży, tyle że nie mogłem zawieść Poetry Center na 92 Ulicy. Zamiast o ósmej wieczór przylecę około pierwszej w nocy. Czytanie następnego dnia.

Jeszcze jedna osoba wkracza na scenę. Towarzysz Skrzyszewski. Był wtedy ministrem spraw zagranicznych po Modzelewskim, chorym na serce. Spełniło się, co podejrzewałem, to znaczy Paryż okazał się pułapką. W grudniu 1950 roku zjawiłem się w Warszawie na krótką

153

wizytę świąteczną. Ufając w swoją szczęśliwą gwiazdę, jak Pruszyński. Kraje dzielą się na te, do których trudno wjechać, i te, z których trudno wyjechać. Zważywszy na strach w powietrzu Warszawy, mój przyjazd tłumaczono w cichych rozmowach albo moim obłędem, albo wyjątkowo mocnymi plecami w wywiadzie czy w UB - w każdym wypadku lepiej było mnie unikać. W ministerstwie dowiedziałem się, że już nie wyjadę. Prosiłem o widzenie się ze Skrzyszewskim. Ten oświadczył, że postanowili mnie zatrzymać w moim interesie, żeby nie spotkało mnie to, co Pruszyńskiego. „Co spotkało? - zapytałem. - Przecież to był wypadek”. „Nie, według naszych danych został sprzątnięty przez Dwójkę londyńską”. „Ależ ja w czasie wojny byłem w Polsce, nie za granicą, i żadnych londyńskich powiązań nie miałem”. Zastanowił się. „Tak, to prawda.

Niemniej postanowiliśmy pana zatrzymać”.

Czy kłamał i wymyślił na poczekaniu tę historyjkę z Dwójką, czy też w partyjnym wyższym aparacie tak wierzono? Jak pogodzić to z „przekazaniem sprawy towarzyszom niemieckim”? Czy postanowione było, że w razie udanego zamachu londyńska Dwójka posłuży za kamuflaż? Na żadne z tych pytań nie ma odpowiedzi.

Zdaniem Jana Meysztowicza (brat eks-żony Pruszyńskiego i mój kolega szkolny z Wilna) był to po prostu wypadek i tak utrzymywała rodzina.

Pruszyński był w Hadze początkującym i niezbyt wprawnym kierowcą. Jechał nocą, był zmęczony. Prawdopodobieństwo wypadku jest duże. Można też założyć, że „kapryśna rzeczywistość spletała figła planującym. Czyli uprzedziła to, co i tak by się zdarzyło, na przykład przy przejeździe przez Niemcy Wschodnie. I może ten wypadek, nie przez towarzyszy niemieckich spowodowany, tak zdumiał bezpośrednich czy pośrednich zamachowców, że doszukali się w nim dzieła konkurencji, czyli Dwójki?

Opowieść o Pruszyńskim daje pojęcie o ówczesnych trwogach i metodach. Nie żenowano się. Nieraz dyplomatom podejrzanym o zamiar ucieczki dawano odpowiedni zastrzyk i ładowano do samolotu.

154

1 XII 1987

„Utrzymanie państw jest rzeczą, która prawdopodobnie przekracza nasze rozumienie. Budowa społeczności to, powiada Platon, rzecz potężna i trudna do rozwiązania; trwa ona często wbrew śmiertelnym i wewnętrznym chorobom, wbrew zelżywości niesprawiedliwych praw, wbrew tyranii, wbrew nadużyciom i nieuctwu urzędników, swawoli i rozpasaniu ludów.

Rząd naszego państwa jest chory: bywały wszelako bardziej chore i nie pomarły. Bogowie grają nami jakoby w piłkę i odrzucają nas sobie z rąk do rąk” (Montaigne, Próby, III, przekład Boya, PIW 1957, s. 230).

Wypisałem to lecąc New York-San Francisco z polskiego tomiku Prób. Mimo zmęczenia dałem radę rozmowom z Matsonem, z Richardem i Jody, z Brodskim i Inez, wszystkie w hotelu Algonquin, i spotkaniu agentów sprzedaży w The Ecco Press, a następnie wieczorowi poetyckiemu w The Poetry Center, a czytałem dobrze. Podpisywanie książek, reception, po czym obiad we

włoskiej restauracji z Danem i Renatą.

2 XII 1987

W Nowym Jorku rozmowy o rozdziale Conversations with Miłosz drukowanym w „The New York Times Book Review”, o liście do redakcji prof. Blejwasa i mojej odpowiedzi. Richard, jako tłumacz, powinien był zwrócić uwagę na zdanie przykre dla Polonii amerykańskiej, a tym bardziej wydawca, czyli redaktor w firmie Harcourt Brace. Ten jednak żenował się, bo sam jest Amerykaninem ze starej polskiej emigracji, czyli nie chciał, żebym pomyślał, że z osobistych względów prosi o usunięcie. I tak to, co powiedziałem w rozmowie z Fiutem po polsku, poszło po angielsku.

Niemniej powiedziałem prawdę. Przecie z tytułu mego

155

zawodu profesora wiedziałem, ile można byłoby zrobić w Ameryce, i musiałem znać fakt, że nawet ci, co mają pieniądze, nic nie dadzą na kulturę. Miliony Amerykanów polskiego pochodzenia mogłyby być ogromną, także polityczną siłą, na uniwersytetach mogłyby zmienić studia slawistyczne tak, że przestałyby być czym są, to jest studiami rusycystyki. Ale czego można się spodziewać po zbiorowym niezgulstwie?

Katedra literatury polskiej na Columbii dowiodła, że niewiele. Chyba o tym gdzieś już opowiedziałem. Simmons, profesor rusycystyki, zwrócił się w 1948 bodaj roku do mnie, to jest do attache ambasady, żeby Polska ufundowała katedrę literatury polskiej. Ponieważ zaproponował Manfreda Kridla, kuratora naszego Koła Polonistów (Sekcja Twórczości Oryginalnej) w Wilnie, znalazł we mnie sprzymierzeńca. Modzelewski, wówczas minister spraw zagranicznych, ze starych komunistów, zrozumiał wartość propagandową i zdobył potrzebną sumę (wówczas wysoka), 10 tysięcy dolarów rocznie. Żeby bogaty uniwersytet amerykański żebrał u komunistycznego rządu, to nieładnie. Ale katedry polskiej w Ameryce dotychczas nie było i ja ją zrobiłem. A wtedy rozpętało się piekło - cała prasa polonijna przez parę lat podnosiła krzyk o komunistyczną infiltrację (Kridl jako bolszewik!), choć myśl, że sami mogliby ufundować katedrę, nigdy nie przyszła im do głowy. A po kilku latach, kiedy skończyło się warszawskie subsydium, katedra przestała istnieć. Pośród moich książek The History of Polish Literature ma bodaj najniższe, śmiesznie niskie, nakłady. Dlaczego są tacy? Tłumaczę teraz w Nowym Jorku:

Vtak, Polska jest krajem niebywałego kastowego zróżnicowania, od rzadko gdzie indziej spotykanych szczytów do przygnębiających dołów, i być może te dwa skrajne bieguny są najsilniejsze. Najniżsi, ci, co emigrowali za chlebem, pewnie nie mieli kogo naśladować, bo wyższe było dla nich za wysoko. Rzeczywiście najniżsi tam, w starym kraju, tutaj byli kulisami, nosząc piętno czarnoroboczych, i ich wrażliwość na pogardę klasy średniej wyrażającą się w Po-

156

lish jokes można zrozumieć. Bo były to dowcipy niewątpliwie klasowe, ale też dostatecznie zjadliwe etnicznie, żebym czuł jad na przykład trzymając ołówek z napisem Polish pencil - ołówek, którym nie można pisać, bo gumkę zamiast na jednym końcu, umieszczono na obu.

5 XII 1987. O ważności własnej osoby

Dzieje każdego ludzkiego życia dałyby się sprowadzić do zmiennej gry pomiędzy obrazem samego siebie i swoim obrazem w oczach innych. Pomiedzy pychą i poniżeniem, z mnóstwem stanów pośrednich. Każda minuta, kiedy jesteśmy wśród ludzi, w sklepie, w biurze, na poczcie, w autobusie, dostarcza melancholijnych obserwacji o tej ich kruchości i wrażliwości na gest, na słowo, albo pokrzepiające, albo ściągające w dół. Tak żałośni w swojej drobnej dumie, potrzebują małego kółka, czy klanu, w którym byliby uznawani, upewniani, że są coś warci.

Malutka grupa z „Żagarów” kiedyś mi wystarczała, gorzej było w Warszawie, gdzie ostatecznie nosiłem etykietkę jednego z wielu zdolnych młodych poetów. Poza tym, na bakier z

„Wiadomościami Literackimi”, nie zaznałem słodczy roztrzaskania pawiego ogona w kawiarni „Ziemiańska” ani ukłonów na Mazowieckiej, choć tam, w księgarni Mortkowicza, sprzedawały się jedyne bodaj w Warszawie dostępne egzemplarze moich Trzech zim, jako że tam był tej książki „skład główny”. Moja krnąbrność, czyli najeżanie się, kiedy ktoś chciał mnie pogłaskać, jak i różne moje idiosynkrazje dzisiaj śmieją, choć dziwnie pomyśleć, że sławy tamtej kawiarni i tamtej ulicy

przemineły, a nieśmiały arogant się ostał.

Jedni potrzebują, żeby uznawało ich wielu, inni, skraj-1 nie egotyczni, zadowolają się sobą i paroma głosami. Podczas wojny mój przyjaciel Jerzy Andrzejewski nadal chodził w glorii Nagrody Młodych, którą dostał za (słaba) powieść Ład serca, tudzież ukłonów na przedwojennej Mazowieckiej. Przez jakiś czas popijaliśmy w knajpie „Pod

457

Kogutkiem" z niejakim Kudelskim, jedną z postaci, które zjawiają się i potem nic o nich nie wiadomo, bogaczem czarnego rynku. Kudelski lubił znęcać się nad Jerzym, zwracając się do niego „Panie Adamczewski", jako że Jerzy podając rękę przedstawiał się uroczyście: „Andrzejewski jestem", świadcząc względy swemu sławnemu nazwisku. Poprawiony, Kudelski przepraszał, po czym za chwilę: „Panie Adamczewski". Muszę przyznać, że nigdy nie spotkał mnie despekt tego rodzaju, choć i nie było po co.

Knajpa „Pod Kogutkiem" (nie jestem pewien nazwy) zasługuje na wzmiankę. Kelnerami byli tam aktorzy. Mileckiego widziałem w Wilnie w teatrze „Reduty" jako Cyda. Kempa to ten, co zginął podczas Powstania Warszawskiego na Starówce w eksplozji podeślanego przez Niemców czołgu. Bar kawowy obsługiwała Maria Leszczyńska, towarzyszka poetów, najpierw ostatniej fazy życia gruźlika Jerzego Lieberta, następnie Stefana Flukowskiego, wtedy w oflagu. Willa jej na Narbutta czy równoległej ulicy była prawdziwym żydowskim sierocińcem, pod opieką jej katolickiej egzaltacji; do tego domu dałoby się zastosować: „Matka Boska chodzi po stole". Dokoła którego to stołu, kiedy tam przychodziłem, siedziało zwykle kilka żydowskich bobasów.

6 XII 1987

Wczoraj w Zellerbach Hall na japońskim balecie Kin-kan Shonen. Program podaje treść („Sen chłopca o początku życia i o śmierci"), ale nie myślę, żeby ktoś z licznej publiczności, która zgotowała zespołowi owacje, rozumiał metafory. Dla mnie był to prawie wzór Czystej Formy, to znaczy czystej akcji tanecznej, samej dla siebie. Muzyka i ruch tak przeniknęły we mnie, że w nocy miałem sen, ale już wizualno-słowny. Bohaterem był mędrzec żydowski w rodzaju Bubera, za przedmiot swego tańca-kazania--recytacji miał prawdy Starego Testamentu.

158

W nocy sztorm, dzikie porywy wichru od morza i deszczu bijącego o szybę tuż nad głową. Ale moja broncho--astma prawie już przeszła.

Potrzeba wiary w ważność własnej osoby jest dobrym kluczem. Ta moja potrzeba przesądziła o moim trzymaniu się rządu warszawskiego po wojnie i mojej pierwszej Ameryce. Jeżeli tego dotychczas nie wy dobyłem, to warto, choć najtrudniej poddają się badaniu rzeczy oczywiste. Zważmy, że emigracja 1939 roku była dalszym ciągiem tamtej Polski Dwudziestolecia, w której o moim istnieniu jako poety mało kto wiedział. Czytająca inteligencja nie wykraczała swoim smakiem poza Skamand-ra. Literaturą w Londynie rządziła dalej ulica Mazowiecka, czyli redaktor „Wiadomości" Grydzewski. W 1946 roku odwiedziłem w nowojorskim szpitalu Lechonia, którego znałem z Paryża i którego nie lubiłem, ale należał mu się szacunek jako jednemu z mistrzów mojej młodości, a podobno był chory na raka. Tenże jednak Lechoń odnosił się do mnie w swoich pismach raczej pogardliwie. Kiedy w 1951 roku wybuchła tzw. „sprawa Miłosza" i zaczęto o mnie wypisywać obrzydliwości (żałuję, że zginęła zgromadzona przez mnie „biała księga" wycinków), w artykułach przeziarało nie udawane oburzenie na samozwańca: za kogo on się ma, kogo obchodzą jego estetyczne kłopoty? I jednak czas zgęszczony przez magiel wojny sporo tam, nad Wisłą, zmienił, także w otwartości na pewne myślo-formy. Tam istniałem, zwłaszcza po wydaniu Ocalenia, jak też wyznaczyłem sobie funkcję w toczącej się batalii. Taki tedy jest sekret: nie znany nikomu w Ameryce, jakiś tam urzędniczek satelickiej ambasady, skrobałem piórem pisząc, tłumacząc poetów, przystrojony w płaszcz mojej ważności tam daleko. Ktoś powie: Jakże małostkowe są takie motywy! Jak demaskuje się, składając wyznanie, że był w niewoli osobistych ambicji! A przecie tutaj grał się los i zrozumienie pewnych prawideł tej gry nie powinno przynieść ujmy, chyba że ktoś jest hipokrytą.

159

10 XII 1987

Leonard mi opowiedział o wieczorze autorskim poety holenderskiego na kampusie. W zwartym szyku wmaszerowali na salę Holendrzy z okolic, żeby poprzeć swojego. Ten był zrozpaczony. „Ja nie chcę takiej publiczności!” - krzyczał. Więc nie tylko ja mam tego rodzaju kłopoty.

List od Janka Ulatowskiego, po tym jak posłałem im nowe wydanie Trzech zim z komentarzami. Pisz:

„Że »pod wpływem dajmoniona«, to widać z fotografii - fotografia potępieńca, a późniejsze to potwierdzą. Mamy chyba nagrany Twój śmiech, od którego ciarki |  
przechodzą. I

Najsprawiedliwszy dla Ciebie jest Kisiel: »...pan to ' |  
przecież jutro zrzuci!« Tu widać, że tylko w literaturze |  
Kisiel może nie wygłupiać się". I

12 XII 1987 i

i Znowu wspaniałe pogody. My z Hassem obarczeni |  
korektą mego tomu Collected Poems, 520 stron i pilne. |  
Pracuję też nad przedmową do tomu Josifa Brodskiego |  
w polskim przekładzie.

Podczas mojej ostatniej wizyty w Nowym Jorku uświadomiłem sobie szczególnie wyraźnie rozdział pomiędzy rolą }  
społeczną „nazwiska” i osobą jako poszczególnym ist- ^  
dla agentów sieci | nieniem (moja wartość snobistyczna

sprzedaży książek czy osób stojących w długiej kolejce po 1  
autograf w The Poetry Center). Nie, poprawiam się, od dawna to wiedziałem, wściekając się na  
manię, przede wszystkim Polaków, żeby fotografować się ze mną jak z niedźwiedziem. Ale istnieje  
wiele stopni uchwytu, z roztargnieniem i zapomnianiem, które ten uchwyt osłabiają. Tym razem  
uświadomiłem sobie, że radziłem sobie z oklas- \  
kami jako z czymś wobec mnie zewnętrznym prawie instynktownie. Na przykład cały pobyt w  
Polsce w 1981 ^ roku. Niesamowity triumf, moralna przypowieść TTbaśn:

160

mądrzy bracia przegrali, wygrał głupi Jaś. Jeżeli w centrum moich namietności było pisarstwo (a  
było), jeżeli w centrum pisarstwa jest potrzeba uznania (a jest), powrót do Polski w sławie był  
szczytem mojej biografii. A jednak nie, bo zupełnie inne sprawy mnie zaprzętały czy chroniły,  
bardzo prywatne, bardzo osobiste.

Otóż teraz w Nowym Jorku rozgłos ukazał mi się od innej strony, od strony kół literacko-  
wydawniczych Manhattanu, to znaczy w ciepłe, życzliwe niektórych znanych w tych kołach  
postaci zacząłem lepiej rozróżniać rytuał, hołd składany sukcesowi. Powiniennem był, Litwin  
podejrzliwy, znowu pamiętać, że słodkie słówka w takich wypadkach należą do rytuału, i powtarzać  
sobie, jak to robiłem w Polsce, bajkę Krasickiego:

Mnie to każda, rzekł hardzie do swego rodzeństwa Siedząc szczur na ołtarzu podczas nabożeństwa.  
Wtem, gdy się dymem kadził zbytecznych zakrzusił, Wpadł kot z boku na niego, porwał i udusił.  
13 XII 1987

Przeczytałem w nowym wydaniu zbioru Kraj lat dziecinnych znakomity tekst Ksawerego  
Pruszyńskiego. Jakże jasną miał świadomość, że tamta Polska, której rdzeniem były „kresy” i nadal  
jeszcze szlacheckość, wtedy już, w 1941 roku, mijała na zawsze. Czy miał rację, zrywając ze  
swoimi towarzyszami broni i z londyńską emigracją, biorąc na siebie dobrowolnie piętno zdrajcy?  
Był bystry i międzynarodowo otwarty, nie łudził się jak inni, że zaraz wybuchnie nowa wojna. Inny  
konserwatysta, Stanisław Mackiewicz, zrobił to samo, tylko później. Myśląc historycznie a trzeźwo,  
trwająca kilka stuleci rywalizacja pomiędzy Polską a Rosją o panowanie nad środkiem Europy  
została zakończona całkowitą przegraną Polski. Należało stąd wyciągnąć wnioski i nie oddawać się  
mrzonkom, to jest nadziei, że Imperium szlachtetnie wypluje, co raz połknęło. A zarazem mylił się,  
bo decyzja zakładała, że dokonuje

161

wyboru pomiędzy jednym a drugim światowym mocarstwem. Wybór do tego się jednak nie

sprawdzał. Tam należało zostać komunistą albo nikiem, pajacem, który udaje, że nie ciągną go za sznurek. Niestety, tylko wiara w komunizm mogła uzasadnić zmienianie niepodległego kraju w prowincję pod kontrolą obcych. Myślenie planetarne przeciwstawiało się myśleniu niepodległościowemu. Polska prawica spod znaku Dmowskiego przyjmowała niegdyś poddaństwo wobec Rosji carskiej z powodów geopolitycznych i Pruszyński, przeciwnik endecji, nagle został wtrącony w towarzystwo zwyczajnych kolaborantów. Do czego zmierzam? Do odsłonięcia rąbka kurtyny, bo tragedia Polski, mało mająca sobie równych, dotychczas pozostaje zakryta. A to z prostego powodu, że podział na kraj i emigrację zmuszał do przyjęcia jednej albo drugiej wypaczającej perspektywy. Należało wiele przemilczać, „żeby nie dostarczać argumentów wrogowi”. I niektóre straszne prawdy nie są dotychczas głośno wypowiedziane.

20 XII 1987

Sauna i pływanie. W nocy sny ze znajomą fauną koszmaru lat wojny.

Dla Polski nie ma miejsca na ziemi. Odległych powodów trzeba szukać w działalności romantycznych przyjaciół ludu:

Przebrani w kozuch, idąc od wioski do wioski, Chuchali na folklorystyki itp. pierwiosnki. Aż namnożyli dziwnych nacjonalnych znaków. To był haczyk - i sami wiszą na tym haku.

(Toast)

W istocie Niemcy i Polska były około roku 1820 rozsądnymi politycznymi romantyzmami, czyli, nazywając rzecz bardziej przyziemnie, nacjonalizmami. Żeby folklor i „duszę ludu” podnieść do drugiej potęgi i otrzymać pojęcie narodu, trzeba wykształcenia (studenci, Filomaci)

162

i poniżenia (którego w pobitych przez Napoleona Niemczech i rozbiorowej Polsce nie brakowało).

Jeszcze w ciągu całego dziewiętnastego wieku wieś francuska na południe od Loary mówiła językiem oc, ale nikomu nie przychodziło do głowy powoływać się na naród okcytański. Być może to Rewolucja Francuska wprowadzając zupełnie inne pojęcie narodu niż tamto, wywodzące się od Herdera (patrz Alain Finkielkraut), skutecznie wzmocniła patriotyzm ogólnofrancuski.

Romantycy wileńscy, gdyby zastosować do nich kryteria późniejszego nacjonalizmu, byli jeszcze narodowo chwiejni. Kochali lud, ale lud mówił po litewsku albo białorusku. Książki wychowanków Uniwersytetu Wileńskiego, pisane po polsku, miały jednak wykrystalizować dwa nacjonalizmy, polski i litewski, jak również przyczynić się, dzięki poezji, do narodzin nacjonalizmu ukraińskiego i białoruskiego.

Żeby język uznać za wskaźnik czyjejs przynależności do grupy zwróconej przeciwko innym grupom, trzeba było nie lada przewrotu. Ludzkość obywatela się bez takich wyraźnych rozgraniczeń, a tym bardziej bez idei narodu, który chce mieć własne państwo.

Gdyby po I wojnie dokładnie stosowano zasadę samostanowienia narodów, wschodnia granica Polski przebiegałaby wzdłuż linii Curzona. Zapomnę na chwilę o rzeczywistych układach sił, tak czy owak sąsiadami będą Polska, Litwa, Białoruś i Ukraina.

Również zasada samostanowienia musiałaby podyktować po II wojnie obecną wschodnią granicę w wypadku tak całkowitej przewagi zachodnich aliantów, że nie doszłoby do ugody w Jałcie. Polska oznaczałaby wąski pas wzdłuż Wisły, zbyt gęsto zaludniony, żeby dawało to jakieś szanse.

Żaden rząd zachodni nie wpadłby na taki pomysł jak Stalin, żeby wysiedlić miliony Niemców z ich wielowiekowych siedzib i oddać ten obszar Polakom. Tym samym rzecz można, że Polska istnieje z woli i z łaski Stalina.

Amerykańska partia komunistyczna w okresie międzywojennym przez pewien czas miała w programie szczególne

163

lekarstwo na tak zwaną kwestię murzyńską. Oto proponowała uznać południowe stany, z większością czarnej ludności, za stany murzyńskie i przesiedlić tam czarnych z innych stanów.

Projekt został zarzucony jako „nieamerykański”, a także dlatego, że zbyt przypominał o rezerwach dla Indian, o „Szlaku Łez”, kiedy plemiona z Georgii i Północnej Karoliny, dziesiątkowane przez głód, chłód, i choroby, wędrowały na wyznaczone im tereny w Oklahomie. Projekt zresztą musiał podobać się Stalinowi, który lubił rozwiązania proste, gładkie i definitywne.



Wywiózł przecie na Syberię całą niemiecką republikę nadwołżańską. Trzeba przyznać, że zbrodnia wysiedlania zawarta jest implicite w podziale terytoriów według języka czy rasy ich mieszkańców. Tak więc Polacy, których podczas II wojny światowej Hitler wysiedlał z terenów włączonych do Rzeszy, którzy w miastach musieli przenosić się na wyznaczone im ulice, po wojnie zostali zmuszeni (strachem przed deportacją) do wędrowki z miast, gdzie stanowili większość, jak Wilno i Lwów, czy z licznych okolic o ludności mieszanej i do przyjęcia na Ziemiach Zachodnich współnic-twa w dziele Stalina.

W roku 1945 polscy komuniści mieli rację: Polska mogła istnieć albo w kształcie nadanym jej i gwarantowanym przez Związek Sowiecki, albo przestać istnieć. Kiedy Jakub Berman w książce Torańskiej Oni krzyczy, że gdyby nie komuniści, z Polski zostałyby placki, trochę fałszuje, bo przed 1939 wcale nie leżała w ich zamiarach obrona terytorium, choć trzeba mu o tyle przyznać słusność, że żaden rząd pochodzący z wolnych wyborów nie dostałby Ziemi Zachodnich w podarunku od Wielkiego Brata.

21 XII 1987

Kraj, Ojczyzna, naród: les choses vagues, rzeczy mgliste, jak je nazywał Paul Valery, to znaczy wymykające się definicjom, zbyt naładowane uczuciowymi znaczeniami.

164

Lepiej więc w tej dziedzinie niczego nie dociskać. Tyle że nie bardzo dobrze, kiedy przynależność do danego narodu określa człowieka jako jego główna dominująca cecha. Valery nie musiał zajmować się Francją ani nawet zastanawiać się, co to znaczy być Francuzem, francuskość była powietrzem, którym oddychał. Ale Polak jest przede wszystkim Polakiem, Litwin Litwinem, Ukrainiec Ukrain-cem. I ciekawe, że kiedy chce służyć narodowi swoim umysłem, swoim piórem, swoją sztuką, to, co robi, jest dotknięte skazą proporcjonalnie do jego narodowej gorliwości. Ksawery Pruszyński, czyli powroty. Bo nie on jeden stanął wtedy przed skrajnie trudnym wyborem. Dlatego trudnym, że nie owijając rzeczy w bawełnę, powrót był naturalny, skoro naród był tam, natomiast pozostanie oznaczało, że daje się spokój całemu temu narodowi i swojej narodowości, zajmując się zawodem, rodziną, przyjaciółmi. Zmieniając się w obywatela świata. Jak to, zakrzykną, a misja emigracji wypróbowana od pokoleń, ulice paryskie, którymi chodzili Mickiewicz, Słowacki, Norwid! Otóż w 1945 roku nie było żadnych danych, które by mogły uzasadnić emigrację jako akt polityczny, chyba że ktoś nie chciał rozumować trzeźwo. To dzisiaj rzutuje się późniejsze wypadki wstecz i przyznaje się sens wytrwaniu na pozycjach straconych, przyjmując milcząco dodatkowe założenie o ciągle tej samej walce narodu o niepodległość.

- Wyobraźmy sobie Pruszyńskiego jako biologa czy malarza, czy fizyka. Mógłby zostać za granicą, nie popadając w sprzeczność. Ale on był politykiem, a jako taki nic nie miał na Zachodzie do roboty, a poza tym był publicystą. A tam, gdzie wchodzi w grę pisarstwo, wszystko zaczyna wyglądać inaczej.

23 XII 1987

Nie widzę wielu podobieństw między mną a Pruszyńskim, toteż nie załatwiam za jego pośrednictwem swoich

165

porachunków. Jego wypadek jest klinicznie czysty, skoro o żadne lewicowanie nie można go posądzić. Ani o chciane czy mimowolne zaślepienie. O Rosji wiedział wszystko, patrzył na nią w Kujbyszewie i wyciągał ludzi z łagrów. Jego wiedza obejmowała masowe wywózki po pakcie Hitler-Stalin, Katyń, Powstanie Warszawskie. A jednak przeszedł na stronę Warszawy. Ze względów geopolitycznych.

25 XII 1987

Ten schemat: byli zaślepieni, bo tak im było wygodniej, a potem przejrzeni, nadal pokutuje, jakby wolno było mówić o nas jak o Francuzach czy Anglikach. W Warszawie rozporządzałem niezłymi informacjami o archipelagu Gułag, czyli nie musiałem czekać, aż oświeci mnie kilka dziesiątków lat później Sołżenicyn. Miałem za sobą ucieczkę z sowieckiego Wilna, na co niewielu się decydowało, bo stawka przy złapaniu na granicy była mniej więcej (osiem lat) wiadoma. Poza tym znajomość rosyjskiego pozwalała mi na poważną lekturę gazety emigrantów rosyjskich

wychodzącej w Berlinie, o wiele bogatszej w wiadomości, mimo cenzury, niż jakakolwiek inna oficjalnie dozwolona prasa. Docierała do Warszawy „La Gerbe” francuskich kolaborantów, ale żałośnie pusta. Rosyjska gazeta dawała mnóstwo świadectw, listów, dokumentów, o których autentyczności nie można było wątpić, a pochodzących z ogromnych obszarów Związku Sowieckiego. Zresztą intencje redaktorów najwyraźniej nie pokrywały się z celami niemieckiej propagandy, lawirowali. Kroński, który rosyjskiego nie znał, robił mi awantury z powodu tych niezdrowych lektur.

Niedawno przeczytałem wydany przez „Puls” tomik wspomnień i opinii o paryskiej „Kulturze” i zrobiło mi się przykro. Że też muszę zawsze być karany za moje przekorne wygłupy. W początkach mego pobytu w Maisons--Laffitte uważano tam, że trzeba mnie doksztąpić, więc

166

robiłem wielkie oczy i udawałem dziecię: „Jak to, więc tam są łagry?” A biedna Zofia Romanowiczowa w swoim wspomnieniu z 1951 roku wzięła to dosłownie.

Wszystko to działo się dawno, ale oto koniec stulecia i zbliża się pora bilansów tego naszego wieku. Mnóstwo zasłon, mgieł, woali zakrywa widok i trudno się rozeznąć, gdzie co jest, co ważne, co mniej ważne. Ktokolwiek parał się trochę historią literatury, wie, jak złudne są podziały na szkoły, kierunki, i jak mylne po upływie kilkunastu lat okazują się wieńczenia laurem. Ostatecznym kryterium będzie może doza rzeczywistości obecna w danym dziele, wymagająca przywiązania do prawdy. Wtedy wielkiej rehabilitacji zaznają książki rozpraszające mgłę, za którą ukrywał się potwór leninizmu-stalinizmu. Przez wiele dziesięcioleci obserwowałem, jak niechętnie były przyjmowane i jak szybko zapominane.

W Wilnie we wczesnych latach trzydziestych Białorusin Olechnowicz, eks-więzień na Sołowkach, znalazł się wobec czytelników polskich w podobnej sytuacji, co później Polacy wypuszczeni z łagrow w wobec publiczności angielskiej: współczucie, ale niedowierzenie, bo przecie ów świadek musiał coś przeszkrobać: przecie nikt nie jest karany bez winy. W tychże latach trzydziestych Powrót z ZSRR Andre Gide'a i Panai Istrati dają okazję do zorganizowanej kampanii przeciwko rozczarowanym, czyli „zdrajcom”. Na tej liście umieszczeni są zaraz Victor Serge, Arthur Koestler, Ignazio Silone, George Orwell, wkrótce też Albert Camus. Szeptaną propagandę, skuteczniejszą jeszcze niż oszczerstwa w prasie, uprawiali intelektualiści postępowi, nie tyle co prawda szeptaną, co gestykulowaną; w swoim przyjętym na zasadzie milczącej umowy systemie grymasów, prychnięć, gestów lekceważenia, załatwiali się bez słów z niewygodnymi pisarzami jako sługami bur-żuazji.

Mógłbym wymienić tytuły książek nigdy nie wydanych albo skutecznie przemilczanych. Również tych, które, wydane w jednym języku, nie mogły znaleźć tłumaczy i wydawców w innych językach. Na przykład Na nieludz-

167

kiej ziemi i Zapiski starobielskie Józefa Czapskiego i Inny świat Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Czy Dark Side of the Moon, książka świadectw Polaków wywiezionych po 1939 roku.

Mój Zniewolony umysł pisany był w najgorszym może roku 1951, kiedy kult Stalina we Francji dosiadał szczytu, wkrótce po zgoła nieprawdopodobnym, patrząc na to dzisiaj, a głośnym procesie. Komunistyczna „L'Humanite” oskarżyła mianowicie Davida Rousseta, byłego więźnia obozów koncentracyjnych, o to, że w swojej książce L'Univers concentrationnaire mówi o istnieniu obozów koncentracyjnych w Rosji. Równocześnie Jean-Paul Sartre i Francis Janson gotowali się do obrzucenia błotem w „Les Temps Modernes” Alberta Camusa za jego książkę UHomme revolte, w której utrzymuje to samo (przeczytałem tę książkę już po napisaniu Zniewolonego umysłu). Tak więc jedyne słowo, jakiego można tu użyć, będzie chyba: psychoza. Choć także władza, na szczęście bez policji. Atrykuły Sartre'a i Jansona były po prostu denuncjacjami, wołaniem o karę dla Camusa. Kiedy szukałem tłumacza i polecono mi młodego człowieka, początkującego literata, pochodzenia żydowsko-polskiego, ten oświadczył, że bardzo chętnie, ale nie może, bo nikt by mu potem nic nie wydrukował. Pracy ze mną podjął się Andre Prudhom-meaux, anarchista, który był w Hiszpanii. W Paryżu zarabiał jako korektor stylu w „Preuves”. Ale Prudhom-meaux nie znał polskiego i cały Zniewolony umysł przedyktowałem mu zdanie po zdaniu, on tylko stylistycznie

poprawiał.

29 XII 1987

Napisanie Zniewolonego umysłu kosztowało mnie za dużo, żebym się nim chwalił. To znaczy wymagało szeregu warunków. Wyjazdu z Ameryki, bo tam Joe McCarthy urządzał polowanie na komunistów, co rzuciło groźbę na środowiska intelektualne i oczywiście nikt szanujący się nie

168  
mógł przyłączyć się do antykomunistycznej kampanii, która była interpretowana jako początek faszyzmu w Ameryce. Poziom umysłowy łowców usprawiedliwiał takie przypuszczenie. Czytałem gdzieś stenogram zeznań Bertol-ta Brechta przed odpowiednią komisją Kongresu. Bawił się nimi jak kot myszą. Wkrótce wyjechał do Berlina Wschodniego. Nieszczęsny Whittaker Chambers może być przykładem tego, co spotykało śmiazków łamiących obyczaje środowiska. Długoletni redaktor „Daily Workera” zerwał z komunizmem z powodu rzeczywistego wewnętrznego kryzysu i występował jako kluczowy świadek oskarżenia w procesie Algiera Hissa o szpiegostwo. Odtąd do śmierci był wyłączony spośród ludzi godnych podania ręki, stracił wszystkich przyjaciół, a jego ogłoszone pośmiertnie listy świadczą o dnie rozpacz. Był mocno przekonany, że nikt nie rozumie istoty komunizmu i niebezpieczeństwa, jakie niesie dla ludzkości, i że on, decydując się po dłuższej wewnętrznej walce na publiczne wystąpienie, przegrał. I, oczywiście, był zafascynowany Historyczną Koniecznością zwycięstwa Związku Sowieckiego. Środowisko tępiące Chambersa bynajmniej nie składało się wyłącznie z marksistów i ich sympatyków różnych odcieni, obejmowało także szerokie koła opinii liberalnej, zjednoczonej przez swoją wrogość do antykomunizmu. „Co by było gdyby” jest zawsze ryzykowne, ale myślę, że gdybym został w Ameryce, nie mógłbym Zniewolonego umysłu napisać nie narażając się na ostracyzm ze strony jedynych kół, na jakie mogłem w tym kraju liczyć. We Francji było jeszcze gorzej, ale swoją obcość zakładałem niejako z góry, trędowaty, jak sądziłem, na stałe.

W 1954 czy 1955 roku w foyer paryskiego teatru, gdzie wystawiano jakąś sztukę polską, natknąłem się na Jarosława Iwaszkiewicza, który odwrócił się, rzuciwszy: „Z tobą, złotko, nie mogę się przywitać”. Opowiadano mi, że Iwaszkiewicz na jakimś spotkaniu z Sartre'em w Berlinie rozmawiał z nim o Zniewolonym umyśle. Sartre: „Nie wystarcza być inteligentnym, trzeba jeszcze mieć sagesse”. Sagesse oznacza i mądrość, i roztropność. Rzeczywiście,

IW

\

I nie byłem roztropny. Książka ta wlokła się za mną długo. I Ściągnęła denuncjacje Polaków do ambasady amerykańskiej-

I kiej w Paryżu (bo kryptokomunistyczna), czyli zaprzepaszczenie wizy do Ameryki na dziewięć lat, „piętno zdrajcy” wśród postępówców, a także, co bynajmniej nie przypadało mi do smaku, zaliczenie mnie do prozaików, szkolarzy z zakresu politologii. Nota bene nie pomogła w dostaniu posady wykładowcy literatury, raczej prze-

\ ciwnie.

Drugim warunkiem niezbędnym był mój stan umysłu, godny pożałowania. Dużo teraz rozmyślam nad ideologią, to znaczy nad niemal nieograniczoną zdolnością ludzi do wciągania się w korkociąg, z którego nie ma ratunku. „Ukaszanie heglowskie” może po prostu tłumaczyć się traumatycznym przeżyciem słabości, słabości własnej czy kraju wobec siły posuwającej się jak żelazny walec. „Jew-ropa nasza”. Przecie w latach 1945-1950 nikt nie wierzył w samodzielną kapitalistyczną Europę. Pisałem, żeby wydostać się z korkociągu. Choć dopiero inna autoterapia, Dolina Issy, wydobyła mnie spośród abstrakcji i oddała mnie z powrotem poezji.

30 XII 1987

Wszyscy ludzie są tak samo fizycznie ukształtowani i dlatego mogą się w elementarnych swoich odczuciach porozumieć, tym bardziej zdumiewa niepowtarzalność mieszaniny dobra i zła, inaczej urządzonej w każdym. Zapuszczenie się w moją psychologię nic nie da, w każdym razie ja tego nie potrafię. Tyle że jest rzeczywiście związek między Zniewolonym umysłem i wierszem Sobie samemu do sztambucha na rok 1950:

Żebym coś mógł. Nic nie mam oprócz tego pióra. Nawet dla wprawnej ręki broń jakże zdradliwa.

Nie wysłucha mnie człowiek, zdmuchnie mnie Natura. Słyszę głos, ale nie wiem skąd i dokąd wzywa.

170

1 I 1988

Sześćdziesiąt lat temu na stacji u pani Kleckiej. Nie wszystkie postacie mogę sobie przypomnieć. Ostrowski, łysiejący korporant, student prawa, ciołek i triumfalny samiec, nie wiadomo, co się z nim stało. Irena Osiecimska, śliczna, polonistka, ale z tych co studiują przez pewien czas, żeby znaleźć męża; niespodziewane spotkanie z nią na ulicy w Sopocie, kiedy przyjechałem do Polski z Ameryki na wakacje w 1949. „A my tu niewolnicy jesteśmy!”, wykrzyknęła. Nic na to nie odpowiedziałem, ale mogłaby się przynajmniej cieszyć, że wiem, co ona, bo po tych wakacjach wróciłem wręcz chory. Marysia, nazwiska zapomniałem, chodziła chyba jeszcze do szkoły, jak ja wtedy w ósmej klasie gimnazjum; jakie koleje zagnały ją do Nowego Jorku, nie dowiem się, bo kartka wysłana przeze mnie w latach sześćdziesiątych była niefortunna. Przedstawiała małego burro, czyli kalifornijskiego osiołka. Przeraziła mnie jej odpowiedź, że nie chce mnie znać, bo obraziłem jej męża. Z trudem odtworzyłem, o co poszło. Jej mąż, X, miał w Wilnie opinię tępogłowego, dlatego też osiołek, najniewinniej i przypadkowo przeze mnie wybrany, rzekomo był do tamtych wileńskich spraw aluzją.

Jeden pokój na stacji pani Kleckiej był dla mnie tajemniczy i widziałem jego wnętrze tylko raz, kiedy drzwi do przedpokoju zostawiono otwarte. Wynajmowała go aktorka, Kossecka (?). Zapach perfum i pudru, obecności kobiecej, szlafroczek na fotelu, miękkość, sekret innej płci. A ją samą widziałem chyba też tylko raz, w przelocie. Z naszą stacją nie komunikowała się wcale, czasem słychać było tam głosy, czyli miała swoje własne towarzystwo, dla mnie niedostępne, niebotyczne. Chyba kochałem się w niej trochę, jako w istocie mojej wyobraźni, nie wiedząc nawet dobrze jak wygląda, ale nie ośmieliłbym się do niej zbliżyć.

Stacja pani Kleckiej wróciła właśnie do mnie z powodu aktorki, bo nawiedza mnie ostatnio, próbuję sobie o jej zupełnie nieznanym życiu to i owo układać. Spozstrzegam

171

V

też, że Nowy Rok 1929, a nie 1928 mam na myśli, czyli rok szkolny 1928/1929. Ten rok przy małej uliczce (jak nazywała się? Stroma?), prawie na rogu Mickiewicza, był szczęśliwy, lepszy niż lata poprzednie i następne. Skończyły się moje awantury z nauczycielami, wracałem do lepszych stopni, przeżywałem rozkosze koleżeństwa w „Pecie” i wtedy, przed maturą, upajała mnie przyszłość, nieokreślona, bez wyraźnych kształtów. Dużo czytałem (też Doświadczenie religijne Williama Jamesa), a także systematycznie pisałem wiersze-ćwiczenia, wzór i inspirację czerpiąc z sonetu Joachima Du Bellay („Heureux qui, comme Ulys-se...”), który znalazłem w podręczniku francuskiego. Czy chciałem zostać poetą? Wiedziałem, że jestem powołany, ale do czegoś chyba większego niż „poeta”. Czy chciałem „wyrazić swoje uczucia”? Nie, to były ćwiczenia stylu, bardzo chłodne i zobiektywizowane. Pamiętam jedną czy dwie linie o jesiennej młócce.

Teraz, w pierwszy dzień roku, znów rozmyślam o tym, że wystarczy na ślepo zarzucić sieć, a zbierze twarze i nazwiska. A także, wybiegając naprzód, że warto ten pamiętnik posuwać, choć nie wie się, ile stronich zdąży narosnąć. Gdyby to przenieść w ubiegłe stulecie: ktoś pisze w 1828 i ten sam człowiek pisze w 1888. Nieprawdopodobne, nie do wiary!

3 I 1988

Ten styczeń wyjątkowo jak na Kalifornię zimny i dżdżysty. Moja astma odzywa się od czasu do czasu, granie w piersiach. Złe myśli nie znajdują lekarstwa w rzeczach widzianych.

A gdybym zaczął mówić wszystko? Naturalnie, że boję się. Boję się ludzi, bo po co ofiarowywać im siebie z całą swoją słabością, grzechem i zgryzotami, jaka z tego byłaby korzyść? Jeszcze jeden przyczynek do tak zwanej psychologii twórczości? Ale boję się także swego pisma. Bo moje opinie o sobie i moim życiu są bezlitosne,

172

i to może dobrze, ale jedne zarażają drugie, układają się, kiedy piszę, w całość na zasadzie formy, z pominięciem innych, mniej złowrogich. Skazani jesteśmy na odsłanianie się zawsze częściowe,

najwyżej z dobrą wolą uniknięcia fałszu. I zawsze chyba więcej odsłaniamy pod szyfrem niż bezpośrednio. Zeszłego lata w Paryżu Stomma opowiadał mi o mojej błyskotliwości jako prelegenta w naszej szkole. Słuchałem z niedowierzaniem, ale pewnie tak było, czyli że niepochlebne opinie o sobie trzeba ciągle prostować.

Wymieniłem nazwisko Jarosława Iwaszkiewicza i zaraz przyszło mi do głowy, że coraz mniej będzie tych, którzy go znali, że więc powinienem o nim opowiedzieć. Za jego życia mało kto ośmielał się próbować jego portretu, były powody, choćby jego stanowisko długoletniego prezesa Związku Literatów.

Zacznę od czasów, kiedy go nie znałem, kiedy byłem dzieckiem. Ale w Wilnie na wiosnę 1920 roku załapałem trochę tej aury, która jego, wtedy 26-letniego, otaczała. Tę aurę zdawał się też przekazywać jego wiersz, trochę później napisany, Valse triste:

Ach, te tańce, te tańce, wojenka! Armaty w słońcu i kwiatach wiosennych. Jakaż bateria była wesola. Czemuż teraz w żałobie?

Ach, wojenka, wojenka - ta Radość! Nawet po śmierci radość triumfalna! Jakaż radość jest wesola. Ale czemuż śmierć teraz w żałobie?

We wspomnieniach Henryka Wereszyckiego, ogłoszonych w „Znaku” (nr 354-355, maj-czerwiec 1984), znalazłem co następuje: „Charakterystyczna dla oficerów polskich, w gruncie rzeczy dla całej armii polskiej, była wesołość. Wszystko było robione na wesoło, a nawet brawurowo. Miałem kolegę - naturalnie w moim wieku, mieliśmy 21, 22 lata, a 23, 24-letni, to byli ci starzy. Otóż on ni stąd, ni z owad na okop wychodził, żeby pokazać, że

173

nic nie robi sobie z kul. Nonsens zupełny, ale tak było. Wszystko na wesoło. Jeszcze zanim zostałem oficerem, biliśmy się z Ukraińcami w Galicji Wschodniej. Wchodząc do jakiegoś miasta czy miasteczka - śpiewaliśmy, a jak śpiewaliśmy - to przechodzi wszelkie pojęcie. Tam na balkonach stały dziewczęta, wszyscy weseli, wielka, wielka radość. To było uderzające.

W roku 1916, gdy jako legionista byłem w Wiedniu, opiekował się mną - to jest dawał pieniądze itp. - zaufany przyjaciel mojej matki. Gdy wyjeżdżaliśmy na front, przyszedł na dworzec. Później widziałem list, jaki napisał do mojej matki. Ci legioniści - pisał - to coś niesamowitego. Jacy oni byli weseli, gdy do pociągu wsiadali, jak śpiewali. A przecież to był już rok 1916, Austria była zmęczona wojną, a ci chłopcy wszystko na wesoło. To bardzo charakterystyczne. Tak samo było w 1920 roku”.

Czym wytłumaczyć tę radość? Czyżby istniała w ludziach intuicja pozwalająca odgadywać, że wojna pomyślnie się skończy?

Wereszycki:

„Kiedy zaczął się odwrót, byłem przekonany, że zgodnie z tradycjami historycznymi, zatrzymamy się dopiero w Paryżu, że my znów idziemy na emigrację, dlatego że ta wojna jest - tak jak w 1831 roku - nieudanym powstaniem. Ale tymczasem powstanie się udało”.

5 1 1988

A jednak muszę przewycięzać się, żeby zasiąść za stołem, jakby wracało to samo zmęczenie, jakie miałem podczas astmy, czyli z braku tlenu.

Wereszycki: nieudane powstanie jako tradycja history-czjia! Mm.

Tamtej wiosny 1920 roku w Wilnie nikt już nie odtworzy, choć pytanie, czy musi być odtworzona. Bo jeżeli naprawdę musi, to już taka, jaką była dla różnych oczu, nie tylko jednych, moich. Gdzież podziewają się te

\IA

L/

obrazy, te percepcje, ginące razem z poszczególnymi ludźmi czy zachowujące się gdzieś w jakiejś krainie, która magazynuje wszystko, co raz doznacieTjDla mnie Wilno było wtedy barwy munduru, mundunrmego ojca, kapitana, czy już majora, saperów, i pułkowych kolegów. Mieszkaliśmy przy ulicy Nadbrzeżnej, na samym rogu, naprzeciwko kościoła Św. Jakuba, ale pułk roztrasował się w majątku warzywniczym (pamiętam duże ogrody warzywne) też nad Wilią, tylko w górę rzeki, zaraz za An-tokolem. Sosny i piaski. Działo się to już po moim objawieniu zieleni w Szetejniach, po

powrocie tam z Rosji w 1918 roku. „Wilija naszych strumieni rodzica / Dno ma złociste i niebieskie lica". Czyli że ten krajobraz był dla mnie nowy, bo w Szetejniach Niewiaża nie płynęła dnem piaszczystym. Choć pamiętałem nasz postój za ucieczki przed Niemcami z Szetejń w 1914 w majątku Rukła (chyba?) nad Wilią, gdzieś w pobliżu Jewja (nazwy litewskiego pochodzenia), a tam też piasek i sosny. Tam właśnie stacjonowali Kozacy, o których wspominam w Rodzinnej Europie. „Armaty w słońcu i kwiatach wiosennych". Tak, naokoło mnie była wesołość. Wilno było szczęśliwe i biło w dzwony rok temu, w 1919, kiedy polscy ułani wygnali z niego bolszewików. Polskie Wilno radowało się - choć ' było i inne, mówiące po rosyjsku albo w jidysz. Ja jednak byłem zanurzony w Wilnie polskim i tej wiosny poszedłem pierwszy raz do szkoły, przerażony, nie pojmujący, co się dzieje i czego ode mnie chcą. Podobała mi się jedna dziewczynka i nazwisko jej pamiętam: Bańkowska. Zaraz jednak tłusty druk na pierwszych stronach gazet zaczął zaprzętać uwagę wszystkich, front się zbliżał i moja szkoła nie trwała długo, parę tygodni. Po czym ucieczka - ojciec cofał się ze swoim pułkiem, matka ze mną, moim bratem i jego niańką Antosią i kozą przez lasy Jewja z powrotem na Litwę.

175

6 I 1988

Wczoraj wieczorem sauna i pływanie. Tamto pokolenie, Iwaszkiewicza, miało szczęście, wojenka zakończyła się niepodległością. Choć dla przeflan-cowanych ze wschodu, nawet młodych, jak wtedy Iwaszkiewicz, niemało musiało być zderzeń i konfliktów. Eliza-wietgrad, Kijów, Tymoszkówka, Stepy Czarnomorskie, Greko-Ukraina, wszystko to można odtworzyć na podstawie jego książek i jednak był inny od swoich kolegów--skamandrytów. Ludzie cofających się kilkoma falami „Kresów" zakosztowali prostom. Byli w lepszej sytuacji niż rosyjscy emigranci, bo znaleźli się w kraju swojego języka, ale było ubóstwo i trudności adaptacji. Młody Iwaszkiewicz zarabiał lekcjami. O     Prawdę mówiąc, nie zamierzam wcale rysować portretu Iwaszkiewicza, zastanawiam się nad nim jako poetą, nad wpływem jego na mnie i nad literaturą, która z kolei na niego wpłynęła. Rosłem w Wilnie, już bezpiecznym po zwycięstwie 1920 roku, jakiś czas stolicy Litwy Środkowej. Ostatnio czytałem książkę o Gombrowiczu Siedleckiej, Jaśniepanicz, i zdumiałem się. Żadnego właściwie podobieństwa z moim dzieciństwem i pacholęctwem, dwa różne kraje, dwa różne środowiska, choć niby to samo ziemiańskie pochodzenie. Żadnej u mnie tak rozrodzonej rodziny, żadnego bogactwa, żadnych towarzyskich obrzędów, i skąd by tam jakaś kindersztubami towarzyska swoboda, i przedrzeźniania. Gdzież mnie tam było do Gombrowiczowskich majątków, kamienic, wizyt, wieczorków, stałego dochodu. Choć niektórzy z moich kolegów musieli tkwić w takim obyczaju.

Mój ojciec po demobilizacji założył z kimś tam do spółki firmę budowlaną „Budmost", ale w domu nie przelewało się i wcześniej uczyłem się oszczędności. Przez jakiś czas przyjaźniłem się z Ignacym Święcickim, chodziłem tam do nich na Makową strzelać wrony i dopiero niedawno w Filadelfii Ignacy przypomniał, że wodę noszo- / no tam wiadrami z podwórza, czyli ten poziom był dla

176

mnie normalny. Po plażcie „Budmostu" wskutek defraudacji popełnionych przez buchaltera, mój ojciec, zawsze romantyczny podróżnik, wyjechał do Brazylii, a w latach dwudziestych dużo o „możliwościach" kolonialnych pisano. Planował zaczepić się tam i sprowadzić rodzinę, nie udało się. Następnie przez wiele lat był inżynierem powiatowym w Suwałkach, wreszcie w Głębokiem. Na stacji w Wilnie, u Biszewskich i u pani Kleckiej, byłem utrzymywany przez rodzinę, nie bez stałych wyrzutów sumienia, które spotęgowały się po wstąpieniu na uniwersytet, tak że zacząłem kombinować - stypendia, drobne zarobki. Książka Jaśniepanicz uświadomiła mi ubóstwo i prowincjonalizm mego Wilna. Jedno wszakże mieliśmy z Gombrowiczem wspólne: polską literaturę w szkole. Zadaję sobie teraz pytanie, czy mimo jego sprzeciwu wobec niej jako słabej, bo pozbawionej uniwersalizmu przez swoją służbę polskości, nie wziął z niej romantycznego mitu wieszca, siebie pasując na geniusza, wodza w sferze ducha. I czy moje wczesne poczucie powołania nie stamtąd pochodzi.

Nie potrafiłbym odtworzyć moich lektur między szesnastym a dwudziestym rokiem życia. W poezji

był to Leopold Staff i Skamander, czyli „A wiosną niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę”. Skąd wziął się mój spór z literacką konfraternią? Bo nie ulegało wtedy wątpliwości, że największym poetą jest Tuwim, mieli też zwolenników Słonimski i Lechoń, ja natomiast zakochałem się w poezji Iwaszkiewicza, co uchodziło za dziwactwo. Wieczór poetycki Tuwima w Wilnie ściągnął tłum, wieczór poetycki Iwaszkiewicza mnie zawstydził. Byłem wtedy jeszcze uczniem szkoły średniej. Prócz mnie (nie ośmieliłbym się do niego zbliżyć) w dużej sali Teatru na Pohulance siedziało może pięć czy sześć osób. Czytał jakieś swoje opowiadanie, które potwierdzało dość powszechną o nim opinię, że to taki „omdlewający esteta”.

Więc skąd oczarowanie, skąd mój upór? Miałem Dionizje, 1921, Kasydy, 1925, i prozę literacką Legendy i Demeter, 1921 (ale pisane w 1916), Ucieczkę do Bagdadu, 1923 (ale pisane 1917-1918).

177

7 I 1988

Tomiki Iwaszkiewicza; ich szarawy, ale w dobrym gatunku papier, ich chropowate okładki, były dla mnie nie książkami, ale przedmiotami kultu. Czyli weszły na miejsce zajmowane parę lat wcześniej przez kolorowe atlasy botaniczne i ornitologiczne. Najprostsze wytłumaczenie, że to było moje pierwsze spotkanie z nowoczesną poezją. Bardziej nowoczesną, niż mogłem na ogół znaleźć w numerach „Skamandra”. Nie wnikiem, skąd się to u niego wzięło, to już dla historyków literatury. Możliwe, że Rosja literacka była bardziej nowoczesna niż Polska, w każdym razie jeżeli chodzi o barwę, o sensualny walor słów, i on, w dwóch kulturach równocześnie wychowany, rywalizował, próbował, jak zachodnie pomysły brzmią po rosyjsku i po polsku. Faktem jest, że to, co odrzucało mnie od poezji Młodej Polski, przyciągnęło mnie do niego. Ostatecznie Dionizje są w ich tematyce wrzaskiem całkiem secesyjnym i, oceniając je na trzeźwo, dość głupawym, pozostawiają też do życzenia jako doskonałość wersu. A jednak byłem dość obojętny na Hymny Kasprowicza i tylko bardzo krótko podobał mi się Staff. Więc zmysłowość tej poezji mnie podbiła, Iwaszkiewicz, by tak rzec, zamiast Rimbauda, którego nie znałem. Tylko dlaczego nie Tuwim, też człowiek dwóch kultur, jeżeli już o rywalizacji dwóch języków mowa? Wygląda na to, że Tuwim w swojej Łodzi nie zakosztował ani części tej rafinady, którą żyła inteligencja rosyjska w przededniu I wojny, a o którą nietrudno było w Elizawietgradzie czy Kijowie. Tuwim okresami mógł ulegać wpływowi poszczególnych poetów rosyjskich (np. Pasternaka), Iwaszkiewicz natomiast nie był językowo pod rosyjskim wpływem, ale jego polski rodowód trudno wytropić - bo skąd na przykład te awantury stepowe, Astrachań, Dżafis, egzotyka Wschodu w Ucieczce do Bagdadu pisanej w 1916 roku i w Legendach i Demeter z 1917-1918 roku? Chyba Tadeusz Miciński.

By rzec prawdę, logika w wierszach i prozie Iwaszkiewicza wydawała mi się bardziej absurdalna, bardziej

178

oparta na swobodzie asocjacji, niż była naprawdę, i tajemniczość dodawała tylko uroku. Znajdowałem tam też sporo wyrazów, których nie znałem, na przykład: okaryna. Poza tym te jego wczesne opowiesci budowały fantastyczny rozległy kraj, podróżowałem po nim, a był szeroki i w przestrzeni, i w czasie, dwudziesty wiek graniczył w nim z osiemnastym, to znów z siedemnastym. I cały przybierał barwy erotyczne pod panowaniem chłopięco-dziewczęcego Erosa. Nie stosowałem żadnych określeń, bo dziś, gdybym wziął takie stronicze do ręki, natychmiast zauważyłbym w nich szyfr homoseksualny.

Kraj Iwaszkiewicza łączył się w mojej wyobraźni z Ukrainą Malczewskiego, Słowackiego, Goszczyńskiego, Zaleskiego, no i cóż, także Sienkiewicza. Nie mogę całkowicie wykluczyć możliwości, że urzekł mnie jako „pisarz^ kresowy”, i nie przysiągłbym, że tracąc swoją ulcrairiikość me stracił później części swojej siły. W każdym razie, jeżeli powieść Księżyc wschodzi zyskała moje uznanie (choć nie takie, jak wczesne poetyckie prozy), rozczarował mnie Hilary syn buchaltera, którego akcja toczy się już w Warszawie.

Tutaj muszę otworzyć nawias. Moje szkolne lektury obfitowały w „pisarzy kresowych”. Przed wszystkim Rodziewiczówna. Dewajtis to przecie moja Żmudź dworów, „utrzymania polskiego stanu posiadania” i litewskich chłopów. Wątpię, czy mógłbym czytać teraz te naiwności, uchodzące kiedyś za wybitną powieść: choć na pewno tak jak jej bohaterowie czuli u nas wszyscy Laudańscy.

Było też mnóstwo innych powieści Rodziewiczówny, w tym uwielbiane przez mnie Lato leśnych ludzi, które, gdyby je ocenić dzisiaj, jest niezłym pomysłem książki dla młodzieży zepsutym przez okropną staropanięską egzaltację. Jeszcze jeden dowód na to, że na złej literaturze się wychowałem. Lepsze, pisane zwyczajnym językiem, było myśliwskie Na tropie przyrody Włodzimierza Korsaka czy, już dla dorosłych, fachowo-myśliwska powieść z sentymentalną fabułą W puszczy, o lasach, jak to u niego, Witebszczyzny. Soból i panna Józefa Weysenhoffa z dworem w Jużyntach

179

(„A tam w Jużyntach / stoi kościół murowany / Przez Wajsengopa / ufundowany. A w tym kościele / Święta Jura stoi /1 diabłu piko / w sama dupa koli / Aj, jak jemu boli" - opiewała pieśń dziadowska) i z dziewczyną kąpiącą się na goło w jeziorze trochę mnie erotycznie pobudzała, ale niezbyt wzięła, bo romansujący myśliwy, Rajewski, chyba z Królestwa (skoligacony z takimi pewnie jak Gombrowicz i Kotkowscy). Być może jako obcość (klasową? regionalną?) odczuwałem zasadniczy kretynizm tej książki. Według krytyków miało to być arcydzieło polszczyzny. Jużynty to pogranicze Inflant, w innej powieści Weysenhoffa, Puszcza, występuje Polesie, ta znudziła mnie i znalazłem tam tylko jedną scenę dobrą, opis głuszcowych toków. Wymieniam nazwiska zapadłe w niepamięć, wielka stąd lekcja marności nad marnościami, tak jak i z podobnych zapadań się czekających niezliczonych wypełniaczy papieru. Nawias zamknięty.

8 I 1988

W pewnym sensie wczesny Iwaszkiewicz był kulminacją, ostatnią fazą kresowego dworu, już z Oskarem Wildem i kultem Dionizosa. Panicze, ich konie, tarantasy, pop Wasyli i popadianka Hania, która bierze udział w dioniz-jach odprawianych na goło w noc Iwana Kupały, markiz francuski, właściciel sąsiedniego majątku, obchodzący uroczyste święto jesieni w świątyni Demeter, a nawet, żeby było dziwniej, list z Florencji od Julka (Słowackiego), z którym bohater spotkał się niedawno w Libanie. W pierwszym jednak rzędzie religia dionizyjska przeciwstawiona apollinijskiej, synkretyczne pomysły jak w St. Petersburgu u grekochwalcy, profesora Faddieja (Tadeusza) Zielińskiego czy Wiaczesława Iwanowa. Jesteśmy wśród Moderny i nie tak znów daleko od pawli, topazów i ametystów Przybyszewskiego.

Jako wierszopis wiele zawdzięczam Dionizjom, a jeszcze więcej Kasydom, te były dla mnie olśnieniem, odkryciem

180

formy wersetu wolnego od metrum i rymów. Kiedy dzisiaj próbuję uchwycić moje ówczesne czytelnicze delektacje, natykam się na trudności zbliżenia się do siebie dawnego: nie pojmuję, jak w tamtym młodym człowieku współistniały upodobania, zdawałoby się, zupełnie sprzeczne. Bystry, intelektualnie rozwinięty, równocześnie dziecinny, wydzielał strefę, w której jakby wyrzekał się kontroli, pogrążał się w czystą wrażeniowość.

Chyba znałem wtedy Zenobię Palmurę Iwaszkiewiczza, / choć nie jestem pewien. Teraz przeczytałem ją na nowo / i zrozumiałem, jak racjonalistycznym jestem, ja dzisiejszy, J czytelnikiem. Doskonale zbudowana nowela w poezjo--prozie, bardziej awangardowa niż wiele innych rzekomo awangardowych pomysłów tamtego czasu (rok 1920), pokrewna Witkacemu. Kijów 1912, piękny młodzieniec, książę Jura Mawrickij, jego kamerdyner Józef, Zenobia zatrudniona w cukierce „Palmira” pani Banasińskiej, student filozofii Jarosław Iwaszkiewicz, wymieniony z imienia i nazwiska. Jeszcze rodzina carska na wilegiatu-rze w Liwadii, bo siostra Jury jest frejliną dworu. Józef jest byłym kochankiem Zenobii, kocha i nienawidzi księcia Jurę, Zenobia galopuje na fallusie Jury (patrz Szał Pod-kowińskiego), nienawidząc siebie za swoją pożądlivość. Jarosław jest przyjacielem księcia, ale i kamerdynera, z którym po pijanemu rypią tę samą dziwkę. Autor zwraca się do przyjaciela, któremu opowieść jest dedykowana (Jerzy Mikłucho-Makłaj), i przeprasza go, że książę Jura jest właściwie jego parodią. Panna Zenobia przekształca się w królową Palmury i przy współnictwie Józefa morduje nagiego króla czyli Jurę, przebijając go sztyletem. A więc sadomasochizm jako ingredient religii Dionizosa, a zapewne i nowoczesnej sztuki (trupy Witkacego, „teatr okrucieństwa” Artaud i tak dalej). U wczesnego Iwaszkiewiczza, zwłaszcza w Dionizjach, ciągle to sprzężenie erotyzmu i mordu. Odgaduję, że



właśnie sadomasochistyczna gwałtowność urzekła mnie u niego, bardziej może niż złoto jesieni i dojrzałych owoców, choć pewnie mało byłem tego świadomy. W Zenobii cóż za śmiałość języka!

181

„Zielone plamy aksamitnej rozkoszy gasły i zapalały się znowu jak reflektory z mięsa”.

9 I 1988

Dwa dni temu byłem na filmie Bertolucciego *The Last Emperor*. Jest to film o dobroczynnym wpływie pedagogii więziennej, która nawet byłego cesarza i kolaboranta Japończyków potrafi po dziesięciu latach prania mózgu przerobić na cnotliwego obywatela. Czyli hymn na chwałę isprawielnotrudowych lagierów, w ich chińskiej odmianie. Pamiętam film *Putiówka* w żizń o wspaniałych pedagogach z NKWD. Ale publiczność amerykańska, oczarowana przepychem scenerii, nie zauważa nawet tezy jej serwowanej i przyswaja tylko, że Japończycy byli be i że kolaboranci zostali humanitarnie (*gumanno*) ukarani.

Dostrzegam, że pomińmy co najważniejsze: wiersze Jarosława są słowami do muzyki, której partytura nie została napisana, ale jest w pewien sposób obecna. Jest to różne od „muzykalności wiersza” właściwej wielu poetom, bo u niego słowa nie tworzą muzyki, one do niej jedynie odsyłają, często są pomiędzy jednym odezwaniem się orkiestry i drugim. Najbardziej Jarosławowe są piosenki, kołysanki, arie, czyż jedno ze szczytowych jego osiągnięć, *Lato 1932*, nie jest cyklem pieśni? Dlatego też prostota słów niepokojąca w wieku awangardowych przewrotów nie razi: stale wiersz podwaja się, jest „na tle”. Z poetów Skamandra tylko Jarosław miał muzyczne wykształcenie i choć nie został kompozytorem, wezwaniu był posłuszny. Mało muzykalny, słyszałem mimo to wiele, i ta muzyka dla każdego do odgadnięcia czy ułożenia na nowo podbijała mnie swoim bogactwem.

Odważyłem się napisać do Iwaszkiewicza list. Wywiązała się korespondencja i zapraszał mnie do Warszawy. Prawdopodobnie moja krótka wizyta na Stawisku (tydzień?) wzmocniła moje rebelianckie nastroje wobec warszawskiej literackiej, postępowej przecie, kawiarni. Muszę

182

stwierdzić, że kodu, w którym porozumiewało się kółko Jarosława i pani Hani, nie rozumiałem. Powtarzające się w rozmowie nazwiska pisarzy francuskich, kompozytorów, malarzy etc. nic mi nie mówiły, nie znałem ich. Aluzje do przyjaciół domu i odnoszące się do nich anegdoty wzmagały moje poczucie wyłączenia. Byłem pewnie słabo wykształcony czy też zamknięty na pewne zakresy konwersacji, tak na przykład metafizyczne zainteresowania pani Hani, z częstym odwoływaniem się do Prousta, omijały mnie czy też irytowały snobizmem, były nie dla mnie, społecznie wtedy zaszpunktowanego. I któryś odczyt St. Ignacego Witkiewicza w Związku Literatów przy ulicy Foksal (który to rok? 1932?) o braku poważniejszych metafizycznych przemyśleń u inteligencji polskiej miał we mnie tępego, mało pojętego słuchacza.

Nie rozumiem. Bo mniej więcej w tamtym okresie, kiedy spotkałem Oskara Miłosza w Paryżu, wystawił w którymś ze swoich listów bardzo pochlebne świadectwo mojej inteligencji. Dlaczego wobec jednych ludzi bywałem głupi, a wobec innych rozgarnięty? Dlaczego przyswajałem jedne kody, a nie inne? Kim w ogóle byłem umysłowo, na przemian mądrzejąc i głupiejąc, ucząc się zaciekle całe życie, dzisiaj, już przypisany do wysoko ćwiczonego plemienia mandarynów? A co z nimi, z tymi wszystkimi, dla których mój dzisiejszy kod jest niedostępny?

12 I 1988

Nie zdradziłem poezji Jarosława. W miarę jak ukazywały się następne jego tomiki wierszy, znajdowałem potwierdzenie swego wyboru i nigdy nie przekonałem się całkowicie do innych poetów Skamandra. Mogli być znacznie bardziej doskonali i nie razić, czy nawet śmieszyć różnymi wyskokami o wątpliwym rozumie i smaku. Niemniej źródła wierszy u Jarosława były znacznie bardziej tajemnicze i ta tajemniczość czaiła się za słowami, nie w słowach, zwykle za prostych, żeby ją przekazać. Czy był

183

poetą inteligentnym, czyli stosującym pewną strategię wielowarstwowych sensów? Chyba nie. W kołach awangardy uchodził za najgłupszego ze skamandrytów, estetyzującego snoba

(„Iwaszkiewicz ma londyn w głowie”). Takie oceny są zwykle względne i ulegają zmianie z upływem czasu. Wikta Winnicka, bliska przyjaciółka Tuwima, zawsze powtarzała to, co Józef Wittlin, jej brat przyrodni, o nim mówił: że Tuwim jest dowodem na istnienie Boga, bo żeby tak głupi człowiek był tak wielkim poetą... Poetom Skamandra zarzucano witalizm i bezprogramowość, co chyba nie ujmowało dokładnie dość słusznej pretensji

O jakąś właściwą im beztroskę czy też przekonanie, że mądrzy są dostatecznie i że poezja nie wymaga umysłowej pracy. Iwaszkiewicz siadał i pisał, równym, ładnym pismem, nie myślę, żeby męczył się, skreślał. Następnie wzruszał ramionami: napisało się i basta. Niosły go jego duże witalne siły i wątpliwe, czy zastanawiał się nad poetycką strategią.

Co chyba ważne, to słaby u Iwaszkiewicza związek z tym, co nazywa się rzeczywistością polityczną i społeczną. Jego koledzy na tę rzeczywistość reagowali - Lechoń w Karmazynowym poemacie, Tuwim w wierszach politycznych, zawsze publicystyczny Słonimski, Wierzyński w wierszach o Piłsudskim. I właśnie to zapewniało im rozgłos. Poezja Iwaszkiewicza przebywała w rejonach wyłączonych, zajęta doznaniem zmysłowymi, miłością i śmiercią, tyleż realistyczna, co Zenobia Palmura jako obraz Kijowa.

I w takich rejonach, rzeklibyśmy, czystej fantazji, została.

13 I 1988

Mnie pewnie ta jej nierealność nie szkodziła, na tej zasadzie, że zawsze pomiędzy słowami i rzeczywistością istniał dla mnie rozziw, a ten nie był mniejszy u jego rzekomo bardziej trzeźwych rywali. Ciekawe, że nie pisał o poetyckim warsztacie, Słowie, jak Tuwim - ale tutaj nie chce mi się ciągnąć tego wywodu i zastanawiać się np. nad

184

działalnością rosyjskich formalistów w latach dwudziestych i ich stałych dyskusjach z poetami. Iwaszkiewicz jako uznany pisarz. Zasiadał co dzień za biurkiem i swoim drobnym pismem systematycznie zapełniał stronicę, tak powstawały liczne opowiadania, sztuki teatralne i powieść za powieścią. Nie myślę, że powinien był to robić. Jego Czerwone tarcze, powieść niby historyczna, jest z tkaniny snu, nie jawy. Do prozy „jak z życia” nie był uzdolniony, albo nikt już nie był uzdolniony, bo skończył się jej czas. Podobały mi się bardzo Panny z Wilka, ale na jego powieści, których akcja toczy się współcześnie, pozostawałem obojętny. Można z nich było odczytać podatność autora na różne mody, na przykład mit wielkiego pisarza, laureata Nobla, do którego powstania przyczynił się Tomasz Mann, albo pacholecej, lechickiej krzepy. Obraz siebie jako laureata Nobla obsesyjnie nawiedzał nie tylko Iwaszkiewicza, później także Jerzego Andrzejewskiego, zresztą wielu innych pisarzy, na przykład Borgesa. Pracowitość i płodność Jarosława czerpała z tego obrazu zachętę i z kolei go podtrzymywała.

Jego zyciorys w latach trzydziestych. Wstąpił do MSZ i przez pewien czas był attache w poselstwie w Brukseli. Tragedie rodzinne zbiegły się z innymi o smaku skandalu, co dało po wojnie asumpt różnym pogłoskom. Odnotowuję to nie dlatego, żebym chciał je potwierdzić, po to tylko, żeby dać pojęcie o aurze dokoła niego, niedobrej, albo w ogóle o nieprzejrzystości ówczesnej. Nie mogę przestać myśleć z niechęcią o nieprzejrzystości własnej i dotychczas zapytuję siebie, na ile jej powód był wewnątrz mnie, a na ile w tym, co mnie otaczało i przenikało drogą osmozy. Najlepsze chyba ujęcie tych danych współzależnych dał Stefan Kisielewski w powieści Sprzysiężenie, gdzie ogólna niemożność, polityczna, społeczna, objawia się jako impotencja seksualna głównej postaci. Z późnych lat trzydziestych moja pamięć przechowuje dziewczynę imieniem Anka, co prawda śliczną, jako metaforę nonsensu. Jeżeli miała narzeczonego z zamożnej mieszczańskiej rodziny i za parę miesięcy miał się odbyć jej ślub, dlaczego chodziła ze

185

mną? Jeżeli jej poglądy, jej środowisko były dla mnie wstrętne, dlaczego się z nią zadawałem? Należała do ONR i uwielbiała wodza Bolesława Piaseckiego, a nawet nalegała, że muszę go poznać, i doprowadziła do spotkania. „Blond bestia”, o dużym ładunku siły, magnetyczny, cicho mówiący, przyczajony, wódz na pewno. Dzięki temu spotkaniu mogłem później zrozumieć, dlaczego NKWD poznało się na nim i zamiast go rozstrzelać, postanowiło go wykorzystać.

J Wojna wymiotła wszystkich poetów Skamandra na emigrację, został tylko jeden,

Iwaszkiewicz, jakby po to, żeby zgrabne podziały uległy odwróceniu i właśnie „esteta” wystąpił w roli obywatela. I w istocie był to początek Jarosławowych gospodarskich, piastowskich obowiązków. Znaczenie Stawiska dla naszej podziemnej literacko-artystycznej Warszawy było ogromne i zasługi tych dwojga, Jarosława i pani Hani, nie ograniczają się do udzielania pomocy ludziom, w tym wielu Żydom; Stawisko było także i przede wszystkim instytucją oznaczającą, że wśród ruin zostaje zachowana jakaś ciągłość. Tutaj omawiało się wydarzenia podziemnej Warszawy, wydawało sądy o podziemnych publikacjach i ich anonimowych, choć znanych nam z nazwiska autorach, wymieniało się informacje o losach pisarzy, aktorów, muzyków, muzeów, bibliotek. Tutaj odbywały się małe czytania dla wybranych, czytał swoje nowe utwory Jarosław, czytali inni, ja również. Stawisko starało się też utrzymać resztki swego przedwojennego splendoru, wydając co pewien czas wystawne (białe obrusy, wino, służba) obiady, na które być zaproszonym stanowiło nie byle jakie wyróżnienie. Nie wszystkich uczestników tych uczt pamiętam. Wiłam Horzyca z żoną, muzyk Roman Jasiński, Mauersberger, czyli Mauzio, może Stromengerowie (on muzykolog, oboje tak uderzającej brzydoty, że, jak wieść niosła, kiedy wchodzili raz na przyjęcie, jeden z gości zapytał gospodarza zdumiony „kto to?” i wykrzyknął: „Kiedy będą małe, poproszę o jedno!”), Władysław Zawistowski, rodzaj podziemnego ministra kultury, chyba też młodzi, a więc Staś Dygat, czy

186

Wanda Wertenstein. Rodzina Wertensteina, fizyka, miała willę obok Stawiska, jako Żydzi musieli uciekać, ale zamiast pójść do getta, wynajęli domek przy tej samej linii EKD w Komorowie. Profesor Wertenstein zdołał następnie przedostać się na Węgry i tam zginął przy końcu wojny. Wanda funkcjonowała „po aryjskiej stronie” i przyjaźniła się z Jerzym Andrzejewskim. Z literatów bawiących na Stawisku przypominam sobie rzeczony Stasia Dygata, poetę Romana Kołonieckiego, który Jarosławowi przez pewien czas sekretarzował, ale poza tym luka w pamięci. Owszem, z najmłodszych przyjeżdżał, jak słyszałem, Krzysztof Baczyński. Jerzy Andrzejewski i ja należeliśmy do mniej więcej stałych bywalców. Tak więc zupełnie inne ukazywało mi się Stawisko niż dawniej, już podupadłe, ale zmiana wychodziła mu na korzyść.

Raz Jarosław zaprosił kilka osób na czytanie swego nowego opowiadania Bitwa na równinie Sedgemoor. To, że takie opowiadanie wtedy (1942) napisał, dało mi dużo do myślenia. Także wyjaśniało wiele rzeczy później, kiedy wybrał jawną i programową kolaborację. Któż dzisiaj pamięta, o co chodziło tym religijno-politycznym stronnictwom, o których dowiadujemy się tylko studiując krwawą historię Anglii siedemnastego wieku? Autor nie bez kozery wziął za temat epokę „zamieszek”, w istocie zacieklego mordowania się w imię wiary, równie mocnej po obu stronach i wykluczającej kompromis. Postacie tej powieści o rebelii Monmoutha zdolne są do wszelkich poświęceń, zaprzeczają obrazowi człowieka jako istoty dbającej, przede wszystkim, o własny interes. Jednak prawdziwe imię ich bohaterstwa jest daremność. Nic nie pozostaje z ich wiary, z ich pragnień, czas wszystko unosi, popiół pokrywa ich ślady. Bohaterce, młodej dziewczynie, w starości jej własna dawna stanowczość wyda się bezcelowa, nie umie sobie nawet przypomnieć, czemu tak a nie inaczej postąpiła. Oglądana z dalekiej perspektywy - zdaje się mówić autor - czyż nasza okrutna epoka nie straci wyraźnych zarysów przeciwieństw zdawałoby się nie do pogodzenia, już obojętnych dla późnych pokoleń?

187

tunistyczny. Z góry zakładał, że kolaborując trzeba płacić i gotów był płacić, to znaczy gotów był przyjąć poniżenia i nie powoływać się na honor. Jego decyzja była poważna i w porównaniu z nią szlachetna retoryka jego niezłomnych kolegów Lechonia i Wierzyńskiego robi wrażenie nieważkości. Ale nawet niezbyt rozczerpięty Tuwim, sławiący „Nowy naród stu narodów” na wschodzie, zaznał po powrocie do Polski z Ameryki ciężaru - bo, jak mi opowiadała najlepiej przecie poinformowana Wikta Winnicka, interweniował u Bieruta, żeby zapobiegać wykonaniu wyroków na skazanych akowców.

Oczywiście mówiono, że Jarosław pójdzie na niejedno, żeby uratować Stawisko. Chyba to prawda, ale należy to uznać za część jego gospodarskiej troski. Bo sofistykacja rodem z La Be He Epoque była zaszczipiona na zwyczajnym kresowym hreczkosieju i to jedno u niego brało górę, to drugie,

temu drugiemu były właściwe dość sentymentalne przywiązania do biało-czerwonych flag, do architektury Sandomierza, do „prostych ludzi”, aż wprawili wszystkich w osłupienie, każąc się pochować w paradnym stroju górnika.

16 I 1988

Wczoraj wieczorem czytanie w San Francisco miejscowych poetów na rzecz finansów PEN-Clubu. Carolyn Keizer czytała fragment Ulyssesa, ktoś inny z Huckleberry Finn, inni swoje utwory. Przeczytałem trochę wierszy w przekładzie - Herberta, Świrszczyńskiej, Zagajewskiego, wreszcie swoich.

Jarosław już przed wojną miał te ciągoty - choć komuniści i ONR trochę mu się proroczo poplątali, patrz Aleksandra Wata Mój wiek. Polska piastowska bez pluto-kracji, zdrowa, plebejska. Po co jednak mam bawić się w historyka literatury? Ciągle jeszcze staram się przeniknąć sekret uroków dla mnie i wpływu jego poezji. W skrócie nazwałbym to ekstatycznością przemijania, za klucz obrałbym Piosenkę dla zmarłej:

190

Wśród wielkiej miłości Wszystko jest poczęte I wszystko bez sensu - lecz bardzo jest święte  
Nie wydaje mi się, żeby Jarosław był w pełni świadomy swoich silnych stron i swoich słabości. Był chyba przeciwieństwem tej rodziny poetów, którzy wiedzą albo uczą się stopniowo swojej linii i eliminują, cokolwiek od niej odbiega. Jego płodność przypiera mnie do muru, zmuszając do pytania o starzenie się utworów literackich. Uczciwie muszę wyznać, że jego wiersze, poczynając gdzieś od końca lat trzydziestych, nic a nic mnie nie poruszają, może z jednym czy dwoma wyjątkami, przepływają jak woda. Tematyka ich doskonale znana, ta sama. A więc rodzime obrazy, miłość, podróże, Wenecja, Sycylia, literacko-artys-tyczne mity, przemijalność, wspomnienia o umarłych, samotność, czyli wszystko, co zwykle się składa na tak zwaną lirykę. Dlaczego jednak to samo pozbawione jest intensywności, barwy, jakby zabrakło jednego, nieznanego składnika, który zespałał muzykę i słowo? Istnieje teoria, dzisiaj trochę zapomniana, bo romantyczna, głosząca, że lirykę można pisać tylko w młodym wieku, czyli do chwili, kiedy nasza żywotność zaczyna powoli się obniżać. Innymi słowy, że liryka bierze się z hormonów, potem nadchodzi wiek umysłu. Niewykluczone, że Jarosław mógł być dionizyjski tylko tak długo, jak długo był młody, później nastąpiła pora płodozmianu, ale z niej nie skorzystał.

Jest i inna możliwość. A mianowicie, że to ja wyposażylem jego wiersze w coś, czego w nich nigdy nie było, przenosząc na nie mój własny erotyzm, moją żarłoczność, moją muzykę. A kiedy sam się zmieniałem w innego czytelnika, stało się to, co staje się nieraz przy naszym spotkaniu z kobietą, która była kiedyś przedmiotem naszej miłości: trudno już zrozumieć, jak mogliśmy lokować w niej nasze uczucia. Choć jednak nie myślę, żeby wartość przedwojennej poezji Iwaszkiewicza dała się sprowadzić do moich czysto subiektywnych sądów.

191

Czytelnik taki, jakim dzisiaj jestem, bierze do ręki wiersz Iwaszkiewicza z tej drugiej fazy i odkłada mówiąc: on nie ma nic do powiedzenia. I zaraz niepokój. Bo okrucieństwo takiej opinii przypomina o naszej zależności od czasu, który z godziny na godzinę, z miesiąca na miesiąc niepostrzeżenie odejmuje ziarno po ziarnku z naszych przywiązań i lojalności. Po siedemdziesiątce odbywa się w nas wielkie przewartościowanie i coraz częściej zdarza się nam wątpić, czy literatura ma w ogóle coś do powiedzenia. Coraz bardziej uchwytne jest obnażająca moc czasu. Niejedno tak zwane nieśmiertelne dzieło literatury rozczarowuje, i ścięgi, którymi zostało zszycie, szwy zamaskowane, wychodzą na jaw. Na przykład w Pustelni Par-meńskiej Stendhala czytanej na nowo w zeszłym roku nie odnalazłem ani części tego oczarowania, którego zaznałem dawno w Wilnie, przy pierwszej lekturze. Ten oczywisty mariaż pióra i czasu, także zachwyty - a cóż innego powinno czytelnikiem rządzić - jest coraz rzadszy. Zniechęca mnie to przynajmniej do zajęć literackiego krytyka, a także przypomina o moim własnym losie twórcy. Zawsze należy zakładać, że skarb czystego złota, który gromadzimy, kiedyś może okazać się próchnem.

Lata wojny przeniknęły w Iwaszkiewicza naprawdę. Co innego wiedzieć o ludzkim cierpieniu, co innego, jak on, tracić młodych przyjaciół, tych, których dobrze się znało, rozstrzelanych, zamęczonych, poległych w bitwach. Cienie ich miał Jarosław ciągle przywoływać zaklęciem i ich

imiona powracają w wierszach oraz opowiadaniach.

Opowiadanie Wzlot było pomyślane jako odpowiedź na Upadek Alberta Camusa. Na moralną przypowieść o uniwersalnym znaczeniu, w której odmowa pomocy tonącej dziewczynie jest skrótem czy metaforą, autor odpowiada rejestrem cierpień Polaków, czyli jeszcze raz słoniem a sprawą polską. Bardzo słaby wynik pojedynku z zachodnim pisarzem.

192

7 I 1988

Wczoraj wizyta Tatiany Tołstoj, która tutaj na dwa tygodnie jako członek delegacji pisarzy sowieckich. Znam jej opowiadania (dobre, ale bardzo smutne), więc mogła czuć się uhonorowana, a tym bardziej, kiedy dowiedziałyszy się, że jest wnuczką Michaiła Łozińskiego, przyniosłem jej z półki Boską komedię i Hamleta w jego przekładzie. Rozmowa zupełnie swobodna, bez udawań i pozowań. Mówię o współczuciu w jej opowiadaniach. Ona na to: „Żalost. Cóż nam biednym ludziom zostaje, jeżeli nie żalost? Urodziła się w 1951 roku.

Jarosław być może czerpał niemało przyjemności ze swojej proteuszowej natury i z występowania w różnych społecznych rolach. W ostatnich dekadach swego życia zmieniał się w instytucję i z godnością dźwigał swoje dyrektorskie obowiązki. Za jego długoletniej kadencji jako prezesa Związku Literatów nie było mnie w Polsce. Kartę członkowską wręczono mi w 1981 z zawstydzonym wyjaśnieniem, że moje akta „zagięły” i od 1951 nie istniały. A wkrótce po 1981 Związek zlikwidowano. Jaki był Jarosław na tym urzędzie, nie wiem, chyba był prezesem najlepszym z możliwych. Mogę sobie tylko wyobrazić nieskończoną ilość podstępów i gier, kompromisów; musiał wykazać ogromną w tym wprawę, jeżeli utrzymał się na tym stanowisku tak długo. Unurzał się w błocie, ale nie słyszałem, żeby ludziom robił świństwa, przeciwnie, pomagał i chronił. Czyli, jak się zdaje - bo ocena nie należy do mnie - jego polityka ratowania co się da, nie za darmo, za cenę niekiedy bardzo przykrą, okazywała się skuteczna.

Jedną z jego największych zasług gospodarskich było po wojnie redagowanie pism, zwłaszcza „Nowin Literackich” i od 1955 „Twórczości”. Bądź co bądź za jego kierownictwa było to najbogatsze w treść pismo literackie w języku polskim i jego niedostatki należy oceniać wyobrażając sobie, przed czym Iwaszkiewicz to pismo uchronił, do czego nie dopuścił. Upadek „Twórczości” po jego śmierci dowodnie to wykazał.

193

Odznaczenia, nagrody. Starzejąc się, każdy pisarz lubi spodziewać się, że tomy książek na półce przyniosą mu j wawrzynowy wieniec, tym bardziej Jarosław. Wątpliwe I jednak, czy miał szanse na międzynarodową sławę. Jego ' poezja tym mniej była przetłumaczalna, im bardziej była jego własna, czyli sensualna, zarówno przez asocjacje polskich słów, jak przez towarzyszącą im muzykę. Przekonałem się o tym próbując tłumaczyć go na angielski. W mojej antologii Postwar Polish Poetry umieściłem jeden wiersz, Quentin Matsys, ale właściwie tylko po to, żeby Iwaszkiewicza w antologii nie zabrakło, zdając sobie sprawę, że na eksport to on nie jest. Ale i jego proza w dużym stopniu dzieli cechy jego poezji i poza paroma opowiadaniem nie ma wiele do zaoferowania cudzoziemcom. Żadnej powieści. Teatr raczej staroświecki. Tłumaczono go trochę na języki europejskiego kontynentu, ale zupełne jego nieistnienie w krajach języka angielskiego uniemożliwiało takie nagrody, jak Neustadt czy Nobel. Nie słyszałem nawet, żeby był kandydatem do międzynarodowej Nagrody Formentor.

Jak przyjąłby Nagrodę Nobla dla swojego, nie tak dawno młodocianego, ucznia? Gdyby nastąpiło to za jego życia, mnie, przyznam się, byłoby trochę przykro, czułbym się zażenowany.

18 I 1988

Pruszyński, Iwaszkiewicz. A teraz nawiedza mnie zupełnie inny od nich człowiek i pisarz, Józef Mackiewicz. Przed wojną był współpracownikiem wileńskiego „Słowa”, którego redaktor, brat jego, Stanisław Mackiewicz, robił dużo szumu, działał artykułami wstępnymi, politykował, pojedynkował się (na szable), trafił za opozycyjność do obozu w Berezie Kartuskiej. Józef natomiast siedział gdzieś w redakcji i tyle o nim było wiadomo. Później wszystko się odwróciło. Stanisław w dziejach polskiego piśmiennictwa zostanie jako publicysta, Józef jako wybitny powieściopisarz.

Józef Mackiewicz wydał w 1938 roku Bunt rojstów. Były to jego reportaże z Wileńszczyzny, zebrane w podróżach autobusem i konnym wózkiem po drogach Białorusi. Kiedy teraz w Kalifornii myślę o tamtym kraju, wydaje mi się fascynujący, o rzadkim bogactwie poplątanych wątków narodowościowych, wyznaniowych, klasowych, tudzież bogactwie swojej historii. Tym bardziej umiem to ocenić, że czytałem coś niecoś o historii kolonii, na przykład Wysp Karaibskich.

Egzotyka, palmy, tropikalne morze - i horror zupełnej historycznej pustki, chciwości, wyzysku, najwyżej kryminalna kronika białych awanturników i piratów. Wileńszczyzna międzywojenna, choć szara, między lasem sosnowym i rojstem (słowo nie białoruskie, litewski raistas), powinna była i swoją przeszłością, i terażniejszością natchnąć wielu pisarzy. Cóż kiedy ich nie było. Na pewno by się pojawili, okres Dwudziestolecia po prostu za krótki. Poza tym istniały przeszkody. Piszący po polsku rośli w tradycjach szlacheckiego dworu i musieliby wyrwać się z tej zaklętej orbity, żeby szerszą rzeczywistość zobaczyć. Białorusini zapeklowani w swoim narodowościowym oporze nie zdobywali się jeszcze na nic poza poezją (Maksym Tank); wileńska grupa pisząca w jidysz, Junge Wilno, tego pokolenia i skłonności co Żagary, była poetycka. Wilno wydało wybitnego prozaika, Chaima Grade, kronikarza małych żydowskich miasteczek na Litwie i Białorusi, ale ten rozwinął się po wojnie, w Ameryce, tak jak Izaak Baszewis Singer.

Józef Mackiewicz w Buncie rojstów swoje reportaże układał z niezależnością i przekorą, które miały przyczynić mu później nieszczęść. Wykroczył poza zwykłą polską orbitę i zamiast dworem zajął się prowincją „tutejszych”, czy w domu mówili po polsku czy białorusku, zwłaszcza zjawiskiem popularnych na tej prowincji sekt religijnych, równie niechętnych katolicyzmowi, jak prawosławiu. Dużo też codzienności kraju przedostało się do książki. Podobna Wileńszczyzna ukazuje się w powieści Floriana Czernysze-wicza Chłopcy z Nowoszysek, napisanej w Argentynie. Głównym jej tematem są starcia pomiędzy katolikami

i prawosławnymi w obrębie tej samej wioski, co oznacza nie tyle opcję narodowościową polską albo białoruską, ile państwową, za Polską albo za Sowietami. Jak ostatecznie włączyłaby się w ten galimatias Wileńszczyzna, nigdy się nie dowiemy.

Józefa Mackiewicza za mojej wileńskiej młodości prawie wcale nie znałem. Mrukliwy, z tych, których trochę krzywy nos zagląda w kieliszek, w maciejówce, często w samodziale i długich butach, mógłby uchodzić za szaraczkowego szlachcica prosto ze wsi. Lubił nocą popijać w wileńskich restauracjach, jak inny współpracownik „Słowa”, Jerzy Wyszomirski, ale w przeciwieństwie do niego literaturą się nie interesował. A już o poezji na pewno nie można było z nim gadać. Choć miał, zdaje się, duże odczytanie rodzaju wtedy u nas nierzadkiego: w literaturze rosyjskiej dziewiętnastego wieku.

Nie umiałbym go sobie wyobrazić jako literata Warszawy czy Krakowa. Mieszkał w mieście, które było dla niego nadal stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego, i był tego kraju patriotą. Myślę, że już dzisiaj trudno jest młodszemu pokoleniu przedstawić sobie, o jaki splot lojalności tutaj chodziło i dlaczego tacy jak on z równą niechęcią odnosili się do patriotów polskich jak do patriotów litewskich czy białoruskich. Ostatnio znów czytałem artykuły i eseje Mackiewicza wydane w Londynie, gdzie mówi o „rozbiornie wewnętrznej” Wielkiego Księstwa, dokonanym przez Polaków, Litwinów i Białorusinów. „Sukcesor do całości się nie zgłosił. Po prostu nie było takiego. Każdy chciał tylko urwać dla siebie kawałek”, i Uważam go za pisarza najzupełniej prawdopodobnego i myślę, że wcale nie przesadza, kiedy pisze: „Stąd wynikł spór narastający w walkę otwartą o języki, o kulturę, o tradycję, interpretację historii, o religię. Bój prowadzony był też i na pięści, na pałki po kościołach i cerkwiach świętych, na

noże, na hołoble, na pistolety, aż w końcu, podczas ostatniej wojny, na donosy po urzędach Gestapo czy NKWD. Nienawiść, według wszelkich praw natury, rodziła nienawiść”.

Według Mackiewicza strona polska ponosi największą może odpowiedzialność, bo „sukcesorzy po spuściznę całości ziemi Księstwa Litewskiego” zostali spolonizowani i kulturalnie, i politycznie, tak

że rodzącym się nacjonalizmowi umieli przeciwstawić tylko nacjonalizm polski. „W rezultacie znaleźli się we własnym kraju w sytuacji drastycznej, rzeczników innego państwa, a stąd do potraktowania ich jako obcych agentów przez absolutnie przytłaczającą większość ludności był już tylko jeden krok”.

Przykład mojej rodziny? Mój kuzyn Oskar Miłosz był pierwszym przedstawicielem niepodległej Litwy w Paryżu, co dla Polaków równało się zdradzie. Rodzice mojej matki, Kunatowie, byli lojalnymi obywatelami Litwy, ale po litewsku nie mówili. Moja matka miała dwa obywatelstwa, litewskie i polskie, jako narodowość zawsze podawała polską, litewski znała słabo. Jej siostra natomiast mówiła po litewsku biegle. Mój ojciec był ogłoszony w Litwie zdrajcą z powodu swojej przynależności do POW. Został umieszczony na czarnej liście i wstęp do swego kraju urodzenia miał zamknięty. Niemniej 17 września 1939 roku, kiedy udało mu się dotrzeć do granicy litewskiej z miasteczka Głębokie, gdzie pracował jako inżynier powiatowy, Litwini okazali się wspaniałomyślni, jak wtedy wobec mnóstwa uchodźców z Polski, i mimo że wiedzieli, kim jest, do Litwy wpuścili. Nie był tam prześladowany za swoje dawne grzechy.

Zdaniem Mackiewicza jedynym świadomym patriotą Wielkiego Księstwa był Ludwik Abramowicz, redaktor i wydawca „Przeglądu Wileńskiego”. Zgłaszał roszczenia do sukcesji po całości, przy całkowitym równouprawnieniu narodów ziemie te zamieszkujących. Jego program różnił się od wszelkich pomysłów federacyjnych, w tym też od federalizmu Piłsudskiego, bo te kierowały się przede wszystkim

197

kim polskim interesem i polską racją stanu. W tej perspektywie złamanie przez Polaków traktatu suwalskiego i zagarnięcie Wilna, jak i fikcyjność „Litwy Środkowej” obciążały rachunek zwolenników „idei jagiellońskiej”. Nie wiem, jak Mackiewicz odnosił się do księdza Waleriana Meyszowicza, który Wielkie Księstwo uważał za twój swoich przodków, niemal za własność wielkopańskich rodów i słał patriarchalne stosunki pomiędzy dworem i chłopem.

Prawdopodobnie zaliczał go do tych, których polskość, „rozumiejąca się sama przez się”, była odpowiedzialna za nieufność wobec idei Unii ze strony Litwinów i Białorusinów, tak że woleli nawet mieć do czynienia z otwartymi polskimi nacjonalistami.

20 I 1988

Przedwojenne Wilno wróciło, kiedy teraz czytałem (wydawca przysłał) korektę pamiętnika Lucy S. Dawidowicz, *From That Place and Time*. Wychowana w Nowym Jorku, spędziła w Wilnie rok 1938-39, przeprowadzając badania w tamtejszym Żydowskim Instytucie Naukowym [Historycznym?] (YVO). Jest to bardzo pożyteczna lektura, bo przypomina o ważnym innym Wilnie, którego żydowskie tradycje wyrobiły mu imię „Jeruzalem Północy”. Trzecia mniej więcej część jego ludności niewiele miała wspólnego z państwem, w którym się znalazła, mówiła jidysz i częściowo, w górnej swojej warstwie, po rosyjsku. Pamiętnik Dawidowicz, nie znającej polskiego, dotyczy przede wszystkim podziału na „my” i „wy”, tudzież prześladowań. Jeden z jej wileńskich przyjaciół, dziennikarz, stracił oko podczas studenckich rozruchów antysemitycznych w 1931 roku (te pamiętam). Ostatni rok przed wybuchem wojny przyniósł całkowite zwycięstwo programu endeckiego, wcielonego w życie przez OZON: pikietowanie sklepów żydowskich, projekty ustawy zabraniającej uboju rytualnego, mnóstwo zarządzeń przymusowej polonizacji, nade wszystko jednak propaganda antysemityczna,

198

w której rywalizowały ze sobą prasa rządowa i prasa późniejszego świętego, o Maksymiliana Kolbe. Wilno w relacji Dawidowicz było miastem niebezpiecznym: powtarzały się napady młodzieży uzbrojonych w laski, tak że każde spotkanie z młodymi Polakami groziło pobiciem. Dawidowicz przyznaje, że kobiet i dzieci nie bili, co jednak nie umniejszało złowrogiego planu takich wydarzeń.

To Wilno chyba warte przypomnienia, kiedy mówi się o ostatecznym końcu Wielkiego Księstwa. Dziarska młodzież tłukąca pałkami swoich kolegów na uniwersytecie i urządzająca polowania na przechodniów wkrótce mogła oglądać sowieckie czołgi otoczone entuzjastycznym tłumem żydowskiej młodzieży, choć wątpliwe, czy w jej umysłach połączyły się przyczyna i skutek. Sceny

tego radosnego powitania na ulicach Wilna opisuje w swej autobiograficznej książce Chaim Grade (My Mother's Sabbath Days, przekład z jidysz), a ponieważ był pisarzem rzetelnym i dbał o obiektywizm, opowiada też, jak poszedł tego samego dnia do katedry i jak żał mu było zebranego tam śmiertelnie smutnego tłumu wiernych.

Moja bliższa znajomość z Mackiewiczem nastąpiła w 1940 roku, kiedy Juozas Keliuotis, redaktor „Naujoji Romuva”, pomógł mi dostać się do litewskiego wówczas Wilna, co zresztą traktowałem jako etap przejściowy. Mackiewicz redagował jeden z dwóch wychodzących wtedy polskich dzienników w Wilnie, „Gazetę Codzienną”. Zastępcą redaktora był mój kolega z Żagarów, Teodor Bujnicki. Zostałem współpracownikiem tego pisma tak jak wielu literatów, miejscowych i uchodźców, m.in. Świato-pełk Karpiński i Janusz Minkiewicz. Polemizując po wielu latach z moim esejem o Bujnickim, Mackiewicz (O pewnej ostatniej próbie i zastrzelonym Bujnickim, 1954) nie zgadza się z moim określeniem jego programu jako obrony „polskiego kantonu” w obrębie Litwy. I niewątpliwie ani żaden „polski kanton”, ani Polska, ani Litwa nie mogły zadowolić tego pogrobowca Wielkiego Księstwa, skoro chciał iść w ślady Ludwika Abramowicza. W praktyce jednak program „Gazety Codziennej” do tego się sprowa-

199

dzał i to ją różniło od „Kuriera Wileńskiego”, który stał się głosem polskiej ortodoksji, wyznawanej przez większość polskiego Wilna: dla nich przynależność Wilna do Litwy była po prostu litewską okupacją.

Z Mackiewiczem nigdy się bliżej nie przyjaźniłem, bo inne pokolenie i inny skład umysłu. Miałem dla niego szacunek jako dla pisarza, a też człowieka dobrej woli, który robi, co może, i tego szacunku nigdy się nie pozbyłem. Co nie przeszkadzało mi zastanawiać się nad jego pokretnymi losami. Pośród szlachty Wielkiego Księstwa nie mało było krwistych awanturników, do których zaliczyłbym jego brata Stanisława, ale znany był też typ awanturnika cichego a zacieklego, co to nie popuści. Tak właśnie przedstawiam sobie Józefa. Narzuca się pytanie, w jakim stopniu samoswoja i sobiepańska jednostka, przekonana, że słuszność jest po jej stronie, ma obowiązek czy prawo występować przeciwko opinii publicznej. Żeby zapomnieć, co ta opinia reprezentuje, i o naszej do niej sympatii czy antypatii, trzeba sporego wysiłku, ale tylko wtedy pytanie o społeczną rolę konformizmu nabiera mocy. Mackiewicz tkwił w swoim wileńskim szlacheckim środowisku byłych kawalerzystów z wojny 1920 roku jak on sam, teraz zwykle urzędników, ale też pojedynkowiczów i myśliwych, jak choćby jego przyjaciel Michał Pawlikowski z Mińszczyzny, który redagował myśliwski dodatek do „Słowa” pod tytułem „Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie...” Niemniej wyłamywał się. Bardzo silnie naznaczony przez rosyjskie gimnazjum i przez swoje, w latach szkolnych, fanatyczne zainteresowanie książkami z zakresu zoologii i ornitologii (w czym byliśmy podobni), z wykształcenia i z nawyków obserwacji był przyrodnikiem. Może ta jakby pozytywistyczna zaprawa wyrobiła w nim sceptycyzm co do „polskiego Wilna”. Naraził się temu Wilnu od pierwszych numerów „Gazety Codziennej”, ogłaszając artykuły, w których rozpacz i gniew z powodu wrześniowej klęski wyładowały się we wściekłych atakach na całą Polskę międzywojenną, tak że nie zostawiał na niej suchej nitki. Nie lubił Piłsudskiego ani sanacji (choć

200

pracował przeciw w sanacyjnym „Słowie”), ale żeby znaleźć teraz współpracownika w osobie Piotra Kownackiego, „narodowca”, i razem z nim rzędy „pułkowników” wyszydzać, choć przeciw nic go poza tym z Kownackim nie łączyło, to już było dużo. Wyglądało to na znęcanie się nad powaloną Polską, żeby przypodobać się litewskim gospodarzom. Bez ustanku masakrowana przez cenzurę i oskarżana przez Litwinów o tendencje wywrotowe (bo co to za podstępne gadania o Wielkim Księstwie?) „Gazeta Codzienna” dała początek potępięcym swarom, w których niejawnym przeciwko niej argumentem była „kolaboracja z okupantem”. Czyli Mackiewicz wykazał talent do takiego ustawienia się, żeby być bitym przez obie strony. Miało się to powtórzyć później. Niewątpliwie, uczucia gniewu i goryczy po klęsce były powszechne i dawał im wyraz z samego zgryzu, nie żeby się komuś przypodobać. Ale większość, choć tak samo czuła, powściągała się, bo jakoś nieładnie prac brudną bielizną w tak smutnej chwili.



Wilno owego krótkiego okresu, czyli włączone do niepodległej Litwy, przeładowane uchodźcami, poddane przyśpieszonej lituanizacji, ustawowo i pałką jeżeli trzeba (ci, co niedawno bili Żydów, teraz byli bici, choć nie tylko oni, za śpiewanie w kościele po polsku), opływało mlekiem i miodem, jak to umieją urządzić gospodarzni Litwini, miało znakomite restauracje i kawiarnie, w których handlowano walutą, kupowano paszporty i wize, planowano podróże na Zachód, a przede wszystkim było miastem przeróżnych plotek i zawsze niepomyślnych wieści. Litwa, otoczona przez złowrogie mocarstwa, przyciągała niby wyspa zbawienia nieszczęśników, którzy gotowi byli narażać skórę w wędrówce przez granicę na zielono, ale znalazłszy się u celu swoich marzeń, spostrzegali, że są w pułapce. Samoloty z Kowna na Zachód, przez neutralną Szwecję, jakiś czas kursowały. Sam nawet zgłosiłem się do nieoficjalnego polskiego przedstawicielstwa w Kownie, zostałem zakwalifikowany, miałem już miejsce, kiedy wyjazdowi położono koniec.

201

Nie myślę, żeby napięcia polsko-litewskie bardzo mnie obchodziły. Choć przyjaźń z Keliuotisem, który organizował spotkania polsko-litewskie, to znaczy polskich i litewskich reprezentacyjnych postaci, żeby napięcia łagodzić, powinna była mnie angażować w tym kierunku. Nota bene Keliuotis, z Kowna, nie znał polskiego i zarówno podczas mojej wizyty w Kownie w 1938 roku, jak teraz, rozmawialiśmy po francusku. (Jego studia w Paryżu miały się okazać złym przygotowaniem dla długoletniego więźnia gułagów.) Olbrzymiość i groza wydarzeń pozbawiała wagi szarpania się polsko-litewskie i chyba po prostu wzruszałem ramionami. Mackiewicz we wspomnianym już eseju zarzuca mi deformację prawdy, kiedy powiadam, że „wiele nienawiści między Litwinami i Polakami szło w niepamięć”. Jak zauważa, w Wilnie, wskutek nacjonalistycznej i niemądrej polityki władz litewskich, wrogość po polsku mówiącej ludności rosła. Lokalnie, tak. Jednak, niezależnie od obustronnych zaciętrzewień, istniał fakt podstawowy V, ludzkiego zachowania się Litwy w dniach wrześniowej klęski, a także, jak rzekłem, niestosowność, a nawet śmieszność narodowych sporów.

Nie potrafię odtworzyć moich ówczesnych myśli. Jedną z moich faz tak dużej, że prawie psychosomatycznej obolałości, a na zewnątrz działań w służbie jednej obsesji. Nie mogłem pisać wierszy, co, jak na mnie, wystarczy za dowód choroby, całą energię natomiast zużywałem na wysiłki sprowadzenia Janki z Warszawy i zabrania jej na Zachód, ale granice jedne po drugich okazywały się zbyt niebezpieczne albo niemożliwe. Dostatecznie dużo zajęć, żeby unikać jasnego rozeznania. Kto zresztą je miał. Szok września 1939 był tak duży, że to przeżycie wymagało czasu, zanim należycie osiadło.

Więc Wilno niejasne. Nie tak bardzo jednak, żebym zagubił moje opcje polityczne. Moją współpracę z „Gazetą Codzienną” w znacznym stopniu tłumaczy osoba Bujnickiego, bo on głównie zajmował się w piśmie literaturą. Poza tym naprawdę bliżsi mi byli „krajowcy” niż prawowiernie patriotyczni Polacy, a jako krewny Oskara Miło-

202

sza, który chciał Wilna dla Litwy, nie mogłem hodować w sobie wrogości do „okupacji litewskiej”. Rząd litewskiego państwa niczego jednak nam nie ułatwiał, przeciwnie, prowadził w Wilnie politykę nierozumną, działając przeciwko własnym interesom. Podział mieszkańców na przeróżne kategorie piętnował większość z nich jako „ludność napływową” albo „uchodźców”, w których to grupach znaleźli się nawet wilnianie z dziada pradziada. Prawo do litewskich dowodów osobistych przyznano jedynie zameldowanym w określonych datach, bodaj od roku 1920 poczynając, ale umieszczona w tych dowodach rubryka „narodowość” miała na celu ograniczenie liczby obywateli pełnoprawnych. Wolałem dowód osobisty niż papiery uchodźcy, ale jakąż to narodowość mogłem podać, jeżeli nie polską? Zresztą dowód ten miałem wkrótce zniszczyć podczas przeprawy z Zofią Rogowicz do General Gouvernement, bo kolidował z fałszywą przepustką dla mieszkańca Suwałk. Z tymi dawnymi żagarystami, którzy poszli do komunizmu, nie szukałem kontaktów. Pakt Mołotow-Ribbentrop całkowicie ich pogrążył. Jedno z ostatnich moich u nich wystąpień na łamach „Po prostu” było akcesem do Frontu Ludowego w 1936 roku, ale kwaśnym, i dużo bym dał, gdybym mógł je dzisiaj przeczytać. Co prawda byłem zaproszony na zebranie, kiedy obmyślali tytuł nowego pisma po ubiciu „Po prostu” przez cenzurę. Ten tytuł, „Karta”, to mój wkład, bo tak

jak „Żagary” pochodził z mego skromnego zasobu słów litewskich. Karta znaczy pokolenie, wiana karta znaczy raz, co innego po polsku, więc powstaje pożądana wieloznaczność. Po paru numerach pismo znikło, zakazane.

Politycznie najbliżsi mi byli teraz w Wilnie socjaliści. Była to grupa, która utworzyła własną organizację „Wolność”, złożoną z uchodźców i miejscowych. Z przybyszów: Władysław Malinowski i jego żona Halina, Salman (znany później jako Stefan Arski) z żoną Magdą Hertz, Zbigniew Mitzner, Zofia Rogowicz, Waclaw Zagórski, z miejscowych Maria Renata Mayenowa, Władysław Ryńca. Trzy-

203

małem się z nimi. „Wolność” miała potężnego protektora za granicą, Oskara Lange, wówczas profesora ekonomii na Uniwersytecie chicagowskim. Dzięki niemu Malinowscy i Salmanowie dostali się do Ameryki, przez obszary Rosji i Japonię, zdaje się ze szwedzkimi paszportami. Mitzner, Zagórski, Zofia Rogowicz i ja wywędrowaliśmy przez zielone granice do Warszawy, ja z Zofią, która już robiła szlak kurierski Suwalszczyzna, Prusy Wschodnie, Reich, General Gouvernement. Była żoną literata Waclawa Rogo-wicza, wtedy miała chyba pięćdziesiątkę. Wspominam ją jako dobrego kompana.

W kawiarni Rudnickiego naprzeciwko katedry i raptem głośny grzechot żelastwa, wjazd sowieckich czołgów. Do dzisiaj jest to dla mnie jedno z najsmutniejszych zdarzeń mego życia, bo miałem jasną świadomość nieodwołalnego i obrzydliwe poczucie, że jestem świadkiem deptania bezbronych bez oglądania się na jakiegokolwiek prawo narodów. Tak właśnie wygląda doznanie nieszczęścia. Akurat wtedy padła Francja. Dwa monstra dzieliły łupy, rozpoczynając tysiącletnie, jak mi się zdawało, panowanie nad Europą.

Co by się stało, gdybym nie uciekł z Wilna? W „Prawdzie Wileńskiej”, jak Bujnicki, albo na białe niedźwiedzie. Znadto mnie tam znali. Choć Janusz Minkiewicz i inni uratowali się, prowadząc kabaret literacki. O treści ich tekstów nic zresztą nie wiem. To, co wtedy nastąpiło, zostało wiernie opisane w powieści Mackiewicza Droga donikąd.

Z Mackiewiczem nie widziałem się więc od lata 1940 do lata 1944, kiedy dostał się do Warszawy. Czyli że nie byłem świadkiem jego poczynań w okupowanym przez Niemców Wilnie. Oskarżenia o kolaborację pochodziły z tych samych kół, które miały z Mackiewiczem na pieńku w okresie 1939-1940, czyli szlak już był przetarty. Kiedy nad jednym z wybitnych polskich powieściopisarzy sprawuje się sąd kapturowy, bez prawa obrony, warto chyba zastanowić się, jakie poglądy w swoich pismach głosił, jak też, kim byli jego oskarżyciele. Mackiewicz w tym, co pisze, nie jest

204

nigdy wykretny. Można mu wierzyć, kiedy wyjaśnia nieporozumienie wokół nazwiska (w artykule „Redaktor” Bohdan Mackiewicz). Można mu też wierzyć, kiedy w swoich powieściach i powojennych esejach bez osłonek wyklada swoje stanowisko. Otóż moim zdaniem jego stanowisko było tak absolutnie niepolskie, tzn. przeciwne temu, co uchodziło za pewnik w umysłach ogromnej większości Polaków, że gdyby nawet był nieskazitelny, należałoby mu winę przyczepić.

Ortodoksyjny pogląd polski na toczącą się wojnę zakładał wierność zachodnich aliantów i przywrócenie państwa polskiego w granicach z 1939 roku. Tak wierzyło „polskie Wilno” i jego wojsko, czyli AK. Dla Mackiewicza były to rojenia jednej narodowościowej mniejszości, która stan chwilowy lat międzywojennych chciała uznać za stały. W tej części Europy zwycięstwo mogło należeć albo do Niemiec, albo do Rosji, i zarówno Litwini, jak Białorusini czy Ukraińcy wiedzieli, że nie mogą stawiać na Zachód. Ludność na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa (z wyjątkiem Polaków i Żydów) witała Niemców entuzjastycznie i jak wiadomo, tylko niepojęty niemiecki obłąd doprowadził do odwrócenia się nastrojów. Pozostawał komunizm, który Mackiewicz uważał za wielkie zło. Walkę z nim stawiał na pierwszym miejscu, ponad interesami narodowymi, i zarzucał AK, że działając niby na rzecz aliantów, w istocie pomaga zwycięstwu ich sojusznika, to jest Moskwy. Po upływie wielu dziesięcioleci wypada uznać, że ta ocena dobrze ujmowała los Polski, która, opierając się jednym i drugim, nadzieje pokładała w dalekich a obojętnych trzecich. Niestety, ta realistyczna ocena dobrze służyła tylko Mackiewiczowi-powieściopisarzowi, pozwalając na bezlitosne pokazywanie ślepych zaułków historii. Jako program polityczny warta była zero. Nikt,

nawet sam Mackiewicz, nie popierałby udziału w niemieckiej krucjacie, doszczętnie przez samych Niemców skompromitowanej.

Z jego pism wynika, że gdyby mógł wskrzesić Rosję carską, to by ją wskrzesił, bo uważał ją za państwo poszanowania prawa i tolerancji, zwłaszcza w porównaniu

205

z tym, co nastąpiło wszędzie w następstwie pierwszej wojny światowej. Tutaj też szedł całkowicie przeciwko polskiej opinii, która pomiędzy Rosją i komunizmem chętnie stawia znak równania, czemu zresztą trudno się dziwić, skoro na przykład sowiecka polityka masowych wywózek Polaków z ziem białoruskich i ukraińskich, zaczęta zaraz po rewolucji, była dalszym ciągiem polityki carskiej w dziewiętnastym wieku, tyle że środki zastosowano bardziej okrutne. Mackiewicz kategorycznie sprzeciwiał się uznawaniu komunizmu za twór specyficznie rosyjski i nie czuł żadnej wrogości do Rosjan, na których po prostu spadło nieszczęście komunistycznej władzy.

Co doradzałyby w Wilnie pod okupacją niemiecką, trudno dociec. Gdyby chodziło o wojnę pomiędzy Rosją i Niemcami, na pewno nie wahałby się stanąć po stronie Rosji, ale skoro wielka gra toczyła się o oswobodzenie narodów od komunizmu, zdawał się być, teoretycznie, zwolennikiem jakiegoś przeczekania czy układu z Niemcami, co, szczerze mówiąc, nie różni się od kolaboracji. Tyle można wnioskować z jego pism powojennych, bo wtedy w Wilnie czynnym kolaborantem nie był.

Jednym z głównych argumentów używanych przez tych, którzy Mackiewicza bezwzględnie potępiają, jest artykuł Pawła Jasienicy Moralne zwłoki szlachcica kresowego, pisany przez kogoś, kto wtedy był w Wilnie i jak sam powiada: „Służyłem w Armii Krajowej, miałem przydział do propagandy i pilne czytanie szmatławców zaliczało się do moich obowiązków”. Zadałem sobie trud i wyszukałem książkę Jasienicy Ślady potyczek, w której ten tekst figuruje. Jasienica, jak wiadomo, to pseudonim. Występował pod nim mój kolega z Akademickiego Klubu Włóczęgów w Wilnie, wówczas student historii, Lech Beynar, zwany u nas Bachusem. Nazwisko wcale nie żydowskie, jak próbowano podszeptywać, tylko tatarskie. Beynar pochodził z tatarskiej szlachty, choć nie był już mahometaninem. I imię Lech, i później przybrane nazwisko Jasienica świadczą o katolicko-piastowskich przywiązaniach i jego, i jego rodziny.

206

Jeżeli poważny historyk i świadek wydarzeń pisze rzecz tak karygodnie lekkomyślną, to cóż mówić o innych. Beynar był człowiekiem prawym i nieustraszoną; nie mogąc się pogodzić z tym, co dla Mackiewicza było jasne, walczył do ostatka w oddziale Łupaszki i dostał po wojnie wyrok śmierci. Uratował go, zdaje się, Bolesław Piasecki, szef „Paxu”. Nie przypominam sobie, żeby Beynar w naszym Klubie Włóczęgów deklarował się politycznie. Endeka mieliśmy bodaj jednego, Kazimierza Hałaburdę, ten został wywieziony i zmarł w gułagu na dezynterię. Z innych członków Klubu: nasz senior Gasiulis został rozstrzelany przez władze sowieckie za zrywanie plakatów; Bujnicki zastrzelony za współpracę z tymiż władzami; Jędrychowski został „wybrany” do sejmu Litwy i głosował za włączeniem Litwy do Związku.

Moralne oburzenie Beynara jest szczerze i powtarzając za Jądrem ciemności Conrada „ohyda! ohyda!” na pewno wyraża uczucia wielu swoich rówieśników. Wglądawszy jednak bliżej w artykuł, nie znajdzie się w nim wiele poza stanem uczuciowym.

Pierwszy zarzut dotyczy charakteru Mackiewicza, któ- i rego Beynar oskarża o tchórzostwo, bo skoro zalecał opór / wobec komunizmu choćby kosztem zniszczenia całego ' polskiego narodu, to dlaczego nie poszedł do lasu (jak on sam, Beynar)? Dla tych, co znali Mackiewicza, jest to jedynie chwyt demagogiczny. Drugi zarzut dotyczy powieści Droga donikąd, którą Beynar nazywa nikczemną. Dlaczego? Dlatego, że inne narodowości są w niej pokazane przychylnie, natomiast Polacy oczernieni, i że nie ma w niej wzmianki o ZWZ, z którego narodziła się później AK. Jak też, że nie ma w tej książce miłości do ziemi rodzinnej jak w Panu Tadeuszu (?). Ale przecie Droga donikąd istnieje i obroni się sama. Atak na nią naprowadza być może na powody, dla których trudno być polskim powieściopisarzem. Gdyby ktoś w ubiegłym stuleciu tak Polskę przedstawił jak Gogol Rosję w Martwych duszach, z pewnością zasłużyłby na miano nikczemnika. Trzeci wreszcie zarzut - że Mackiewicz drukował w gazecie

gadzinowej. Pewnie że nie powinien był tego robić. Ale co drukował? Właśnie kilka rozdziałów Drogi donikąd, którą ^Beynar uznał za paszkwil.

' W nagonce na Mackiewicza brało udział dziwne towarzystwo, bo i patrioci, i ukryci agenci sprawców mordy w Katyniu. Leżało jak najbardziej w interesie tych ostatnich, żeby świadka ogłosić faszystą i kolaborantem. Właśnie teraz zajrzałem do teczki z listami Mackiewicza do mnie z lat 1969-1970. Dotyczą starań, jakie robiłem, żeby polecać jego książki wydawcom amerykańskim i niemieckim, z małym powodzeniem, bo za każdym razem nawijał się ktoś z Polaków, dbały o to, żeby zamiar wydania książki ubić. Mackiewicz i jego żona, Barbara Toporska, też pióro znakomite, żyli w skrajnym ubóstwie. Muszę się zgodzić z tym, co Mackiewicz pisze w jednym z listów, że w porównaniu z nimi Gombrowiczowi znakomicie się powodziło.

24 I 1988

Mackiewicz płacił za swoją podróż w 1943 do Katynia na zaproszenie władz niemieckich. Z polskich pisarzy jeździł tam też Ferdynand Goetel. W Warszawie pamiętano jego przedwojenne otwarte pochwały faszyzmu, a w 1940 roku zdradzał nieśmiało skłonności do kolaboracji, bo zarejestrował się jako przedstawiciel wolnego zawodu, literat, i kolegów do tego namawiał. Wielu zarejestrowało się, że niby bezpieczniej. Jednak Goetel miał dobre wyczucie społecznych presji i nakazów patriotycznego kodeksu, toteż nie posunął się dalej w ugodowości wobec Niemców. I chociaż pojechał do Katynia, nikt go jakoś później na emigracji nie piętnował jako kolaboranta. Natomiast Mackiewicz, który ze wszystkimi chodził na udry, nie liczył się z publiczną opinią i był z temperamentu pieniaczem, jadąc do Katynia umacniał nieprzychylnie jego osobie nastroje i nikogo nie obchodziło, że pojechał za zgodą polskich władz podziemnych.

208

Czy Polacy powinni byli w imię wyższej dyplomatycznej racji udawać, że nic a nic Niemcom nie wierzą i groby katyńskie dodać do innych hitlerowskich zbrodni? Wymagałoby to zdławienia w sobie moralnego protestu, nadludzkiej niemal dyscypliny. Państwo sowieckie dokładało ogromnych starań, żeby przekonać cały świat o swojej niewinności, i jego sojusznicy brali to za dobrą monetę, albo udawali, że biorą, czyli Polacy zostawali sami, z prawdą, ale z prawdą głoszoną przez ich niemieckich wrogów. I któż by im wierzył, jeżeli byli znani ze swoich antysowieckich „urazów”? Cóż za paradoksalne równanie, godne filozoficznej analizy.

Niedawno, będąc w domu znajomych, wziąłem przypadkiem z półki grubą książkę amerykańskiego korespondenta w Moskwie Harrisona E. Salisbury, *Journy For Our Times; A Memoir*, 1983, i natrafiłem na ustęp, który jest świadectwem o podróży dyplomatów i dziennikarzy zachodnich do Katynia. Czytałem to i prawie zbierało mi się na wymioty.

„Kathy Harriman była w Moskwie z jej ojcem, teraz ambasadorem w Moskwie. Miała posadę w Office of War Information i spełniała funkcje pani domu, wnosząc życie i wesołość w banalną scenerię. Przekształciła salę balową ambasady w kort do gry w badmingtona i znalazła zapas starych hollywoodzkich filmów na strychu. Były tak kruche, że pękały co chwila podczas projekcji, jednak puszczałyśmy je i tak”.

„Kathy była obecna, kiedy ogłoszono wiadomość o Katyniu, i powiedziała, że chce pojechać.

Rosjanie natychmiast zaprosili ją i Johna Melby, młodego attache ambasady. Przygotowali specjalny pociąg - międzynarodowe wagony sypialne, wagon restauracyjny wykładany mahoniem, mnóstwo kawioru, szampana, masła, białego chleba, wędzonego łososa, ciastek, strogonowa, kotletów kijowskich - i wyruszyliśmy, żeby wglądnać w jedną z wielkich tragedii wojny”.

„Rosjanie odbili Smoleńsk we wrześniu 1943 i zabierali się teraz do uruchomienia swojej propagandowej bomby.

209

Korespondenci zachodni byli zaproszeni jako część dekoracji. Nie wydaje się, żeby udział Kathy Harriman i Johna Melby był kalkulowaną polityką USA. Myślę, że nastąpiło to jako podyktowany przez chwilę odruch, jakkolwiek Averell Harriman rzeczywiście miał dosyć »londyńskich« Polaków i kiedy wrócił z Katynia, powiedział mi, że od dawna był przekonany o tym, iż Polacy dali się nabrać na niemiecką wersję zbrodni i że to, co zobaczył, utwierdziło go w jego przekonaniu”.

„Jestem głęboko wdzięczny sowieckiemu wydziałowi prasy za urządzenie tej wyprawy. Była to (i pozostaje) dobra lekcja sowieckich metod. Żenujący był luksus tego pociągu, wyposażonego w śnieżnobiałą pościel, pierzynki, pachnące mydła, biało ubranych kelnerów, luksus jak dla cara". „Zresztą mógł to być jeden ze specjalnie dla cara przeznaczonych pociągów. Siedzieć w wagonie restauracyjnym przy stole pełnym butelek, kryształów i sreber, talerzy, na których piętrzyły się zakuski i zza koronkowych firanek oglądać obok, na sąsiednim torze, drewniane towarowe pociągi, skąd ranni krasnoarmiejcy z głowami w krwawych bandażach, rękami w gipsie, amputowanymi nogami, przyglądali się nam, dygocąc dokoła swoich piecyków, było niemal nie do zniesienia". Autor tego świadectwa, podobnie jak inni dziennikarze, nie został przekonany rzekomymi dowodami, jakie im przedstawiono. Toteż powstrzymał się od opinii, czym dziełem był Katyń. Ale ambasador amerykański w Moskwie, Averell Harriman, dał się przekonać. A mieć ambasadora amerykańskiego jako swojego wroga na pewno wzmagало katastrofalną sytuację polskiego rządu w Londynie.

Józef Mackiewicz widział groby katyńskie i napisał, co zobaczył. Przypadkiem był też świadkiem, jak odbywało się mordowanie Żydów przez Niemców w Ponarach, i też zostawił rzeczowy raport. I dopóki będzie istnieć polskie piśmiennictwo, te dwa zapisy grozy dwudziestego wieku powinny być stale przypomniane, po to, żeby dostarczały

210

miary wtedy, kiedy literatura zbyt oddala się od rzeczywistości.

Mackiewicz był pisarzem-realistą i w porównaniu z jego zaciekłością w odtwarzaniu „jak naprawdę było" inne odmiany realizmu ukazują swoją błądliwość albo fałsz. Obca mu była cała wysoka sofistykacja literackich dyskusji i nie zastanawiał się nad niemożliwym do przewyższenia dystansem pomiędzy rzeczywistością i słowami. Ani nad powszechnie zapowiadającym końcem powieści. Staroświecki z uporu, posługiwał się językiem jako narzędziem, nie pozwalając stylowi usamodzielnic się i wziąć górę nad piszącą ręką. Powieść była dla niego dalej „lustrem ustawionym na gościńcu" i dbał o absolutną wierność szczegółów.

Droga donikąd i Nie trzeba głośno mówić tworzą razem epos końca. Jest to koniec Wielkiego Księstwa Litewskiego, czy też jego resztek, tak jak dotrwały do 1939 roku, koniec też Wilna jako miasta o ludności polskiej i żydowskiej. Innej niż ta powieść kroniki nie ma. Kolejno jest to obraz życia pod rządami sowieckimi od czerwca 1940 do czerwca 1941, czyli do ataku Niemiec na swego poprzedniego sojusznika, i niemieckimi. Ostatnie rozdziały drugiej powieści dają obraz Warszawy 1944 roku, gdzie znalazł się wtedy sam Mackiewicz, uciekinier z Wilna.

Pisania Mackiewicza o wojnie są zupełnym wyjątkiem w obfitej polskiej literaturze na ten temat. Obowiązuje w niej wzór patriotyczny, walka Polaków z Niemcami. Mackiewicz na ten wzór pozostał mniej czy bardziej obojętny, w czym można się dopatrzeć jego własnej niechęci do obiegowych pojęć i wpływu wielonarodowościowego Wilna. Dwie zasadnicze postawy polskie ścierały się w tym stuleciu ze sobą: niepodległość Polski jako cel wszelkich walk i wysiłków; poświęcenie tej niepodległości w imię komunistycznego internacjonalizmu. Żadna z nich nie znajduje uznania u Mackiewicza, co więcej, odnosi się do nich wrogo. Ci, którzy niepodległość odrzucili w imię komunizmu, jak w Wilnie Dembiński czy Jędrzychowski, są dla niego nie tyle zdrajcami Polski, ile agentami państwa

211

niosącego nieszczęście ludziom różnych narodów. Natomiast niepodległościowcy - stąd jego negatywna ocena AK - są zaślepieni swoim skoncentrowaniem się na walce z niemieckim zaborcą i nie zdają sobie sprawy z tego, że licząc na zwycięstwo zachodnich aliantów przygotowują zwycięstwo tych aliantów sojusznika, czyli Rosji. Mackiewicz w swoich powieściach i swojej publicystyce występuje jako zwolennik antysowieckiego internacjonalizmu, czyli antykomunistycznej międzynarodówki. Stąd wynikają poważne konsekwencje, również artystyczne, bo jego postacie nie są podzielone według kryteriów narodowościowych. Wśród tych, których darzy sympatią, są Polacy, Litwini, Białorusini, Niemcy, biali Rosjanie, uwikłani w różne podziemne ruchy, potencjalni uczestnicy zbiorowego, międzynarodowego oporu wobec systemu. I Nie sposób traktować poważnie wszystkiego, co pisał Mackiewicz-antykomunista. Niektóre jego

artykuły są wręcz obsesyjne i graniczące z paranoją, według wzoru wietrzenia wszędzie agentur. Toteż układając wybór jego pism publicystycznych, należałoby pamiętać, że płacił fantazjowaniem czy nawet wariactwem za stałość swoich poglądów. Odsiew oczywistych błędów spotka po śmierci wszystkich chyba piszących, i myśl o tym powinna nas ustrzec od występowania w todze surowych sędziów.

27 I 1988

W samolocie do pt. Louis.j i Dwa otrzymane wczoraj listy są dla mnie przeżyciem, jeden od W., drugi od M. Te moje rówieśniczki i koleżanki z Wydziału Prawa Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie nie tylko prowadzą mnie nitką sentymentów w przeszłość, istnieją jako osobowości tak cenne, że uważam siebie za szczęśliwego, mogąc o nich myśleć. Bo w tym naszym mieście były niezwykle dziewczęta i jakże ubodzy są ci wszyscy, których pamięć nie może odwołać się do tak wartościowych okazów ludzkich. A mówię to teraz, kiedy

212

są siwe i hodują wnuki, a ja znam mniej więcej ich życie pełne błędów i tragedii.

Z M. nigdy nie byłem blisko, ale przyglądałem się jej. Na swój plus to zapisuję, że jej wypukłe szkła osoby krótkowzrocznej nie przeszkodziły mi ocenić jej wdzięku. Była urocza, ślicznie zbudowana, ale oczywiście ani jej w głowie były faramuski, skoro zaciekle goniła wielkie cele. Ona i jej siostra należały do wewnętrznego kręgu dokoła Jędrychowskiego i Dembińskiego, czyli „Po prostu” i „Karty”, a później w powojennej Polsce do znanych postaci „grupy wileńskiej”. Pochodziły z rodziny bardzo katolickiej i w komunizmie znalazły nową religię, tak jak Zosia Westfalewicz, żona Dembińskiego, której siostra była zakonnica.

List M., pisany jej śmiałym, zdecydowanym pismem, komentuje między innymi mój wiersz o złamaniu tabu przez rzucenie kamieniem w węża, który znalazła w krajowym wydaniu Świadectwa poezji i dodaje: „Ale skoro już jesteśmy przy wężu, napiszę Ci o rybach. W dzieciństwie weszłam do kuchni, gdzie skakały żywcem oskrobane przez gospodynię ryby. Zawsze bardzo bliskie mi były zwierzęta. Więc zaczęłam je zabijać (przez litość), waląc ich głowami o ścianę. Byłam cała we krwi. To była sytuacja, z której nie było dobrego wyjścia. Ale zastanawiam się, czy potem, już dorosła, nie byłam jak ci wychowankowie Sorbony”.

W kilku zdaniach (nasz Wydział Prawa kształcił wybitne inteligencje) daje historię swoją i swojej grupy. Litość nad ludźmi prowadziła do zaangażowań, które nie były dobrym wyjściem. A wychowankowie Sorbony, wykształceni na filozofii Sartre'a, praktykowali ludobójczy terror w Kambodży.

Dalej M.:

„Żeby było weselej, napiszę, jak Cię pamiętam. Pochylnia w Sali Śniadeckich, ty lecisz na czele grupy robotników i studentów goniąc bojówkę endecką, która chciała rozbić wieczór poezji różnych narodów. Masz taką minę wilkołaka, jaką umiałeś robić, zęby na wierzchu, oczy wytrzeszczone, w ręku trzymasz szczątki krzesła. I wyjesz.

■213

Drugi obrazek: stoimy przy stole w Kole Prawników i o coś się kłócimy, nie pamiętam o co, chyba o politykę, bo mówisz do mnie ze złością: ty zawsze byłaś i zostaniesz dewotką. Widocznie mi dogryzłeś, jeśli to pamiętam. Przeżyłam dwie dewocje, a na trzecią już mnie nie stać. To skutek nie tylko starości, ale między innymi literatury, która mi towarzyszy od dziecka”.

W innej części listu mówi o przemówieniu Brodskiego w Sztokholmie na chwałę literatury: „Josif Brodski na Noblu powiedział to, co chciałam Ci napisać, tylko o wiele piękniej”.

' Moje myślenie o nich, tych dziewczętach z Wilna, a dziś starych kobietach, nie nadaje się właściwie do przekazu prozą; jest tak naładowane skrótami i tak wielowarstwowe, że wymagałoby jakiegoś szczególnego rodzaju poezji miłosnej. Czas w niej pewnie by się cofał do lat, kiedy byliśmy w niższych klasach gimnazjum, kiedy M. zabijała ryby w kuchni, a W. nosiła marynarski kołnierz mundurka szkoły sióstr nazaretanek. Prawdopodobnie w tych uparcie wracających obrazach wspólnoty poprzez dzieciństwo wyraża się moja tęsknota do przywrócenia do apokatastasis, czy też do zaczynania na nowo, a więc do chwili, kiedy jeszcze nic nie musiało być tak, jak później się stało, kiedy jeszcze (wyobrażając sobie jakąś zupełnie inną epokę, inne obyczaje

itd.) nie musieliśmy być rozdzieleni. A kto wie, czy taka poezja miłosna nie rodzi się z marzenia o „seksualności anielskiej” Swedenborga, z chęci zupełnej identyfikacji, niemal przemiany w drugiego, nie bezpłciowo, ale z przeniknięciem także jego innej płci.

O liście W., troszczącej się o mój stan zdrowia, lepiej żebym nie pisał. Bo za dużo nici bym musiał wyciągnąć. Zastanawia mnie jej stała skłonność minorowa do pomniejszania siebie, aż, gdyby jej wierzyć, nieprawdą jest, że ma wybitne zalety umysłu i charakteru. Zawsze o sobie, o swojej chorobie i prawdopodobnie rychłej śmierci, z nie-dbałością, wzruszeniem ramion.

214

Wieczór poezji różnych narodów, o którym przypominała M. Sprzeciwiając się „narodowemu” Wilnu mieliśmy różne kontakty i myślę, że niektóre ich ślady są przypomniane, na przykład w 1972 roku w pociągu Rotterdam--Paryż, kiedy wracając ze zjazdu poetów rozpiiliśmy piersiówkę z Abrahamem Sutzkewerem, który przeżył getto wileńskie i jest autorem książki o zbrodniach niemieckich w Wilnie. Myślę też, że te kontakty wyjaśniały, przynajmniej częściowo, sekret Władysława Ryńcy. Bo jak zostaje się milionerem podczas wojny zakładając firmę transportową? Ryńca (gwarowe „ręka”) pochodził ze Śląska. W Wilnie znalazł się jako student - jeszcze jeden mój kolega z prawa. Politycznie wywodził się ze „Strzelca”, tak jak inni (Jędrychowski) z „Legionu Młodych”, a był to okres „lewicowienia” tych sanacyjnych organizacji. Na uniwersytecie został jednym z głównych działaczy naszego bloku antyendeckiego w wyborach do Bratniej Pomocy, wyróżnił się też jako znakomity mówca. Później został na obrzeżu grupy i nie zbliżył się do komunizmu. Co robił w latach 1934—1939, nie umiem powiedzieć (adwokatura?), a już chyba nie potrafię dojść, jak zmieniał się z ubogiego syna górnika w finansowego potentata, operując od 1941 roku gdzie? - na linii Wilno-Mińsk-Warszawa, czyli na terenach narodowościowo mieszanych, tych właśnie, które Józef Mackiewicz opisał w powieści Nie trzeba głośno mówić. Wydaje mi się, że jednym z czynników godnych uwagi była ogromna ilość płynnej gotówki w Wilnie, w złocie i w dolarach, której w niczym nie opłacało się inwestować. Wspólnik Ryńcy, Krywitzki, był Żydem z Rygi i być może mobilizował te kapitały. Krywitzki działał w biurach firmy w Wilnie i w Mińsku, które zostały zlikwidowane w miarę przesuwania się frontu i w 1944 zjawił się w Warszawie, gdzie go poznałem. Był chroniony przez dobre aryjskie papiery, w ogóle Wilno miało jedne z najbardziej artystycznych wytwórni fałszywych dokumentów. Z Warszawy, nie czekając aż przyjdą Rosjanie, wyjechał do Pragi czeskiej i tam zginął, w nie znanych mi okolicznościach. Innym czynnikiem powodzenia Ryńcy był

215

pewnie jego geniusz dyplomatyczny i brak narodowościowych przesądów. Firma była kryta jako zajmująca się dostawami dla wojska i miała wysoko postawionych Niemców na swoim żołdzie. W istocie przeprowadzała ogromne operacje walutowe na czarnym rynku. A ciężarówki szły wylądowane wszystkim, tylko nie dostawami dla wojska, bronią, owszem, ale nie przeznaczoną dla Niemców. Ryńca należał do naszej socjalistycznej „Wolności”, a przez to do podziemia „londyńskiego”, dla którego moc korzystać z takiej sieci transportowej było ważne. Woził pieniądze i broń dla oddziałów AK, ale domyślam się, że szlak do Mińska, prowadzący przez lasy pod kontrolą sowieckiej partyzantki, miał zabezpieczony dzięki odpowiednim układom i świadczonym usługom. Jego ciężarówki przewoziły też uratowanych z wileńskiego getta Żydów, nie za pieniądze, jeżeli mam sądzić po wypadku Seweryna Trossa. Tross pisywał przed wojną do pisma „Orka na ugorze”, tak jak mój brat Andrzej, i znalazł się w Wilnie jako uchodźca z Warszawy. Mój brat ukrywał tego swego kolegę przez pewien czas w mieszkaniu naszych rodziców w Wilnie, na Zarzeczcu, przy ulicy Popowskiej. Następnie Tross i jego żona zostali załadowani na ciężarówkę Ryńcy i wylądowali w Warszawie, gdzie znalazłem dla nich dobrą melinę. Niestety, zginęli w powstaniu warszawskim, ale nie jako Żydzi, po prostu jako ludność cywilna. Cała działalność firmy była, z niemieckiego punktu widzenia, kryminalna i trudno pojąć, że nie było żadnej wpadki. Geniusz Ryńcy i tutaj się okazał, bo stworzył zespół (pamiętam jego szoferów), na którym mógł absolutnie polegać, scementowany na zdrowszych zasadach niż stosunki szefa z podwładnymi. Rodzinność tej grupy „swoich chłopców” z Wilna wykluczała donos, najczęstszy powód katastrofy. Pisałem o Władku Ryńcy w Rodzinnej Europie, nazywając go literą W., ale znów do niego wracam,

bo naprawdę mi imponował i do dziś staram się zrozumieć, jak to wszystko robił. Po wojnie założył, jak planował, firmę wydawniczą i stałby się na pewno panem wydawniczego

216

rynku, zaraz jednak przedsiębiorstwo utrupiono w ramach walki z inicjatywą prywatną. Wtedy został adwokatem i specjalizował się w sprawach spadków, m.in. amerykańskich, korzystając z tego, że wskutek powiązań z „grupą wileńską” dostawał paszporty na zagraniczne podróże.

30 I 1988

Zajęcia dla nas nowe, których musimy się dopiero uczyć, kosztują dużo energii nerwowej, natomiast jeżeli mamy wprawę, wydajemy tylko energię fizyczną, co dużo łatwiej. Tak jest z orką, z koszeniem, tak jest też z publicznym czytaniem wierszy i występowaniem w roli filmowego gwiazdora. W St. Louis czytałem wiersze, dawałem autografy, pozwalałem się fotografować, myśląc będąc w znacznym stopniu gdzie indziej, a gdzie? W książce Ludwika Konińskiego Uwagi, która jest jego dziennikiem / lat 1940-1942, w pełni tragicznym, bo cały czas próbuje siebie przekonać, że Bóg jest, że zło nie ma absolutnej władzy, ale nie bardzo mu się to udaje. Powrócę jeszcze do Konińskiego," teraz natomiast muszę dodać jeszcze coś do rozdziału o Mackiewiczu, przerwanych dygresjami.

Osądzanie Mackiewicza według politycznych kryteriów nie zaprowadzi daleko. Dajmy na to, że był maniakiem, Don Kichotem, utopistą, niemniej to polityczna pasja odżywiła jego pisarstwo, które było ściśle realistyczne, ale zarazem chciało służyć, czyli być pisarstwem z tezą. A tezy brały się z jego uczuciowości i moralnego oburzenia. Ciągłe zapytywał: „Jak to jest możliwe?” i chciał być głosem wołającym na puszczy, kiedy wszyscy inni milczeli. Na szczęście nie był politykiem. Ostatnie rozdziały Nie trzeba głośno mówić dają miarę różnic aury pomiędzy Wilnem i Warszawą, tak jak je odczuwał przybyły z Wilna latem 1944 roku Mackiewicz. I obraz Warszawy, zwariowanej, lekkomyślnej, obojętnej na strzelaniny tu i ówdzie, dumnej ze swego bohaterstwa, wesołej, bo blisko zwycięstwo, jest u niego poprawny. Dlii

217

Mackiewicza była to beztroska dzieci, które nie chcą wiedzieć, że jeszcze chwila, a nic nie zostanie z ich zabawek, tak jak nic nie zostało w Wilnie.

Mackiewicz po przyjeździe do Warszawy wyraził życzenie spotkania się ze mną i z Januszem Minkiewiczem. Odbyliśmy długą rozmowę. Z jego strony było to powtarzane na różne sposoby pytanie „jak to jest możliwe?” Więc teraz, kiedy jasne dla każdego, że alianci są daleko, nic? Żadnej próby dogadania się, choćby w ostatnim momencie, z przegrywającymi Niemcami, skłonny już do ustępstw? Teraz przecie można by było wydawać pismo, żeby mówić głośno prawdę o okupacji sowieckiej tłumioną przez polskie podziemie na usługach Londynu, a pośrednio Moskwy. Słuchaliśmy go z niedowierzaniem, jak się słucha człowieka niespełna rozumu. I wyśmialiśmy go. Powiedzieliśmy mu, że nie ma żadnego rozeznania w tutejszych nastrojach, że nikt by z takim pismem nie współpracował, że kolaborantom, Emilowi Skiwskiemu i Feliksowi Rybickiemu, nikt nie podaje ręki, a on, gdyby zaczął wydawać takie pismo, zostałby napiętnowany jako zdrajca. Mackiewicz nic nam nie powiedział o gazecie „Alarm”, której trzy numery podobno wydali wiosną 1944 we dwójkę z żoną.

Opowiadając to, nie uważam, że obciążam Mackiewicza, który w tym wypadku oświadczał się za kolaboracją, skąd mogłoby wynikać, że uprawiał ją dawniej. Otóż nie wynika. Był to wówczas człowiek zrozpaczony i być może bardziej zrozpaczony niż Minkiewicz i ja, bo my zachowywaliśmy jakieś nadzieje.

Dobrze, że wspomniałem o Władysławie Ryńcy i jego działaniach w trójkącie Wilno-Mińsk-Warszawa, bo dają pewne pojęcie o niesłychanej gęstości i zawłości tamtejszych ludzkich losów za niemieckiej okupacji. Ich obraz musi sprzeciwiać się polskim wyobrażeniom mocno wypaczonym przez patriotyczną konwencję. Rzeczywistość lat wojny na tamtych terenach została też całkowicie ukryta i przerobiona przez oficjalnych historyków. Jest faktem, że

218

Niemcy byli tam witani jako oswobodziciele i gdyby nie ich szaleństwo, mieliby tamte narody



całkowicie po swojej stronie. A tak jak się sprawy ułożyły, schemat bojowników i kolaborantów ujmuje zaledwie drobną część prawdy. Była to trzystronna gra, przy czym ogromna większość ludności lawirowała, zabezpieczając się u jednych i drugich, a istniały też niezależne enklawy, jakby oddzielne państewka zakładane przez zbrojnych watażków. Wiedza o tym wszystkim zmieniała perspektywę Mackiewicza, dobrze służąc jego obiektywizmowi.

31 I 1988

Powieści Mackiewicza skłaniają do sceptycyzmu wobec literatury, bez ustanku przyrządzanej w coraz to innym sosie, w sosie obowiązującej w danym momencie mody, ideologii, polityki i tak dalej. Mają żywą narrację, zaciekawiają, tak że „nie można się oderwać”, czyli spełniają wszelkie warunki niezbędne wtedy, kiedy powieść zajmowała miejsce zajęte później przez film i telewizję. Zawsze chyba istniała literatura zawodowa i niezawodowa. Do Mackiewicza nikt nie chciał się przyznać i dlatego, że taki literacko zacofany, i dlatego, że okropny reakcjonista, ale czytali, aż im się uszy trzęsły. I moim zdaniem, pobili swoich współzawodników piszących bardziej wyszukaną prozą. Pobili artystycznie. Można zastosować do nich powiedzenie sowieckiego żołnierzyka: Francuzi w szelkach, no wojnu proigrali (Francuzi w jedwabiach, ale wojnę przegrali). Jego proza jest zwarta, oszczędna, funkcjonalna, widzi się, co opisuje, a już specjalnie krajobraz jego okolic. Pośród znanych mi polskich literatów nikt tak nie pisał. Ale i Prus, i Żeromski byli w porównaniu z nim literatami zawodowymi. Szlachcic szaraczkowy, jak go nazwałem, z tych upartych, wzgardliwych, zaciekłych mil-czków, pisał na złość. Na złość całemu światu, który czarne nazywa białym i nie ma nikogo, kto by założył veto. I właśnie w tej pasji jest sekret jego stylu.

219

i,

cierpienia, dajmy na to doczesne, ma prawo zapytać, dlaczego on sam korzysta z przywileju, podczas gdy inni obok giną w torturach. Co do zbawienia wiecznego, to jedni otrzymują Łaskę, inni nie, czyli jedni są predestynowani do zbawienia, inni idą na wieczną zatrąę.

Śledząc, jak Koniński próbuje wywikłać się z tych sprzeczności, uświadomiłem sobie po raz pierwszy chyba tak dobitnie, że ktokolwiek chce naprawdę poważnie myśleć o religii, musi nieuniknienie wpaść na pomysły heretyckie. Koniński już gotów jest zrezygnować z maksymalnych wymagań naszego umysłu i nie żądać, żeby prawdy religii wytrzymały próbę rozumu; mogą być ponad naszym rozumem, byle nie przeciw niemu. Czy też ponad naszymi sądami moralnymi, byle nie przeciw nim. Nie bardzo się jednak ta ekwilibrystyka udaje. Jego Bóg nie jest Stwórcą ze Starego Testamentu, powołującym świat ex nihilo, kapryśnym i nieobliczalnym władcą, którego zarządzenia muszą być przyjmowane na ślepo, choćby były najoczywiściej absurdalne. Modli się do innego, jasnego Boga, który jest miłością, który walczy ze złem, cierpi i wymaga naszej ludzkiej współpracy. W religii tego jasnego Boga nie ma miejsca na wieczne potępienie, nie ma też miejsca na predestynację.

Te rozwiązania nie są co prawda nowe. Epikurejczycy wynaleźli mocną alternatywę: zważywszy na to, jak nędznie urządzony jest świat, bogowie albo są wszechmocni, ale nie są dobrzy, albo są dobrzy, ale nie są wszechmocni. Jeżeli jednak nie są wszechmocni, znaczy to, że stawia im opór jakaś zasada, starsza, by tak rzec, niż oni. Tak więc aż u epikurejczyków szukać można źródeł późniejszej gnozy i manicheizmu. Jasny Bóg zмага się ze złem, w które obfituje świat stworzony nie przez Boga, tylko przez niższego demiurga. Następnie u Marcjona w II wieku przeciwstawienie Boga miłości wcielonego w Chrystusie demiurgowi znanemu jako Jehowa. Wiele wieków później William Blake nazwie tego gniewnego władcę Nobodaddy, czyli Nikomutata. Koniński modli się o wiarę, chce za wszelką cenę wierzyć, że Bóg jest i działa, ale to już inny

222

Bóg, nie obojętny Stwórca, czyli zapuszczając się w teologię, polski pisarz zbliża się do rozwiązań gnostyckich, być może w naszym stuleciu nieuniknionych.

5 II 1988

„Jeżeli mam wybrać katolicyzm albo humanizm - wybieram humanizm. Jeżeli chrystianizmem, który może wejść w zgodę z humanizmem, jest »protestantyzm« -jestem protestantem”.

Nieźle sobie Koniński utrudnia. Bo, jak powiada, „sens mojej wiary w Boga jest ten, żebym miał

nadzieję, że się spełni szlachetne czy sprawiedliwe pragnienie serca ludzkiego". I gdzie indziej:

„Bój jest postulatem sumienia! I dopiero teraz szukam możliwości zewnętrznych, żeby ten postulat uprawdopodobnić”.

„Cudów nie odrzucam, jeżeli je sumienie afirmuje. Cudów nie odrzucam, bo dusza ich pragnie, bo nie znam praw, wedle których Łaska poskramia Naturę. Bóg jest głęboki i bogaty, bo rzeczywistość jest fantastyczna”.

„...w Polsce katolickiej, w której nikt na serio nie bierze ani religii, ani ateizmu”.

„Ładny Dobry Ojciec, który widzi, jak dziecko lezie w studnię, a nie chwytą go, ładny sprawiedliwy Sędzia, który zaszczylił oskarżonemu bakcyła wściekliczny, a potem wściekliczną karze wieczną katorgą”.

„»Królestwo moje nie z tego świata« - prawda. Ten świat nie jest królestwem Boga, ale czyżby się był Jezus Chrystus wyrzekł na przyszłość tego królestwa? »Przyjdź królestwo twoje«. Ewangelia pełna zastanawiających zagadek, które dla umysłu krytycznego lekturę jej czynią pochodem po szkle tłuczonym - od jednej przystani wzniosłej do drugiej wzniosłej przystani. Ewangelia wygląda jak krajobraz w morzu mgieł: tu i ówdzie wychylają się jasne i zrozumiałe szczyty - ale wychylają się z tumanu mgły, na której dnie nie wiadomo, co się kryje, jakie jary ciemne”.

223

„Dlaczego religia, a nie ateizm, choćby dżentelmeński, choćby bohaterski, choćby wspaniały, choćby chrześcijański? Bo religia wydaje się prawdziwszą niż ateizm, bo jest jakieś w umyśle przekonanie uczucia, przekonanie wyobraźni, przekonanie mistyczne i metafizyczne, że kosmos nie jest płytki i mechaniczny, ale głęboki i witalny; że Rzeczywistość jest bogata, niezmiernie i głęboko bogata, i że jest w niej miejsce na piekło i niebo; a jeżeli jest niebo, to jest Bóg; niebo puste od Boga jest nonsensem, jest jeszcze jednym piekłem, piekłem nudy, a Rzeczywistość jest zajmująca, bosko interesująca - prawdziwsze jest wszystko, co wierzy w świat bogatszy i interesujący, niż to, co wierzy w świat nudny, dający się wyczerpać ostatecznie formułą fizyki - jak ateizm suponuje i zakłada”.

Ostatecznie za religią zdaje się więc dla Konińskiego przemawiać Eros Platona, pośrednik między bogami i ludźmi.

„Filosofia ancilla theologiae: filozofia zawsze idzie za wiarą, wiarą teistyczną albo ateistyczną, monistyczną albo pluralistyczną, filozofia opracowuje systematycznie zasadnicze przekonanie, usprawiedliwia je, dowodzi go. Do przekonania też się dochodzi filozofując, ale jeszcze nie systematycznie, jeszcze idąc za popędami wyobraźni, uczuć, obyczaju. Serce wytycza kierunek filozofowania”.

„O ileż mniej demoniczny był świat pogański - niż świat chrześcijański! Nieprawda, że chrześcijaństwo wniósł światło w świat artystyczny - wniósł groźę i demonizm”.

„...ale to mię właśnie zaskakuje, zdumiewa, atrakuje: czemu nie rozsądek i logika spokojnej melancholii zwyciężyły, ale heroiczny illogizm, który zarzucał umysły masą pytań bez rozwiązania, heroizm, który nakazywał żyć tak, jakby wiecznie złodziej miał do domu się wkraść, złodziej-lotr?” Koniński za centrum swojego chrześcijaństwa obierał słowa Chrystusa: „Ojciec mój dotąd pracuje i ja pracuję”, czyli heroiczną filozofię współpracy z Bogiem.

„Nie pokorę czujemy wobec Boga, ale dumę, że jest w nas coś takiego, co jest najlepsze w całym kosmosie, że jest w nas coś takiego, co w Bogu jest”.

224

„Straszliwa męka wiary, która się czepia tajemnicy nagimi palcami - jak się czepia ściany górskiej ktoś, kto się w przepaść osuwa. Boże, jeśli jesteś, zmiłuj się nad nim!

Katolicyzm zdaje sobie sprawę z tej straszliwej męki wiary na ślepo - i wbija klamry żelazne dowodów obiektywnych, ex creatione; o, gdybyż te klamry siedziały mocno, gdybyż ta logika była niezbita! Katolicyzm zdaje sobie sprawę ze straszliwej samotności człowieka, który został sam z Bogiem - póki się nad nim Bóg nie pochylał, ale pochyla się rzadko - i dlatego otoczył człowieka wiary potężną tkaniną pospólnej modlitwy, pospólnego obrzędu, pospólnych sakramentów, organizacji, zbiorowej sugestii, autorytetu, oficjalnej, »naukowej« teologii - żeby tylko człowiek sam na sam nie został, z Bogiem Ukrytym, z nocą tajemnic”.

A dyplomacja Kościoła?

„I cóż samarytańscy panowie z Rzymu, cóż biskupi niemieccy? Jeżeli za katolickimi Polakami nie umieliście się wstawić, cóż dopiero za mordercami Pana Jezusa?”

„Z Polski nowy katolicyzm, katolicyzm z takimi modlitwami jak te Krasieńskiego itp.? Z ideą Soboru? Ze słowiańskim, przynajmniej raz jeden, papieżem, przez sobór wybranym? Z papieżem, który by nie był dyplomatą zdolnym i chytrze chuderlawym, ale potężnym i dobrotliwym patriarchą, opiekunem wszystkich ludzi dobrej woli, rzetelnym namiestnikiem dobrego Boga na tej smutnej ziemi? Czy to sny na jawie?”

Wypisałem te zdania Konińskiego, bo są mi bliskie i ujmują dobrze zmagania wewnętrzne „metafizycznych niedowiarków”, jak to sam nazywa. Niewykluczone, że, jak pisze, religia większości trwała przez stulecia konwencją, obrzędem, strachem piekła, polityką, splendorem rzeźby i architektury, natomiast nieliczni poszukiwacze zawsze lądowali w herezji, co jednak Kościołowi nie szkodziło. Koniński, choć jego nadzieja odnowy Kościoła miała się spełnić, byłby dobrym kandydatem na więźnia Świętej Inkwizycji i być może zostałby spalony na stosie. Choć co

225  
prawda katolicyzm zarzucił rygoryzmy swojej dogmatyki, zbliżając się w tym do wyznań protestanckich i Kościoła Wschodniego, a nawet do judaizmu, w którym niezależna spekulacja kabalistów kwitła przez stulecia, nie narażając ich na prześladowania.

Możliwe, że łagodność wobec dewiacji wynika z uświadomienia sobie przez Kościół ich rozpowszechnienia. Gdyby przyciskać, ilu z wiernych oświadczyłoby, że wierzą w Piekło, w kaźń na wieczność? Ilu przyjęłoby za pewne, że Matka Boska została żywcem wzięta do nieba? Czy też ilu odpowiedziało, że grzech Adama i Ewy ich obciąża, podczas kiedy ich umysły nieświadomie skłaniają się do rozwiązania, o którym czytamy u Orygenes: „Nauczali, że śmierć przynależy do stworzenia człowieka jako istoty skończonej. Nie jest więc następstwem grzechu”. Tym bardziej, że teoria ewolucji jest mocno ugruntowana w umysłach, czyli gdzie tam szukać grzechu pierwotnego u ludzi jaskiniowych.

Ostoją Kościoła katolickiego zdają się być wierni powstrzymujący się od dociekań, albo dlatego, że ich to nie ciekawi, albo dlatego, że z góry zakładają nieprzekraczalną granicę.

7 II 1988

Zaangażowany przez całe życie w poezji, musiałem moje religijne „tak” i „nie” umieszczać na tle jej dziejów od osiemnastego wieku. Oddzielanie się jej od religii utwierdzało mnie zawsze w przekonaniu, że erozja wyobraźni kosmiczno-religijnej nie jest złudzeniem i że ogromne połacie planety, które przestają być chrześcijańskie, są zewnętrznym tej erozji odpowiednikiem. Zarazem silna / jtiadał obecność obrazów Starego i Nowego Testamentu w poezji różnych krajów narzucała pytanie o fazę, w której jesteśmy, tzn. ku czemu poezja idzie, ku zniknięciu „reliktów” czy ich wzmocnieniu. Baza nihilistyczna poezji, tak jak całej cywilizacji - a równocześnie jej rola jako organu

226

„metafizycznego” poznania. Dla Konińskiego po stronie Boga jest głębokość, bogactwo, witalność kosmosu - to przecie właśnie, wbrew naukowym formułom, głosi poezja, tym się karmi, to eksploruje.

8 II 1988

Kot Jeleński gdzieś powiedział, że nie zna nikogo, u kogo poezja tak bardzo stanowiłaby jedno z jego osobowości jak u mnie. Może to najwyżej znaczyć, że jedna z zamieszkujących mnie osób tak właśnie z poezją była złączona. Inne osoby nic a nic. Teraz, kiedy robię bilans życia, muszę przyznać, że moja niechęć do psychoanalizy była wymowna, to jest mogła świadczyć, że mam dużo do ukrycia. W istocie nigdy nie zaznałem wyzwolenia. Osiem lat w Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta i wpływ księdza prefekta Leopolda Chomskiego naznaczyły mnie tak silnie, że zdobywałem się najwyżej na bunt, ale bunt, to jeszcze nie to samo co wolność. Grzeszny chłopiec we mnie był pobożny, pilny, przesądny, konserwatywny, zawsze też po stronie autorytetów i przeciw anarchii. Sięgnąć do sedna moich obciążeń i zrobić z nich użytek władczy - tego nie umiałem, a umiał to Gombrowicz. W moich książkach jest dużo szacunku dla konwencjonalnych

cnót i wbrew mojej woli mogłem nieraz uchodzić za moralistę. Wstydzilem się mojej niecnoty, zamiast powiedzieć: tak, ona jest mną, taki jestem i basta. Ta niecnota brała się z zakłóceń moich stosunków ze zbiorowością, najpierw szkolną klasą, i nosiłaby nazwę skrajnego indywidualizmu, tak że walory kolektywne mało do mnie przemawiały. Choć przeciwko temu można powołać się na szczęście bycia w zespole „wybranych” przy końcu szkoły i w początku „Żagarów”, niby w gronie Filomatów.

Zachowuję nieufność do psychiatrów i nigdy nie szukałem u nich pomocy. Tych różnych zamieszkujących mnie osób nie znam, tego i owego najwyżej się domyślałem. Nie

227

mogę więc analizować sprawy centralnej dla mojej biografii, czyli mego związku z Janką. Najwyżej mogę rozróżnić warstwę uczuciową, która powinna być zostawiona w spokoju, i warstwę zaangażowania moralnego. Wtedy, kiedy pracowaliśmy oboje w Polskim Radiu przy placu Dąbrowskiego, czyli w okresie naszej przyjaźni z Józefem Czechowiczem, na moim horyzoncie były Laski i „Ver-bum”. Czyli katolicyzm maritainowski wbrew okropnemu katolicyzmowi „Rycerza Niepokalanej”, „Małego Dzień-r^nika” i innej prasy tępiącej Żydów i masonów\_ZJ>o1 skif!go\_\_

Radia w Wilnie wyleciałem z powodu denuncjacji w „Ma-” lym Dzienniku”. Niedawno zapytywano mnie w Ameryce, <^ jak to było z tą „odpowiedzialnością o. Kolbe. Odpowiedziałem, mam nadzieję uczciwie, nie ukrywając jego poglądów, ale też nie robiąc go odpowiedzialnym za wszystko, co ukazywało się w jego prasie.

Laski i „Verbum”. Znałem księdza Kornilowicza i przeprowadziliśmy, Janka i ja, rozmowę z nim o naszych problemach, ale niezbyt udaną. Janka zresztą zrobiła wyjątek, bo do kleru odnosiła się nieufnie. Jej inność od polskiej inteligencji, także pochodzeniowa, bo przecie była z ludu, przyczyniła się do mego zakochania. Laski poprzedzały nasze poznanie się i trwały jako tako później. Drukowałem coś nawet w „Verbum”, a z Jerzym Andrzejewskim jeździliśmy tam na rekolekcje, bez dobrych rezultatów, ale przynajmniej wyznaliśmy sobie szczerze, że nastrój ascetyczno-modlitewny wywołuje w nas dziką żądzę wódki i befszytków. Działo się to chyba wcześniej, przed Janką, nie tej wiosny, na którą przypadła moja wyprawa do Wisły z Marcem, czyli Stefanem Napier-skim, moim redaktorem, to znaczy tym, który mnie drukował w swoim „Ateneum”. W Wiśle, w pensjonacie, od kilku tygodni siedział Andrzejewski i pisał. We trójkę poszliśmy piechotą na Baranią Górę, do źródeł Wisły, dokąd dotarliśmy w niezbyt trzeźwym stanie wskutek grzanki śląskiej pitej w kolejnych gospodach. Uroczko. Wspominam to, moje drogie cienie, jako chwilę, kiedy byliśmy szczęśliwi. Działo się to w 1939 roku, bo wtedy

228

\*s

właśnie radio nadało wiadomość o śmierci Piusa XI i zacząłem pisać wiersz pożegnalny, który nigdy nie został skończony; doskonale rozumieliśmy, co oznacza ta śmierć w przybierającej nox atra, czarnej nocy dyktatur. Kilka miesięcy później Mareczek został rozstrzelany przez Niemców. W latach okupacji zdaje się w ogóle do Lasek nie jeździłem, w kolejnych odpływach i przyptywach mego katolicyzmu ta faza była raczej na „nie”. Jednak utrzymywałem kontakty. Drogami kłęski Maritaina, które przetłumaczyłem, dostałem chyba ze środowiska Lasek, wydaje mi się od Maryni Czapskiej. Maszynopis dotarł z Holandii.

Miłość jest poddana zasadzie krystalizacji, opisanej przez Stendhala, choć działają tu także nieco inne prawidła i nie można wykluczać egzaltacji, by tak rzec, spirytualistycznej, która swój obiekt wynosi na piedestał. Jakikolwiek są jednak właściwości tej przemiany w alembiku, końcowy wynik jest poważny. Zwłaszcza jeżeli przyłącza się akt woli: to jest to, przysięgam sobie, aż do grobowej deski.

. Psychiatra chyba tylko mógłby wyluskać dziwactwa mego skrupulatnego sumienia, w którym sam dopatruję się przyczyny moich stanów depresyjnych. Sumienie skrupulatne wcale nie musi być sumieniem wrażliwym, a najczęściej nie jest sumieniem prawym, to znaczy takim, które nie daje się zepchnąć z prostej drogi. Za to nieźrównane jest sumienie skrupulatne tam, gdzie chodzi o dręczenie siebie, bijąc rekordy w masochistycznym poczuciu winy, aż do fizycznego bólu w klatce

piersiowej włócznie. Tu jest wytłumaczenie ognistego miecza, który stał na straży mego pięćdziesięcioletniego związku z Janką, aż po jej grób na Sunset Cemetery w Berkeley. Odtworzyć wiosnę i lato 1939? Nie potrafię. W sierpniu byliśmy z Janką zaproszeni przez Bolka Bochwicę do majątku Paulinowo na Polesiu, należącego do jego brata Brunona. Paulinowo, w pobliżu Nieświeża i Baranowicz, było mi znane z wiosennego (w tym czy poprzednim roku) pobytu, kiedy razem z Brunonem podchodziliśmy głuszca. Opis w Dolinie Issy nie z samej Litwy więc wzięty, tak jak

229

trzej bracia myśliwi (Maruszewscy w rzeczywistości) pochodzą z Czernicy pod Wilnem. Paulinów był majątkiem leśnym, to znaczy bez kontrastu dwór-czworaki, co dodawało uroku. Dom, nowy, nie wzorowany na tradycyjnej architekturze dworów, miał duży taras z widokiem na sosnowe lasy i co ranka ściągał nas tam aromat znakomitej kawy zaparzonej przez Brunka. Zwykle było nas pięcioro, bracia Bochwicowie, leśniczy Mowczan, Ukrainiec, ja i jedyna kobieta, Janka. Naokoło las, żadnych sąsiadów z wyjątkiem jednego, który dostarczał tematów do zabawnych historyjek. Był to szlachcic zagrodowy, bardzo pedantyczny i skrupulatny, choć niezbyt piśmienny. Na furtce do swego ogrodu umieścił napis: „Wchodzi ci wychodzi, niech zamyka brama, a kto tego nie uczyni ten zobaczy, co go czeka”. Nieraz później próbowałem wyobrazić sobie jego losy gdzieś w syberyjskim gułagu.

Zapach kawy i sosnowego lasu, rozmowy, wycieczki nowym mercedesem Brunona. Zwiedziliśmy pałac w Nieświeżu, to znaczy byliśmy na podwórku tego renesansowego zamczyska. Nagle Italia pośród puszczy i bagien. I obok Nieświeża, żydowskie miasteczko. Dzięki tej wizycie • mogłem później, czytając w Berkeley pracę doktorską o ekonomii dóbr radziwiłłowskich, odnieść szczegóły do tych okolic.

Noce były pogodne, roziskrzone gwiazdami i niepokoiła nas jedna, ogniste czerwona. Mars. Na wojnę. Zdawałoby się, że teraz powinienem być żyć bliskim spełnieniem moich katastroficznych oczekiwań tudzież przepowiedni Oskara Miłosza, według których wojna miała być wojną Konia Gniadego Apokalipsy i zacząć się od Gdyni (Gdynia jest anagramem słowa gniady). Byłem jednak w innej fazie, znacznie głębszej. W Warszawie aprobowałem „nie oddamy ani guzika” i cieszyłem się (tak!), że wrzód pięknie, ku zgrozie Jerzego Stempowskiego (pamiętam tę rozmowę). Ale wyjaśnienia trzeba szukać u Kisielewskiego, w jego powieści Sprzysiężenie: udreka orania w Radiu, wewnętrzne zagubienie i zaplątanie, nie bez udziału tego w moich uczuciach do Janki, prawie stan, z którego

230

dopiero wojna wyrywa protagonistę tej powieści. Moje ówczesne myśli są dla mnie dotychczas najsilniejszym argumentem za tezą, że ten sam człowiek bywa mądry albo głupi zależnie od okoliczności i od swojej odporności na otaczające go temperatury. Choć może z moją głupotą przesadzam, bo najwyraźniej nastąpiło tu jakieś zablokowanie, coś podstawiło się na miejsce czegoś. W każdym razie ośrodkiem moich myśli była teraz Janka, a też nieśmiałe próby odkrycia, co mnie tak schwyciło i trzyma. Nie pamiętam, czy słuchaliśmy radia i czy z krwawą gwiazdą Mars połączyliśmy wiadomości o pakcie Ribben-trop-Mołotow. Mieliśmy jedną gazetę, warszawskiego „Czerwoniaka”, i rzucaliśmy się na nią, żeby dowiedzieć się dalszego ciągu powieści Opętani Niewieskiego, czyli Gombrowicza, drukowanej w odcinkach. Niesamowity ręcznik zwijał się sam węzowym ruchem i nagle „Czer-woniak” nie przyszedł, natomiast ogłoszono powszechną mobilizację.

9 II 1988

Biciulis znaczy przyjaciel. Od bite, pszczoła, które jest dla mnie tajemniczym słowem. Związki z angielskim bee, z germańskim bini, bia, nordyckim by jasne, ze słowiańskim pczola, bczela niejasne. Biciulis to ten, który z sąsiadem ma razem pszczoły. Biegniemy w jakąś pradawną wiejską, litewską, ale nie tylko. Bo w Ameryce rolniczej bee oznaczało też zgromadzenie sąsiadów czy sąsiadek np. dla łuskania grochu (busking bee), a staroświecka liczba mnoga been używana była, jak się zdaje, w znaczeniu tłoki. Dla mnie tłoka (wschodniosłowiańskie tołoka, litewskie talkd) jest najzupełniej domowe, znane z dzieciństwa, ale w nowoczesnym polskim? A pszczoła

jako godło dynastii w starożytnym Egipcie i też bitf!

Robię korektę My Century Aleksandra Wata, ostatnią, żeby wyłowić błędy w pisowni nazwisk etc. Tak więc po wielu latach dzieło, które w Berkeley powstało, ukaże się

231

po angielsku tutaj, w California University Press. Pamiętam tamten rok 1965 i opory, z jakimi zabierałem się do nagrań, dopiero stopniowo wciągnięty i porwany. Przyczyniłem się do stypendium dla niego, choć więcej Gleb Struve. Było mi trochę przykro, kiedy Wat, euforyczny, poleciał do Berkeley z Paryża jeszcze w listopadzie czy grudniu 1963 roku, nie czekając aż my z Janką wrócimy, bo miałem wtedy sabbatical i jesień spędzaliśmy w Paryżu. Wyglądało to na jego chęć uniknięcia mego pośrednictwa, że niby sam, wszystko sam, i pewnie było przesadnym wyobrażeniem o własnej wielkości, na której wreszcie poznała się Ameryka. Łączyła mnie z nim przyjaźń datująca się nie sprzed wojny, ale od strasznego Sylwestra 1951 roku w Warszawie u Parandowskich - Parandowscy, Watowie - czyli wyrzutki, trędowaci, i ja, blade, trzęsący się. Odmówiłem pójścia na Sylwestra do Związku Literatów, dlatego że Putramentowa była tak pewna: Miłosz tam na pewno będzie. Pójść tam znaczyło poddać się i w wódce utopić niezgodę. Przedwczoraj widziałem film według powieści Kundery Nieznośna lekkość bytu. Jedna z postaci, lekarz Tomasz, odmawia podpisania deklaracji lojalności dlatego, że jego koledzy lekarze są tak pewni: sami podpisali, każdy podpisze. Zupełnie jak ja wtedy.

Moje przyjazne uczucia wobec Wata nie przeszkadzały mi widzieć jego zabawnych cech, które nawet byłem skłonny rozciągać na siebie i w ogóle na klan poetów. Egotyczny, naiwny, nawet nieco dziecinny. Co sobie nawy-obrażał! Że studenci będą siedzieć u jego stóp i pić z jego ust słowa wiedzy o komunizmie. Że przeczyta, co napisano na ten temat, i włączy do swego podstawowego dzieła: a tu raptem tysiące tomów, i zapadł się. Żadnych rozmów europejskiej kawiarni, podstawowy brak zainteresowań osobą, gładkość powierzchownych międzyludzkich stosunków, przy dużej zresztą, powściągliwej dobroci. Po prostu nikt nie miał tutaj na niego czasu. I muszę przyznać, że kiedy przyjechaliśmy w kilka tygodni po nim, nie zachowałem się tak, jak bym był powinien, biorąc pod uwagę jego nadwrażliwość. Czy tak wyładowała się podstępnie

232

moja uraza o jego pośpiech w leceniu na Berkeley? Może. Chciałeś sam, no to sobie radź. W każdym razie, kiedy chciał wygłosić odczyt o futuryzmie (po rosyjsku, bo po angielsku nie mówił), powiedziałem: „Nic prostsze. Wybierz datę, daj tytuł i mały konspekt tematu”. Ta szorstko-zyczliwa rada, chyba dość zwyczajna, ogromnie go zabolala, bo jakże - on ma proponować i uprzedzać, o czym będzie mówić? Ale przecie profesor Grossman, dyrektor The Slavic Center, które Wata sprowadziło, dokładał wszelkich wysiłków, żeby go uspokoić i przekonać, że nikt od niego w zamian za stypendium niczego nie żąda. Jakże mógłby mu proponować odczyty? Żeby Wat to zrozumiał jako nacisk? Czyli inicjatywa musiała do samego Wata należeć. Wystarczyło żeby ktoś, on czy ja, poszedł do Grossmana albo do maksymalnie Watowi życzliwej kierowniczkii Wydziału Słowiańskiego Kathryn Feuer i powiedział: oto tytuł i temat, ustalmy datę.

Którzy trzymają mnie pod rękę, czy aromat zatrzyma ich winnic? Którzy prowadzą mnie pod rękę i wzrok mają kamienny.

Ten wiersz Wata mnie dedykowany.

Krytycy szukali odpowiedzi na pytanie, skąd w mojej poezji same sprzeczności. W prozie zresztą też. Mógłbym ich oświecić, powołując się na kilka osób we mnie mieszkających równocześnie, które próbowałem poskromić, na ogół bez powodzenia. Nie chciałem być tak miotany, ale co mogłem zrobić. Mam nadzieję, że ten dziariusz posuwa dalej wyznania zrobione w innych moich książkach i że zostanie oceniony jako kolejna próba pokazania, że niezgodności różnych moich osób byłem świadomy.

10 II 1988

Nigdy nie służyłem w wojsku. Najpierw miałem studenckie odroczenia, następnie nie uznano mnie za godnego i przeniesiono do kategorii nadliczbowych ze stopniem strzelca z cenzusem. W tej kategorii umieszczano zwykle

233

politycznie podejrzanych, jeżeli, jak też się zdarzało, nie brano ich specjalnie do wojska, żeby wpoić im zdrowe

I morale. Odbywałem w Warszawie co roku kilka dni zastępczej służby z łopata. Kolegami moimi byli przeważnie Żydzi, robotnicy. Władze wojskowe miały chyba rację, bo mógłbym być elementem rozkładowym, miazmatem.

W podróży z Paulinowa, tj. ze stacji Baranowicze do Warszawy, mijaliśmy pociągi pełne poborowych, roześmianych, śpiewających. Nie potrafiłbym odtworzyć tych dni ani 1 września, kiedy detonacje nie od razu wzięliśmy za bombardowanie. Dyżury przeciwpożarowe, chęć poddania się czyimś rozkazom. Chyba dość traumatyczne przenikanie klęski do świadomości, bo pamięć wraca do tego niechętnie. Zgubiliśmy się z Janką w ten sposób, że ona pojechała do rodziców do Wołomina, miała wrócić do naszego mieszkania na Dynasach, tymczasem radio wydało rozkaz, że wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni mają opuścić Warszawę, poszedłem do swojej instytucji, czyli Polskiego Radia, a to właśnie ewakuowało się tej nocy i znalazłem się w wozie radiowym. Cała noc powolnego posuwania się zderzak w zderzak w wielkim exodusie, wreszcie rano Lublin. Luka w pamięci. Usłyszałem, że w którymś z samochodów Radia przyjechał Czechowicz, szukałem go, ale tymczasem nasz wóz radiowy (z odbiornikiem, megafonem etc.) wyruszał na front, po co, nie bardzo wiem, zgłosiłem się i pojechaliśmy ku linii Wisły. Pałący się Kurów? Żeby zaraz pośpiesznie zawracać i nie móc nawet popasać w Lublinie, bo Niemcy tuż. Parę godzin temu był nalot na Lublin i od bomby zginął Czechowicz. Dalej co? Stan odrętwienia. Lwów. Coś się przecie odbywało, różni ludzie, świadomość, że jest się częścią cieknącej, spychanej na południe lawiny ciężarówek, oddziałów wojska i policji, aut. Śliczność słonecznego dnia gdzieś koło Podwołoczysk, u rodziny jednego z radiowców w wiejskim krajobrazie już Podkarpacia, kukurydza, dynie. Zrozumienie, że to wszystko automatycznie rusza na most w Zaleszczykach i powiedzenie sobie: nie chcę.

234

Ewakuowane instytucje miały benzynę, ale zdobywały ją też klany rodzinne, jak np. tych arystokratów, którzy zorganizowali się w tak zwaną karawanę Potockich (la caravane Potocki). Z nią podróżował też Jaś Tarnowski, w pewnym sensie wyrodek, bo zanadto włączony w artystyczne środowisko. Powiedziałem mu, że nie myślę emigrować i że wolę wrócić do Warszawy, cokolwiek ma być. Okazało się, że zamierza to samo, i zaproponował, żebyśmy jechali razem. Miał mały samochód i benzynę. Ułożyliśmy plan. Jedyne możliwa droga prowadziła na północ wzdłuż wschodniej granicy Polski, stamtąd na Polesie. Ruszyliśmy więc pod prąd, małymi drogami. Nie była to długa podróż, choć godna smętnego upamiętnienia, bo dzień był 17 września. Dużo nisko lecących samolotów podobnych do nietoperzy przekonało nas, że coś się dzieje. A wkrótce potem powiedziano nam, że idą sowieckie czołgi. Nie rozmawialiśmy. Jaś zawrócił, twarze gromadzących się ludzi w mijanych wioskach, zdążyliśmy jeszcze przejechać most do Rumunii. Po czym razem z nim, zatrzymując się w Czerniowcach, omijając punkty kontroli, wiejskimi drogami (dojechaliśmy do Bukaresztu. ^

12 II 1988

Na wschodnim wybrzeżu zamiecie śnieżne, tutaj gorąca wiosna, drzewa kwitną. Wczoraj sauna i po niej pływanie w otwartym basenie.

Mój pobyt w Bukareszcie wymagałby tak obszernego opisu, że wolę zrezygnować. Dość, że ułożyłem tam wariacki plan powrotu, czyli kontynuowania podróży z Jasiem Tarnowskim, przerwanej przez drobną okoliczność, inwazję ze wschodu. I wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu plan przeprowadziłem, co prawie że niepojęte. Skoro terytoria okupowane przez Sowiety należało wykluczyć, pozostała droga okólna. Napisałem do przyjaciela, Keliuotisa, redaktora „Naujoji Roumova” (którego

235

to pisma byłem współpracownikiem), że chciałbym dostać się na Litwę, odpowiedział i przysłał mi sauf conduit, czyli rodzaj nansenowskiego paszportu.

Mój powrót do Wilna, a następnie, latem 1940, do Warszawy, jest dla mnie przykładem różnicy pomiędzy intencjami i prawdziwym celem, który w chwilach naszych decyzji pozostaje nie znany

albo ledwo przeczuwany. Bo oczywiście nie wiedziałem, że wracam po to, żeby doświadczyć, żeby widzieć i móc spełnić swoje pisarskie przeznaczenie.

13 II 1988

Zajęcie optymistyczne studiowania języków. Słownik etymologiczny języka rosyjskiego, cztery tomy języka greckiego, Karłowicz, Linde, Modern Lithuanian, słownik etymologiczny Brucknera, słownik korzeni indoeuropejskich w angielskim. Zajęcie optymistyczne, skoro zakłada cel, użyteczność wbrew zdrowemu rozsądkowi. Bo co komu z wiedzy po śmierci, na którą starość musi być każdego dnia gotowa? Wynika stąd, że w niebie będą dalej słowniki. Nie będzie żadnej pełnej wiedzy, bo nie wymagałaby już nauki, co oznaczałoby stan bierności i nudy, ale dążenie, aktywność, tyle że do drugiej potęgi. Czyli filologowie otrzymają laur w zaświatach. Choć można tam będzie także zbadać języki, które nigdy nie dostały poziomu pisma i gramatyki.

14 II 1988

I Ledwo mogę podolać moim licznym zajęciom. Korekty Wata, ostatnie korekty pięćsetstronicowego tomu moich wierszy zebranych po angielsku. Filozofia. Lektury: dziennik ojca Pedra Fonta z ekspedycji do Kalifornii w 1776 roku. Jak to wyglądało, zanim zjawił się biały człowiek. I więcej ufam temu zakonnikowi niż romantycz-

236

nym wyobrażeniom o szlachetnych dzikusach. Życie Indian: brud, smród, bezustanny strach śmierci, bo wojna wszystkich przeciwko wszystkim trwa bez przerwy, a w pierwszym rzędzie prawie stałe niedożywienie, które będzie ich przyciągać do hiszpańskich misji, jako że zgadzając się na chrzest dostawali śniadanie, obiad i kolację. Z cech ludzkich ojców Font widzi w nich tylko fizyczny kształt człowieka, poza tym zwierzęta. Co wpędza go w teologiczne kłopoty. Przez tysiąclecia taka nędza, a po śmierci?

19 II 1988

W górach na parę dni. Biel, jasność, żeby nie zapomnieć, jak śnieg wygląda. Wyciąg narciarski. Alpine Mea-dows.

Jadąc wzdłuż jeziora Tahoe, tuż za Tahoe City, rozpoznałem czy starałem się rozpoznać domek, który wynajmowaliśmy z Janką i chłopcami w 1961 roku. Nieduży taras wprost nad wodą, lubiłem tam przesiadywać i patrzeć na wysokie brzegi Nevady. Śladem tego jest wiersz o chwili tutejszego świtu, motorówce rybaków, postanowieniu i zapomnianiu.

Czym różnię się od siebie ówczesnego?

Wsparty na Watermanie Odchodzę w otchłanie Wiekuistego zwątpienia.

To Gałczyński, z czasów, kiedy jeszcze pozwalał sobie wątpić.

Do czego wolno przyznawać się publicznie? Czy nie istnieje strefa, której dotyczyć słowami nie wolno, ponieważ jest to szkodliwe dla zdrowia ludzkiego gatunku? Szóstow powiedziałby, że tak, jest taka strefa.

237

23 II 1988

Być może intuicja, jaką miałem w Japonii, była najbardziej trafna, jeżeli chodzi o przyszłość religii, i dziwię się, że jej dotychczas nie rozwinąłem. A wróciło to do mnie z okazji angielskiej antologii Tongues of Fire, gdzie są trzy moje wiersze i jeden Wata {Japońskie łucznictwo}. Redaktorka tomu, Karen Armstrong (była zakonnica), pisze o różnicy pomiędzy doświadczeniem mistycznym i praktyką religijną większości ludzi, wypełniających, co im poszczególne religie nakazują. Buddyzm i szintoizm w Japonii trwają mocą tradycji i nie są przedmiotem potwierdzeń ani zaprzeczeń. I jest to jakby inne niż gwałtowna erozja chrześcijaństwa w ciągu ostatnich stu lat, czyli wygląda to na stan trwały, który następuje po skoku w dół, od tego stadium, kiedy religia władała wszystkim. Być może inne religie idą tym samym torem i chrześcijaństwo na Zachodzie usadawia się na takim niższym, ale mocnym szczeblu, czy też, używając innego porównania, będzie to linia prosta, dokoła której meandrycznie wiją się rozmaite linie prywatnych dociekań, charyzmatycznych ruchów czy mistycznej kontemplacji, zasadniczo niezbyt przejmującej się jednym, swoim wyznaniem, bo np. teista chrześcijański ma w tym względzie wiele wspólnego z a-teistą buddyjskim. Oczywiście istnienie religii jako przepisanych praktyk jest ważne, bo z jej zniknięciem zabrakłoby ochrony dla



własnych przemyśleń u wiernych jak też zachęty do nich.

24 II 1988

Niewykluczone, że cały nasz sposób myślenia o dziejach religii wymaga zasadniczej zmiany. Wieki gorącej wiary jednoczącej chłopa, rzemieślnika i teologa, religijnych entuzjasmów i poświęceń mogą być w znacznym stopniu tworem późniejszych wyobrażeń rzutowanych wstecz. W wielu krajach chrześcijaństwo mas ludowych była wątpliwa i obyczaj chodzenia do kościoła nie znaczył,

238

że wierni umieliby odpowiedzieć na najprostsze pytania katechizmu. W szesnastym, a nawet jeszcze siedemnastym wieku wieś litewska była chrześcijańska tylko z nazwy. Ale o ileż dawniej ochrzczona Francja miała w osiemnastym wieku liczną miejską ludność złożoną z nędzarzy, którzy o jakiegokolwiek religii nie wiedzieli nic i których obecność tłumaczy ferwor, z jakim podczas rewolucji rozbijano głowy świętych na portalach katedr. Michajłowski, krytykując Dostojewskiego, który wierzył w głęboką pobożność rosyjskiego chłopa, twierdził, że chłop rosyjski jest ateistą żywiołowym. Te przykłady, pierwsze z brzegu, prowadzą do pewnych podejrzeń: historia religii, jak zresztą historia w ogóle, nosi znamię „kasty wiednej”. Wspaniałość architektury, malarstwa, muzyki, zbudowała obraz cywilizacji chrześcijańskiej niejako ponad głowami ludzi przeciętnych, krzątających się dokoła swoich przyziemnych spraw, i nic tu nie da się wyraźnie oddzielić, tak jak wspaniałych świątyń w Nara i Kyoto nie da się oddzielić od dziwnej mieszanki tradycji zwanej Japonią. Możliwe więc, że rozmaite hamulce, które przeszkadzały religii w przeszłości (obyczaj pogański, nędza, niepiśmienność), mają swój odpowiednik dzisiaj w innych hamulcach, tak że w ogólnym rachunku wypada remis.

Jednak „śmierć Boga” ugodziła w „kastę wiedną”, a wtedy filozofia, nauka i sztuka poszły na swoje, już nie troszcząc się o opinie teologów, i to jest zasadnicza różnica. Tutaj, w tym oddzieleniu, widzę główną problematykę nowoczesnej poezji.

Poezja zamiast religii, czyli powołana przez te same potrzeby, które zwracają człowieka do religii. Taka formuła byłaby poprawna, ale jest zbyt ogólna i obejmuje rozbieżne nieraz skłonności. Co innego Mallarmé, co innego Rilke, a jeszcze co innego Whitman. Nie przesadą może byłoby szukać analogii w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, kiedy skutek ogromnych nawarstwień umysłowego wyrafinowania (grecka filozofia, ówczesny światopogląd naukowy etc.) nowa religia wykształconym nie wystarczała i dlatego szerzyły się wśród nich różne rodzaje

239

gnozy. Gnostycyzm byłby wtedy tym, czym dzisiaj jest dla wykształconych poezja, która bynajmniej nie może być sprowadzona do „przeżyć estetycznych”. W swoich najważniejszych utworach jest eksploracją miejsca człowieka w kosmosie. Jej konkurentką były różne rodzaje historiozoficznej gnozy.

25 II 1988

Ludzie postronni, to znaczy nie wtajemniczeni w wiedzę o literaturze, rozwijającą się niebotycznie w ciągu ostatnich dekad, muszą mieć pewne trudności ze zrozumieniem, dlaczego to wszystko, co należało kiedyś do filozofii, przesunęło się do badań literackich. Czy też posługujących się badaniami literackimi jako pretekstem. Jakaś aleksandryjskość w pisaniu o pisaniu, trzypiętrowe budowle formalizmu, strukturalizmu, dekonstrukcjonizmu etc. Całe pisarstwo z przyległościami ukazuje się jako zabójczo poważna działalność, być może pod względem powagi na tym poziomie co gnoza historiozoficzna rodem z Hegla. Ciepło, ciepło: a gdyby tak zbadać antagonizmy, współdziałania, rywalizacje dwóch głównych powołań nowoczesnej ery: społecznego proroka-rewolucjonisty i artysty?

26 II 1988

Ogarnia mnie niechęć do rozprawiania o poezji, ta niechęć, która mnie odróżnia od tysięcy teoretyków, szkolarzy, męczenników tego czy innego -izmu, robiących na -izmie kariery uniwersyteckie. Wolę haiku napisane tysiąc lat temu przez poetkę japońską Izumi Szikibu (974—1034):

Jeżeli ten, na którego czekam Przyjdzie teraz - co zrobię? Dziś rano ogród w śniegu Tak ładny bez śladu kroków.

Czy taki wiersz jest instrumentem poznania? Tak, poznania, na poziomie głębszym niż filozofia.  
1 III 1988

W tym wierszu nasza myśl o młodej kobiecie, która żyła tysiąc lat temu, o jej jednym poranku, stanowi część tak zwanego przeżycia estetycznego, oczywiście nie dającego się sprowadzić do estetyki. Powstaje łączność, wspólnota, jej ciało, jej oddech, jej podziw dla bieli śniegu, który spadł w nocy, coś nam również doskonale znanego, ale nieśmiałego: bo czyż nie zaznaliśmy chwili, kiedy chciałoby się, żeby ta czystość trwała, nieskażona, ale zaraz zawstydzienie się, bo głupi pomysł. Dziecinność tej kobiety. Dorosła, czeka na mężczyznę, a zarazem oczy są po dziecinnemu otwarte, odkrywa szczegóły widzianego świata. I ten świat trwa tak obiektywnie, że obecność albo nieobecność gościa nie wysuwa się na pierwszy plan. Jakby wyznaczała właściwe miejsce naszym pasjom, nad którymi powinna górować bezinteresowna kontemplacja. Ale właśnie przez złożoność uczuć ta Japonka jest dla nas dotykalna, bliska, dostaje kształty kobiet nam bliskich.

7 III 1988

Nie mogę ugryźć swego zasadniczego tematu w wierszu. Doświadczenie poucza, że w takich razach trzeba czekać. Dajmy na to, kilka miesięcy. Ale sprzeczne są ze sobą nadzieja, że to napiszę, i rezygnacja, bo kiedyś wreszcie przychodzi wiek, kiedy więcej wierszy się nie pisze.

9 III 1988

Zdumiewające odkrycia złożoności ludzkiego psychofizycznego organizmu. Czy potrafiłbym opisać, dając choć częściowo przykłady? Dziedzina, w którą nie lubiłem się

241

zapuszczać, całkowicie negując własną kruchość i zależność ciała od stanów ducha, a tym samym nic o niej nie wiedząc. Czyli moja samoświadomość w tym względzie była minimalna i dlatego prawdą jest, że byłem kierowany przez moce mądrzejsze ode mnie.

Film Hope and Glory, o drugiej wojnie światowej w Londynie. Film artystycznie chybiony, ale wierny mentalności Zachodu i obyczajowi niszczenia samych siebie. Lekcja w klasie i nauczycielka wyjaśnia, o co Anglia walczy: „żeby zachować imperium”. Ale przecie widzowie wiedzą, że imperium się rozleciało. Więc? I czyż nikt nie zaprotestuje, nie powie, że przecie nie o to Anglia walczyła?

13 III 1988

Tego roku jeden ciąg zajęć wydawniczych. Ledwo skończyłem korekty mego grubego tomu Collected Poems, już musiałem robić korekty My Century Wata i mojego Ogrodu nauk po francusku (L'immoralite de l'art), a teraz Nieobjęta ziemia po francusku. Aha, jeszcze adiustacja tomiku wierszy Wata w angielskim przekładzie.

Odkrycie, przy korektach francuskiego tomu, do jakiego stopnia język stały, wyrobiony literacko, jest nieprzychylny poezji. Bo we francuskim na wszelkie zespoły słów, które układamy z trudem, szukając swego wyrazu, są gotowe formuły i oczywiście stąd skłonność tłumaczy do użycia tych formuł. Ja: „na początku świata”, tłumacze: „a l'aube du monde”. Ależ a l'aube znaczy o brzasku, o świcie, co banalne. Ja: „czyta zakłęcie”, tłumacz: „une formule magique” - a z czytaniem co się stało? I tak dalej. Nie chce mi się mnożyć przykładów. I to wszystko trzeba jakoś wyławiać. To mogę zrobić we francuskim. Ale co się dzieje w innych językach? Groza. Dzisiaj dzwonił dziennikarz węgierskiego pochodzenia z Brazylii, który przygotowuje przekład moich wierszy na portugalski. Powiedział, że mój tomik wydany w Budapeszcie jest znakomicie przełożony.

242

Skąd on wie? Czy porównywał z oryginałami? Może to prawda, ale nie mogę sprawdzić. Tak samo ostatecznie, jak nie mogę zapobiec pewnym monopolom.

16 III 1988

Przedwczoraj drugie z moich trzech seminariów na uniwersytecie. Udało się, ale coraz częściej myślę, że poza wierszami, które zostawiam, nie mam zbyt dużo do powiedzenia, bo moje teoretyczne rozważania mógłby równie dobrze uprawiać kto inny. Mówiłem o sztuce obiektywnej, Schopenhauerze, dla którego najwyższym osiągnięciem sztuki obiektywnej były holenderskie martwe natury, czytałem fragmenty jego wypowiedzi, a potem moje wiersze z Laudy i te inne, z La

Belle Epoque. No i pięknie. Ale w moim wieku myśli się o własnych błędach i o tych ludziach, którzy byli mądrzejsi ode mnie. Wielu było mądrzejszych, a że i wielu głębszych, to słaba pociecha. Moją siłą napędową długo była pewność, że mam rację, dziś trochę zabawna. Podczas tego seminarium uświadomiłem sobie, że nadal przemawiam jako ten, który zaciekle programuje, przeciwstawia jeden gatunek poezji innym jej odmianom, że jestem ciągle ten, który wie i zwalcza subiektywizm dzisiejszej poezji. A naprawdę powinienem wzruszyć ramionami i ograniczyć się do tego, co napisałem. „Czesiu, nie mów, powiesz głupstwo. Napisz!” Mimo tej rady Zygmunta zrobiłem karierę na uniwersytecie, ale teraz pewnie już dosyć, sceptycyzm wobec mędrkowań, łącznie z moimi własnymi, przybiera.

19 III 1988

Przeczytałem odnaleziony osobno list Kota Jeleńskiego z 1982 roku, który mnie przejął jako posłanie zza grobu. Jeszcze raz potwierdza się bezbłędność reakcji Kota na słowo pisane, jego pełna uczciwość i mądrość. Pisz

}

243

o korespondencji pomiędzy mną i Melchiorem Wańkowiczem, którą ogłosiła „Twórczość”. Mniej lojalny przyjaciel zawahałby się, cofnąłby się przed powiedzeniem przykrej prawdy. Kot przyjął ten dokument ze smutkiem, stwierdził, że korespondencja obniża mój obraz w oczach wielbicieli mojej poezji i jest tym bardziej niepojęta, że równocześnie w moich wierszach mówiłem coś zupełnie przeciwnego. Jego zdaniem słuszność była po stronie Wańkowicza, a moje argumenty były nieuczciwe i naznaczone niedopuszczalną pewnością siebie oraz self-pity. Doradza, żebym wziął byka za rogi i wreszcie napisał o mojej służbie zagranicznej po wojnie, nie kajając się, ale też nie broniąc się na pozycjach nie do obronienia.

Kot miał rację. Moje argumenty były fałszywe, ukrywały moje prawdziwe motywy, albo dlatego, że te motywy były nie do wyznania, albo i dlatego, że wymagałyby zbyt zawilej samoanalizy.

Nieszczęśliwa wielkoduszność, która doradziła mi udzielić zgody p. Ziółkowskiej na druk (wiedziała, co robi, bo korespondencja przedstawia Wańkowicza w korzystnym świetle), mści się i będzie się mścić. Michnik w najlepszej intencji nadał korespondencji rozgłos w swoim eseju i książce Polskie pytania, ale wskutek obfitych cytów jego obrona Miłosza wygląda słabo i nagle nabiera siły, ale dopiero kiedy cytuje wiersze, rzeczywiście dowodzące, na innym planie, logiki mego stanowiska.

Wyjazd za granicę od początku stał pod znakiem kłamstwa, bo przecie kierowałem się jedynym pragnieniem: wyjechać. A potem się zobaczy. Moja matka przed śmiercią wręcz kazała mi wyjechać. Później, znalazłszy się w Ameryce, zobaczyłem, że absolutnie nie mam tam co robić, w żadnym sensie, jakimkolwiek kto chce. Poza zarabianiem na życie, na „papu, kaku i lulu”. Do jakiego stopnia jakakolwiek integracja w środowiska emigracyjne była dla mnie - wewnętrznie - niemożliwa, daje pojęcie mój konflikt z „Kulturą” w 1951 roku, kiedy tam wylądowałem, konflikt może dziś śmieszny, ale nie wtedy.

244

30 III 1988

Czy naprawdę podobają się tobie powieści i sztuki teatralne Gombrowicza? Ale uczciwie! Otóż nie.

Nie zazdroścę mu ich, nie chciałbym być ich autorem. Czy niepokoją mnie? Tak. Bo jeżeli są tylko ludzie dla ludzi, jeżeli ten kokon przez nas utkany unosi się w kosmosie,

0 którym nie możemy powiedzieć nic, nawet że istnieje, najwyżej że istnieje w naszym umyśle - jeżeli tak jest, to być może naprawdę żyjemy w piekle. A mój niepokój stąd, I że skoro uznaję Gombrowicza za pisarza nowoczesnego, / siebie muszę uznać za staroświeckiego. Grzeczny chłopczyk | wierzący w bożię, starający się unikać grzechu, spotyka się

z dzikim łobuzem, który pokazuje język i gra na nosie autorytetom dwóch tysięcy lat. Bo ostatecznie to, co Gombrowiczowi mogę przeciwstawić, pochodzi z magazynu dawno wypracowanych pojęć. -

Świat istnieje, nie tylko w moim umyśle. - A skąd to wiesz? - Bo jest oglądany przez Boga. -

Przypomina mi to argument Kartezjusza, który swoje zwątpienie leczył powołując się na to, że Bóg nie może nas oszukiwać; ale to było tchórzostwem Kartezjusza. - Niech tak będzie. Ale we mnie

jest ogromna potrzeba wydobycia się na zewnątrz, poza moją osobę, tym większa, im bardziej czuję starzejący się organizm, to znaczy chęć, żeby być niejako częścią myśli Boga, kiedy ogląda świat, potrzeba doskonałej obiektywności, strefy, która trwa niezależnie od przelotnych szepień się ludzi. I przecie wypróbowane u mnie, bo moja poezja jest taka, wydobywa się, podróżuje poza mnie. Ideał: móc powiedzieć, że choć ze mną niedobrze, świat trwa i idzie swoim torem, a w nim, przy całej jego okropności, jest druga strona, prawdziwa, podszywka dostępna oczom Bóstwa. Czyli mój spór z Gombrowiczem rzeczywiście obraca się wokół jego „sporu o istnienie świata”, to jest jego uparte negocjowanie twierdzeń o istnieniu czegokolwiek poza naszymi percepcjami. To jeden jego atak na prawdę obiektywną. Drugi, to szepianie się ludzi w jeden kłęb, stąd prawda zawsze jest tylko ich prawdą, Bóg ich Bogiem.

245

Niezbyt gorliwy wielbiciel Natury, bo jest bólem, jednak czuję obecność, własną, wsobną, drzewa, zwierzęcia, kwiatu, podczas kiedy dla Gombrowicza istnieją tylko jako zagrożenie. Dla mnie również, ale jest i coś za nimi. Czy Gombrowicz umiałby napisać wiersz Zen? Czy dostępna była mu kontemplacja poza kontemplacją w akcie tworzenia sztuki? Cokolwiek powiem na swoją, zabobonnego dziecka, obronę, łatwo byłoby mu obrócić przeciwko mnie. Modlisz się do Boga? Do siebie się modlisz. Feuerbach da capo.

Mój los popychał mnie w kierunku zgody na sądy Gombrowicza, nie zostawiając żadnego miejsca transcendencji. Choroba w najbliższym otoczeniu musi mieć taki skutek. Obnaża się wtedy zupełne spętanie ducha przez komórki organizmu. Ile lat musiałem na to patrzeć!

Ostatnia niedziela była palmowa. W kościele St. Mary Magdalen doznałem raz jeszcze zanurzenia się w wieki ludzkości, jakiejś identyfikacji z milionami mężczyzn i kobiet uczestniczących w mszy w ciągu wieków, co jednak jest trudne do ujęcia w słowach. Było w tym też jakby przeczucie, że Chrystus jest dlatego, że w każdym jest dolna granica bólu, opuszczenia i że ja w moim egoizmie nie potrafię wejść w tego bliźniego. A nawet ile razy pomyślę o pełnym współczuciu, ogarnia mnie panika, bo gdzie tam mnie, kocjemu egoiście, myśleć o tym. A naprawdę ta kociość jest mi droga. Moje dziecinne myślenie zawiera w sobie nawyki stuleci. Myślę mianowicie, że człowiek żyje tak długo, jak długo wypełnia, co mu zostało wyznaczone, i jeżeli nie mam nic więcej do zrobienia, to wkrótce umrę. Co taka myśl oznacza? Czy w religii ateistycznej, na przykład w buddyzmie, jest dla niej miejsce?

Astma mnie osłabia i jeszcze raz przekonuję się, że wiersze, przynajmniej u mnie, wymagają pełni sił fizycznych, czyli ogromnego zogniskowania nerwowej energii.

Przypadkiem słuchałem wczoraj taśmy, na której w Polsce nagrano muzykę (czyją?) i śpiewanie czy recitativa moich wierszy. Gdybym chciał żyć dłużej, to tylko po to,

246

żeby naprawić zło, jakie wyrządziłem. A do niego należy wszelka poezja, która sprzyja polskiemu jęklawemu-szlachet-nie-patriotycznemu samodurstwu. Czy też na tę modłę może być recytowana.

Niestety. Niestety. Leśmian nie napisał ani jednego wiersza w tej służbie, a co mnie kusiło?

Grzeczny harcerzyk nie mogący wyswobodzić się z krótkich majtek. I nie żadne moje komunizowanie, ale to właśnie, nawroty narodowej ortodoksji, jest plamą, której nie da się wyczyścić.

1 IV 1988

Krytyka myśli zachodniej przez Keiji Nishitani (Religion and Nothingness), zwłaszcza „subiektywizacji ateizmu” u Nietzschego i Sartre'a, stosuje się w całości do Gombrowicza, który wikła się w starym dylemacie zachodnich filozofów: podmiot-przedmiot. Pozostaje zastanowić się nad niemal nieuniknionymi wnioskami, które narzucają się umysłowi wybitnemu jak Gombrowicz (bo przecie niezależnie od siebie Sartre i Gombrowicz na to samo wpadają), jak też nad prawdopodobieństwem, że Zachód przedchrześcijański zostanie otwarty na filozofię Wschodu, gdzie problem podmiot-przedmiot jest usunięty.

4IV 1988

Listy Gombrowicza do Świczewskich ogłoszone w „Życiu Literackim”. Był przekonany, że będą miały dużą wartość i doradzał ich nie gubić. Dlaczego ja nigdy nie troszczyłem się o swoje listy i

nigdy nie myślałem, że ze względu na potomność coś muszę powiedzieć albo czegoś nie powiedzieć? Czy oznacza to pokorę, brak wiary we własną wielkość? Nie sędzę. Może raczej zupełną arogancję, to znaczy, że jestem wyższy niż gra w wielkości literackie, że ta gra dość głupawa. Bo ostatecznie musiałem jakoś ustawiać siebie w tamtej Polsce sprzed 1939 roku,

247

gdzie największym poetą był Tuwim, wielkości Iwaszkiewicza nie podważałbym, a Czechowicza umieszczałem ponad sobą. Więc jak to wyglądało? Jak miała się moja świadomość (a przynajmniej co wyrażało się w moich opiniach) do innego piętra przekonań nie wyznanych? Jestem skłonny wyobrazić to sobie tak: jest hierarchia, na szczycie są poeci wtajemniczeni, ani jednego takiego w Polsce, ale należy tu Oskar Miłosz. Ja nie mam nadziei wznieść się na szczyt, ale przez to, że wiem o jego istnieniu, jestem wyższy od polskich poetów naokoło mnie piszących. Chyba tak. A czy później aspirowałem? Czy byłem zazdrosny o Przybosię sławę, Gałczyńskiego? Pewnie trochę, ale mnie to jakoś ominęło. Iwaszkiewicz, ten był pewien swojej wielkości i listy stylizował, choć cały jego mit „wielkiego pisarza” (patrz noblista Zamoyłło) tylko mnie już przed 1939 bawił. Przedwczoraj, w Wielką Sobotę, byłem na cmentarzu. Piękne miejsce, mój popiół obok jej popiołu. Tak się należy, myślałem, nie Sopot i grób Kunatów. Choćby jako kompensata za zło, które jej wyrządziłem, nie umiając jej kochać tak, jak na to zasługiwała.

Seks. Ostatecznie чуć to przeważnie legendy. Mężczyzna i kobieta to w pierwszym rzędzie gra miłości własnych. I dlatego cała ta dziedzina tak podejrzana, nieczysta. Moje sumienie obciążone. A zarazem wiem, że Swedenborg miał rację- prawdziwe małżeństwo jest rajem na ziemi. Tego szukałem i tego, ale krótko, z Janką zaznałem.

8IV 1988

W samolocie Oakland-Seattle.

Tak, oczywiście, jesteśmy bezbronni wobec czasu, który nastanie po naszej śmierci, wobec wszelkich przemian smaku, obyczajów, skali wartości, mód. Będą z nas brali co im wygodne, odrzucali co im niepotrzebne i któż może przewidzieć, na ile ten obraz będzie podobny do naszego obrazu samych siebie? Czasem myślę, że tkanina mowy

248

- języka, muzyki, malarstwa - składa się przeważnie ze śladów, z których nie można nawet odgadnąć, kim był dany człowiek, to jest, że zostaje na przykład jeden wiersz, jedno płótno z martwą naturą.

Cisną mnie, żebym pozwolił na druk w Polsce mojej antologii Pieśń niepodległa z 1942 roku. Mówię: nie chcę, to było dawno i nie mam z tym nic wspólnego. Ale tom Trzy zimy z 1936 roku ukazał się z komentarzami i sprawił mi dużą przyjemność. Czyli że pod Trzema zimami podpisuję się, nie życzę sobie podpisywać się pod Pieśnią niepodległą.

9IV 1988

W hotelu Mayflower w Seattle.

Spełniłem, co do mnie należało (seminarium i wieczór autorski), nie okazując, ile mnie kosztuje każdy wysiłek, z powodu astmy. Ale oczywiście stale w tle refleksja o starzeniu się i niedalekim końcu, szczególnie po kartce od W., która pisze, że osłabia ją starość i choroba, na nic nie ma siły, nawet na to, żeby mi podziękować za przysłane paczki.

Inter arma silent Musae. Jest w tym dużo prawdy, czyli że Muzy mają swoje rewiry: ogrody, następstwo pór roku, zakochane pary, muzyczne instrumenty. I pewnie samą dziwność istnienia. A poezja dzisiejsza, jak mówiłem wczoraj na seminarium, jest szukaniem, jak zachować się ma człowiek w sytuacji niemożliwej, postawiony wobec kosmosu, którego nie rozumie ni w ząb, czyli im więcej rozumie, tym mniej rozumie. Podobne to do potrzeby, jaką czują ludzie, kiedy umrze ktoś z bliskich czy przyjaciół: coś trzeba zrobić, ale co - zupełnie nie wiadomo. Dobrze, jeżeli wkracza religia ze swoją liturgią. A jeżeli nie wkracza? Jak zachować się wobec rzeczy ostatecznych? Czyli poezja mogłaby być tworzeniem liturgii zastępczej.

Inter arma silent Musae: jakież to prawdziwie trwałe dzieła poezji powstały przy szczękę oręża podczas II wojny

}

249

światowej? Do antologii *Pieśń niepodległa* dostałem od żony i córek Melchiora Wańkowicza fragmenty *Kwiatów polskich* Tuwima, ale ocenzurowałem, ja sam, bo to chojractwo było trudne do zniesienia. Jest w antologii, mimo mojej wybredności, większej niż redaktorów antologii konkurencyjnych, dużo patriotycznej retoryki, właściwie prawie wyłącznie patriotyczna retoryka, i co mogłem zrobić, choć za taką ją uważałem. Pewnie, że inne antologie były lepsze, czyli lepiej nawoływały do czynu, bo ich redaktorzy nie mieli takich skrupułów jak ja, czyli, jak się mówi, nie byli estetami.

Jeżeli ktoś poważnie odnosi się do swego powołania, powinien wiedzieć, że obowiązuje go ścisła zasada hierarchii, która polega na odrzucaniu wszystkiego, co jest poniżej najwyższych wymagań, to znaczy tego, co dla naszej intuicji ma cechy wartości pozornych, tandetnych. Kto wie, czy nie należy tu cała dziedzina tzw. szlachetnych uczuć, społecznego buntu, patriotyzmu itd., czyli hierarchia zakłada pewną, trzeba to przyznać, nieludzką. Mój pierwszy tom wierszy grzeszył przeciwko hierarchii motywami społecznymi, ale drugi, *Trzy zimy*, jak najściślej wżgardliwej, aroganckiej hierarchii przestrzegał.

10 IV 1988

Parę tygodni temu Carol posadziła jabłonkę. Sadzenie jabłoni jest optymistyczne, jak w legendzie o Johnny Appleseed: my przemijamy, jabłonie zostają. Ale jelenie dobrały się i zjadły połowę liści, jak też w ostatnich dniach zjadają wszelkie kwiaty, bratki, nawet spireje i cokolwiek Carol kupi, żeby dodać do ogrodu. I równocześnie z moimi zapisami trwa szukanie sposobów, jak jelenie przechytrzyć.

Ścisła hierarchia znaczy, że umie się złować nitkę swego, niczyjego innego tylko swego losu i żadne pokusy nas nie odwiodą od postępowania zogniskowanego na jednym celu. Co bardzo trudne, bo żyjemy wśród ludzi i jesteśmy w ich mocy, dzielimy z nimi ich wzruszenia, pragnienia

250

i lęki. Olbrzymie emocjonalne presje zbiorowości. Masz jedno życie, zrób coś z nim. Co komu z tego, w dalszej perspektywie pokoleń, że będziesz ulegał żądaniom i oczekiwaniom swoich współczesnych? Czy to znaczy, że jestem zwolennikiem sztuki dla sztuki, że chcę chronić jej czystość, że nadal radzę, jak Mallarmé, odwrócić się plecami do tłumu? Owszem, ale w sensie higieny. Nie w sensie kredowego koła, w obrębie którego dozwolone jest tylko słowiarstwo. Zdumiewam się i nie rozumiem. Gdzie mnie nosiło! Jak przeprowadzić granicę pomiędzy moją poezją czystsza i tą, która uległa wezwaniom mego wieku? Ścisłej, pomiędzy tą, w której ów wiek został należycie przetransponowany, i tą, w której występuje w stanie surowym. Czasem myślę, że po *Trzech zimach* powinno było skończyć się moje życie i że cała reszta była niepotrzebnym dodatkiem. Bo wtedy jawnie, bez udawań, ukazałaby się moja twarz, jak mówi Janek Ulatowski, potępieńca, czyli *possede*. Pewnie byłem nim zawsze. Gombrowicz o Jance i o mnie: „Nie pojmuję, jak taka mądra kobieta mogła wytrzymać z takim wariatem (*avec unfou pareit*),\ I jeszcze raz miał rację.

12 IV 1988

List z Londynu, od nieznanego czytelnika, Sebastiana Barkera. Ale jaki list! Ile takich listów można otrzymać w ciągu życia? I chyba jedynie przy końcu życia. Tylko co z takim listem zrobić, jeżeli uważa się siebie za *un fou pareill*

Oglądałem w telewizji godzinny film o Robertcie Lowell-lu, kolejny z serii o poetach amerykańskich. Słaba seria, dość partacka robota. Różne wypowiedzi poetów o Lowell-lu, sporo mego Roberta Hassa.

Za mego pierwszego pobytu w Ameryce sensacją był pierwszy tom wierszy Lowella *Lord Weary's Castle*. Podbił mnie i pierwszy o nim po polsku pisałem, to było jeszcze przed stalinizacją. Nie pamiętam, jak to się stało, że

251

i

Lowell nas odwiedził w Waszyngtonie, w naszym tanim mieszkanku na piąterku przy Sheridan

Street, podnajmowanym u Mr. and Mrs. Miller. Może on, zbuntowany (poszedł do więzienia zamiast brać udział w wojnie, jego, katolickim wtedy, zdaniem, niesprawiedliwej), uważał za potrzebne manifestować swoją niezależność wobec opinii publicznej, nienawidzącej „czerwonych”? Ot, nie brzydzisz się „czerwonych”, to zaraz widzisz, że tacy ludzie jak inni. O polskich komplikacjach nie miał oczywiście pojęcia.

Później widywałem Lowella podczas jego wizyt w Berkeley. Na mojej niechęci do niego mogła zaważyć jego sława w latach sześćdziesiątych, kiedy dla całego ruchu pacyfistyczno-młodzieżowego był nasz, wielki, postępowy, czyli potwierdzał wiarę, że wszyscy ludzie, a już zwłaszcza poeci, myślą podobnie, bo inaczej myślą tylko świny. Co zresztą jest w Ameryce stałe, być poetą to być tak zwanym liberałem. Dodać do tego Lowella rozwody, pobyty w klinikach psychiatrycznych, zainteresowanie kulturą europejską (muzealną), a mamy typowy życiorys, za typowy na mój gust, w służbie komunałów środowiska.

14 IV 1988

Powinienem wrócić do lat Free Speech Mouvement w Berkeley, bo to już historia. Wtedy właśnie też te wieczory poetyckie Lowella. Pomyśleć, dla ilu młodych wtedy ludzi był to najintensywniejszy okres ich życia, wspominają, zaczynają pisać o tym pamiętniki. A dla mnie? Widowisko małpiarstwa. Może zresztą dla kogoś dorosłego tym samym był nasz „ruch”

Dembińskiego w Wilnie? Tutaj wprawianie w fanatyczny, histeryczny trans studenckiej masy przez Mario Savio i dyrygowanie nią przez Bettinę Aptheker, z amerykańskiej partii komunistycznej, a jakże. Ani bałem się, jak tyłu korzących się przed młodziami profesorów, ani przejmowałem się zanadto. Agitatorowi, który przyszedł do klasy, pozwoli-

252

łem przemówić do studentów, a potem miałem dosyć, chwyciłem go za halsztuk ku jego absolutnemu zdziwieniu i kazałem wyjść.

„Rewolucja” trwała zresztą parę lat i różne były jej nasilenia. Po amerykańskim bombardowaniu Kambodży zostały utworzone na wydziałach jaczejki, w których studenci i profesorowie obradowali razem, ściślej, mieli być odpowiednio indoktrynowani. Wybrnąłem dyplomatycznie, tłumacząc z francuskiego artykuł księcia Sihanouka, który znalazłem w „Preuves”. Było to zgodne z moim przekonaniem, bo nieszczęsny Sihanouk, manewrujący, ustępujący w miarę Wietnamczykom, był jedynym, który mógł neutralność swego kraju uratować. A Amerykanie wleźli i całą jego ostrożną grę zepsuli, bez żadnego pożytku dla siebie. Przeczytałem ten tekst. Jeden z profesorów gadał zawstydzające, „postępowe” brednie. Po zebraniu odwoziłem samochodem studentkę, która trafiła tu z Uniwersytetu Warszawskiego. „Jak to jest możliwe, gdzie się znalazła?” - mówiła. - To po to uciekałam od komunizmu, żeby wpaść w to samo tutaj? A ten profesor X., co to znaczy, kim on jest?” Nie podnosząc oczu znad kierownicy odpowiedziałem: „chuj”.

Nie wiem, jak bym się odniósł do rewolucji lat sześćdziesiątych na Sorbonie - pewnie nie byłbym za ścinaniem platanów na bulwarze St. Michel, żeby z nich budować barykady. Zdaje się, że tutaj poglądy moje i Kota Jeleń-skiego się różniły. W parę lat po tamtych wydarzeniach rozmawiałem z Abraszą Zemszem, dziś już nieżyjącym, malowniczą postacią Lewego Brzegu, zawsze zagłodzonym wiecznym studentem (polski Żyd, z ciężkimi przeżyciami w polskim wojsku w Anglii z powodu antysemityzmu). Abrasza brał czynny udział w rewolucji, a nawet rej wodził. - Zapytałem go dlaczego, ale nie powołał się na żadną ideologię. Bo ruch, bo działanie, bo rewolucja sama w sobie.

253

15 IV 1988

Na lotnisku w Oakland.

Jadąc na lotnisko myślałem o okropnej muzyce drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Co im się wydawało? Że są odkrywcy, że są postępowi w porównaniu z siedemnastym i osiemnastym? Dlaczego raz tylko zdarza się ta cudowna równowaga pomiędzy oporem formy i wynalazczością, to niebiańskie rzeźbienie dźwięku jak u tamtych, Bacha, Haydna, Mozarta, ale przecie nie tylko u nich, mniejsi też mieli swój udział w tamtym pięknym stylu.

W samolocie Oakland-Chicago-South Bend (University of Notre Dame).

Moje konwulsje śmiechu, ile razy słuchałem np. Czajkowskiego. Po co im to było? Kompozytor, powaga artysty, mit artysty, orkiestra - ileż, jakież miesiące, lata pracy skrzypków, trębaczy, wiolonczelistów; publiczność — damy w gorsetach, oficerowie z orderami, fraki. I wszystko to, żeby potomny śmiał się z ich obrzędu, a może nawet z nich samych, biorących ten obrzęd tak poważnie.

Ameryka dostarczyła mi wielu radości, także negatywnych, np. że nikt nie wlewał mi do uszu, przymusowo, różnych rodzajów czajkowszczyzny. Z tego też powodu nie mógłbym mieszkać w Rosji.

Tom wierszy wybranych Oskara Miłozza po litewsku, wydanie dwujęzyczne, w Wilnie, 1980. Dość duży nakład, 14 tysięcy. Refleksje moje podobne do poprzednich o muzyce. Całe ogromne okresy tak zwanej sztuki na przepadłe, ale również okresy w życiu danego artysty, poety. Litwini, zamiast zrobić wybór według nowoczesnego gustu, z szacunkiem tłumaczyli „jak leci”, z wczesnych jego tomików naznaczonych przez wielomówność fin-de-siecle'u. Sporo wierszy, których dotychczas nie czytałem, bo nie dawały się czytać. Jednak wśród nich nagle wiersze, które zostają na zawsze we francuskim języku, Karomama i Lofoten. A póź-

254

/

niej zryw, znakomite Symfonie z lat I wojny i powojennych.

„Kunas ir drnsia” - ciało i duch. To brzmi dobrze. Na ten dźwięk jestem wrażliwy, z powodu mego nazwiska po matce, Kunat. Biedny Gombrowicz snobował się na Kotkowskich, dla mnie nazwiska na -ski były trochę śmieszne. Kunatas - nazwisko najwyraźniej wodza, wydobywające zalety krzepkiego ciała. Kunat przyjęty do herbu Topór w czternastym wieku, według legendy był to pogrobowiec Jadźwingów wyróżnionych przez połączone siły polskie i krzyżackie. Myślę, że kiedy zjawiłem się w Warszawie z Wilna w latach trzydziestych, niektórzy (np. Marek Napierski) snobowali się na takie moje pochodzenie, niemal indiańskie. I Iwaszkiewicz w Czerwonych tarczach umieścił jakiegoś małego księcia Jadźwingów pod nazwiskiem Kunat.

Lubię podróżować samolotem. Pisać, czytać, pić. Liczba mil, jaką przemierzyłem samolotami, w Ameryce i za jeden, drugi ocean, jest zawrotna. Czyli moja zdumiewająca mnie samego aktywność i wigor zbiegały się ze zbliżaniem się i ukończeniem siedemdziesiątki. By rzecz prawdę, wigor w picciu alkoholu, wigor seksualny i wigor twórczy szły razem. Czyli moja myśl o przyjacielu, Jerzym Andrzejewskim, była zaprawiona pewnego rodzaju politowaniem, nie dlatego, że tak bardzo chciałem dostać Nagrodę Nobla, a ja ją dostałem, ale że wpadłem w alkoholizm, którego ja uniknąłem, bo mogłem pić albo nie pić.

Mieć umysł aktywny do końca, niechby ciało odmówiło posłuszeństwa.

Wygrana - przegrana. Myśląc o Andrzejewskim, trudno tego uniknąć. Na ileż iluzorycznych wielkości patrzyłem, na ileż przegranych. W Polsce, we Francji, w Ameryce. Czasem wygląda na to, że wygrałem. Jednak wcześniej, jeszcze w szkole, uwierzyłem w wygraną tylko za cenę. Kiedy mnie chwala i oklaskują (często z owacjami), chciałbym im powiedzieć: „A gdybyście znali moje życie, czy zamienilibyście się ze mną?”

255

17 IV 1988

W samolocie Chicago-San Francisco.

Konferencja o problemach narodowościowych w Środkowo-Wschodniej Europie i Rosji jako uroczyste zaczęcie profesury Andrzeja Walickiego w Notre Dame. Żadnej astmy, co wskazuje na jej przyczyny alergiczne w Berkeley.

W samolocie powrotnym South Bend-Chicago opowiedziałem profesorowi Banaciowi treść mego wiersza o Sze-tejniach, Kałnoberzy i Stołypinie. Jak też to, o czym dowiedziałem się niedawno, z okazji porządkowania archiwum Kota Jeleńskiego przez Piotra Kłoczowskiego. Kot przetłumaczył ten wiersz na francuski i dał wnukowi Stołypina. Ten przeczytał wiersz swemu bardzo staremu ojcu, który był wzruszony, mówił, że wszystko pamięta, Szetejnie, Kunatówny.

Zgodziliśmy się z Banaciem, że rzeczywiście Sołżenicyn ma tutaj rację, jedynym człowiekiem,



który mógł Rosję uratować - po rewolucji lutowej - był Stołypin. Bo władza leżała na ulicy i nie było nikogo, kto by zechciał po nią sięgnąć.

Z Banaciem omawialiśmy projekt konferencji w Yale o miastach środkowej Europy jako centrach kulturalnych. Rad jestem, że na moją sugestię włączył północ - Tallin, Rygę, Wilno. Zapytałem go, czemu nie włączył Dubrownika, skąd pochodzi.

Nie spisuję na ogół wspomnień, bo dostęp do nich często zagrodzony, tak że nie pojawiają się obrazy, są przez nas samych wycenzurowane. Więc tylko urywki.

Jesień 1950 roku. Ulica Dumont d'Urville, niedaleko Etoile. Umieszczono mnie tam po moim przyjeździe z Waszyngtonu do Paryża i nie przyszło mi do głowy powiedzieć: „Bardzo przepraszam, ale ja wolę sam sobie mieszkanie wybrać”. Aż tak nie byłem naiwny. Ten dom należał do ambasady, umieszczano tam jej pracowników. Konsjerżka na dole widziała, kiedy i kto wchodzi. Była to kobiecina w średnim wieku, raczej starszawa, Polka z Nor-

256

du. Oczywiście pracowała dla UB, ale z pewnością też dla francuskiej policji. Tajemnicą, której nigdy nie rozwikłałem, były związki paryskich konsjerżek z policją: czy dostają za to wynagrodzenie, czy policja ma inne sposoby. Mój pokój miał cienkie drzwi do sąsiedniego pokoju, słychać było wszystko, więc nikogo do siebie zaprosić nie mogłem. Za tymi drzwiami mieszkała młoda para gorliwych komunistów - dziennikarz Kozicki i jego żona Anka, córka Władysława Broniewskiego, która później popełniła samobójstwo. Zdaje się, że pamiętałem ją z Warszawy - kiedy raz byłem na Żoliborzu u Broniewskich: Inianowłosa dziewczynka w kojcu, za prętami z jasnego drzewa. Teraz, już dorosła, bardzo przykra, z tych fanatyczek o wąskich zaciśniętych ustach. Oboje odnosili się do mnie jak do obcego klasowo elementu. Tak zresztą jak w ambasadzie straszliwa egeria o oczach żmii, z paryskiej komunistycznej Polonii. Ambasadora nie było. Charge d'affaires, Ogrodziński, nie liczył się, bo zachowywał się jak zwierzę w potrzasku. Do partii trafił z PPS-u. Za człowieka przyzwoitego uważałem starego komunistę pol-sko-paryskiego, zapomniałem jego nazwiska, chyba Men-zel. Rządził ambasadą ubek Wojtowicz. Co myślał, nikt się nie dowie. Wkrótce zmylił pogonię i wyemigrował do Izraela, wracając do swego prawdziwego nazwiska albo przybierając nowe.

Przechodząc teraz ulicą St. Dominique koło ambasady, miejsca moich dawnych cierpień, nie widzę, żeby była strzeżona jak wtedy; w budce stał wtedy cywil z pepeszą, używali do tego górników z Nordu.

Przedmiot moich częstych rozmyślań to tacy ludzie jak konsjerżka przy rue Dumont d'Urville. Setki tysięcy takich, miliony, nieobjęta zaiste liczba maluczkich zastraszonych, którzy wiedzą, że trzeba kombinować, żeby jakoś przeżyć, i co do których nie ma wątpliwości, że za równowartość jednego posiłku sprzedadzą bliźniego. Zawsze ich dużo (czyż concierge - zupełnie nie pamiętam, jaki miał polski tytuł - w naszym Domu Akademickim w Wilnie nie współpracował z policją?), ale reżimy totalitarne

257

mnożą ich ilość zawrotnie. I gdyby jakimś magicznym sposobem dało się ustalić prawdziwą, nie urojoną, genealogię mieszkańców Polski, okazałoby się, że ogromny ich procent (a może większość?) ma za przodków, dziadków, rodziców, niezbyt szacowne indywidua: konfidentów, potakujących serwilistów, wręcz pachółków policji i UB, podwójnych agentów itd. Jak tutaj działa dobór naturalny, jeżeli szanse przeżycia i zostawienia potomstwa mają właśnie posłuszni i bez skrupułów, a giną czysti i przywiązani do prostych moralnych zasad? A Rosja? Z kogo tam składa się ludność, strach pomyśleć, po latach terroru, kiedy przeżywali ci, co denuncjowali sąsiada, nie ci, którzy denuncjować nie chcieli.

Ale, ach, ta myśl prowadzi do innej, o ogromnej klasie społecznej lokai, subalternów różnego rodzaju, płaszczących się, pokornych, świadomych, że los ich zależy od uśmiechu jaśniepana, tak, znaczna część ludności europejskiej to potomkowie służby domowej. I bądź tu mądry, ustal granicę pomiędzy służeniem honorowym i niehonorowym, kiedy w dodatku nie masz pojęcia o tym, jak układają się i skaczą geny.

Coś tam przecie robiłem w tej ambasadzie przez te parę miesięcy od października do grudnia. Choć zostały tylko resztki po względnym splendorze za ambasadorowania Putramenta, kiedy na attache kulturalnego wziął Dupasa, czyli Jerzego Zagórskiego, bo Wilno, kiedy od kultury i oświaty były też Julia Hartwig i Irena Krońska, kiedy odbywały się liczne przyjęcia dla literackiej elity. Coś z tego podczas wizyty w Paryżu latem 1949 roku zakosztowałem. Miałem nawet wtedy odczyt o Oskarze Miłoszu w Maison de la Pensee, przybudówce francuskiej partii komunistycznej, która starała się, z powodzeniem, monopolizować wszelkie ośrodki odczytów, koncertów, wystaw etc. No i ci luminarze francuskich lettres na tarasie ambasady. Że Aragon nie dziwię się, ale jeżeli Supervielle, to znaczy, że bywać u czerwonych było dla politycznie neutralnych wskazane. Niewiele z tego zostało, bo zresztą strach jakoś się udzielał i miny były smętne, nie do zabaw. Jednakże mimo

258

wstrętu, z jakim odnosili się Polacy „londyńscy” do tej placówki sprzedawczyków, interesy sporej liczby ludzi zmuszały ich do trzymania się klamki. Byli to przede wszystkim malarze i rzeźbiarze, na ogół zagłodzeni, którzy starali się coś uszczknąć, albo jako zasiłki, albo jako nędzne płace za rysunki do gazety propagandowej, wydawanej dla Polonii francuskiej. Gazetę robili głównie Kałużyński i Artur Międzyrzecki, początkujący poeta, obaj później piszący i działający w Polsce. W Paryżu zajmowali się pisaniem tego, co sami uważali za brednie. Artystów starałem się obdzielać, choć fundusze były skromne. Przykro, raz urządziłem herbatkę, przyszli, bo musieli, ale nienawidzili i to czułem. Przykro za ich poniżenia, np. biednej Stryjeńskiej. Niektórzy wracali do Polski i dostawali tam pracownie, na przykład Alina Szapocznikow.

Krońscy w 1949 byli jeszcze w Paryżu, ale zastałem ich już w Warszawie, w ich własnym mieszkaniu, kiedy zjawiłem się tam na Boże Narodzenie 1950 roku. Zachowanie się ich wtedy przypominało zachowanie się Władka Borysowicza w Wilnie po zajęciu miasta przez wojska sowieckie w roku 1940. Głodził się po brzuchu, że niby on, stale bezrobotny i głodomór, ma teraz pracę i brzuch pełny, czyli wyższość ustroju. A Krońscy nic, tylko ciągle mówili o Matce. Matka dba, Matka wszystko daje, dobra Matka, Demokracja Ludowa.

Na moją kadencję przypada sprowadzenie zwłok Pankiewicza z południa Francji, zapoczątkowane wcześniej, i pochowanie ich na jednym z cmentarzy paryskich, nie pamiętam którym. W 1934-35 byłem w małej grupie, zbierającej się niedzielami w Luwrze, żeby słuchać wykładów Pankiewicza, który prowadził nas od obrazu do obrazu. Należeli do tej grupy Józef Czapski, później autor monografii o Pankiewiczu, Kazio i Fela Krancowie, czasem może kompozytor Maciejewski. I ten pogrzeb Pankiewicza, prawie bez ludzi, bo grzebała go warszawska ambasada. Ja i parę osób. W zimnym paryskim deszczu.

Miałem w Paryżu jakieś towarzystwo, właśnie ci cynicy z gazety, a także, co ważne, Nela. W czasie wojny

259

mieszkała głównie na tej wysepce polskich inteligentów w Grenoble, tam obok, w Laffrey, śmierć jej brata Bolka, jej aresztowanie i pobyt w więzieniu Gestapo w Lyonie (szefem był słynny Barbie). Po wojnie rodzina Micińskich starała się balansować między krajem i Francją. Córka wyjechała z matką do Polski i chowała się tam, ale druga siostrzenica Neli, córka jej siostry, znalazła się w Paryżu i tak dalej. W Paryżu, by rzecz prawdę, Nela głodowała, pokój, który wynajmowała, kosztował grosze, ale za to mieścił się w Cite Falguiere, ruderze niemal azjatyckiej.

Mój stan nerwowy w ciągu tych miesięcy był bardzo zły. Zrozumiałem, że moje stanowisko (I sekretarz) było fikcją, i gryzłem się niepokojem o Jankę, która miała rodzić przez cesarskie. W pierwszym rzędzie wpływała na ten stan konieczność ciągłego maskowania się, zupełnie Hamlet otoczony przez szpiegów.

18 IV 1988

Wczoraj druga rocznica śmierci Janki. Byliśmy na cmentarzu, Toni, Peter, i cała rodzina.

Wracam do jesiennego Paryża 1950 roku. Poczucie, że jest się śledzonym, łatwo może wpędzić w rodzaj paranoi. O tym, w jak nędznym byłem stanie, może świadczyć zacieranie się u mnie granicy między jawą i przywidzeniem. Nela w oczekiwaniu na lektorat w Lyonie należała częściowo do

przy-ambasadowego towarzystwa, a więc Krońscy, Julia Hartwig, Kałużyński, niektórzy malarze. Ja natomiast spotykałem się z nią sam na sam w kawiarniach, żeby porozmawiać szczerze i zasięgać jej rady: jechać do Polski, czy nie jechać?

Nela kategorycznie odradzała jazdę, ja utrzymywałem, że nic mi nie zrobią, bo właśnie zostałem akredytowany przez rząd francuski. Wbrew jej radom pojechałem, po to, żeby wydostać się stamtąd ledwo żywy. Wtedy natychmiast spotkałem się z nią w obskurnej kawiarni niedaleko Cite Falguiere i przekonaliśmy się, że jesteśmy śledzeni. Zmieni-

260

liśmy kawiarnię, ukazały się te same postacie, jedna z nich, kobieta w zielonym fezie. Pojechaliśmy na pocztę, żebym mógł zatelefonować do Maisons-Laffitte, to samo. Jak uciążliwy, powtarzany sen. Dzisiaj mniej więcej wiadomo, że nie było to wcale UB, tylko francuska Surete.

21 IV 1988

Na lotnisku w San Francisco, czekając na samolot do Dallas i do Nasłwille.

O mizantropii. O nas mogą powiedzieć: „był mizantropem”, sami nie powiemy: „jestem mizantrop”. A ponieważ mizantropia ma wiele stopni, przyznajemy się do pewnego jej nasilenia, które wymaga trzymania ludzi w niejakiej od nas odległości i źle znosi stałe tarło w masie. Z tego względu Ameryka dla mnie lepsza niż kraje słowiańskie, a mój Niedźwiedzi Szczyt pozwalał przetrwać różne głupkowatości w dole miasta. Prawdziwy mizantrop powinien mieszkać w zamku. Bohater powieści Jules Verne'a Zamek w Karpatach tak właśnie mieszka. Jego zamek, w Siedmiogrodzie, stoi na trudno dostępnej, dzikiej górze, jest otoczony fosą, ale tego jeszcze mało, prąd wysokiego napięcia w drutach poraziłby śmiałka, który chciałby się do wnętrza dostać. Śmiałków zresztą brak, bo przy pomocy elektryczności właściciel powoduje różne niesamowite zjawiska, tak że w dolinie uważają zamek za zamieszkały przez duchy. Mizantrop mieszka sam, ze starym wiernym sługą, czas spędza słuchając (z fonografu) głosu wielkiej śpiewaczki, którą kiedyś kochał, i oglądając jej postać na ekranie (zapowiedź wynalazku telewizji!).

W samolocie.

Nędza ludzkiego gatunku. Fizjologiczna, bo cóż to za absurdałne urządzenie, miłość moczopłciowa i pobyl w brzuchu samicy, ale także nędza wspólnie tworzonych bez ustanku mitów, które nie pozwalają osiągnąć rzeczywistości i zobaczyć, jak to naprawdę było. Te mity składające

261

się na „kulturę”! Ledwie upłynie kilka, kilkanaście lat, już ludzie wysnuwają nici i owijają człowieka, wydarzenia, kokonem na swój użytek.

Czytałem sporo wierszy w paru językach o Osipie Mandelsztamie jako męczenniku za wolność.

Tudzież słuchałem kasyty z polskiego montażu teatralnego na jego cześć. Wszystko to ma mało wspólnego z Mandelsztamem rzeczywistym.

Pytanie: czy przemiana, banalizująca, jest nieunikniona? Czy, im szerszy zasięg, na przykład sławy, tym mniejszej liczbie komplikacji dozwolone jest przetrwać? I jakież jest udział nas, tych już minionych, w zachęcaniu do mitu, to znaczy, jakie nasze cechy temu sprzyjają?

Z płyty słuchałem kiedyś Dziadów w inscenizacji Swi-narskiego. Więc oni tym się entuzjasmują, nie czując, że taki sposób recytacji wiersza jest okropny?

Albo recytacje moich wierszy przez młodych, z gitarą. Zawstydzające. Narzuca się myśl, nieskromna, że polska literatura otrzymuje od czasu do czasu pisarzy różniących się gatunkiem uczuciowości od ogółu i że stąd rośnie nieporozumienie co do wartości estetycznych, ale i wartości innych, czyli mylne przekonanie o wspólnocie upodobań.

Inna myśl, skromna, ale za to przykra. Może w moich wierszach (w wielu, w niektórych, w kilku?) istnieje przyprawa kiczu do takich recytacji zachęcająca? Bo przecie działa też prawo uproszczeń w miarę upływu czasu. Wiersze Tuwima kiedyś, kiedy powstawały, też zdawały się odkrywcze, a ileż z nich dzisiaj jest banałem. Niemniej ja, żywy, dążący, dyskryminujący, takich moich ześlizgnięć się nie pochwalam.

22 IV 1988

Nashville, Tennessee, Vanderbilt Plaża Hotel.

Profesor Donald Davie, Vanderbilt University, odchodzi na emeryturę i wraca do swojej rodzinnej

Anglii, z tej okazji Wydział Anglistyki urządza imprezę pożegna-

262

ną, na której wystąpią Wendell Berry, Helen Vendler i ja. Wczoraj wieczorem Wendell Berry. Niejako spadkobierca poetów-agrariuszy Południa, których Vanderbilt University był twierdzą (Ransom, Tate). Obrońców tradycyjnych wartości, farmerskiej Ameryki, przyrody niszczonej i zatrutowanej przemysłowo. Złośliwość lokalna: „Tak, jego program agrarny da się zastosować, pod warunkiem jednak, że pochodzi się z bogatej rodziny, odziedziczyło się dużą farmę i ma się profesurę na University of Kentucky”. Wczoraj w samolocie przeczytałem jeszcze raz książkę Donalda Davie o mojej poezji i znalazłem wiele trafnych spostrzeżeń, albo przyjemnych dla mnie, albo przykrych. Ważne rozróżnienie pomiędzy „ja” liryki i „ja” dytambu (mój wypadek). Tematem tej sesji jest „Odpowiedzialność poety”. Mój odruch, kiedy słyszę coś takiego: chciałbym powiedzieć, że kiedy bardzo starałem się być odpowiedzialny, okazywałem się najmniej odpowiedzialny. Ale to okazywało się nieprędko.

23 IV 1988

Odbyło się, i nawet wybrnąłem jakoś ze zwykłych grzeczności wobec solenizanta, co obowiązkowo musi być zaprawione humorem. Helen Vendler o czwartej po południu dawała wykład poglądów Keatsa na rolę poety, cytując też dwóch obecnych na sali poetów, Donalda Davie i mój wiersz Biedny poeta. O ósmej wieczorem ceremonia wręczenia Daviemu Festschriftu i moje czytanie wierszy.

Jestem człowiekiem idiosynkrazji i trzeba to wyznać. Tym razem moja idiosynkrazja uczepliła się Wendella Berry. Co prawda inaczej sobie wyobrażałem tego obrońcę rolniczej Ameryki, to jest o wiele pochlebniej, jako farmera właśnie, ale nie bogacza, a przy tym jako trochę hippisa. Nic z tego, czyli moje rozczarowanie może być częściowo odpowiedzialne. Wszelkie cechy Amerykanina z wyższej klasy średniej, nawet cera, jej specyficzna róż-

263

wość, i to pewne siebie poruszanie się po świecie dobrze sytuowanego WASP-a. Plus, oczywiście, „liberalizm”, czyli, jako znak rozpoznawczy, nienawiść do Reagana. Czytał wiersz przeciwko Reaganowi, entuzjazm sali. Dla mnie tacy jak on pachną faryzeizmem, niby Roosevelt. Moja idiosynkrazja ma jakby tło klasowe. Nie znośm Eleanor Roosevelt, fizycznie też.

W „Durham Poetry” przeczytałem rozprawkę Donalda Davie o poezji Herberta. Kot Jeleński ma rację: dziś literatura polska jest już jednak literaturą światową. Davie angielską wrażliwość na ironiczną poezję Herberta tłumaczy spadkiem Anglii po wojnie na niskie miejsce wobec Ameryki, niby Polski wobec Rosji, i zapotrzebowanie z tego powodu na ironię (?).

Na wczorajszym czytaniu entuzjastyczna grupa młodych Polaków. Ci przybysze z lat osiemdziesiątych są wszędzie.

Moja mizantropia nie może nie być łagodzona w Ameryce przez niesłychane, niespodziewane, zdumiewające odkrycie: że mogę komunikować się z publicznością poprzez wiersze czytane w przekładzie. Przeciwnie zachodniej Europie to mam: brak instytucji publicznego czytania wierszy. Tutaj, jak wczoraj w Nasłmle, nie tylko profesorowie i studenci, ściągają także czytelnicy poezji spoza kampusu.

Niedawno dostałem od nauczycielki angielskiego w szkole średniej wypracowania jej uczniów, które napisali o moim wieczorze autorskim w University of Southern Illinois. Zabrała na to czytanie swoją klasę. Ich uwagi były bystre, świeże, ubawiły mnie i wzruszyły. Nigdy nie widzieli poety-laureata Nobla. Oczekiwali kogoś w rodzaju Edgara Allana Poe (!) i zdziwili się, że taki zwyczajny człowiek, z poczuciem humoru i rozmowny. A też że mogli zrozumieć wiersze, choć poezja to na ogół coś niezrozumiałego.

264

25 IV 1988

W samolocie z New Yorku do San Francisco.

Zmęczony bardziej z powodu wypitego alkoholu niż pracą. Choć czytanie po polsku i po angielsku w Cornell Club na rzecz Polskiego Instytutu Naukowego kosztowało mnie sporo energii, tak że później chwiałem się na nogach. Tym razem siedziałem później i gadałem z różnymi ludźmi, udało

mi się więc naprawić złe wrażenie, które zostawiłem kilka lat temu, wychodząc natychmiast po wieczorze, co wyglądało na manifestacyjną arogancję primadonny, choć naprawdę miało powody. Nie tylko Instytut, także sesja o Gombrowiczu w New York University pod auspicjami Amerykańskiego PEN. Sala pełna. Susan Sontag i John Simon czytają fragmenty z Ferdynanda i Dziennika. Następnie o Gombrowiczu: John Simon, Susan, Janusz Głowacki i ja. Potem obiad w literackim gronie. Leon Wieseltier, redaktor „The New Republic”, dołącza się. Dowiaduję się od niego, że jest wielbicielem tomu The Noble Traveller Oskara Miłosza i czytał go parę razy. Być na dole - być na górze. Nasza ambicja powinna być nasycona, jest to zdrowe i normalne, jeżeli nie traci się przy tym dystansu do siebie. Trochę sobie wyrzucam brak odwagi, zadawnioną skromność, tak że nie umiem sięgać i brać, wyrobić w sobie pewności, że mi się należy. (Jedną z czasów do czasu próbuję odtworzyć stany mojej dawnej niepewności siebie i onieśmielenia. Co jest niepokojące?)

27 IV 1988

W samolocie San Francisco-Boise, Idaho.

Zabrnąłem na różne niespodziewane obszary, choć przygotowywałem się do jednego tylko powołania. Mieć silne „Metafizyczne Poczucie Dziwności Istnienia” u mnie

265

znaczyło: „dziwność istnienia ludzkiego społeczeństwa”, czyli cywilizacji, czy jak to nazwiemy. Niech podzieli całą moją twórczość na taką, w której próbowałem to poczucie wyrazić, i inną, zachowując tylko tę pierwszą: to byłoby po mojej myśli. Choć z tej innej też sporo dałoby się uratować, znajdując to samo pod inną powierzchnią.

Tylko że tak mało udawało się wyrazić, nie więcej niż błyski tu i ówdzie.

Zmieniająca się perspektywa lat, na pewno. Ale także stałe elementy. Przede wszystkim zlepienie tej całej ludzkiej struktury z poszczególnych istnień jak najbardziej zwierzęcych zdumiewało mnie już we wczesnej młodości. Instytucje, w których ujawnia się to najwyraźniej: publiczne pisuary, burdele, cmentarze. Rzekłbym, że hipokryzja kobiet ma swoją przyczynę w większym niż u mężczyzn kontraście pomiędzy częścią zwierzęcą i maską na użytek otoczenia. Wspaniała dziewczyna przystraja się i maluje się w lustrze, żeby wystąpić zdobywczo, kierując ku sobie pożądliwe oczy mężczyzn, ale przed chwilą siedziała na sedesie i pamięta, że stolec nie był zadowolający, jest też świadoma zaczynającej się właśnie menstruacji i używa tamponu. Daje to razem jakby stałe nieczyste sumienie: że tak dużo się gra, udaje. Co chyba może zachęcać do innych gier, hipokryzji czysto użytkowej.

28 IV 1988

Na lotnisku w Pendleton, Oregon.

Tak daleko nigdy nie byłem, to znaczy daleko od wszystkiego. La Grande, Oregon, ma 11 tysięcy mieszkańców, college i szczyci się tym, że ma elevator operator, to znaczy windziarza, jedyne w promieniu 500 mil. Ten jedyny wysoki budynek ma siedem pięter. Obszar tedy niemal wielkości Polski, o zaludnieniu sześciu mieszkańców na milę kwadratową. Góry, lasy (państwowe), pustkowia. Nazwę La Grande nadali francuscy traperzy z Que-becu. W college'u nigdy nie oglądano żywego laureata

266

X

Nobla. Na wieczór przyjechali też z sąsiedztwa, to jest z miejsc odległych o dwieście mil, ale głównie profesorowie i młodzież. Gościnność George'a Venna, poety, który upodobał sobie krainę bez zanieczyszczeń środowiska, uczy w college'u, pisze, ma dom wiejski, skąd dojazd do „miasta” bez kłopotów z ruchem samochodowym. W drodze do Pendleton las, las, rezerwat indiański, w Pendleton oglądam fabrykę welen i stadion dla dorocznego jesiennego rodeo. Kraj owiec, kowbojów. Indian. I grzybów. Zazdroszczę rydzów i borowików. Teraz na wiosnę zbierają smardze. W małym samolociku śmigłowym, który leci do Pasco i Portland. Nad zielonymi kwadratami przeplatającymi się z żółcizną gruntów nieuprawnych. Rolnictwo suchej strefy: grunt zostawia się ugorom przez rok, żeby zebrał wilgoć, wtedy sieje się pszenicę i znów ugor przez rok. Przelatujemy

nad Columbia River.

Moja wielka radość z powodu przeczytania w numerze 22 „Zeszytów Literackich” nowych wierszy Barańczaka. Znakomite. Nareszcie skończyła się faza pośrednia, jego linienie, wąż zostawił starą skórę (polskich udręk) za sobą.

29 IV 1988

Na lotnisku w Portland, czekając na samolot powrotny.

Ulga, że nużące półtora dnia już minęło. Wczoraj myślałem, że padnę. Jazda do Corvallis, w deszczu, około dwóch godzin. Robienie min do profesorów zbierających się zapoznawczo w wydziale anglistyki. Odpoczynek w motelu, na szczęście, ale za mało. Wieczór poetycki trudny, sala niezbyt dostosowana, brak bezpośredniego kontaktu. Potem na drinkach z wykładowcami. Następnego dnia, czyli dzisiaj rano, znów jazda z Corvallis do Portland. Przygotowuję siedząc na kampusie nowy program i występ od dwunastej do pierwszej; bardzo udany, bezpośredni kontakt. Lunch w restauracji w niedużym gronie i odwożą, na lotnisko.

267

malowali na Lazurowym Wybrzeżu. „Nie miecz, nie tarcz są bronią narodu/Lecz arcydzieła” (Norwid). I dziwić się, że w Polsce mało arcydzieł?

Piłsudski, uzasadniając swój wybór drogi rewolucjonisty, powiedział: „Nie mogłem żyć w wychodku”. A jak kto pisał, to też tylko w proteście, jak Żeromski. Oczywiście, zawsze o tym wiedziałem, ale też uświadomiłem to sobie inaczej, bez lęku przed złamaniem patriotycznego tabu. Próbowałem złamać tabu, ale zawsze z nieczystym sumieniem. Teraz ukazuje mi się przeciwieństwo pomiędzy „etosem rycerskim” i sztuką, zawsze wymagającą bezinteresownej kontemplacji.

Spółczesność. Ilość odmian obyczaju, kultu, indoktrynacji młodych wydaje się prawie nieograniczona. Wyobraźnia zdolna jest podsunąć nam tylko niektóre z nich. Świadectwa misjonarzy hiszpańskich, kiedy znaleźli się na terytoriach dzisiejszej Arizony i Kalifornii, napotykać tam ludność „dziką”, który to epitet wbrew legendzie o szlachetnym dzikusie dość dobrze oddaje obrzydzenie białych: zupełna nagość, smród, załatwianie potrzeb fizjologicznych na oczach wszystkich, odruchowe niemal złodziejstwo. I tak dalej.

Słynne, zorganizowane przez cwanych antropologów, „odkrycie” plemienia ludzi jaskiniowych na Filipinach, rzekomo nigdy nie mającego styczności z cywilizacją, miało urzeczywistniać marzenia człowieka o sobie: łagodni, czuli, kochający dzieci, pogodni, bez gwałtu i wojen. Niewątpliwie, antropologia nas nauczyła szukać nieprawdopodobnej złożoności każdego „prymitywnego” społeczeństwa. Na ile jednak unosił się nad jej raportami i dostarczał im bodźców mit o przyrodzonej dobroci zepsutej przez cywilizację? Czytając antropologiczną książkę o afrykańskich Pigmejach miałem takie podejrzenia.

Mała dostępność dla nas społeczeństw dawnych. To, do którego należałem, też wkrótce zmieni się w nieodtworzalne. Nawet pan Jerzy Stempowski, nad którego biografią nieraz rozmyślam. Nie tylko tak zwany kawaler od zawsze, ale nigdy w jego pobliżu żadnej kobiety. Był to model

270

pełnego wycofania się dżentelmena-szkolarza poza krąg, w którym dzieją się sprawy śmiertelnych, jakby seks był poniżej wymagań dobrego smaku, podobnie jak najzupełniej pomijana przez niego religia czy obce temu przysięgłemu emigrantowi nowoczesne pojęcie ojczyzny. Co prawda, już dla mnie przybywał skądinąd, z epoki sprzed I wojny.

6 V 1988

Półtora dnia w Nowym Jorku, w Hotelu Algonquin. W poniedziałek (2 V) wieczorem przyjechaliśmy z rzeczami do Manhattan Theatre Club, gdzie odbył się wieczór poezji polskiej, czytanej, głównie po angielsku, przez Piotra Sommera, Stanisława Barańczaka i mnie. Teksty innych poetów przez nas czytane: Białoszewski, Krynicki, Herbert, Szymborska, Świrszczyńska. O 11 w nocy odlot prywatnym odrzutowcem Mrs. Ann Getty do Lizbony. W gronie gości znajomi. Pierwszy raz prowincjusz wileński leciał takim wehikułem, którego wnętrze (drewniane boazerie, mosiądz) urządzone w dobrym smaku miliardów. Konferencja pisarzy w Lizbonie pod patronatem The Wheatland Foundation Getty.

9 V 1988

Grupa środkowoeuropejska: Adam Zagajewski, Jan Błoński, Jan Józef Szczepański, Krzysztof Michalski, Czesław Miłosz, Georgy Konrad, Daniłó Kiś, Esterhazy (powieściopisarz), Lalić (poeta), Veno Taufer (poeta), Josef Škvorecki. Hrabal i Klima nie dostali paszportów. Grupa rosyjska, sowiecka i emigrancka: Anienski (krytyk), Josif Brodski, Anatolij Kim, Tatiana Tołstoj, Dow-łatow (z Nowego Jorku), Matewosian (z Armenii), Zinik (/ Londynu).

Zdumiewające zasiadanie razem pisarzy sowieckich i emigranckich, po raz drugi, po raz pierwszy na konlrcn-

271

cji też The Wheatland Foundation w Waszyngtonie rok temu. Niby ta nasza sesja polskich poetów krajowych i emigracyjnych w Paryżu, w którym roku? Chyba w 1967: Iwaszkiewicz, Przyboś, Międzyrzecki, z emigracji Wierzyński, ja, Brzękowski. Tamta też jednak była zapowiedzią powolnych zmian. Bardziej jeszcze zdumiewające zderzenie Rosjan ze Środkową Europą, której nazwę usłyszeli po raz pierwszy. I ich nie ukrywane przerażenie wobec wrogości środkowo-Europejczyków, trudnej do przyjęcia, bo przecież Rosjan wychowuje się od dziecka w przekonaniu, że są przez wszystkich podziwiani i kochani. Wymiana, zwłaszcza z Węgrami (Georgy Konrad: „Wyzwoliliście nas, ale to było czterdzieści trzy lata temu. Zabierzcie wreszcie wasze czołgi! To trwa za długo!"), dowodzi zupełnego braku zrozumienia i obcych wzajemnie sobie pojęć. Nie uświadamiają sobie, do jakiego stopnia ich myślenie jest imperialne czy, jak rzuca z sali Rushdie, kolonialne. Josif Brodski próbuje ich bronić, atakując pojęcie Europy Środkowej. Kolega z Polski w rozmowie ze mną: „Było mi aż przykro. Oni bledli, skręcali się. A jaka w tym sytuacja nie-Rosjan wśród nich? Bo co im do tego, sami jak my". Warto było przyjechać do Lizbony, żeby być świadkiem takiej konfrontacji, niemożliwej jeszcze parę lat temu.

12 V 1988

Hotel UAiglon, Mentona.

Nela pyta mnie o wspólnie poznanych ludzi i sytuacje z Bukaresztu, Paryża, Brie, Montgeron. Odpowiadam stale: „Nie pamiętam". Pamięć moja najzupełniej selektywna i powstaje pytanie, czy zapomina się na zawsze, czy też jakieś komórki przechowują ludzi, nazwiska, tak że trzeba tylko te pokłady obudzić. Na przykład długo nie mogłem sobie przypomnieć nazwy ulicy z jesieni 1950 roku i nagle wyskoczyła: „rue Dumont d'Urville". Co, zaiste, jest problemem i biologicznym czy psychologicznym, i teologicznym (Sąd Ostateczny). Do Mentony nie mamy szczęścia.

272

Pochmurno. Deszcz. Ale tak samo w Lizbonie i tak samo według komunikatów meteo w Paryżu. Dokładnie jak rok temu: maj w Europie.

Starcie się dwóch stołów (panels) w Lizbonie, środkowoeuropejskiego i rosyjskiego, należycie odnotowane w „New York Times", zasługuje na uwagę, jako pierwsza tego rodzaju konfrontacja od końca II wojny światowej. Z pojęciem Europy Środkowej goście z Moskwy zetknęli się po raz pierwszy, co tłumaczy ich gniew i bezradność. „Znamy Polskę, Węgry, Czechosłowację i literatury tych krajów - mówili - ale co to za Europa Środkowa?" Takie samo było stanowisko emigranta Josifa Brodskiego, nie nowe zresztą, bo znane od czasu jego polemiki z Milanem Kunderą. Na co jego przyjaciel i też laureat Nobla, Miłosz, całkowicie solidarny ze swoimi kolegami węgierskimi, jugosłowiańskimi, czeskimi i polskimi, odparł, że pora by już było skończyć z tabu literatury rosyjskiej, ile razy mowa o granicach Imperium, i że słowa Imperium w zastosowaniu do Związku użył po raz pierwszy właśnie Josif Brodski w swojej poezji.

Przykre zdziwienie Rosjan wskazuje na newralgiczne punkty, kryjące się w ujmowaniu krajów im podległych jako zespołu czy sojuszu. Warto prześledzić, jak doszło do samego pojawienia się nazwy „Europa Środkowa" mniej więcej dziesięć lat temu i względnych jej sukcesów w prasie różnych języków. Gdyby nazwa ta nie była odczuwana jako uprawniona, w każdym razie przez pewne środowiska literackie, organizatorzy zjazdu pisarzy w Lizbonie nie utworzyliby osobnej sesji pod tym wezwaniem.

15 V 1988, Mentona, Hotel L'Aiglon

W 1945 roku, w Krakowie, przeżywałem koniec Europy. Nawet dziwię się, że ta ostra świadomość

końca tak niedostatecznie została zarejestrowana, przeze mnie czy przez innych. W każdym razie gdyby ktoś powiedział mi, że wszystko zacznie się dać, przynajmniej w zachodniej

27.1  
części europejskiego półwyspu, nie uwierzyłbym. Zresztą mieszkańcy tej zachodniej części też nie wierzyli i objęcie władzy przez komunistów zdawało się kwestią miesięcy.

Ci, którzy czekali wybuchu wojny (np. emigracja londyńska), mogli łatwo znajdować paliwo do podtrzymywania swojej gorączki. Mimo to Ameryka zaczęła uparcie wcielać w życie plan Marshalla, czyli ratować zachodnią Europę. Kiedy Stalin posiadał w 1949 roku bombę atomową i zaraz zrobił wojnę w Korei, ponownie toczyły się światem prądy lęku, jeżeli nie wręcz paniki. Zrozumiała tedy była niechęć Janki do towarzyszenia mnie, kiedy wyjeżdżałem z Ameryki w październiku 1950 roku.

Podobno Antoni Słonimski, zawstydzony najmniej chlubnym postępkiem swojej literackiej kariery, atakiem na mnie po mojej ucieczce, usprawiedliwiał się tym, że okazałem swoją podłość, bo poszedłem sobie po podjęciu pensji w Paryżu 1 lutego 1951 roku. Tak mu powiedziano. Wróg powinien też być złodziejem. Nie odpowiadało to prawdzie. Zamiast zgłosić się w ambasadzie, udawałem chorobę i wyładowałem w Maisons-Laffitte, w „Kulturze”.

„Kultura” wtedy dopiero niedawno przeniosła się do Francji z Rzymu i bytowała niemal wojennie w na wpół zrujnowanym domu przy avenue Corneille, w dzielnicy wielkich parków, dla mnie wyjątkowo ponurych, jak zresztą wszystko owej jesieni i zimy. Zapowiadając telefonicznie swój przyjazd, nie wiedziałem, co zastanę, coś niecoś jednak wnioskowałem o paryskich układach z listów Krońskiego.

Oboje Krońscy znaleźli się w Paryżu po niemieckich obozach (znakomity niemiecki ich uratował) i początkowo urządzali się po stronie „londyńskiej”. W pierwszym paryskim wydaniu „Kultury” ukazał się jego artykuł o egzystencjalizmie, co później wpędzało go w ataki strachu. Wkrótce jednak przeszli na stronę ambasady PRL („Faszyści za mało płacą” - pisał do mnie).

Ta nazwa, „faszyści”, była nie tylko przykładem humoru Krońskiego, bo napiętnowani nią byli w Paryżu wszyscy przeciwnicy komunizmu, a więc całe polskie wojsko na Zachodzie i nowi emigranci ze Wschodu. Złożoność moich

274

uczuć, to jest groza wobec tego, co w Polsce się działo, razem z niechęcią do przegrywających, nie ułatwiała moich rozmów w kuchni przy avenue Corneille, gdzie przykryty ceratą stół służył do posiłków falansteru i do przeglądania rannej poczty. Było to dla mnie zejście na dno, po prostu dlatego tylko, że nie miałem dokąd pójść. Urażona ambicja mogła w znacznym stopniu przesądzać o moich niegrzecznościach wobec gospodarzy i wściekłych sarkastycznych na nich napaściach. Znaczny udział w moich sporach z nimi miały prowokacje, udawanie głupiego, żeby drażnić „reakcjonistów”. Nasze mentalności były sobie obce również z powodu zakonserwowania Giedroycia, ale też Zosi i Zygmunta Hertzów, w fazie Polski przedwojennej, z czego dopiero stopniowo mieli się wyłamywać, i myślę, że konfrontacja z osobnikiem wyjątkowo przykrym ale inteligentnym wpłynęła jakoś na kierunek przez „Kulturę” obrany. Przede wszystkim jeżeli chodziło o literaturę. Decyzja Giedroycia, żeby wydać tom Gombrowicza zawierający Ślub i Trans-Atlantyk moje zjawienie się poprzedziła, ale o nawykach daje pojęcie gniewny choć cichy opór Zygmunta i jego krzyki (kiedy nie słyszał Giedroyc). Jakaż odległość pomiędzy tym, czym Zygmunt wtedy był i czym stał się później!

Gdyby „Kultura” nie wykazała ogromnej zdolności do ewolucji, pozostałaby tym, czym było środowisko londyńskie, i nie wywarłaby wpływu na przemiany umysłowe w Polsce. Cechami Giedroycia były nie tylko zdumiewający upór, również zupełna niezależność i przekora, chroniąca go od jakichkolwiek konformizmów. W tym względzie zaczęcie działalności wydawniczej we Francji od dwóch autorów potępionych: Gombrowicz (błazen, megaloman) i Miłosz (czerwony) miało niemal symboliczne znaczenie.

16 V 1988, Paryż, nie de Rennes

Żaloszny, cierpiący na nerwową świerzbiączkę, tak że drapałem się do krwi, siedziałem w pokoju bibliotecznym,



275

ciemnym od dymu moich papierosów i karmionego węglowymi brykietami piecyka. Przez pierwsze miesiące moje miejsce pobytu było tajemnicą, po prostu zniknąłem, ale nawet kiedy wybierałem się do centrum miasteczka, Zygmunt mnie nie odstępował, jako że próby porwania nie należało wykluczać.

Paryż, miasto światłości, miasto poezji, malarstwa, teatrów, architektury przybierającej coraz to nowe barwy „pod ciosami słońca”. Niestety, wiedzieć o nim wiele znaczy wiedzieć za dużo o prawach społeczności ludzkiej. Wymieniam nazwiska w nim sławne i porównuję ich dzisiejszych z tym, czym byli, co głosili w 1951 roku. Czy rumienią się? Nie myślę. Nurt ich niósł.

20 V 1988, rue de Rennes

Który to już z rzędu mój Paryż. Nie ma innego miasta, które by tak jak to, stałe, spotykało mnie zmiennego, w mojej młodości, w wieku dojrzałym, w starości teraz. Bo przecież KYjlnio i Warszawaprzystały być tym, czym były, to już miasta inne. /A tutajle^samo ulice, te saflie stacje metra, te same kawiarnie, tylko ja za każdym razem widzący to wszystko inaczej. Mieszkam niedaleko Instytutu Katolickiego przy rue d'Assas i Alliance Francaise przy Raspail, czyli mój rok 193435. I czy umiałbym odtworzyć siebie tamtego, kim byłem, jak przerabiałem wtedy dane pięciu zmysłów? Pisane wtedy Bramy Arsenалу są mi dostępne z zewnątrz tylko, jako twór skończony, oderwany ode mnie. I Paryż ze względu na swoją stałość jest zawsze dla mnie przedmiotem kontemplacji przez kontrast pomiędzy swoją dobrze osiadłą formą i potokiem żywotów ludzkich, kruchych, nietrwałych, poddanych czasowi, tak że pędzą, przemijają, giną, a potok pędzi dalej. Te studentki w kawiarniach przy bulwarze St. Michel wtedy! Teraz gdzie są, siedemdziesięcioletnie? A najbardziej godne zastanowienia to: że rzeczywistość ukazująca się naszym oczom jest coraz to inna i że zmienia się

276

zależnie od naszej fazy, a zarazem jest inna dla każdego oczu w tym ludzkim potoku i też podlega zmianom przeżywanego chwili. Razem niezliczona ilość Paryżów, rzekłbym klątek filmowych, gdyby nie to, że każdy smak, barwa, zapach, stan ekstazy albo przygnębienia są niepowtarzalne, czyli zdjęcia nie są dostatecznie celną przenośnią. I pytanie: gdzie jest prawda obiektywna tej rzeczywistości, jeżeli mieni się ona, ta rzeczywistość, miriadami subiektywnych odcieni? Boski wzrok co widzi? Czy ten magazyn subiektywnych stanów, czy także jakiś substrat, jakieś „jak to jest naprawdę”?

Wypada rozróżnić mikrozmiany i makrozmiany. W kontemplowaniu Paryża jako ludzkiego miasta w stanie, by tak rzec, czystym, przeszkadzała mi kiedyś jego egzotyka, dla mnie, przybysza z odległej europejskiej prowincji. Żeby przyjąć jego obyczaje jako naturalne, tak że się nawet ich nie dostrzega, należałoby być Francuzem, to znaczy otrzymać zaprawę w takich a nie innych intonacjach mowy i sposobach reagowania, czego młodym francuskim pokoleniom dostarcza szkoła. Nie będąc Francuzem miałem zamknięty dostęp do niektórych misteriów, na przykład kulinarnych. Wiele też było dla mnie, dzikusa, powodów do onieśmienia. Stopniowo jednak brało górę melancholijne poczucie wspólnoty i jedna szczególna odmiana, francuska, już nie przesłaniała ogólnych żalonych cech ludzkiego gatunku, dla zamyślonego obserwatora przynajmniej, bo cudzoziemiec do środka francuskiego społeczeństwa nie potrafi przeniknąć.

Najgruntowniejsza jednak zmiana dokonała się, kiedy przenieśliem się do Ameryki i zacząłem odwiedzać Paryż już jako podróżny. Przedtem Paryż był dla mnie bądź co bądź jakimś przesłoniętym chmurami szczytem, na który musiałem się wspiąć, niby bohaterowie Balzaka przybywający z prowincji na podbój stolicy. W teorii - bo w praktyce uniemożliwiała to polityczna wrogość wobec emigranta. Tym niemniej Prix Litteraire Europeen w 1953 roku otworzyła drzwi niektórym redakcji, ale wtedy niemal programowo psulem swoje szanse woląc pisać Dolineę l.s.sy.

277

Tak czy owak napięcia i niepokoje mego ubóstwa przeszkadzały wtedy w myśleniu bezinteresownym. Jako podróżny mogłem już oglądać nurt miasta bez troski o to, co będę jeść jutro.

21 V 1988, rue de Rennes

Na przykład Paryż 1951 roku. Ile razy jadę do miasta z lotniska Orly, czekam aż taksówka minie Porte d'Orleans i wjedzie na avenue du General Leclerc, a tam chwytam w przelocie dom (to chyba ten?), w którym piękne mieszkanie wynajmowali Mac i Sheba Goodman. Mac pracował w wydziale ekonomicznym ambasady amerykańskiej, był tam od nafty. Przy ówczesnym kursie dolara jego uposażenie równało się mnóstwu pieniędzy. Sheba zajmowała się przez czas pewien paryską sekcją International Rescue Committee, która to instytucja powstała w New Yorku, żeby nieść pomoc uchodźcom z Hiszpanii po wojnie domowej, a następnie opiekowała się uchodźcami z różnych krajów. Oboje pochodzili z Nowego Jorku, gdzie w młodości trochę komunizowali, i opowiadali mi ze śmiechem o swoim pobycie na wakacyjnym obozie marksistów, gdzie panował duch dziarski, pozytywny i postępowy, a dzień zaczynał się od radosnego wezwania przez megafony do rannej gimnastyki: „Good morning every-body / It's time for exer-cise, \ Wkrótce im się odechciało, ale wynieśli ze swoich doświadczeń zainteresowanie dla następstw rosyjskiej rewolucji (uważni czytelnicy Koestlera i Orwella) oraz sympatię dla uchodźców ze Wschodu. Nota bene Janka też była około 1930 na podobnym marksistowskim obozie w Polsce, co nie bez znaczenia, bo kiedy ją poznałem, coś jednak ją różniło od polskiej młodej inteligencji, na ogół pravicowej.

Mac na uniwersytecie studiował fizykę, która mu się przydała. Pochodząc z niezbyt zamożnych rodzin imigrantów żydowskich, ubodzy w młodości, po raz pierwszy w Paryżu zakosztowali bogactwa dzięki jego posiadaniu i umieli nim się cieszyć. Mieszkanie było urządzone na-

278

prawdę luksusowo, z barem, za którym Mac lubił celebrować. Dom ich był otwarty, ciepły, przyjazny gościom, odbywały się tam często przyjęcia i obiady. I w pewnym sensie ten dom był moją paryską ostoją. Nigdy nie zapomniałem Goodmanom ich serdeczności i zaufania - bo przecież stawiali na mnie wbrew wszelkim obmowom, a tych obmów nie tylko ze strony czerwonych było sporo, chociażby w wydziale politycznym ambasady amerykańskiej, z którym zresztą Mac nic nie miał wspólnego. Pracowała tam pewna pani rosyjskiego pochodzenia, której doradcą do spraw komunistycznych stał się Ryszard Wraga. Przed wojną Wraga (prawdziwe nazwisko Nie-zbrzycki) był szefem polskiej Dwójki na Rosję. Stanisław Vincenz pamiętał go jako młodego porucznika, ślepo oddanego Piłsudskiemu. Może to nie dosyć, żeby być inteligentnym kierownikiem wywiadu, i jeżeli wolno sądzić na podstawie jego działań w Paryżu, polski wywiad niewiele z tego, co działo się za wschodnią granicą, rozumiał. Wraga •cierpiał na ostrą espionitis, to znaczy wszystko kojarzyło mu się z działalnością szpiegów i agentów, czyli padł ofiarą swego zawodu, który wpędził go w rodzaj kręcka, co zresztą wskazuje, jak niebezpieczny jest zawód łapsa. Co do mojej osoby, to był święcie przekonany, że jestem wyjątkowo niebezpiecznym agentem, który niby to „wybrał wolność”, a naprawdę pracuje dla swoich wschodnich mocodawców. A ponieważ gościny udzieliła mi „Kultura”, Giedroyc był według niego „obiektywnie” winien działalności agenturalnej. W tym duchu Wraga ogłaszał po polsku artykuły, które były właściwie donosami, po czym te i inne donosy podsuwał swojej rosyjskiej przyjaciółce (z którą później się ożenił). Kiedy ukazał się Zniewolony umysł, nie potrzeba już było dowodu: taką książkę mógł napisać tylko agent.

Mac i Sheba, choć nie znali polskiego, czyli nie istniałem dla nich jako poeta, odnosili się z przyjaznym zrozumieniem do moich cierpień i do wysiłków Janki w Ameryce, żeby dostać dla mnie wizę, co, jak wynika z mojej kartoteki w ambasadzie amerykańskiej, było nie-

279

wykonalne. U Goodmanów poznałem mnóstwo Amerykanów, często o malowniczych biografiami międzynarodowych eks-komunistów, jak na przykład Bertram Wolfe, autor monumentalnych dzieł historycznych o Leninie, Trockim i Stalinie, bywali też cudzoziemcy, jak hinduski pisarz i filozof Raja Rao, z którym wiele lat później spotkałem się na University of Texas. Czy bywali u nich też Francuzi? Rzadko.

Przyjaźń z Goodmanami trwała dalej po przyjeździe Janki z dziećmi, kiedy mieszkaliśmy w Brie-Comte-Robert, i zjawienie się długiego samochodu Goodmanów było witane przez Toniego i Piotrusia jako radosne, choć dość częste, święto rodzinne, bo przecież innej rodziny nie mieliśmy. Raz spędziliśmy razem wakacje, w roku bodaj 1955, w dolinie Aosty, pod masywem Gran Paradiso,

tam gdzie dawne tereny królewskich polowań zamieniono w park narodowy. W naszych stosunkach z nimi musieliśmy jednak przestrzegać pewnych zasad dyplomacji, a to z powodu Hanny, która była straszliwie zazdrosna i nienawidziła Sheby, tak że należało unikać spotkania wrogich obozów. Hannah była osobą kultury niemieckiej, pochodziła z Czech, kiedy to stanowiły część monarchii habsburskiej, osiedliła się we Francji i zdołała wraz z mężem przeżyć wojnę na fermie w Dordogne, ale mówiła płynnie po angielsku. Powodów jej nienawiści do Sheby nigdy nie zdołałem rozwikłać, bo przecież ona to, jak się zdaje, wypchnęła Shebę z International Rescue Committee w Paryżu, a dobroć i trochę owcza łagodność Sheby nie mogły chyba dawać okazji do wybuchów wścieklej pasji. W przeciwieństwie do Goodmanów, którzy zaakceptowali mnie od razu, moja znajomość z Hanną, w Committee, gdzie zjawilem się jako petent, zaczęła się źle. Nie robiłem, jak mi opowiedziała później, dobrego wrażenia, byłem ponury, skrupowany, skryty i jakby gotów dostarczać materiałów do podejrzeń. Dopiero stopniowo, po przyjeździe rodziny, nieufność Hanny zmieniła się w miłość do nas, przede wszystkim do dzieci, ale miłość fanatyczną w swojej wyłączności.

280

22 V 1988, rue de Rennes

Mac i Sheba śledzili nowości wydawnicze i orientowali się w literackich nazwiskach, ale nasze rozmowy były niezbyt intelektualne. Mac uważał się za poetę, któremu przeszkodziła konieczność zarabkowania, czyli był jednym z pisarzy we własnym wyobrażeniu, których ilość w naszym stuleciu coraz to rośnie. O swej twórczości mówił nieco pompatycznie, a ja wiedząc, że z takich górnolotnych marzeń zwykle niewiele wynika, najczęściej taktownie milczałem. Parę wierszy mu się udało i bodaj jeden tłumaczyłem na polski, co bardzo pogłaskało jego dumę. Lata całe w wolnych od biura chwilach pracował nad (jeszcze jednym) przekładem *Le cimetiere marin* Pawła Valery.

Natomiast Hannah miała rzadką łączliwość na wszelką aktualność, w literaturze, polityce, sztuce, filmie, teatrze, na książki w trzech językach, na plotki i ludzkie życiorysy. Jej przyjazdy do Brie prawie co niedziela, zapas uzbierany w ciągu tygodnia wyładowywały w nieustannym palawerze ze mną, aż od naszego jazgotania Jankę bolała głowa. O Hannie i kręgu jej przyjaciół opowiem później.

Dalej więc rok 1951, a oto i 1952. W wielkim skrócie muszę przedstawić Jeanne Hersch. Karl Jaspers, kiedy wykładał w Heidelbergu, miał dwie najzdolniejsze uczennice. Jedną z nich była Hannah Arendt, drugą Jeanne. Arendt wyemigrowała do Ameryki i tam zyskała rozgłos. Jej koleżanka nie musiała emigrować z Europy, bo była Szwajcarką, ale jej język, francuski, nieco ograniczał zakres jej działania. Ojciec Jeanne, Liebman Hersch, pochodził z Wilna, był tam działaczem Bundu i musiał uciekać, bodaj w 1908 roku, z państwa carów. Polityczny emigrant w Genewie, pracowity i wytrwały, został profesorem statystyki na Uniwersytecie Genewskim. Matka Jeanne była lekarką. W domu mówiono po polsku, siad u Jeanne pewna, niezbyt doskonała, znajomość tego języka.

2KI

Przyjaźniła się z Józefem Czapskim i tak ją poznałem. Teraz kłopot, bo jak paroma kreskami narysować osobę z lekka niesamowitą? Umysł do rdzenia (i od dziecka) filozoficzny, skłonny, może aż nadmiernie, do rozróżnień, precyzyjnych *distinguo*. Miłość prawdy i umiejętność natychmiastowego wytropienia fałszu, ale także rozpoznania zasłon dymnych, za które chronią się niekiedy filozofowie (nie znosiła Heideggera). Była prostolinijna, ostra, fanatyczna, niezdolna do dyplomatycznych taktów i kompromisów, toteż bali się jej uczestnicy zjazdów i naukowych konferencji, w większości przecie mężczyźni, a zdarzało mi się być świadkiem, jak burzyła ich wywody jednym sztychem.

Zdaje się, że była znakomitym pedagogiem, najpierw w szkole średniej, *Ecole Internationale de Geneve*, następnie jako profesor filozofii Uniwersytetu Genewskiego. Przez pewien czas kierowała też sekcją filozoficzną UNESCO. I oprócz swoich własnych książek, wierna mistrzowi swojej młodości, lata całe tłumaczyła na francuski dzieła Jaspersa. Dzięki niej złożyłem wizytę Jaspersowi w Bazylei na krótko przed jego śmiercią; napisał przedmowę do niemieckiego wydania

Zniewolonego umysłu. Zapoznała mnie też w Paryżu z Hanną Arendt.

Jej niesamowitość: bo trudno dzisiaj znaleźć osobę, która by była tak jak ona zżerana przez pasję moralną. Z rodu proroków. „Córa pustyni”, jak wyraził się o niej nasz wspólny przyjaciel Stanisław Vincenz. Jej socjalizm, wyniesiony z domu i utwalony przez przynależność do genewskiej Partii Socjalistycznej, był dla niej przede wszystkim kwestią moralnego zobowiązania. Tym samym wykluczał totalitarne pokusy, nie tylko sowieckie, również te zawarte w dziele Hegla i Marksa. Jeanne była stanowczą antykomunistką i całą lewicową modę paryską owych lat pięćdziesiątych traktowała pogardliwie jako baratin. Czyli że była mi potrzebna jako ściana, od której odbijały się piłki moich prowokacji, a te prowokacje świadczyły, że jestem chory na „heglowskie ukąszenie” i potrzebuję argumentów, zdolnych obalać moje argumenty.

282

Nasza przyjaźń miała trwać dziesiątki lat, przechodząc różne okresy zbliżeń i oddaleń, z okropnymi awanturami, ale i z humorem. Trzeba zdobyć się na trudne do wyciśnięcia z siebie wyznanie: bałem się jej. Tak jak bali się wszyscy mężczyźni uczestnicy zjazdów i konferencji, a może też inaczej. I niestety, Jeanne była skazana na samotność, bo wszyscy jej się bali. To powietrze było tak moralnie czyste, że nie do oddychania. Jakże ja, pokrętny, chwiejny i w moim mniemaniu raczej brudas, mogłem w nim wytrzymać? Lubiący popić w dodatku. Alkohol był dla Jeanne Złem, symbolem przyćmienia świadomości, czyli tego co najcenniejsze, bo przecież dla niej jasność umysłu i prawidłowość postępowania były nierozłączne.

Śmiała. Najzupełniej prawa. Dużo wymagająca od siebie i od innych. Zaborcza, że ani jej się sprzeciwić. Groźny palec. I rygor jej myśli, bezbłędny, obracał się przeciwko niej wskutek tego, co nazwałbym brakiem luzu. Ostatecznie trzeba chyba wiedzieć, kiedy popuścić, a kiedy naciskać - w myśleniu, w sądach wartościujących. Kot Jeleński bardzo ją cenił, ale jej ascetycznego moralizmu nie pochwalał. On, tak giętki, tak ciekawy różnych postaw, nie mógł nie zarzucać jej, że trzymając się swoich niezłomnych zasad coraz bardziej sztywnieje. Inny nasz wspólny przyjaciel, Stanisław Vincenz, traktował ją jak córkę, miłą, dobrą, ale trochę wariatkę z mokrą głową i pękał ze śmiechu, rozmawiając z nią o jej przygodach. Bo jednak sporo w niej było odstępstw od przyjętej normy, wyskoków ocenianych jako nieprzyzwoite (zwłaszcza w faryzejskiej Genewie), a biorących się stąd, że zawsze grała pełną stawkę, sto procent, nie zastanawiając się, czy ludzie coś tam pomyślą i co pomyślą, gotowa gołymi rękami zdobywać czołgi przyjętego obyczaju. Nie była lubiana. Za to bliskich przyjaciół miała wiernych i nie chowała ich zazdrośnie dla siebie. Polubiłem jej współtłumaczkę Jasper-sa, Helenę Naef, i całą Naefów rodzinę. W Genewie spotkałem też pisarza Denisa de Rougemont, malarza zwierząt Roberta Hainarda i wybitnego (dziś tak myślę) poetę Dadelsena.

2H3

I

23 V 1988, rue de Rennes

Gatunek wybredności Jeanne, co do ludzi, stylów, książek, mnie odpowiadał i mogłem jej w tym ufać. Toteż kiedy mówiła, że coś, co napisałem, jest dobre, wiedziałem, że nie jest to z jej strony próba dodania mi otuchy czy próżny komplement. Dla niej byłem bardziej nawet dziwnym stworem niż ona dla mnie. Bo uważała, że jestem tak „instrumentalny” jak nikt ze znanych jej ludzi. To znaczy zupełnie inny w życiu i w tych godzinach, które spędzałem za stołem pisząc, jakbym żył po to tylko, żeby służyć za instrument temu drugiemu („Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością”, mógłbym zacytować, ale Jeanne poezji polskiej nie znała). Miała absolutną wiarę w mój talent i dla kogo jak dla kogo, ale dla niej moje literackie nagrody nie były niespodzianką.

Zmusiła mnie do napisania Zdobycia władzy - na konkurs. Wzruszałem ramionami. Zgodziłem się napisać, ale od niechcienia, argumentując, że powieść w dwudziestym wieku już nie może być wybitnym dziełem sztuki i że nie warto jej uprawiać. Dla eksperymentu czy też żeby zrobić jej przyjemność, zacząłem pracować, tyle i tyle tekstu wyznaczając na każdy dzień. Mniej więcej w dwa miesiące powieść była gotowa. Przetłumaczyła na francuski, dopilnowała daty. Według statutu tej Prix Litteraire Europeen, ufundowanej w Genewie przez Les Guildes du Livre, czyli jakby kluby

książki, jury narodowe w krajach europejskich najpierw przesiewały i przedstawiały kandydatów. Zostałem przedstawiony przez jury Francji (choć skrypt miał zaznaczone „traduit du polonais”). Nagroda (pięć tysięcy franków szwajcarskich) została podzielona pomiędzy mnie i niemieckiego prozaika nazwiskiem War-sinsky. Suma 2500 franków szwajcarskich (wtedy spora) mniej znaczyła niż wydania przez kluby książki w Szwajcarii i Francji. W ten więc sposób mogłem jakoś utrzymać się z pióra i sprowadzić do Francji rodzinę.

Zarzekając się, że nie chcę pisać powieści, nie wiedziałem, że wkrótce znowu popełnię odstępstwo od zasady

284

i napiszę Dolinę Issy. Co prawda z zupełnie innych powodów. Jako zabieg terapii na samym sobie, po to, żeby wydobyć się z dialektycznego korkociągu, który uniemożliwiał poezję, i z przekory. Nie tego potrzebował rynek paryski, lewicowy i goniący za najnowszą modą. Jeanne to doceniła. Przekład na francuski kosztował ją mnóstwo trudu, bo przecież Akademia Francuska stopniowo usunęła ze słowników mnóstwo starych słów lokalnych odnoszących się do rolnictwa, myślistwa, rybołówstwa, zmian pogody etc. Jeanne tyrała, obłożona słownikami, a działo się to w okresie naszego skłócenia, przez co jej wyczyn był tym bardziej bohaterki. Nie zdaje się, żeby książka miała dobre recenzje. Pamiętam swoją fotografię, bodaj w „L'Express”, z podpisem: „La metaphysique est facile”. Że niby trudne i godne pisarza sprawy są społeczne i polityczne, a kto zajmuje się metafizyką, winien jest eskapizmu. Lubił tę powieść Albert Camus. Ale znalazła wiernych czytelników i przychylnych recenzentów głównie w Niemczech Zachodnich, gdzie przyjaznym wydawcą był dr Kaspar Witsch, wówczas dyrektor firmy Kiepenheuer und Witsch. Co prawda jakość przekładu pozostała mi nie znana, podejrzewałem pewną staroświeckość stylu u tłumaczki, Maryli Reifenberg, bardzo miłej pani, która jako dziewczyna z polskiego dworku przybyła do Monachium w 1912 roku i już na całe życie w Niemczech utknęła, poślubiając łagodnego olbrzyma, krytyka sztuki, pół-Holen-dra, Benno Reifenberg. Myślę, że była wychowana na Orzeszkowej.

Jeanne była dla mnie niezłą szkołą umysłowej wspinaczki i czułem się naprawdę pokrzepiony, jeżeli powiedziała: „De nouveau tu as oublié d'être bête”, co znaczy mniej więcej „Znowu zapomniałeś, jak być głupim”. Filozoficznie reprezentowała jaspersowski egzystencjalizm i jego „wiarę filozoficzną”. Nota bene z Jaspersem miałem rozmowę o religijnym wychowaniu dzieci. Przywiązywał dużą wagę do tradycji biblijnej i chociaż niechętny katolicyzmowi, katolikom doradzał wychowanie dzieci katolickie, jako drogę do Biblii. Trochę podobnie Albert Camus, który

raz

285

zapytał mnie, czy nie gorszy mnie to, że on, ateista, posyła dzieci do pierwszej komunii. Nie tylko dyskusje, także książki filozoficzne Jeanne na mnie wpłynęły: mniej L'Histoire philosophique, za to bardzo L'être et la forme. O wiele później zdobyła się na książkę porządkującą doktryny polityczne, Les ideologies et la realite, która ukazała się w bibliotece paryskiej „Kultury” w moim przekładzie jako Polityka i rzeczywistość. Sądzę jednak, że prawdziwą jej dziedziną pozostały wysokie regiony filozofii, nie zastosowania jej społeczne, których analizy przyniosły tyle sławy Hannie Arendt. Jeanne przebywała na pograniczu filozofii i teologii. Żałuję, że nie mogłem przysłuchiwać się jej dyskusjom z wybitnym jezuickim teologiem Gastonem Fessardem, bo jej przyjaźń z nim przypada na moje lata amerykańskie. O. Fessard, jedyny chyba wśród swoich współczesnych (nie liczę, bo nie uznaję, Teilharda de Chardin), wypracował swój system historiozofii chrześcijańskiej, wychodząc od heglowskiej dialektyki pana i niewolnika oraz paulińskiej dialektyki Żyda i poganina.

Te zainteresowania Jeanne nie znaczyły, że zdradzała kiedykolwiek skłonność do przejścia na chrześcijaństwo. Brała udział w seminarium w Castel Gandolfo, ale nie jako chrześcijanka. Ponieważ zawsze szukałem towarzystwa ludzi pobożnych (żeby uzupełniać swoje braki), ceniłem w niej przede wszystkim jej pobożność, bo naprawdę była kapłanką transcendencji czy też głosem podległym wezwaniu z wysoka. I w imię tego byłem i jestem gotów wybaczyć jej wady.

24 V 1988, rue de Rennes

Wizyta w szpitalu Broca u Hanny, która ma 92 lata i została tam umieszczona, bo złamała nogę. Metro Glaciere. To, przy którym był kiedyś Palais du Peuple, a mniej szumnie po prostu przytułek dla bezdomnych Armii Zbawienia. Bez pieniędzy na hotel, popasali-

286

my tam latem 1931 roku, my trzej, to znaczy Słoń, Robespierre (Stefan Jędrychowski) i ja. Trudno nie być nawiedzanym przez obrazy tego wszystkiego, co na tych trzech chłopców czekało za kulisami.

A teraz Hannah. Szpital Broca jest de long sejour, co znaczy głównie dom dla starców. Znam te przybytki połamanych lalek. Starcze otępienie, niedołożne kroki o lasce albo posuwanie się w wózkach, mamrotania, bełkoty i ptasie krzyki pomieszanych. Hannah jest prawie ślepa, rozpoznała mnie z trudem. Umysł jej za to pracuje sprawnie, pamięć ma dobrą, choć skarży się, że umykają jej nazwiska.

Hannah napisała niegdyś w Wiedniu pracę doktorską o twórczości Tomasza Manna, którą to pracę wydrukowano w 1925 roku na pięćdziesiąte Manna urodziny. Emigrowała do Francji w 1930 roku. Tutaj, w szpitalu, mówimy o jej bliskich i przyjaciółach, których nie znałem i tych, których znałem. Nie znałem jej męża, tłumacza z niemieckiego, i chyba tylko raz spotkałem Baladine Kłossowski, powierniczkę Rilkego, matkę dwóch malarzy, Balthusa i Pierre'a Kłossowskiego; z tym drugim widywaliśmy się u Hanny. Nie znałem historyka sztuki Elie Faure'a, który urządził ich w Dordogne podczas wojny. A Leon Trockki, którego gościli, kiedy przejeżdżał przez Paryż, to już inna epoka i potrzebna byłaby cała rozprawa o trockis-towskich sympatiach niemieckiej emigracyjnej i amerykańskiej lewicy przed II wojną światową. Tak, znałem dzięki Hannie starych działaczy francuskiego ruchu robotniczego Alfreda i Marguerite Rosmerów, których odwiedziliśmy w ich wiejskim domu pod Paryżem.

Madame Weil, matka Simone Weil. To własne Hannah mnie do niej wprowadziła, do tego mieszkania w Quartier Latin, wysoko nad Ogrodem Luksemburskim. Działo się to wtedy, kiedy pracowałem nad Wyborem pism Simone Weil. Jej pokój, stół, przy którym pisała. Od Hanny można się było dowiedzieć, że Simone prowadziła długie dyskusje z Leonem Trockim, który umiał ocenić jej szermiercze zdolności.

287

Przede wszystkim: Muriel. Tu różnie nici się zbiegają, także rodziny Miłoszów. Muriel Gardner, Amerykanka, z bardzo bogatej rodziny (szynki Armstrong), studiowała medycynę w Wiedniu przed II wojną i po zaborze Austrii zaangażowała się głęboko w podziemi antyhitlerowski. Film Julia o kurierce tego podziemia, zapożyczona z jej biografii, przypisanej, wbrew prawdzie, niejkiej Julii przez Lillian Hellman. W Wiedniu Muriel za towarzysza swoich antyhitlerowskich przedsięwzięć miała socjalistę Josepha Buttingera, który zaczynał swoją karierę życiową jako pastuszek w tyrolskiej wiosce; następnie go poślubiła. Buttingerowie po II wojnie stali się wielkimi przyjaciółmi i protektorami Hanny, gościli ją parę razy w Ameryce, a przyjeżdżając do Paryża, zapraszali na obiady w restauracjach Lewego Brzegu znaczną liczbę osób z jej otoczenia, w tym Jankę i mnie. Ten krąg Buttingerów, do którego należał też Stephen Spender, trzeba by uzupełnić innym kręgiem Hanny, w jakimś związku z tamtym - pojawiliby się tutaj Dwight MacDonald i jego żona Nancy MacDonald, głęboko zaangażowana w pomoc uchodźcom hiszpańskim.

Miarą względów, jakimi Buttingerowie darzyli Hannę, tak że spełniali każde życzenie, było kupno domu w Mont-geron. Wynajmowaliśmy w Brie bardzo tanio stary dom należący do M. Benier, ale kontrakt nasz się kończył, M. Benier potrzebował domu dla rodziny i szukaliśmy w 1956 roku nowego locum, na wsi, bo Paryż drogi, Janka też uważała, że miasto nie jest dobre dla dzieci. Wszystko jednak, co zdarzyło się nam oglądać, wykraczało poza nasze możliwości budżetowe. Wtedy Hannah wpadła na pomysł. Dom w Montgeron z wielkim ogrodem, przy pasie zieleni zwanym La Pelouse, tuż obok liceum, do którego miał chodzić Toni, kupiliśmy za pieniądze pożyczone, bez procentu, przez Buttingerów. Suma, dzisiaj śmiesznie niska, wtedy coś znaczyła. Po naszym przeniesieniu się do Kalifornii dom został sprzedany i pożyczka zwrócona.

Tak pracowicie ścinałem tam trawniki i takie stopniowo Janka wprowadzała ulepszenia, że uchodziliśmy

wśród sąsiadów za bogatych Amerykanów, mimo że naprawdę moje karkołomne wysiłki ledwo pozwalały wiązać koniec z końcem. Ciekawe, że nasze dzieci, jak dowiedzieliśmy się od nich później, nigdy nie zdawały sobie sprawy z tego, że w Brie Janka często bała się pójść do sklepiku z powodu wiszącego tam długu i że cały dobrobyt w Montgeron był pozorny.

I teraz tutaj Hannah. Pewnie, że źle jest zabijać ludzi, co w tym stuleciu uprawiano z zapalem. Jednak nagła i niespodziewana śmierć jest dobrodziejstwem w porównaniu z powolnym umieraniem, co gorsza - w pełni świadomości. To stałe, niezmiennie dno horroru i feeryczne, szumiące widowisko na powierzchni dostarcza, mnie przynajmniej, argumentu przeciwko dobroci Stwórcy. To mnie naprawdę zjada i wracam do punktu wyjścia, do moich metafizycznych przygnębień piętnastolatka. Bo ostatecznie ta konstrukcja, według której prawdziwe życie zaczyna się po śmierci, rozpadła się, i ciało jako chwilowe pomieszkowanie duszy zostało zastąpione przez ciało identyczne z osobą, dbane, pochlebiane, poddawane testom, ważone. Jedyne ja, cielesne, nieuniknienie postępujące drogą wszystkich istot żywych. Nie wiem, czy chrześcijanie o bardzo silnej wierze umieją wykroczyć poza ciało, ku Niebu czy Piekłu, jeżeli pęd krwi, żarłoczność, apetyt zmysłów nas tutaj chwyta i niesie, daje udział w feerii na powierzchni. Piętnastoletni, czułem się wyłączony, jeszcze nie wezwany na festyn, zazdroszcząc tym, którzy dążyli, biegli, pragnęli, nasycali się i nie widzieli iluzji. Jest opowiadanie Vincenza o zbójniku Doboszu, który został zaproszony na bal do zamku w Karpatach. Wspaniały to był bal, mnóstwo pięknych dam bogato ubranych, barwność, przepych, tańce pod huczną kapelę. Ale towarzyszy Dobosza zauważył, że muzykanci od czasu do czasu zanurzają palec w misce z jakimś płynem i mażą sobie powieki. Podkraść się i zrobić to samo. Wtedy zamiast pysznego balu zobaczył szkielety tańczące pod muzykę diabłów. Chwyć za ramię Dobosza i uciekli z zamku, który był ruiną na szczycie

289

ciemnej góry. Wygląda na to, że teraz w starości znów popadam w stan wyłączenia i bal mnie nie cieszy. Albo coraz rzadziej.

Hannah mówi, że chce jednego: umrzeć, i że nie może siebie zabić, bo jak, „nie zabiłam w życiu nawet muchy”. Opowiada swój sen: była w Operze i szła w górę schodami, ale kiedy doszła do drzwi, były zamknięte. I znowu schody i zamknięte drzwi. „Jak wydostać się z życia - pyta. - Co zrobić, żeby zasnąć i nie obudzić się?” Kto potrafi tę bezwładną istotę, której jedynym pragnieniem jest nie być, przekonać, że powinna mieć nadzieję bycia? Zważmy, że nazywając tego rodzaju urządzenie świata potwornym, łączymy się w jakiejś czysto ludzkiej solidarności, podkreślamy naszą, naszego gatunku jedyność we wszechświecie, a nasza świadomość i nasz moralny protest mają za sobą jasnego i słabego Boga przeciwko ciemnemu i silnemu Bogu Natury.

Lew Szestow dlatego nie znosił stoicyzmu, bo czy mamy kłaniać się nieuniknionemu dlatego tylko, że nieuniknione, zamiast krzyknąć „nie”?

Ale co to znaczy krzyknąć „nie”? W tym szpitalu byłem z całą moją wiedzą o naszej rzekomej dobroci, z za której przeziera dziecinnie prosta i oczywista gra ambicji. Nic mi nie zostało oszczędzone, nawet podszywka tego, co uważa się za miłość. Nie rozpadłem się, nie miałem załamania i muszę jakoś to dźwigać. A to jest jakby dodatek doświadczenia do tamtego Weltschmerz'xi piętnastolatka.

„Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa żywota wiecznego” (Jan, 6, 69). I na tym bunt się kończy.

25 V 1988

Brie-Comte Robert jest małym miasteczkiem na równinie Ile-de-France, o 30 kilometrów od Paryża. Z bardzo daleka widać ostrą wieżę jego katedry, brzydkiej, budowa-

290

nej w ciągu kilku stuleci w różnych pomieszanych stylach. Ma też ruiny zamku. Naokoło kraj pszenicy i buraków cukrowych. Kiedy Janka z dziećmi przyjechała z Ameryki latem 1953 roku i po kilku miesiącach w wiosce Bon po francuskiej stronie Lemanu wprowadziliśmy się do Brie, była jeszcze w środku miasteczka sadzawka, w której pławiono perszerony i niekiedy kobiety prały bieliznę przy lavoir. Cudzoziemców tam nie upatrzeć, bo żadnej wygodnej komunikacji poza

autobusem do Place de la Bastille, co trwało godzinę.

29 V 1988, Lozanna

Odwiedziłem parę dni temu w Maisons-Laffitte Józia Czapskiego. Miał właśnie jechać do Szwajcarii i zapraszał na swoją wystawę w galerii Aeschlimana w Chexbres pod Lozanną.

Planowałem odwiedzić u pani Ireny Vincenz w sobotę 28 maja. Ale w przeddzień moje czytanie wierszy po polsku u Pallotynów, w dużej sali pod kościołem, idąc tam zmokłem do szczytu i choć miałem udany wieczór (plus godzinna orgia autografów), poczułem się podle. Mimo to wzięłem pociąg do Lozanny i zaraz po przyjeździe do pani Ireny wybraliśmy się autem na wystawę Józia. Z ciekącym nosem, bojąc się kichać w jej stronę - ma 88 lat i łatwo zapada na bronchity - spędziłem dość żalosne popołudnie. Noc u Basi Vincenz z gorączką i pigułkami.

Jasność umysłu u pani Ireny, u Czapskiego, choć ma 92 lata, tyle co Hannah. I jego ciągnąca młodość jako malarza. Nie pojmuję, jak będąc prawie ślepy, tak przynajmniej twierdzi, można aż tyle i tak malować. Właśnie te obrazy, z ostatnich paru latr to było to, co chciał, żebym zobaczył. Wśród nich parę szczytowych jego osiągnięć. Szczególnie jedna martwa natura ze szmatą w kolorach szarości i bieli.

W jakim stopniu mój konflikt z „Kulturą” wtedy, w latach pięćdziesiątych, rozciągał się na Czapskiego? Muszę sobie o to zapytać, ponieważ mój podziw, a nawet admiracja mogą nasuwać przypuszczenie, że żadnych spięć

291

nigdy nie było. Za życia stał się legendą i będzie nią coraz bardziej, jako malarz, jako świadek, jako pisarz, jako autor monumentalnego dzieła - swoich dzienników, tekstu i rysunków razem. Te dzienniki dalej pisze, ale nie umie już odcyfrować swojego pisma i nikt nie umie, dużo czasu upłynie, nim zostaną odczytane.

Od Czapskiego po raz pierwszy dostałem La Pesanteur et la Grace Simone Weil. Pierwszą wydaną jej książkę. On też pokazał mi stronicę Gobineau o Ketmanie. Z nim mogłem rozmawiać naprawdę. Jednak istniała przegroda. Moja hipoteza: on miał we wszystkim, co mówił, pełną rację, ja natomiast opierałem się, bo umysł mój był zanieczyszczony. Moja hipoteza druga: dzięki defektom mego charakteru i umysłu zachowałem (dialektyczną!) nieufność do „tak-tak”, „nie-nie” i trafnie odgadywałem niektóre cechy Czapskiego. Te, które łączyły go z jego polskim środowiskiem, arystokratycznym, rycerskim, idealistycznym, romantycznym, vieux Polonais - podczas kiedy inne jego cechy otwierały go na sztukę, filozofię, religię. Temu pierwszemu Czapskiemu zarzucałem jakąś moralistykę trochę egzaltowaną, czyli to, co psuło książki jego siostry Maryni Czapskiej. Rozstrzygnąć nie potrafię, która hipoteza prawdziwa. Przypomina mi to trochę moje osobne, wyniosłe, ale równocześnie nie wolne od winy miejsce w klasie szkolnej. Ja jako garbus wewnętrzny - oni, moi koledzy, tacy jak chłopcy być powinni. A garbus, z wyostrzoną świadomością, wie, czego oni nie wiedzą, o nich, o sobie. Za cenę: że zamiast „tak-tak”, „nie-nie” jakiś w nim galimatias niepewności. Czapski byłby więc wariantem, wyjątkowo dodatnim, klasy, a ja już podejrzaną mutacją.

30 V 1988, rue de Rennes

Parę dni temu telefonowałem do Londynu do Stephena Spendera w pewnej praktycznej sprawie.

Tutaj w Paryżu przeczytałem jego książkę o T.S. Eliocie, nocami, jak to

u mnie z każdą lekturą. Książka dobra, aż do rozdziału, w którym omawia sztuki teatralne Eliota „współczesne”, ■ z życia „wyższej klasy średniej”. Może takt nie pozwala mu posunąć się w krytyce poza twierdzenie, że postacie są mało rzeczywiste. Ale niewykluczone, że jako Anglik nie widzi komizmu tej warstwy społecznej i jej rytuałów. Dla mnie, cudzoziemca, było niepojęte, że Eliot, wielki poeta, mógł wykoncypować coś takiego: sztuki z wyższych sfer towarzyskich, w których postacie przemawiają wierszem. ( Potworkowatość tego połączenia, mimowolna parodia,

stad głównie chyba, że w Imng room (w bawialni, jak kiedyś u nas mówiono) roztrząsa się z powagą problemy psychologiczne i religijne, podczas kiedy sam obyczaj tych sahibów (wyobraźmy sobie Hindusa jako służącego i świadka) skręca nas ze śmiechu. To znaczy, szczególność tego społeczeństwa uniemożliwia poważne traktowanie np. Celi Copplestone, która pragnie



męczeństwa, zostaje misjonarką i w Afryce jest ukrzyżowana przez dzikich. Liczman do użycia najwyżej w jakiejś teatralnej zgrywie-buffo. Myślę, że każde społeczeństwo ma w swojej obyczajowości takie punkty komiczne, z których samo nie zdaje sobie sprawy. We Francji np. Andre Gide w podróży po Afryce. Niesiony w lektyce przez Murzynów czytał Racine'a (Voyage au Congo).

W jakimś sensie zależność klasowa, narodowa pokazuje poetę od jego słabej strony, jakby demaskuje. Wiersz „bawialniany” Eliota psuł mi trochę jego najwyższe teksty, bo przecie były one mówione przez ten sam głos.

Obrazy Czapskiego jeszcze raz naprowadzają na sekret ludzkiej osobowości. Bo są tak rozpoznawalne z daleka, natychmiast wiadomo, że to Czapski. Czyli dzieła sztuki jako esencje. I zgorzała Kasia cała, Garść popiołu pozostała.

A nad tym popiołem unosi się esencja, eteryczny opar, jeden od początku świata, niepowtarzalny.

292

293

30 V 1988, rue de Rennes

Pragnienie, żeby być gdzie indziej. Można by napisać grube dzieło o tym, jaką postać to pragnienie przybierało w erze nowoczesnej, zwłaszcza w dziewiętnastym i dwudziestym wieku. Jedna odmiana gdzie indziej to oczywiście przyszłość, cała inteligencja rosyjska na to chorowała. Później, po rewolucji rosyjskiej, inteligenci francuscy i angielscy umieszczali na Wschodzie rozwiązanie tej rzeczywistości zbyt codziennej i dokuczliwej, która ich otaczała. A Sartre nawet swój kraj idealny przenosił kolejno do Rosji, na Kubę, do Chin.

Piszę to w związku z lekturą Malcolma Cowleya Exile's Return w nowym wydaniu. Wędrówka dobrowolnych wygnańców z Ameryki do Europy po I wojnie światowej daje miarę zmian, jakie zaszły. Ameryka jako prowincja, jako kraj materialistycznego otepienia, w którym nie da się tworzyć ani pisać - i teraz, jakieś sześćdziesiąt lat po tamtym exodzie artystów, powieściopisarzy, poetów, Ameryka jako magnes, przeniesienie się tam centrum z kulturalnie zastygłych stolic Paryża i Londynu.

Gdzie indziej amerykańskich ekspatriantów było geograficzne: Europa. Cowley daje niezły wgląd w rolę college'ów i uniwersytetów, bo wpajały „kulturę” pojętą wyłącznie na modłę europejskiej indoktrynacji młodych: uczono łaciny i greki, czytano klasyków, przez historię rozumiano historię krajów śródziemnomorskich i Europy Zachodniej. Nie można się więc dziwić, jeżeli co wrażliwsi uciekali do prawdziwej ojczyzny, ducha. Tym bardziej, że życie np. w Paryżu było słodkie i tanie. A z naszej „gorszej” Europy czyż nie zwracały się tęskne oczy artystów i pisarzy ku Rzymowi, Monachium, Paryżowi, przez dziesiątki lat? Przecie importowano style i mody, podróżnicy na stypendiach, często prywatnych, zapoznawali się z naturalizmem, symbolizmem, impresjonizmem, kubizmem.

Gdzie indziej należy do chimer umysłu odpowiadających jakimś jego potrzebom. Sam aż nadto potęgi chimer zaznałem, goniąc za nimi niby pies za mechanicznym

294

zajacem. W podwójnym sensie przyszłości i wielkich stolic kultury. I nie mniej, może jeszcze bardziej niż amerykańscy ekspatrianci, snobowałem się kiedyś na paryskość i francuszczyznę.

1 VI 1988, rue de Rennes

Ameryka i Europa. Pytanie Amerykanów: „Kim jesteśmy?” Rosja i Europa. Pytanie Rosjan: „Kim jesteśmy?” Dwaj prawie rówieśnicy Walt Whitman (1819) i Dostojewski (1821). Jednak literatura amerykańska dziewiętnastego wieku jako całość nie wytrzymuje porównania z silną już i już autonomiczną literaturą rosyjską, która powstała w zmaganiach, przyjaznych i nieprzyjaznych, z Europą.

2 VI 1988, rue de Rennes

Przechodzę obok kawiarni bulwaru Montparnasse, La Rotonde, Dôme. Zobaczone po raz pierwszy latem 1931 roku były cudem, olśnieniem, ten tłum istot chyba nadziemskich rozpartych w trzcinowych fotelach i leniwie obserwujących przechodniów, nigdy wilnianin czegoś podobnego nie widział. Ani nie zdawał sobie sprawy, jak mało nadziemskie są te istoty. To był zresztą już

koniec Montparnassu. Dobrowolni wygnańcy wracali do Ameryki przymuszeni krachem na giełdzie i odłączeni od „fynan-sowej piersi”. Jeszcze raz kawiarnie Montparnassu zbliżyły się do swojej pełni lat dwudziestych, choć smętniej tym razem, kiedy zasiadała tam emigracja niemiecka uciekająca od Hitlera.

Czy powinienem, jak twierdzi Ola Watowa, napisać książkę o Polsce niepodległej, dwudziestolecia 1918-1939? Nikt już tego nie zrobi, bo mógłby to zrobić tylko świadek. La Pologne c'est un pays marecageux oii habitent les Juifs - Polska jest to kraj bagnisty, w którym mieszkają Żydzi. To jeden obraz, w świadomości zachodniej Europy. Drugi,

295

przeciwny, tworzy się i będzie się tworzyć wskutek idealizacji uprawianej przez tych, którzy nie wiedzą i nie mogą wiedzieć, jak to naprawdę było.

Siebie już od dawna zdyskwalifikowałem, bo przecie rośłem nie w Polsce, ale w polskich enklawach, oddzielony, alienowany. Choć może dzięki temu miałem ostrą świadomość absurdu. Nie potrafię odtworzyć moich myśli i może słowo „świadomość” nie jest odpowiednie, bo oznacza strefę pojęć wyraźnie zakreślonych. Możliwe, że krzywdzę siebie, nie doceniając moich jasnowidzeń i zadr, które siedziały we mnie głęboko. Ostatecznie Trzy zimy o czymś świadczą, mógł te wiersze napisać tylko poeta, który z góry układał pieśń żalobną.

Należałoby zacząć od przyzwyczajania się ludzi do Rosji carskiej na wschodzie, monarchii habsburskiej na południu, Niemiec na zachodzie. Dla wielu, może dla większości, polskie państwo pojawiło się jako anomalia albo wręcz przykra niespodzianka. Przecie cała niemal Kongresówka odniosła się wrogo do Legionów Piłsudskiego. A po co to państwo było milionom Żydów i jeszcze liczniejszym milionom Ukraińców czy Niemcom z Bielska, Bydgoszczy, Sopotu? I wszyscy „tutejsi”, na pytanie o narodowość odpowiadający „prawosławny” albo „katolik”? Z jakiejś dalszej perspektywy tylko religijne podziały były nadal żywotne, Polak równał się rzymski katolik, ale też miał przeciwko sobie wszystkich innowierców. Poza tym w Wilnie, Grodnie, Białymstoku można było ocenić trwałość i siłę oddziaływań kultury rosyjskiej. Trudno mi byłoby orzekać o Galicji i wpływie tam Wiednia, ale Żydzi u nas i w Kongresówce odnosili się do Polski albo obojętnie, albo niechętnie jako do tworu najoczywistej tymczasowego. Trudno im się dziwić. Bo jednak tylko polska etnocentryczność mogła skutecznie przesłaniać dane sytuacji międzynarodowej. Może jeszcze w latach dwudziestych, świeżo po zwycięstwie 1920 roku, te dane sprzyjały Polsce, ale z kryzysem ekonomicznym wszędzie, też w Ameryce, zaczyna się radykalizacja inteligencji, tak że przygody naszej grupy w Wilnie odpowiadają dokładnie

296

przygodom inteligentów Nowego Jorku. Żydzi po prostu nie mieli w swoich okularach polskiego etnocentrycznego filtru, czyli widzieli sytuację trochę bardziej obiektywnie. Pochodzenie naszej grupy, z terenów etnicznie mieszanych, mogło działać podobnie.

Artur opowiadał mi o swojej wycieczce z Bielska do Warszawy w latach trzydziestych. Całe Nalewki gadały o polityce, polityka oznaczała różne odmiany czerwoności. Ewolucja naszej grupy teraz wydaje mi się nieunikniona, najlepiej widoczna u Henryka Dembińskiego, od jego prawicowego katolicyzmu w szkole do komunizmu. Bo moim zdaniem dwa tylko stanowiska, dwie racje były w Polsce w zgodzie z logiką. Albo „narodowe”, to znaczy prymat Kościoła i Narodu, albo lewicowe czy „masońskie”. Albo wynarodowić czy też wygnać „mniejszości”, albo polubić, czyli wybrać wielonarodowość i między-narodowość, to jednak z kolei niejednego skłaniało do wzięcia poważnie międzynarodowości komunistów.

W Paryżu zajmuję się tropieniem śladów Jeana Le Loueta, bez skutku. Wczoraj na kolacji u Pierre'a i Betty Leyris w Meudon czytałem wiersz Attitudes z właśnie wydanej mojej książki Uimmoralite de l'art (Ogród nauk). Wszyscy zgodzili się, że piękny wiersz. Ale to przekład z mojego przekładu na polski, francuski oryginał zaginął. Jego autor, Jean Le Louet, poeta francuski z drugiej fali surrealistów, znalazł się w Warszawie w sierpniu 1939, może z jakichś powodów romantycznych, był pędem. Mgliście sobie przypominam, że znał Iwaszkiewicza i nawet był na Stawisku. Wybuch wojny zaskoczył go w Warszawie, następnie Niemcy posłali go jako obywatela francuskiego do obozu nad Jeziorem Bodeńskim, gdzie siedział z innym francuskim obywatelem, Stasiem Dygatem.

Tam ten wiersz napisał, chyba zaraz po klęsce Francji w 1940 roku. Dygat przywiózł go do Warszawy i dał mnie, przetłumaczyłem, umieściłem w mojej antologii Pieśń niepodległa, 1942.

297

#### POSTAWY

Owego czasu widziałem trzech ludzi. Pierwszy był we krwi, a iż bito go, nieprzestannie krwią broczył. Drugi klęczał, a iż wiązano mu ręce, na klęczkach zostawał. Trzeci siedział za stołem swego wroga, a iż wróg oddał mu cześć, przebywał za jego stołem.

Wtedy pierwszego nazwałem jego imieniem i krzyknąłem mu: „Nie umieraj”. A krew wciąż płynęła i poprzez krew odpowiedział: „Wytrwam, bo kocham”.

Potem nazwałem drugiego człowieka i krzyknąłem mu: „Zrzuć swoje więzy”. Odpowiedział: „Jestem słaby, a człowiek, który mnie spętał, ma wielką siłę”.

I nazwałem trzeciego człowieka i rzekłem mu: „Wstańże wreszcie”. I odpowiedział: „Zostanę tu, bo chytry jest mój wróg, a ja pragnę go oszukać”. Wtedy przywołałem anioła jedności i rzekłem mu:

„Zjednocz tych ludzi albo zniwecz ich”. Wówczas anioł jedności wziął krew pierwszego człowieka i pomazał nią dwóch tamtych. I ten, co klęczał, i ten, co siedział, zostali pokrzepieni.

A człowiek krwawiący wsparł się na nich. I krew mniej silnie płynęła z jego ran. I krew odsłoniła oczy.

Leyris, bardzo stary i znający cały literacki Paryż, powiedział, że przypomina sobie Le Loueta, ale słabo: szczupły, delikatny, prawie kobiecy, chory na gardło, na stałą utratę głosu. Od kogoś innego (Pierre Boutang jr.?) słyszałem, że po wojnie prowadził życie kloszarda. Kiedy umarł, nikt nie wie. I to wszystko. Zupełnie zapomniany jako poeta i ten jedyny tytuł do sławy, wiersz w przekładzie na polski. Wiersz niezwykły, z surrealizmem nie mający nic wspólnego, na co zwraca uwagę Leyris, nawiązujący do tradycji biblijnej (jakby napisany przez polskiego roman\* tyka), proroczy, bo skąd w 1940 roku przewidywanie kolaboracji, i gdyby ułożyć antologię najlepszych tekstów II wojny światowej w różnych językach, powinien by się

298

w niej znaleźć. Chyba lepszy niż wiersze młodych podziemnych poetów Warszawy, bardziej zwięzły, zwały, niby przypowieść z Ewangelii.

„Obserwując ciebie w otoczeniu amerykańskich poetów i teraz tutaj z twoimi polskimi kolegami - mówi Ca roi - dochodzę do wniosku, że Amerykanie bardziej cenią ciebie jako poetę, bo dla Polaków jesteś przede wszystkim sławną postacią”. I pewnie tak jest. Dziś znowu list: „Winszuję Panu tego zasłużonego lauru, którego Pan przysparza nieszczęśliwej ojczyźnie naszej”.

4 VI 1988

Znowu byłem w szpitalu Broca u Hanny. Rozmawialiśmy o Jance.

Waham się, ile razy pióro mnie ciągnie, żebym opowiedział o naszym życiu w Brie i Montgeron.

Bo gdybym to zrobił zupełnie szczerze i otwarcie, odsłoniłbym prawie wszystko, co wiem, a przynajmniej myślę, o sobie. Powstrzymuje mnie wzgląd na inne zaangażowane tutaj osoby. W pierwszym rzędzie Jankę, która nie może już niczego sprostować, tak że tylko moja wersja zostaje. A cóż to za sąd, na którym głos ma tylko jedna ze stron. Nie ulega wątpliwości, że nasze wersje byłyby bardzo różne.

6 VI 1988, rue de Rennes

Wczoraj, w niedzielę, jak rok temu, do Fontainebleau, tym razem autem z Andre Silvaire i jego synem. Ceremonia składania kwiatów na grobie Oskara Miłosza, śniadanie jak zawsze rytualne i długie w Hotel de FAigle Noir.

Dalszy ciąg mego tropienia Jeana Le Loueta, bo, jak okazuje się, Silvaire go znał. Le Louet wydawał w ostatnich paru latach przed wojną pismo „Les Lettres Nouvel-les”. Tomiki jego wierszy nosiły dziwne tytuły. Nie na-

299

kładem Gallimarda, bo „Les Lettres Noiuelles” były jakby konkurencją tytułu „La Nouvelle Revue Francaise”. Niektórzy, jak Jean Cassou, witali go jak młodego geniusza, niemal jak objawienie się nowego Rimbauda. Dostał stypendium na wyjazd do Polski. Silvaire spotkał go w Tuluzie, po debacie. Le Louet powiedział mu, że stara się z Francji wydostać. I resztę wojny spędził w

Hiszpanii. Zadaję sobie pytanie, kiedy został zwolniony z obozu nad Jeziorem Bodeńskim i kiedy wiersz napisał. Nie pamiętam, kiedy z obozu wrócił Dygat, zresztą Le Louet mógł być zwolniony wcześniej. Wiersz mógł napisać zaraz po klęsce Francji i albo dać Dygatowi, albo, jeżeli go już w obozie nie było, przesłać w liście. Jeżeli jednak wiersz powstał przed klęską Francji, co zaczyna być bardziej prawdopodobne, odnosi się nie do sytuacji francuskiej, ale polskiej, przez autora tak wyobrażonej i jest w istocie polskim wierszem francuskiego pióra.

Po wojnie Le Louet nie wrócił do literatury. Mówią o jego upadku z litością i grozą. Był kloszardem w sensie dosłownym i długo tak żył, bo umarł zaledwie parę lat temu, czyli mógłbym go odnaleźć. Silvaire twierdzi, że po wojnie niczego nie drukował.

Wracam do Brie.

I to bardzo trudne. Zawsze mówiąc o Brie łapię się na litości nad sobą. I rzeczywiście surowe to było istnienie, pustelnicze. Obok Paryża, ale jeżdżąc tam miałem w kieszeni na jedną szklankę wina i bilet powrotny. Odwiedzali nas Goodmanowie i Hannah, także zdarzali się Polacy, choć rzadko, częściej po odwilży, już kiedy mieszkaliśmy w Montgeron, wtedy dużo wina i nasze coraz bełkotliwsze rodaków rozmowy. Do miasta razem jeździliśmy nieczęsto, tak że stosunki przyjacielsko-towarzyskie były bardzo ograniczone. Ubawiło nas przerażenie eleganckiej pani z Polski na widok naszego życia w Brie. To ma być Francja, Paryż? Phi, najbardziej zapadła prowincja. I taka bieda.

300

12 VI 1988

Znów więc w Berkeley, z ulgą. Stosy poczty, samo sortowanie wymaga wielu godzin, a kiedy i jak odpowiedzieć na listy i propozycje? Przedwczoraj przygotowywałem seminarium o poezji polskiej i amerykańskiej, odbyłem je wczoraj w University Extension w San Francisco, ponad cztery godziny od dziesiątej rano do czwartej po południu, z przerwą na lunch. Dobra, chłonna klasa dorosłych, prawdziwych miłośników poezji, pewnie też piszących. Seminarium udało się i powiedziałem sobie, że jeszcze raz umiałem wyciągnąć królika z cylindra. Rozkosz słońca po chmurnym i deszczowym maju w Europie.

13 VI 1988

Wczoraj wieczorem, kiedy siedzieliśmy przy kolacji u Toniego i Joanny, dom zakołysał się raz i drugi. Czekaliśmy, ale nic dalej. Trzęsienie ziemi było średniej siły, pewnie około pięciu stopni na skali.

Seminarium poświęciłem poezji obiektywnej. Nie tyle próbując zdefiniować, co przez to rozumiem, ile używając przykładów z różnych poetów: Cendrars, Kawafis, Jeffers, Whitman, także wiersz poetki chińskiej napisany koło roku 1200. Następnie polscy poeci: Herbert, Świrszczyńska, Zagajewski.

Sporo mówiłem o rzeczywistości oczyszczonej przez upływ czasu. A więc przeszłość danej osoby, melancholia przemijania (według Edgara Poe ton najbardziej poetycki) i obok przeszłość historyczna. Moje rekonstrukcje Belle Époque z wyraźnym dążeniem do syntezy osobistego i historycznego (obiektywnej?). Ale - mówię moim słuchaczom - nie zapominajmy o kryjącej się w tym sprzeczności. Bo przecie, cały zwrócony ku rzeczom dotykalnym, które były niezależne od mego istnienia czy nieistnienia, mam poczucie mojej władzy, biorącej się z wyboru: wykrawam 301

te a nie inne obrazy i układam. Jak Cendrars, niby to zdjęcia (Kodak), a właściwie kolaż zdań wziętych z powieści Gas-tona Le Rouge Dr Cornelius, czyli mimo troski o wierność szczegółom, dość dowolna ta Belle Époque. Mogłaby, odtworzona przez kogoś innego, być całkiem inna. Broniąc się, można odwołać się do Schopenhauera albo do Simone Weil: wobec przeszłości moja kontemplacja jest prawdziwa, to jest bezinteresowna, i w tym sensie zbliżam się do obiektywizmu, choć nigdy go nie osiągnę.

Mickiewicz pisząc Pana Tadeusza, czy był bezinteresowny? „Jedna już tylko jest kraina taka, / w której jest trochę szczęścia dla Polaka: / Kraj lat dziecinnych...” Może, żeby być sprawiedliwym, trzeba powiedzieć sobie, że pozwalając sobie na skok w przeszłość, na wspomnienie, Mickiewicz nie był bezinteresowny (cel: krzepić serca), a potem już był i szedł za swoją najgłębszą potrzebą?

Tylko że Pan Tadeusz jest baśnią, idyllą, upiększeniem. Litwa prawdziwa, ta na przykład z pamiętników Salomona Maimona czy z opisu podróży z Moskwy do Warszawy w 1813 roku pióra Johnstona, miała żydowskie miasteczka rojące się od nędzy, miała okrutnych ekonomów, ciemnotę chłopów, wioskowe kłusownicze machinacje, w których chodziło o skórki bobrowe i mięso łosi, niezliczone żywoty pokrecone, kalekie, czyli była zwyczajnym, jak to Ziemia, padołem łez. Kiedy myślę o epidemii tyfusu w naszym powiecie i o pogrzebach tamtej zimy, chyba 1919 roku, Dolina Issy, choć jest powieścią, nie reportażem, zyskuje dla mnie barwę baśniową. I całej literaturze gotów jestem wytoczyć proces o niedokładność.

\*\*\*\* Dobrze takim, którzy utrzymują, że żadnej obiektywnej, prawdy o rzeczywistości nie ma, że jej kalejdoskopowa zmienność pod naszym piórem odpowiada jedynej jej postaci nam dostępnej. Stoją na dość solidnym filozoficznym gruncie, niestety w praktyce dają do ręki broń tym, co uprawiają l'écriture, czyli rozprzegają rzeczywistość zmieniając ją w sen i pretekst jedynie dla słów. Bo jednak jest

302

różnica pomiędzy człowiekiem zwróconym ku swojemu wnętrzu i myśliwym, który ubolewa, że „dziki łabędź świata”, jak w wierszu Jeffersa, nie daje się upolować.

15 VI 1988

Wczoraj moje czytanie wierszy w Black Oaks Book-store z okazji ukazania się Collected Poems. Trudno pojąć, jak w dwóch pokojach księgarni stłoczyło się czterysta osób, tak oceniał liczbę zachwycony właściciel. Zupełnie panowałem nad publicznością, mógłbym czytać pół godziny dłużej. Czyli udany wieczór. Następnie długie podpisywanie książek, nie tylko tej nowej. Nawet parę moich książek polskich. Wprowadzał Leonard.

Straszność świata. Czytałem gdzieś o młodości Cezanne'a. Ten dopiero był na straszność wrażliwy, czego z późniejszych płócien nie odgadnąć. Jego wczesne malarstwo gwałtowne, obsesyjne, sarkastyczne, karykaturalne, wrogie wobec seksu. I trzeba przypomnieć, że seks, tak jak śmierć, wprowadza prawdziwy wymiar, bezlitosny, tam gdzie udaje się jako tako utrzymać złudne barwy łagodności. Myślę o markizie Brie-Serrant i jej córce z mego wiersza o miasteczku Pornic. „Pijani mężczyźni karali je za dumę”. Rozdzieranie siłą ud i pakowanie obrzydliwie obcego członka do dziewiczej waginy, zresztą los mnóstwa kobiet od millenniów. Ale i na odwrót, strach iluż młodzianków wobec zachłannej paszczy, może zębatej, żeńskiego seksu.

Kiedy patrzę na pająka-korsarza, który porusza się po V gładkiej posadzce na długich nogach, albo przypominam M sobie senny a złowrogi ruch skręcającej się żmii, myślę i o mojej śmierci. Opuścić tę ziemię, przeciąć moje z nią związki, jak to zrobić, ile mnie jeszcze czeka chorób i powolnego odpływu sił? Lepiej o straszności nie pisać i i zadowolić się tym, że odbijałem się niejako od niej, wbrew I niej wychwalając dotykalne formy, niby dojrzały Cezanne. |

303

26 VI 1988

Po podróży do Bend, Oregon, na festiwal muzyczny, z udziałem też poetów: Ursula le Guin, Leonard Nathan, Gerald Ramsey, Czesław Miłosz. Po Francji ulga szerokiej przestrzeni, słońca, łatwości poruszania się samochodem po prawie pustych autostradach. Śnieżne szczyty nad sosnowymi lasami. Jednak moja część amerykańska robi się coraz silniejsza-aja mieszkaniu w fcuropie przez czas -dłuższy myśleniechętnie. Miesiąc w Paryżu to już byjo 'Chyba za długo. Zresztą, lako że publicznego czytania wierszy zachodnia Europa prawie że nie zna, oceniam festiwal w Bend. Zamiast sali wielki namiot rozpięty w parku, nad rzeką. Publiczność zanadto chętna do śmiechu, oczekująca dowcipów, do czego moi koledzy dostosowują się sprawnie, co ileś lat temu drażniłoby mnie, ale teraz, już nie najeżony, jestem łagodniejszy i przez to sprawiedliwszy. Bo jest to dobra publiczność, nie robię ustępstw, czytam, co chcę, eliminując tylko wiersze za długie, i mam dobry odbiór. / Inność losów poezji w zachodniej Europie i w Ameryce. Mit kultury europejskiej każe amerykańskim poetom zazdrościć europejskim kolegom, podczas kiedy powinno być odwrotnie.

Ta kilkudniowa wyprawa była przede wszystkim radością oczu. Jednym rzutem Berkeley-Bend, ze śnieżnym Mount Shasta i obszarami łąk pod górskim pasmem na pograniczu Kalifornii i Oregonu.

Z powrotem dzień spędzony na górskich drogach - Mount Bachelor, Crater Lake, z dopiero topniejącym śniegiem i pierwszymi kwiatami wiosny, następnie obfite w ryby i wodne ptactwo Klamath Lake, nocleg w Klamath Falls, stamtąd Berkeley, ponad trzysta mil bez zmęczenia, prawie stale nastawiając automatyczną szybkość.

304

1 VII 1988

Tak więc wczoraj moje 77 urodziny. Carol przygotowała barbecue i siedzieliśmy w ogrodzie, spoza rodziny tylko Rózia. Nieskalany błękit nieba. Pogoda jak siedemdziesiąt lat temu w Sztejniach, kiedy miałem krzeselko oplecione kwiatami piwonii. Ze wszystkich moich urodzin (czy imienin) tamte najlepiej pamiętam, tamten czerwiec 1918 roku po naszym, repatriantów, powrocie z Rosji, a ściślej z Dorpatu, ale z przejazdem przez terytorium sowieckie.

Czytając wydaną przez Lindisfarne Press książkę Al-Kemi o René Schwallerze de Lubiczu, dowiaduję się o powodach zerwania O. Miłosza z tym, którego uważał za najbliższego przyjaciela, brata niemal, tak że aż ofiarował mu połowę swego nazwiska: Schwallerowi (Alzarczykowi) pozwolił dodać sobie „Lubicz”, czyli nazwę herbu Miłoszów. Należeli w 1919 do organizacji „Les Veilleurs”, założonej przez Schwallera, należał też do niej bliski przyjaciel Oskara, którego znałem, Carlos Larronde. Otóż organizacja była okultystyczna, ale politycznie o faszystowskich, rzeklibyśmy dzisiaj, inklinacjach, nawet z mundurami podobnymi do późniejszych mundurów SA. Zresztą okultystyczne powiązania hitleryzmu u jego początków są znane. Oskar nigdy później nie pozwalał mówić o „Les Veilleurs” ani o Schwallerze. Stracił przyjaciela z powodu prawicy, a później stracił Carlosa Larronde dlatego, że ten, działając jako reżyser w środowisku robotniczym, zaczął komunizować. Wybrani, ci, którzy wiedzą, jak uszczęśliwić społeczeństwo, prawica czy lewica. Silne zachcianki Oskara po I wojnie idące w tym kierunku zakończyły się, kiedy zrozumiał, że organizując wpada się w pułapkę. Był też inny ważny powód zerwania ze Schwallerem. Z tej książki Andre Vanderbroeck Al-Kemi, z której zresztą niewiele rozumiem, nie wynika, żeby Schwaller był chrześcijaninem, obchodziła go wyłącznie elitarna wiedza tajemna, a przecież Oskar był pisarzem religijnym i poczynając gdzieś od 1927 roku praktykującym katolikiem.

305

4 VII 1988

Jak dowiedziałem się w Bend, połowa ptaków drapieżnych (jastrzębie, sokoły, sowy) ginie w pierwszym roku życia, bo nie wyrabia w sobie zręczności potrzebnej do polowania. Dopiero po roku taki ptak jest wprawnym myśliwym, czyli posiada dane, żeby przetrwać. Pomyśleć, że naturalna selekcja odbywa się w danym gatunku od millenniów, a mimo to połowa młodych jest skazana na zagładę.

9 VII 1988

„Kiedy mieszkałeś u rodziców Janki”. Nic podobnego. Byliśmy wtedy, w latach wojny, bardzo ubodzy, ale jej rodzice byli jeszcze ubożsi i to my zaprosiliśmy ich, żeby z nami mieszkali. Najpierw były Dynasy. Pamiętne przez to, że tam we trójkę, Janka, ja, Andrzejewski, robiliśmy mój tom wierszy, pierwszy bodaj powielony tomik w okupacyjnej Warszawie. Pamiętne też przez wielką łapankę w całym śródmieściu, nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze, że do Oświęcimia. Beztroski, wracając z Andrzejewskim ze Stawiska, szedłem od EKD i w parę minut po moim wejściu do domu krzyki przed domem, brali wszystkich mężczyzn. Urbański, dozorca, stał przed domem i został wzięty. W parę miesięcy później Urbańska (mieli dwoje dzieci) dostała wiadomość o jego śmierci. To ci, co budowali Oświęcim. Gdybym wtedy tam trafił, nie myślę, żebym przeżył. Oboje Urbańscy są dotychczas w mojej pamięci przez ich proletariacką ponurość i wrogość klasową wobec uprzywilejowanych. Oraz nasze wobec niej współczucie.

Następnie Dynasy znalazły się w dzielnicy niemieckiej i trzeba było się wyprowadzić. Na Mazowiecką, róg Kredytowej czy Kredytową, róg Mazowieckiej, do Antoniego Bohdziewicza, wileńsko-paryskiego, ongiś pierwszego spikera w nowo założonym Polskim Radiu w Wilnie,

306

następnie filmowca ze Startu i reżysera radiowego, czyli kolegi mego i Janki. Był to ultranowoczesny dom, dopiero wykańczany, kiedy wybuchła wojna. Wynajmowaliśmy od

Antoniego jeden pokój, obok dużej pracowni fotograficznej etc. Tam różne, podziemne też, sprawy. Obok kawiarnia Arria, czyli „U aktorek”, gdzie Antoni pracował jako barman, stąd nasze przywileje alkoholowe. Na dwóch fortepianach grali tam Lutosławski i Panufnik. Antoni był pedant, kiedy zalegaliśmy parę dni z komornym, wsuwał przez szparę pod drzwiami upomnienie.

W czerwcu 1941 roku, kiedy Hitler uderzył na Rosję, w Warszawie znalazło się dużo pustych mieszkań, opróżnionych przez wojsko. Przez stosunki w Magistracie, to jest na odpowiednie polecenie nieoficjalnej hierarchii, dostałem mieszkanie w Alei Niepodległości. Trzy pokoje z kuchnią, widok na pola. Za polami Forty~Mokotowskie. I od 1941 do 1944 niejaki obcowanie z przyrodą, spacer. Janka ostatniego lata wyhodowała muchołówkę, która wypadła z gniazda, karmiąc ją muchami (Janka umiała je łapać w powietrzu, czego ja nie umiałem). Ale muchołówka i jaskółka, też mieliśmy, nie potrafią same polować, jeżeli nie nauczą się od rodziców. I wreszcie wypuściliśmy muchołówkę w ogrodach Politechniki. Duża i tłusta, zachowywała się jak pisklą, trzępiąc skrzydłami, i rzeczywiście, inne muchołówki zaczęły ją karmić. Działo się to na dzień czy dwa przed wybuchem powstania, w miejscu, gdzie miały toczyć się gwałtowne walki. Co do Alei Niepodległości, to była nie tylko idylliczna. Obok łapanek, rozstrzeliwanie ludzi, a następnie podczas powstania ten dom jako pierwszy od pół rozbity przez artylerię.

10 VII 1988

Zakładam, że nic nie wiem, co z mojej poezji i prozy będzie cenione. Dostaję listy od czytelników, którzy opowiadają, jak ważną w ich życiu odegrałem rolę. Lisły są z Polski i z Ameryki, od czytających mnie po angielsku.

307

(Osobliwością są listy z Niemiec: 99 procent to prośby o autograf.) Przyjemnie jest dowiadywać się, że się komuś pomogło i że jest się dla kogoś kimś bliskim i ważnym. Jednak nigdy nie odgadnę, jaki naprawdę jest ten odbiór, i zawsze mogę podejrzewać tak radykalne przekształcenie tekstu wedle własnych potrzeb, że sam bym moich intencji nie rozpoznał.

Myśl o własnej śmierci jest zawsze myślą o zbawieniu albo potępieniu, ja przynajmniej nie umiem inaczej. Przybiera to kształt konkretnych osób, które pozostały dla mnie wzorem cnót i dlatego powinny być zbawione. Mamy skłonność powoływać się na nasze artystyczne zasługi, ale po chwili refleksji uznajemy, że niewiele one znaczą. Znaczą, jeżeli zgodzimy się, że zły człowiek nie zdoła stworzyć naprawdę wybitnego dzieła, a więc, że doskonałość artystycznej realizacji świadczy pośrednio o zwyczajnych ukrytych ludzkich zaletach jego twórcy.

J1YUJS88

List o podróży po Litwie:

„Drewniany kościół w osadzie Sventybrastis istnieje nadal. Ostatnio został on zaliczony do zabytków architektonicznych. W każdą niedzielę o godzinie 14 odbywa się w nim msza święta. Kościół odmalowany jest na kolor żółty, cmentarz wygląda schludnie, choć niektóre stare polskie krzyże pochylały się mocno. W plebanii znajduje się szkoła. Nie ma w niej jednak klas początkowych, ponieważ cała ta wieś skazana jest na wymarcie. Ostatnie dziecko urodziło się w Sventybrastis w 1978 roku. Wszyscy młodzi różnymi sposobami przenoszą się do miasta. W Kiejdanach jednak (liczących obecnie 50 tys. mieszkańców) nie ma też raj. Wybudowano tam wielkie zakłady chemiczne, które zatrują całą okolicę. Świeże mleko nie nadaje się do picia, a warzywa do jedzenia. Wielkie jest tu stężenie dwutlenku siarki i tlenu azotu, które powodują tzw. »kwaśne deszcze«. Rzeka Niewiaża nie jest już rzeką,

308

w której rozwija się życie biologiczne. Jest to po prostu koryto płynącego błota... Szetajnie też się rozbudowały, tylko można o nich powiedzieć, że pod względem ekologicznym nie różnią się zbyt od Kiejdan”.

16 Vn 1988

Trzeba błogosławić dar umysłowej aktywności. Nawet jeżeli wiersze pisane w tym roku są ciemnej tonacji, za ciemne, żebym z czystym sumieniem chciał je drukować, to jednak są, i to już coś, zważywszy, że poezja zwykła była nawiedzać dwudziestolatków, trzydziestolatków, nie kojarzona z wiekiem dojrzałym, a tym bardziej starością. Wiersze czy proza, rano czuję to samo podniecenie na

myśl, że będę mógł zasiąść do biurka, tak jak w dzieciństwie myśląc, że zaraz pobiegnę do ogrodu na całodzienne hasanie.

21 VII 1988

W Henrykowie, u przeorowskiej

Największą stratą, jaką poniosłem mieszkając dziesiątki A, lat za granicą, był brak teatru. W Ameryce teatr nie istnieje. Nie istnieje dla mnie - czy i w jakim stopniu istnieje dla innych, nie podejmuję się orzekać. Widziałem różne przedstawienia, które jednak zostawiły mnie obojętnym, jak bym ich wcale nie widział. Ale niemal to samo stosuje się do teatrów w Paryżu, skąd jako plon zebrałem tylko trzy wieczory: przed wojną sztukę Pirandella z Ludmiłą Pitoeff, ściślej, jedną scenę, kiedy bohaterce zmieniają charakterystykę, tak że w kilka minut z młodej dziewczyny staje się starą kobietą; po wojnie Czekając na Godota - ale chyba głównie z powodu mego oburzenia na publiczność reagującą tylko śmiechem, i wreszcie Kaukaskie koło kredowe Brechta, z powodu rytmu, w którym findowana jest

309

długa podróż pieszo. Dodałbym może występ opery chińskiej z Pekinu. Teatr dla mnie to przede wszystkim język, czy też, żeby być dokładniejszym, to, co stanowi jego tło, co mu towarzyszy. Jeżeli mowa jest obca, nie moja, wolę sam ruch na scenie, ale to nie dosyć. Tak więc życie pozbawione teatru i zamiast niego kino.

Jestem rówieśnikiem kina. Od migających obrazków z niemieckimi napisami w Dorpacie 1918 roku, od filmów niemych w Wilnie z burzliwym akompaniamentem fortepianu i skrzypiec w momentach dramatycznych („Łysy, graj!” z galerii), do wyrafinowane-nihilistycznych produktów lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wzruszałem się nieszczęściami Mary Pickford, Lillian Gish, Silvii Sidney, kochałem się w Grecie Garbo, dokonywałem niezwykłych czynów z Douglasem Fairbanksem (Złodziej z Bagdadu), śmiałem się z Bustera Keatona i Chaplina. Wchłaniałem potężne dawki melodramatu i kiczu. Bo tak, film był przede wszystkim melodramatem i kiczem. Przyszedł do nas nie proszony, nie zapowiedziany żadną teorią, plebejska rozrywka, której cichcem, trochę się wstydząc, oddawali się też wykształceni. Analogie z początkami powieści są zbyt wyraźne, żeby o tym nie myśleć. Powieść tak samo pojawiła się jako „prawdziwe przygody”, jako sentymentalny romans, jako odmiana jarmarcznych baśni o rycerzach i smokach. Co prawda jeden z ojców powieści, Cervantes, już pisał Don Kichota jako parodię romansu rycerskiego.

22 VII 1988

Mimo skromnych początków, tak że jeszcze około roku 1800 nie zaliczano powieści do gatunków szacownych, jak poezja liryczna, epos i tragedia, powieść szybko urosła i stała się „zwierciadłem” obyczajów, psychologii ludzkiej, idei krążących w społeczeństwie, a nawet służyła dyspacie filozoficznej i teologicznej. Powstaje pytanie, czy film tak właśnie się rozwija, od niepoważności do powagi, nie tylko

310

rywalizując z powieścią, wchodząc nawet na jej miejsce, czyli poruszając wszelkie problemy zaprzętające moich współczesnych.

Nicola Chiaromonte twierdził, że analogia jest mylna. Próbuje odtworzyć sobie te rozmowy przy stole w wiosce Bocca di Magra (czyli ujście rzeki Magra) koło Carrary, latem 1963 roku. Dużo czerwonego wina. Jazdy całego naszego towarzystwa motorówką do zatoki białych marmurowych skał, gdzie wspaniałe pływanie. I te dyskusje - Nicola, jego żona Miriam, Mary McCarthy, Janka, ja. Chiaromonte jest jedną z tych postaci bohaterskich dwudziestego wieku, które muszą być zapomniane, żeby tym większą była ich chwała kiedyś, kiedy winy i zasługi będą sprawiedliwie rozdzielone. Był intelektualistą o umyśle prawym, niezależnym, znał się na ustrojach totalitarnych, przeciwko którym walczył: przeciwko faszystom w swojej ojczyźnie, Italii; przeciwko Franco w Hiszpanii jako lotnik dywizjonu Malraux (czytający Platona); przeciwko sowieckiemu komunizmowi po wojnie jako współredaktor (z Ignazio Silone) pisma „Tempo Presente”. Nazwisko jego trafiło do mnie, kiedy podczas mego pierwszego pobytu w Ameryce czytałem z uznaniem jego eseje w „The Partisan Review” i w „Politics”. Tak więc Nicola, ceniony wtedy w Rzymie jako



krytyk teatralny, argumentował przy winie, że ambicje reżyserów filmowych - Fellini, Antonioni na przykład - nie są na miarę ich umysłowego przygotowania, że próbując dorównać wielkim pisarzom dziewiętnastego wieku odsłaniają swoje ubóstwo myślowe i podatność na społeczne cliches. Przypominają mi się jego surowe sądy, ilekroć idę do kina z nadzieją nakarmienia i oczu, i umysłu, po to tylko, żeby później wyjść na ulicę z niesmakiem, wstydem albo wręcz furiją. Taka wspaniała technika, taka umiejętność pięknych zdjęć i takie nic? Można nawet myśleć, że w samym tym medium, wskutek konieczności prowadzenia akcji, bez czego widz usypia, tkwi demaskacja chwytów powieści, które jakoś przykro obnażają się, podczas kiedy pisarz, jako że pracuje w materiale słownym, ma wiele innych sposobów przykucia uwagi

311

czytelników. Tak czy inaczej, postacie i ich wzajemne odniesienia tracą swoją wielowymiarowość. Słowa, jeżeli już na nich reżyser próbuje się oprzeć, raz wymówione przepadają razem z upływającą minutą, nie są przed oczami jak w książce. Czy też odpowiedzialność za mizerne wyniki da się przerzucić na presję - finansowe, społeczne, na charakter danej cywilizacji, albo na selekcję, artystycznie biorąc in minus, typu ludzkiego nadającego się na reżysera, który musi być zanadto człowiekiem czynu, politykiem, finansistą, żeby lubił go Muzy.

23 VII 1988

Ale - powie ktoś - film wydał arcydzieła. To prawda. Możliwe jednak, że są to arcydzieła właściwe jedynie dla niego, zamknięte w nim i nieprzetłumaczalne na te myśli i odczucia, które stanowiły siłę powieści w jej wieku dojrzałym. Zdarzały się wyjątki, niemniej widz taki jak ja ma ciągle poczucie nieskończonych nieomal możliwości filmu, dotychczas nie zrealizowanych. I być może główna rola kina w tym stuleciu polegała na tym, że jego ujęcia i sposoby wspaniale zapładniały literaturę, poezję i prozę, a także malarstwo.

Układałem w wyobraźni swoje własne filmy, nie kwapiąc się do pisania scenariuszów. Jeden film właśnie oglądałem na moim prywatnym ekranie. Występują w nim osoby znane nie tylko mnie z imienia i nazwiska.

Leon Schiller. Wtedy, kiedy spotykałem się z nim, z Jaraczem, z Edmundem Wiercińskim, z Bohdanem Korzeniewskim, mieszkał na którymś wysokim piętrze Prudentialu i słynął ze swoich rozległych lektur, niezwykłych nawet jak na dużo czytającą okupacyjną Warszawę. Po prostu potrzebował nie więcej niż cztery godziny snu, i resztę nocy mógł więc poświęcić czytaniu.

Ukazywał się \nam, o ileż młodszym, z całą swoją przeszłością reżysera - i piosenkarza. Zasiadał do pianina i śpiewał piosenki

312

kabaretowe Młodej Polski, których, gdyby nie tamte wieczorne zebrania, nigdy bym nie usłyszał. Mimo wysiłków nie umiem sobie przypomnieć, gdzie się to odbywało. Ale słyszę wyraźnie: Wiatr za szybami śmieje się, Psiakrew, to życie takie złe. Nie, już nie będę więcej pić. Jutro inaczej zacznę żyć.

Albo z innej piosenki, bardzo ciepłej i serdecznej, co prawda tylko początek:

Moja kochanka jest taka brzydka, Ząbki spróchniały...

Prawie pewność, że piosenkarstwo Młodej Polski wywodziło się przede wszystkim z Paryża, zawdzięczam uczestnictwu w tych sesjach z Schillerem, niekiedy Teofilem Trzczańskim. Schiller mieszkał przecie w Paryżu w latach 1907-1909, ponownie w 1910-1911, kiedy należał do Towarzystwa Artystów Polskich przy rue Denfert-Roche-reau (tak jak Oskar Miłosz).

Legendarna postać w historii polskiego teatru, Schiller T jako reżyser i jako teoretyk teatru wymyka się zobaczeniu, nie wtedy jednak, kiedy zasiadał do pianina i śpiewał. Teksty i nuty chyba można odnaleźć, choć jego zbiory spaliły się z jego mieszkaniem w Warszawie. Był to mężczyzna niewysoki, z dużą głową, ociężałej, nieco atletycznej budowy, ciemnoskóry brunet z niebieskimi oczami. Wydawał mi się bardzo leciwy, nie miał sześćdziesiątki, ale należał do tych, którzy wyglądają starzej niż ich lata.

Schiller swoje tajemnice zabrał ze sobą, bo nie myślę, \ żeby gdzieś został utrwalony ich ślad. A był tak wiele- ) wymiarowy, że jakiegokolwiek przyrządzanie go na modłę filmową musiałoby go strywializować.

Henryków. Podziemne życie teatralne Warszawy dzieli się na dwie części: przed zastrzeleniem Igo Szyma i po tym akcie, kiedy to Schiller i Jaracz zostali aresztowani

31.1

(1941) i posłani do Oświęcimia. Po kilku miesiącach wydobyto ich stamtąd z wielkim trudem. Niedawno na lotnisku Charles de Gaulle kupiłem książkę *De écrivains et des artistes sous l'occupation (1940-1944)*, autorzy: Gilles Ragache i Jean-Robert Ragache, i czytając ją doszedłem jeszcze raz do wniosku, że niemiecka okupacja Francji różniła się zasadniczo od metod niemieckich w Polsce. Tłumaczy to chyba niemiecki kompleks niższości wobec kultury francuskiej i zupełna pogarda wobec „podludzi” na wschód od Niemiec. Ale także inne zachowanie się Polaków i Francuzów. Koncesja na prowadzenie teatrów, którą otrzymał Igo Szym, nie byłaby we Francji niczym szczególnym, ale w Polsce został zastrzelony jako zdrajca, bo ogłosił się *Reichsdeutschem* (pochodził z Austrii) i jako demoralizator aktorów, namawiający ich do kolaboracji, tj. do grania w teatrze koncesjonowanym przez władze okupacyjne. Kto go zastrzelił, dotychczas nie wiadomo, Niemcy ścigali Dobiesława Damięckiego, który wraz z żoną, Ireną Górską-Damięką, musiał uciekać z Warszawy i zmienić nazwisko. Po zamachu na Szyma ustały prawie próby założenia oficjalnego teatru, wyłomy zaczęły się później, zwłaszcza przy samym końcu okupacji. Aktorzy pracowali głównie jako kelnerzy i kelnerki (np. wytworna kawiarnia *Arria* przy Mazowieckiej, zwana „U aktorek”). Czytanie nowych sztuk, oryginalnych i przekładów, odbywało się w prywatnych mieszkaniach, gdzie urządzano też sporo przedstawień teatralnych. Podziemna Rada Teatralna czuwała nad tym wszystkim, wyrokowała, co wolno, przygotowywała repertuar na po wojnie, zamawiała przekłady sztuk, opracowywała plany organizacji teatrów, a decydujący głos w niej miał Leon Schiller, choć działali głównie Edmund Wierciński i Bohdan Korzeniewski. Nie od razu w Polsce zdano sobie sprawę z niemieckich eksterminacyjnych zamiarów i wielu z początku sądziło, że jest to zwyczajna okupacja przez wojska zwycięskie w wojnie. Tym na przykład tłumaczy się rejestrowanie się w odpowiednim niemieckim urzędzie dla wykonywania różnych wolnych zawodów, w tym zawodu literata. W na-

314

szym środowisku doradzał rejestrować się Ferdynand Goetel i niektórzy ulegli jego namowom, wśród nich na przykład Jerzy Zagórski. Jerzy Andrzejewski i ja byliśmy przeciw, ale lojalnie muszę stwierdzić, że łudzenie się wtedy, w 1940 roku, było jeszcze możliwe.

To bodaj Jerzy Andrzejewski, z którym widywaliśmy się często, powiedział pewnego zimowego dnia przed Bożym Narodzeniem 1942 roku, że jesteście zaproszeni do Henrykowa do zakonnicy na przedstawienie *Pastorałki Schillera*, które przygotował sam Schiller. Nie wiedziałem, co to Henryków, okazało się, że za Wisłą, gdzieś na północny wschód, nigdy nie byłem w tamtych okolicach. Zakonnice benedyktyнки miały tam klasztor i zakład dla małoletnich przestępczyń, głównie prostytutek, zgarnianych przez granatową policję na ulicach Warszawy.

25 VII 1988

Podróż więc do Henrykowa. Najpierw Janka i ja tramwajem z naszego przystanku przy rogu Alei Niepodległości i Rakowieckiej do śródmieścia, tam spotkanie z Jerzym i tramwajem przez most Kierbedzia na Pragę. Szarość miasta pod okupacją, szarość mokrej zimy, zatłoczony tramwaj, w którym pierwszy wagon jest tylko dla Niemców, na wpół wiszenie. Z Pragi podmiejska kolejka. Nic z niej nie pamiętam, tyle że już spotkaliśmy znajomych jadących w tym samym celu. Nie pamiętam też nic z Henrykowa, aż do chwili, kiedy wprowadzono nas chyba do kaplicy, w której stały rzędy niskich ławek, mieściła się na nich publiczność, około setki osób, twarze przeważnie dobrze znane, bo aktorzy, literaci, malarze, ludzie uniwersyteccy.

/" Stanisława Umińską, ^Cofnijmy się w czasie. Miasto Warszawa we wczesnych latach dwudziestych jesl trudne do umieszczenia w wyobraźni, chyba głównie dlatego, że era sprzed pierwszej wojny, długo i powoli

313

przyrastająca, nadal wtedy jeszcze trwa, ale już ustępuje miejsca modom i obyczajom nowej ery. Kaszkiety, dużo kaszkietów, jako znamie" klas niższych, kapelusze, niezbędny rekwizyt klas wyższych (nikt nie odważyłby się wyjść na ulicę z gołą głową), płaskie, czarne denka pobożnych

Żydów w długich chałatach, kobiety już wyzwolone z gorsetów, ale jeszcze dziewiętnastowieczne, na ulicach ciągnięte przez konie wozy ciężarowe, dorożki konne, samochody. I na pewno w powietrzu triumf odzyskanej wbrew prawdopodobieństwu niepodległości, pewność siebie wskutek wygranej wojny z Rosją 1920 roku (ileż Polakom zdarzało się wygranych wojen?), razem z nędzą robotniczych dzielnic i bezrobociem, krzyki sprzedawców gazet o sensacyjnych nagłówkach, wzajemnymi wymyślaniami sobie stronnictw w Sejmie, częstymi dymisjami rządu. Zdjęcia z ówczesnego Londynu, Nowego Jorku, mogą pomóc, bo przecież wszystkie większe miasta łączy w każdej dekadzie wspólny im duch czasu. Szczególnym rysem Warszawy było chyba przekształcenie się miasta „zachodniej Rosji” z silnymi prowincjonalnymi pozostałościami, w stolicę kraju. Kawiarnie, redakcje pism, teatry, dużo teatru, poeci recytujący na estradach, już sławni, choć tak młodzi, zaledwie dwudziestokilkuletni, jakby na znak, że wszystko się zaczyna, a tamto, literatura, sztuka, moda, oddzielona od dnia dzisiejszego przez hiatus wojny, jest starzyzną odesłaną do muzeum na zawsze.

26 VII 1988

Co znaczyło wtedy być młodą i zdolną aktorką? Stanisława Umińska szybko się wybiła. Jej sławną rolą była rola Pucka w Śnie nocy letniej Szekspira. Podobno był to Puck wyjątkowo dobrze zagrany. A do tego trzeba wdzięku, chłopięcej urody, lekkości skoku. „Wiadomości Literackie” z 15 czerwca 1924 roku dają jej dużą fotografię z opisem: „jedna z najwspanialszych i najciekawszych artystek młodego pokolenia, świetna odtwórczyni Consueli

316

(Ten, którego biją po twarzy), Lidii (To co najważniejsze), osiągnęła nowe sukcesy inteligentną, skupioną grą w roli Berty (Świerszcz za kominem)”.

Można się domyślać, że tę pochwałę redaktor umieścił, ponieważ był świadomy związku Umińskiej ze współpracownikiem „Wiadomości” Janem Żyznowskim i wyjazdu obojga do Paryża na jego leczenie. O Żyznowskim czytam w Słowniku współczesnych pisarzy polskich: „Ur. 15 czerwca 1889 roku w Warszawie, w rodzinie ziemiańskiej. Syn Antoniego Żyznowskiego i Michaliny z Jamiółow-skich. Na parę lat przed pierwszą wojną światową pojechał do Paryża w celu uzupełnienia studiów literackich i malarskich. W chwili wybuchu wojny przebywał w Paryżu i jako jeden z pierwszych w polskiej kolonii zaciągnął się do Legionu Bajończyków. Po jego rozwiązaniu w 1915 wyjechał do Rosji i pracował w dzienniku »Głos Polski« w Petersburgu. Po powrocie do kraju brał udział w wojnie 1920 roku. Po zdemobilizowaniu został kierownikiem działu krytyki artystycznej w pismach: »Rzeczypospolita«, »Tygodnik Ilustrowany« i »Pani«. Przez parę miesięcy w 1924 prowadził dział recenzji z wystaw plastycznych w »Wiadomościach Literackich«. Ciężko chory na raka wyjechał na kurację radową do Paryża. Zastrzelony na własną prośbę przez narzeczoną, aktorkę teatralną, Stanisławę Umińską, zmarł 15 lipca 1924 roku w Paryżu”.

28 VII 1988

Paryż 1924 roku pozostaje zawsze dla mnie zagadką z przyczyny artystycznego tam wybuchu. Przecie upłynęło zaledwie kilka lat od wielkiej rzezi i ulicami chodzili ludzie, którzy nie tak dawno przebywali w pieklach Verdun czy bitew nad Sommą. Zdawałoby się, że po takim zstąpieniu w otchłań ogólny ton myśli, sztuki, literatury powinien być mroczny. I był taki w sąsiednich Niemczech, ale też w Anglii, która straciła znaczną część swojej młodej elity. Do ówczesnych tam nastrojów dobrze pasowała Ziemia

317

jałowa T.S. Eliota, poemat bądź co bądź satyryczny i katastroficzny. A Francja, gdzie każde małe miasteczko wystawiało pomnik z nazwiskami poległych, nieraz liczącymi dwie trzecie jego mężczyzn, przewodziła obiegającym planetę prądom euforii i raz jeszcze przyciągała wszystkich entuzjastów przewrotu w malarstwie i literaturze. Była to pora „ekspatriacji” również amerykańskich pisarzy i artystów, z których dużej liczby najbardziej zasłynęli Hemingway i Gertrudę Stein. Lata szczytowe Montparnassu i jego kawiarni - nie tyle Closerie des Lilas, która swój szczyt miała przed 1914, ile La Rotonde i La Coupole z ich wyplatany krzesłami na całą szerokość chodnika i kosmopolitycznym tłumem, ale nie turystów jak w Paryżu późniejszym, co stwarza zasadniczą różnicę aury.

W tym euforycznym Paryżu ich dwoje, Żyznowski i Umińska. Na tarasie La Coupole, sącząc Uubonnet Tpairząc na Tewię przechodniów. Pomyśleć, że nigdy, po wieki wieczne, nie będzie wiadomo, o czym rozmawiali i jak kształtowała się ich decyzja. Przyjechali szukać u lekarzy nadziei. Kiedy jej zabrakło, pozostała wierna miłość kobiety, nie cofająca się przed aktem pomocy, wyręczenia, który musiał ją przerażać. I zaraz gazety paryskie pełne sensacji dokładnie takiej, jakiej oczekiwało miasto codziennych awantur modernistycznej bohemy: aktorka zastrzeliła kochanka. 29 VII 1988

Sensacją także był jej proces. Twarze francuskiego jury, obrady - czy można przeniknąć za drzwi zamknięte? Historia była wzruszająca i musiała trafiać do serc, zwłaszcza kobiet, mimo że oskarżona należała do niewłaściwej narodowości. Miasteczka północnej Francji roiły się wtedy od Polaków przyjeżdżających pracować w kopalniach i fabrykach, często prosto ze wsi i niekoniecznie uważanych za przynależnych do białej rasy, raczej za tych cudzoziemców, którymi straszy się dzieci, takich jak póź-

318

niej Algierczycy. W kronice kryminalnej Polacy byli głównymi sprawcami kradzieży i morderstw, toteż przyjęło się wyrażenie *les bandits polonais*.

Tym większą sensacją było orzeczenie jury: niewinna. Znaczyło to nie tylko, że zabójstwo bywa niekiedy niezawinione, także chyba, że zabójstwo dla skrócenia (w tym wypadku raczej uniknięcia) czyichś cierpień nie powinno być karane.

Możliwe, że Ujnińska<sup>^</sup>szukając przede wszystkim ano-nimatu, uciekając od ludzkich oczu i języków, znalazła schronienie gdzieś we Francji, możliwe, że zaraz wróciła do Polski. W każdym razie nie do teatru. Ten rozdział swego życia uznała za skończony. Wstąpiła do klasztoru-Można rozmaicie tłumaczyć tę jej decyzję i wszelkie tłumaczenia będą oparte na domysłach. W tradycji katolickiego kraju klasztor był schronieniem kobiet niezamężnych, których przynależność do tej kategorii miała różne powody, rodzinne, finansowe, osobiste, niekoniecznie więc powołanie.

„Wstąpienie do klasztoru” stało się też synonimem ucieczki od świata po jakimś osobistym dramacie. Umińska mogła ulegać pewnej tradycji, a klasztor dawał jej anoni-mat przybranego imienia, na którym jej zależało. Wolno też się domyślać, że wybierając klasztorną dysyplinę, wymierzała sobie karę za czyn, którego nie mogła sobie wybaczyć, albo za zaniechanie, za to, że sama nie towarzyszyła Żyznowskiemu w śmierci. Najtrudniej oczywiście snuć przypuszczenia co do rodzaju jej wiary religijnej i daru modlitwy. Nie należy przy tym zapominać, że nasze życie wewnętrzne nie jest nigdy statyczne, że każdy miesiąc i rok wprowadza zmiany, że więc jedne nasze cechy ulegają atrofii, inne się rozwijają.

W ciągu wielu lat spędzonych w klasztorze Umińska, jak to dzieje się ze wszystkimi zakonnicami, musiała równocześnie poruszać się w kierunku pionowym i poziomym. Ten pierwszy określa dzieje ludzkiej duszy w samotnej kontemplacji i dążeniu do Boga, ten drugi dotyczy codziennych spraw zamkniętej zakonnej wspólnoty, a więc licznych i wielorakich stosunków z siostrami. Osobowość 319

wtedy kształtuje się w nieuniknionym ścieraniu się charakterów. Nie mogło to być dla Umińskiej łatwe, bo bardzo się od swojego nowego otoczenia różniła, górując chyba poziomem umysłowym, a przede wszystkim, mimo młodego wieku, doświadczeniem, które dały jej teatr, miłość, osobista tragedia. Dostosowanie więc było w pierwszym rzędzie kwestią pokory, czyli pracy nad poskromieniem swojej odrębności. Mogła jej w tym pomagać także umiejętność wczucia się w różne role. Tak czy owak,, stała się zakonnicą wzorową, cenioną przez zakon za swoją pobożność, takt i życzliwość wobec bliźnich. W 1942 roku była przeoryszą klasztoru w Henrykowie.

Czy w ciągu swoich lat zakonnych całkowicie zerwała ze środowiskiem teatralnym, czy też przeciwnie, utrzymywała niektóre przyjaźnie albo przynajmniej śledziła, co w teatrze się dzieje, nie wiemy. Kiedy jednak po wykupieniu z Oświęcimia Schiller został przez nią zaproszony do Henrykowa, rozmowy z nim były pewnie dla niej nie lada świętem. Należałoby wyjaśnić, jak do tego doszło, czyja była inicjatywa, jego, jej, czy też przyjaciół szukających dla niego bezpiecznego miejsca, zwłaszcza po kilku miesiącach oświęcimskiej kaźni.

Schiller i klasztor, to się nie zgadzało. Choć wtedy w okupacyjnej Warszawie dawne podziały mniej

były wyraźne i przeszłość Schillera mniej się liczyła niż fakt, że był główną postacią polskiego teatru. Przed wojną miał opinię lewicowca, ale ja na przykład dopiero nagrywając wywiady z Aleksandrem Watem dowiedziałem się, jak bardzo Schiller był zaangażowany. Dawał on przecież pieniądze na komunistyczny „Miesięcznik Literacki” i nie wszedł do redakcji tylko z powodów taktycznych. Wiele zebrań sympatyków komunizmu odbywało się w jego (wytwornym) mieszkaniu. Że Schiller był przekonanym komunistą, nie może ulegać wątpliwości, „salonowym komunistą”, jeżeli kto woli, bo przecie wartość jego dla partii polegała wyłącznie na polityzacji teatru, to był jego język, w nim się wypowiadał. Był przedmiotem napaści w prasie prawicowej i od czasu do czasu tracił teatry.

320

Kiedy po wojnie wstąpił do PPR i jako kandydat do Sejmu napisał w 1946 roku swoją autobiografię, dużo o tych prześladowaniach mówi, nie wspomina jednak o typowych polskich układach, to znaczy swoich przyjaźniach z dygnitarzami rządu, które go jakoś chroniły. Nie ma też oczywiście ani wzmianki o jego stosunku do religii, choć teoretyk i praktyk „teatru ogromnego”, reżyser Dziadów, Nie-Boskiej, Snu srebrnego Salomei nie mógł o tych sprawach nie myśleć. W Henrykowie Umińska dała do jego dyspozycji swoje małe prostytutki jako surowy materiał aktorski i w ten sposób Schiller mógł wprawiać swoją reżyserską rękę. Jednakże jego pobyty w klasztorze (w 1943 przeniósł się tam na stałe) nie sprowadzały się do tego. „Został wówczas oblatem benedyktyńskim, przybierając imię zakonne Ar-dalion” - podaje Słownik biograficzny teatru polskiego (PWN 1972). Oblat to osoba świecka stosująca się do reguł życia zakonnego, nie składająca jednak ślubów. Reguły zakonne obejmują stały udział w Eucharystii, czyli Schiller stał się wtedy praktykującym katolikiem. Możliwe są różne hipotezy. Nastąpił w nim przełom w sytuacji skrajnej, to jest w Oświęcimiu. Nawróciła go Stanisława Umińska. Czy też niezależnie od swego antyklerykalizmu nabytego za młodu w klerykalnym Krakowie, ten człowiek olśniewający erudycją i inteligencją był dostatecznie bogaty, żeby zawsze przebywać na kilku poziomach równocześnie, godząc swoją rewolucyjność z sekretnym doświadczeniem religijnym. Może zawodziła mnie moja intuicja, ale wyczuwałem u Schillera dużą wewnętrzną koncentrację, jakiś rdzeń nie odsłaniany nikomu, jak to bywa u ludzi o skłonnościach mistyków. Nikt, o ile wiem, nie próbował o tym drugim Schillerze pisać. Na krótko przed powstaniem wrócił z Henrykowa do Warszawy, wywieziony po powstaniu do Niemiec zorganizował tam zaraz po końcu wojny teatr dla Polaków, pod patronatem YMCA, następnie w Polsce Ludowej działał wszechstronnie a skutecznie jako zasłużony rewolucjonista i członek partii, poseł na Sejm, nie mogło więc być mowy o jakichś jego prywatnych

321

odchyleniach. Na ogół była o nim opinia w latach stalinowskich, że działając z głębokiego przekonania posuwał się w gorliwości dalej, niż należało, dalej niż chciała partia. Tym niemniej nie zdziwiło mnie jakoś, kiedy usłyszałem od Wata, że ten dogmatyczny komunistą w dzień, w nocy leżał pokutnie przed krucyfiksem.

30 VII 1988

Pastorałka. „Ona ma wejście wielkiej aktorki”, powiedział Jerzy, kiedy przeorysza wkraczała na salę ze swoimi zakonnkami, żeby zająć pierwsze rzędy w ławkach. Wyraził w ten sposób to, co czuliśmy wszyscy: respekt dla jej, ciągle jeszcze, urody i dostojności.

Pastorałki nie znałem. Schiller ułożył ludowe kolędy i piosenki jako Szopkę staropolską w 1919 roku, następnie już jako Pastorałkę wystawił w 1922 roku w „Reducie”. Te informacje podaję teraz, nie wydaje mi się, że wtedy nimi rozporządzałem, najwyżej coś obilo mi się o uszy.

I oto nie grecka tragedia, nie dzieło Szekspira, nie dramat romantyczny dały mi najsilniejsze przeżycie teatralne mego życia, ale widowisko ludowe, szopka, jasełka, odegrane przez biedne dziewczęta z warszawskiej ulicy, które nigdy nie były w teatrze. Z pewnością, polskie kolędy mają w sobie coś szczególnie uroczonego, rzewność, kordialność, humor, które w tych proporcjach nie pojawiają się w żadnych bożonarodzeniowych pieśniach, i być może w nich trzeba szukać samej istoty polskiej poezji. Moja podatność na to przedstawienie może się tłumaczyć osłuchaniem z kolędami od dziecka, ale też tak tylko właśnie działa teatr, apelując do tego, co najbardziej dla nas

swojskie, swoje i najgłębiej tkwiące w rytmach naszego języka. Rzec tedy można, że przyczyną moich późniejszych złych stosunków z teatrem za granicą były obce mnie intonacje.

W szopce, jak zresztą kiedyś w Grecji, akcja niczym nie zaskakuje, bo z góry jest dana, umiana na pamięć. Także

322

postacie są gotowe i wszystko rozgrywa się pomiędy/.y: pomiędzy postacią i jej wcieleniem przez aktora, pomiędy/.y tekstem i wykonaniem, w mowie, w śpiewie, w tańcu.

Matka Boska była ubrana oczywiście na niebiesko, nieduża, prawie dziecinna, szczupła, jasnowłosa. Ukazywała się na tle wielowiekowej tradycji tak właśnie ją przedstawiającej w malarstwie czy w polichromowanej rzeźbie, choć istniała i tradycja inna, Madonny o oliwkowej skórze, czarnookiej i czarnowłosej. Reżyser wybrał ją bezbłędnie, być może ze względu na jej głos. Był to malutki, mysi głosik, od którego, kiedy śpiewała, dławilo mnie w gardle ze wzruszenia. Uczestniczyłem w misterium, równocześnie odsłaniającym esencję teatru. Tą esencją jest chyba ludzka możliwość bycia kim innym, co, jeżeli się zastanowić, znaczy, że każdy człowiek jest domem wielu osobowości przebywających w nim potencjalnie, nigdy nie zrealizowanych, bo jedna tylko z nich występuje na zewnątrz i dostarcza przyjętej przez innych maski. Zmiana w układzie przez zmianę współgrających przywołuje ukryte i dotychczas tłumione osobowości inne. Czystość i świętość Matki Boskiej były najniewątpliwiej jej własne, tej dziewczynki-aktorki, choć zarazem była ona kimś innym i ta inna sprzedawała się niedawno niemieckim żołnierzom za parę złotych. Tak więc teatr jest, czy powinien być, celebrowanym świętem ludzkiej wielopostaciowości i plastyczności, która sprawia, że każdy i każda nosi w sobie całą skalę doznań i uzdolnień, od najwyższej cnoty do powszedniego zła, niejasno o tym wiedząc i dlatego mogąc współbrzmieć z aktorami na scenie. Powstaje pytanie, w jakim stopniu potrzebna jest świadomość, że oglądamy na scenie istoty podwójne, czyli że na przykład ta dziewczynka „odgrywa” Matkę Boską, będąc i „sobą”, i nią. W teatrze pudełkowym „jak z życia”, każą nam o podwójności zapomnieć i dlatego jest to chyba niski gatunek teatru. Ale tutaj, w Henrykowie, przedstawienie było amatorskie, zmienione w zawodowe przez znakomitego reżysera, tak że twierdzę, ostrość teatralnego przeżycia można też tłumaczyć naszą wiedzą o tym, kim są te biedne

323

dzieci doraźnie przekształcone w zespół. I, być może, niejeden z nas myślał, że żeby tak zagrać Matkę Boską, trudno nie doznać wewnętrznego przekształcenia, a więc ona, ta wykonawczyni, razem z jej niewyobrażalną dalszą biografią, też była obecna.

Święty Józef ubrany był w rodzaj brązowego burnusa, z laską wędrowca, prowadził delikatnie Marię w ich ucieczce do Egiptu. Widzę tę scenę i słyszę, jak Maria śpiewa tym swoim cieniutkim głosikiem, choć słów nie jestem całkowicie pewien, notuję z pamięci:

Pomaluśku Józefie Pomaluśku proszę. Bo ja przecie nie mogę W tak daleką biec drogę.

W Pastorałce przeplatają się czule ciche melodie z wybuchami radosnych kolęd i triumfalnych tańców. Na samym początku do tego vivace daje okazję przybycie pasterzy do stajenki i składanie przez nich darów. Jak wiadomo, trudno w Polsce oddzielić „ludowość” od wkładu kościelnych pisarzy i muzyków czy też żaków i rybałtów pracujących dla parafii. Najżywsza aktywność przypada na wiek siedemnasty, toteż ów „folklor” staropolski, a przede wszystkim kolędy, nosi silne piętno baroku. Pasterze przynoszą ze sobą rubaszny humor wsi, swoje zabawy i błaznowania, ale przyłącza się też do nich jakiś żak kierujący porządkiem:

Kontrabasy i tenory Podzielimy na dwa chory Hej nam hej!

Pamiętam te melodie wesołych kolęd i radość wykonawczyń, które się dorwały do wyładowania energii w dozwolony sposób, wyładowania pewnie bardzo potrzebnego w surowym, z natury rzeczy, zakładzie. Umyka mi zupełnie część dramatyczna, a więc okropne przygody Heroda ze Śmiercią, natomiast dotychczas łączę się w entuzjazmie z siedzącymi obok mnie Janką i Jerzym, z całą publicznością, kiedy Pastorałka kończy się dionizyjskim tańcem. Jest

324

to zupełny szal, rozpasanie na scenie, wyrwanie się poza wszelkie granice, choć słowa ubożuchne: Hejże ino, Panie Jezu Hejże ino, hoc, hoc!

Upojenie tancerek, ich wariackie skoki i obroty są samym żywiołem ruchu. Ponieważ widziałem tę Pastorałkę, utrzymywałem odtąd, że wiem, czym jest prawdziwy teatr, i przykładałem jej miarę do późniejszych moich teatralnych wieczorów, zwykle z negatywnym wynikiem. Oczywiście wolno powiedzieć, że szczególne warunki złożyły się na tak gorące (nie przeze mnie jednego) przyjęcie Schillerowskiego spektaklu. Wyglądzenie oczu i przez ponurą bezbarwność okupowanego miasta, i przez brak teatralnych czy kinowych rozrywek; niezwykłość tej imprezy, wynagradzającej długie tłuczenie się tramwajem i podmiejską kolejką, a nawet niespodzianka, jaką było odkrycie tylu aktorskich talentów u przypadkowo zebranych dziewcząt. Być może, że podobne nieco warunki zawsze pomagają chłonności widzów, bo przecie do istoty teatru należy kreacja magicznego miejsca, barwnej feerii rozwijającej się wbrew otaczającemu niedostatkowi koloru. Czy też potrzebna jest nagła zmiana wewnętrznego rytmu wskutek przeskoku z jednej rzeczywistości w inną. Pastorałka w Henrykowie włącza się w ciąg terapeutycznych niejako przedstawień w Europie dotkniętej totalitarną dżumą, a miejscem ich były okupowane miasta, getta, obozy jenieckie. Nie chcę jednak wierzyć, że prawdziwe przeżycie teatralne jest możliwe jedynie w epokach wielkich zaburzeń.

Nie, nie chciałbym mojego filmu układanego w wyobrazkach przenosić na ekran. Im bardziej Schiller jest obecny, im bardziej obecnością jest Umińska, a nawet nie wiadomo jak wyglądający Żyznowski, im wyraźniej ukazują się dziewczęta z Pastorałki, które dzisiaj, jeżeli żyją, są już starymi kobietami, tym mocniej czuję ubóstwo środków filmowych w porównaniu z bogactwem ludzkich charakterów i losów. Bo wszystkie te postacie istnieją równocześnie-

325

nie w różnych swoich fazach, ale ten wymiar czasu jest niemożliwy do uchwycenia w sposób linearny, czyli według rozwijającej się akcji, mimo coraz częstszego użytku techniki rzutów wstecz. Nifigła Chiaromonte, kiedy odmawiał filmowi możliwości rywalizowania z literaturą, chętnie się Tłęmylił. Dobrze, ale gdzie są te wyjątkowe "zalety Trlefatury? Pewnie też skromne, choć jej nieporadność, kiedy próbuje schwytać i utrwalić w słowach rzeczywistość, to już osobny temat.

#### INDEKS OSÓB

Abramowicz Ludwik - 197, 199

Abuladze Tengiz - 49

Adamie Louis - 137, 149

Agca Ali - 34

Alberti Rafael - 56

Aldobrandini, księżna - 31

Anders Władysław - 25

Andrzejewski Jerzy - 44, 48, 63, 114, 157, 158, 185, 187, 228, 255, 306, 315,

322, 324 Anienski Innokentij - 271 Antonioni Michelangelo - 311 Apollinaire Guillaume 130

Aptheker Bettina - 78, 252 Aragon Louis - 56/57, 258 Arendt Hannah - 117, 281, 282, 286

Armstrong Karen - 238 Arski Stefan (właśc. Salman) - 102, 203 Artaud Antonin - 181 Arystoteles - 98

Bach Johann Sebastian - 123, 254 Baczyński Krzysztof Kamil - 187 Balzac Honore - 59, 277

Bamford Christoph - 18 Banać Ivo - 256 Bańkowska - 175 Barańczak Stanisław - 91, 267, 271

Barbarossa Fryderyk 110 Barbie Klaus - 260 Barcikowski Kazimierz - 63 Barker Sebastian - 251

Baudelaire Charles - 69, 142 Beauvoir Simone de - 117 Beckett Samuel- 131 Bednarski - 62

Beethoven Ludwig van - 123 Bellów Saul - 23 Bem Józef-36

Benier - 288

Benzion Hannah - 280-281, 286,

287-290, 291, 299, 300 Beria Ławrientij - 115 Berlin Isaiah - 61 Berman Jakub - 115, 164 Berry

Wendell - 263 Bertolucci Bernardo - 182 Białoszewski Miron - 70, 271 Bierut Bolesław - 112, 115,

190 Bilińska Helena - 90 Biszewscy - 177 Blake William - 95, 222 Blejwas Stanisław - 155 Błok

Aleksandr - 120 Błoński Jan - 10, 271 Bochwic Bolesław.- 229, 230 Bochwic Brunon - 229, 230

Boecjusz - 94

Bohdziewicz Antoni - 306, 307 Bonaparte Napoleon - zob.: Napoleon I Borejsza Jerzy - 135, 147, 151, 152 Borges Jorge Louis - 185 Borowski Tadeusz - 120, 121 Bortkiewicz Leszek - 124 Borysowicz Władysław - 259 Bougainville Louis Antoine - 19 Boulanger Nadia - 83 Boutang Pierre - 298 Brahms Johannes - 123 Brecht Bertolt - 169, 309 Breza Tadeusz - 112 Brezowiec - 112 Brie-Serrant - 303 Brodski Josif - 97, 98, 133, 155, 160, 214, 271, 272, 273 Broniewski Władysław - 257 i \* Bruckner Aleksander 236 Brzeziński Zbigniew - 71  
' 327  
Brzękowski Jan - 272  
Brzozowski Stanisław - 37  
Buber Martin - 158  
Bubnys Vytautas - 60  
Bujnicki Teodor - 76, 79, 124, 199, 202, 204, 207  
Bulsiewicz - 127 Bunin Iwan - 98 Burton - 120 Buttinger Joseph - 288 Buttingerowie - 288  
Byrska Irena - 76, 80, 127 Byrski Tadeusz - 15, 27, 76, 79, 80  
Camus Albert - 15, 117, 167, 168, 192, 285  
Canetti Elias - 98 Cassou Jean - 15, 19, 300 Cenci Beatrix - 31 Cendrars Blaise - 130, 301, 302  
Cervantes Saavedra Miguel de - 310 Cezanne Paul - 114, 303 Chagall Marc - 21 Chambers Whittaker - 169  
Chaplin Charlie - 310 Chapman Guy - 138 Chardin Jean Baptiste Simeon - 28, 98 Chiaromonte Miriam ~ 311  
Chiaromonte Nicola - 137, 311, 326 Chintreuil Antoine - 17 Chomeini Ruhollah (właśc. Musawi Hendi) - 96  
Chomski Leopold - 227 Chopin Fryderyk - 63, 123 Chrzanowski Ignacy - 61 Chwistek Leon - 85  
Conrad Joseph (właśc. Teodor Józef Konrad Korzeniowski) - 207 Corot Jean Baptiste Camille - 17  
Cowley Malcolm - 294 Czajkowski Piotr - 254  
Czapska Maria - 229, 292 Czapski Józef - 101, 114, 115, 168, 259, 282, 291-293  
Czechowicz Józef - 48, 63, 79, 104, 228, 234, 248  
Czernyszewicz Florian - 195  
Dadelsen Jean Paul de - 283 Damiński Dobiesław - 314 Dante Alighieri - 24, 36, 65, 86, 89, 122, 221  
D'Arc Joanna - 71 Darwin Karol - 59, 71 Davie Donald - 262, 263, 264 Dawidowicz Lucy S. - 198, 199  
Dąbrowska Maria - 43 Degas Edgar Hilaire - 16 Dembińska Zofia - 147, 213 Dembiński Henryk - 40, 70, 76, 147, 211, 213, 252, 297  
Długosz Jan - 63 Dłuska Czesława - 45, 188 Dłuski Ludwik - 44, 108 Dmowski Roman - 162  
Dobrowolski Stanisław Ryszard - 102 Dostojewski Fiodor - 39, 52, 53, 66, 87, 95, 239, 295  
Dowłatow Siemion - 271 Dreiser Teodor - 59 Du Bellay Jakub - 172 Duns Scott - 117  
Dygat Stanisław - 186, 187, 188, 297, 300  
Eckhart Johannes - 106  
Einstein Albert - 141, 151  
Eliot Thomas Stearns - 292, 293, 318  
Eluard Paul - 57  
Elzenberg Henryk - 53, 91  
Engle Paul - 86, 87  
Esterhazy Peter - 271  
Fairbanks Douglas - 310  
Faure Elie - 287  
Fellini Federico - 311  
Fessard Gaston - 286  
Feuer Kathryn - 233  
Feuerbach Ludwig - 246  
Filip II, Filip Macedoński - 41  
Fini Leonor - 14, 15



Finkielkraut Alain - 61, 163  
Fiut Aleksander - 107, 155  
Flaubert Gustave - 142  
Flukowski Stefan - 102, 158  
Font Pedro - 236, 237  
Franciszek, św. - 54  
Franco Bahamonde Francisco - 146, 311  
Frank Jakub Lejbowicz (właśc. Józef Dobrucki) - 79 Fudzie - 98  
Gałczyński Konstanty Ildefons - 56, 57, 102, 104, 119, 120-124, 237, 248  
328  
Garbo Greta - 310  
Gardner Muriel - 288  
Gasiulis - 207  
Gass William - 127  
Gauss Christian - 18, 141  
Gellner Ernst - 60  
Getty Ann - 271  
Gide Andre - 167, 293  
Giedroyć Jerzy - 81, 269, 275, 279  
Ginsberg Allen - 127, 131  
Gish Lilian-310  
Głowacki Janusz - 87, 265  
Głuszcak Bohdan - 62  
Gobineau Joseph Arthur de - 292  
Goetel Ferdynand 208, 315  
Goetsch - 34  
Gogol Mikołaj - 61, 207  
Gombrowicz Witold - 80, 82, 89, 92, 93, 176, 177, 180, 208, 227, 231, 245-246, 247, 251, 255, 265,  
268, 269, 275  
Goodman Mac - 278-281, 300  
Goodman Sheba - 278-281, 300  
Goszczyński Seweryn - 179  
Goya y Laurontes Francisco de - 116  
Górska-Damięcka Irena - 314  
Grade Chaim - 195, 199  
Grossman Gregory - 233  
Grydzewski Mieczysław - 159  
Guillevic - 58  
Hainard Robert - 100, 283  
Hałaburda Kazimierz - 207  
Harriman Averell - 209, 210  
Harriman Kathy - 209, 210  
Hartwig Julia - 258, 260  
Hass Robert - 56, 160, 251  
Hauptmann Gerhart - 118  
Haydn Joseph - 254  
Heaney Seamus - 87  
Hegel Georg Wilhelm Friedrich - 136,  
240, 282 Heidegger Martin - 117, 282 Hellman Lilian - 288 Hemingway Ernest - 318 Herbert  
Zbigniew - 53, 190, 264, 271,  
301 Herder Johann - 163 Herling-Grudziński Gustaw - 168 Herodot - 188 Hersch Jeanne - 14, 15,

28, 94, 100, 107,  
117, 118, 281-286 Hersch Liebman - 281  
Hertz Aleksander - 139  
Hertz Benedykt 102  
Hertz Magdalena 102, 203  
Hertz Zofia-81, 275  
Hertz Zygmunt 10. 44, 58, 63, 80, II,  
82, 84, 97, 243, 275, 276 Hikmet Nazim - 57 Hiss Alger - 169 Hitler Adolf- 13, 30, 71, 135. 164,  
293,  
307 Horacy - 123 Horzyca Wiłam - 186 Hostowiec Paweł - zob. Stempowikl  
Jerzy Hrabal Bohumil - 271 Huxley Aldous - 69  
Irzykowski Karol - 188 Istrati Panai - 167 Iwanow Wiaczesław - 180 Iwaszkiewicz Jarosław - 48,  
85, 120, 169, 173, 176, 177-194, 248, 255, 272, 297 Iwaszkiewiczowa Anna - 28, 183, 186 Ivask  
Astrid - 87 Ivask Ivar - 87  
Jackowski (Jackovskis) - 127  
Jakuszewowie - 101  
James William - 172  
Jameson Margaret Storm - 138, 147  
Jan Paweł II (Karol Wojtyła) - 27, 29,  
30, 31, 32, 33, 34, 35-38, 54, 55, 87, 133 Janson Francis - 168 Jan z Wiślicy - 63 Jaracz Stefan -  
312, 313, 314 Jasienica Paweł (właśc. Lech Beynar)  
- 206, 207, 208 Jasiński Bruno - 83 Jasiński Roman - 186 Jaspers Karl - 28, 117, 281, 282, 283,  
285 Jastrun Mieczysław - 57 Jeffers Robinson - 6, 49, 51, 67, 71, 72,  
301, 303 Jeleński Konstanty Aleksander - 10, 14,  
15, 24, 44, 63, 80, 81, 82, 83, 85, 92,  
96, 98, 227, 243, 244, 253, 256, 264,  
269, 283 Jędrychowski Stefan - 18, 70, 207, 211,  
213, 215, 287 Johnston Robert - 36, 302 Joyce James - 70  
329  
Kałużyński Zygmunt - 259, 260  
Kamehameha - 109  
Kariowicz (Kanovicus) - 127  
Karlinsky Simon - 27  
Karłowicz Jan Aleksander - 236  
Karny Alfons - 123  
Karol XII - 78  
Karpiński Światopełk - 199  
Karpiński Wojciech - 116  
Kartezjusz (właśc. René Descartes) - 245  
Kasprowicz Jan - 178  
Kaufman Michael - 10  
Kawafis Konstandinos - 301  
Keaton Buster-310  
Keats John - 263  
Keizer Carolyn - 190  
Kekstas Juozas - 25  
Keliuotis Juozas - 63, 199, 202, 235  
Kempa - 158  
Kennedy John - 139  
Kim Anatolij - 271  
Kisielewski Stefan - 28, 29, 48, 83, 92,  
160, 185, 188, 230 Kiś Daniło - 127, 271 Kiecka- 171, 177 Klemens VIII (Ippolito Aldobrandini)

-31 Klima Ivan - 271 Kline George 30 Klinger Witold - 188 Kłoczowski Piotr - 256 Kłossowski Baladine - 287 Kłossowski Balthus - 287 Kłossowski Pierre - 287 Kochanowski Jan - 122, 123 Koestler Artur - 167, 278 Kolbe Maksymilian, św. - 199, 228 Kołakowski Leszek - 23, 29, 34, 98, 117, 118, 150 Kołoniecki Roman - 187 Koniński Ludwik - 217, 220-225 Konrad Georgy - 271, 272 Konstantyn - 220 Konwicki Tadeusz - 128 Kornilowicz Władysław - 228 Korsak Włodzimierz - 5, 179 Korzeniewski Bohdan - 312, 314 Kossecka - 171 Kościuszko Tadeusz - 52 Kotkowscy - 180, 255 Kownacki Piotr - 201 Kownacki Stanisław - 67  
Kozicka Anna - 257  
Kozicki - 257  
Krancowie Kazimierz i Felicja - 259  
Krasicki Ignacy - 161  
Krański Zygmunt - 38, 143, 225  
Krauze Halina - zob.: Micińska Halina  
Kridl Manfred- 156  
Krońscy - 43, 259, 260, 274  
Krońska Irena - 258  
Kroński Juliusz Tadeusz - 41, 42, 103, 104, 166, 274 Kropotkin Piotr - 60 Krynicki Ryszard - 271 Krywitzki - 215 Kudelski - 158 Kunat Stanisław - 108 Kunat Zygmunt - 107 Kunatowie - 22, 197, 248, 255, 256 Kundera Milan - 24, 63, 64, 121, 232, 273  
Lalić Michajło - 271  
Lange Oskar - 140, 204  
Larronde Carlos - 305  
Lautreamont de (właśc. Isidore Lucien Ducasse) - 49  
Lebenstein Jan - 81, 269  
Lechoń Jan (właśc. Leszek Serafino-wicz)- 159, 177, 184, 190  
Le Guin Ursula - 304  
Leibniz Gottfried Wilhelm - 35  
Le Louet Jean - 297-300  
Lenin Włodzimierz Iljicz (właśc. Władimir I. Uljanow) - 280  
Le Rouge Gaston - 302  
Leszczyńska Maria- 158  
Leśmian Bolesław - 53, 247  
Levitas - 87  
Leyris Betty - 297  
Leyris Pierre - 297, 298  
Liebert Jerzy - 158  
Liliuokalani - 110  
Linde Samuel Bogumił - 236  
Lowell Robert - 24, 251, 252  
Lukacs Georg - 118  
Lutosławski Witold - 307  
Łossowski Piotr - 63  
Łoziński Michał - 193  
Łupaszko (właśc. Zygmunt Szendzie-larz) - 207 Łysenko Trofim - 60  
330  
MacDonald Dwight - 137, 288 MacDonald Nancy - 288 Maciejewski Roman - 259 Mackiewicz Józef - 76, 92, 199-212, 215, 217-219 Mackiewicz Stanisław - 161, 194, 200 Maimon Salomon - 302 Malczewski Antoni - 128, 179 Malewska Hanna - 52, 91 Malinowscy - 204 Malinowska Halina - 204 Malinowski

Władysław - 141, 203 Mallarme Stephane - 239, 251 Malraux Andre - 311 Mamon Bronisław - 220  
Mandel Artur - 73, 74, 77, 78, 79, 118,  
297 Mandel Róża - 74, 77, 79, 305 Mandelsztam Osip - 113, 262 MannKatia- 118 Mann Michał-  
118 Mann Thomas - 22, 77, 116, 117, 118,  
185, 287 Mannowie - 118 Marcjon - 222 Maritain Jacques - 117, 229 Marks Karol - 61, 72, 282  
Maruszewscy - 230 Matewosjan Grant - 271 Matisse Henri - 269 Matson Peter - 155 Mauersberger  
Adam - 186 Mayenowa Maria Renata - 203 Mc Carthy Coleman - 87 Mc Carthy Joe - 168 Mc  
Carthy Mary - 137, 311 Melby John - 209, 210 Melville Hermann - 39 Menzel - 257 Merton  
Thomas - 116 Meysztowicz Jan - 154 Meysztowicz Walerian - 198 Michajłowski Nikołaj - 239  
Michalski Krzysztof - 29, 71, 271 Michnik Adam - 51, 91, 244 Micińscy - 102, 104, 260 Micińska  
Anna - 104, 260 Micińska Halina - 103, 104 Micińska Nela - 15, 23, 103, 104, 259,  
260, 272 Miciński Bolesław - 103, 260 Miciński Tadeusz - 178  
Mickiewicz Adam - 36, 38, 63, 92, 93,  
128, 165, 302  
Międzyrzecki Artur - 259, 271  
Miklucho Makłaj Jerzy - 181  
Mikołaj 1-104  
Milecki- 158  
Miller Arthur - 127  
Miller Henry - 137, 149  
Millerowie - 252  
Miłosz Aleksander - 21, 175, 177, 197  
Miłosz Andrzej - 19, 175, 216  
Miłosz Janina - 19, 21, 23, 30, 43, 44-<sup>9</sup>, 60, 63, 74, 77, 79, 89, 106, 108, 118, 136, 138, 139, 141,  
144, 145, 188, 202, 228, 229, 230, 231, 232, 234, 237, 248, 251, 260, 274, 278, 279, 280, 281, 288,  
289, 291, 299, 306, 307, 311,315, 324  
Miłosz Joanna - 108  
Miłosz (kneź) - 25  
Miłosz Natalia - 108  
Miłosz Oskar V. de Lubicz - 17, 18, 22, 76, 95, 96, 108, 130, 141, 183, 197, 202, 230, 248, 254,  
258, 265, 299, 305, 313  
Miłosz Peter - 60, 237, 260, 280, 291  
Miłosz Toni - 45, 60, 65, 139, 237, 260, 280, 288, 291, 301  
Miłosz Weronika - 175, 197, 244  
Miłosz Władysław - 108  
Miłoszowie - 22, 25, 288, 305  
Minkiewicz Janusz - 136, 199, 204, 218  
Mitzner Zbigniew - 203, 204  
Modzelewski Zygmunt - 153, 156  
Monmouth - 187  
Montaigne Michel Eyquem de - 68, 155  
Mowczan - 230  
Mozart Wolfgang Amadeus - 254  
Mrongovius - 127  
Mycielski Zygmunt - 83, 84, 85  
Nabokov Vladimir - 127  
Naef Helena - 100, 283  
Naefowie - 283  
Napierski Stefan Marek (właśc. S. M.  
Eiger) - 228, 229, 255 Napoleon I, Napoleon Bonaparte (Buo-  
naparte) - 71/72, 163 Nathan Leonard - 81, 160, 303, 304 Nathanowie - 23 Nekośms - 127 Neruda  
Pablo - 56, 57

Niekrasz Czesław - 127 Nietzsche Friedrich - 71, 87, 247 Niewieski Z. - zob. Gombrowicz Witold  
Nishitani Keiji - 87, 98, 106, 247 Norwid Cyprian Kamil - 36, 37, 38, 39,  
40, 165, 270 Nowowiejski Feliks - 63  
Ogrodziński - 257 Okulicz - 43 Olechnowicz - 167 Orwell George - 167, 278 Orygenes - 226  
Orzeszkowa Eliza - 82, 285 Osiecimska Irena - 171 Osterwa Juliusz - 76 Ostrowska Bronisława -  
18 Ostrowski - 171  
Pankiewicz Józef - 259  
Panufnik Andrzej - 307  
Parandowscy - 232  
Pasternak Borys - 178  
Patoćka Jan - 41, 104  
Paweł, Św. - 54, 78  
Pawlikowski Michał - 200  
Piasecki Bolesław - 186, 207  
Picasso Pablo - 269  
Pickford Mary - 310  
Piłsudski Józef - 113, 184, 197, 200,  
270, 279, 296 Piotr, św. - 31 Pirandello Luigi - 309 Pitoeff Ludmiła - 309 Pius XI (Achille Ratti) -  
229 Piwowar Lech - 101 Platon - 40, 68, 98, 155, 224, 311 Podkowiński Władysław — 18Ł Poe  
Edgar Allan - 24, 100, 264, 301 Pomian Krzysztof - 29 Poniatowska Stefania - 42, 43, 189  
Poniatowski Zygmunt - 42, 43, 189 Potoccy - 235 PoupardPaul - 117 Prokofiew Aleksandr - 57  
Prokofiew Siergiej - 63 Proudhommeux Andre - 168 Proust Marcel - 68, 98, 99, 183 Prus Bolesław  
- 219 Pruszyńska z d. Meysztowicz - 152 Pruszyński Ksawery - 138, 140, 145-154,  
161, 162, 165, 194  
Przyboś Julian - 248, 272 Przybyszewski Stanisław - 180 Putrament Jerzy - 69, 135, 144, 258  
Putramentowa - 232  
Quasimodo Salvatore - 57 Quinn Artur - 81  
Raabe Leszek - 102  
Racine Jean Baptiste - 293  
Rajek Laszlo - 152  
Ramsey Gerald - 304  
Ragache Gilles - 314  
Ragache Jean-Robert - 314  
Ransom John Crowe - 263  
Rao Raja - 280  
Reagan Ronald - 264  
Reifenberg Benno - 285  
Reifenberg Maryla - 285  
Rilke Rainer Maria - 123, 239, 287  
Rimbaud Artur - 142, 178, 300  
Ritsos Jannis - 57  
Rodziewiczówna Maria - 82, 179, 189  
Rogowicz Waclaw - 204  
Rogowicz Zofia - 203, 204  
Romanowiczowa Zofia - 167  
Roosevelt Eleanor - 264  
Roosevelt Franklin Delano - 71, 264  
Rosmer Alfred - 287  
Rosmer Marguerita - 287  
Rougemont Denis de - 283  
Rousset David - 168

Rushdie Salman - 272  
Rybicki Feliks - 218  
Ryńca Władysław - 146, 188, 203, 215,  
216, 218 Rytard Jerzy Mieczysław (właśc. M.  
Kozłowski) - 85  
Sadzik Józef - 10, 63, 81, 82, 92, 100  
Salamon Joanna - 91, 92  
Salisbury Harrison E. - 209  
Salman - zob. Arski Stefan  
Salmanowie - 204  
Sartre Jean Paul - 94, 105, 168, 169,  
213, 247, 294 Savio Mario - 252 Schenker Aleksander - 133 Scherer Olga - 81 Schiller Friedrich -  
56 Schiller Leon - 312-315, 320-322, 325 Schopenhauer Arthur - 243, 302  
332  
Schulz Bruno - 50, 92  
Schwaller de Lubiez René - 305  
Sebyła Władysław - 101, 102, 104, 120  
Serge Victor - 167  
Sidney Silvia - 310  
Siedlecka Joanna - 176  
Sienkiewicz Henryk - 179  
Sihanouk Norodom - 253  
Silone Ignazio - 167, 311  
Silvaire Andre - 299, 300  
Simmons - 156  
Simon John - 265  
Singer Isaac Bashevis - 12, 13, 98, 195  
Skiwski Emil - 218  
Skrzeszewski Stanisław - 153, 154  
Skvorecky Josef - 271  
Slansky Rudolf (właśc. R. Salzmann)  
- 152 Słobodnik Włodzimierz - 102 Słonimski Antoni - 135, 138, 147, 177,  
184, 274 Słowacki Juliusz - 36, 38, 63, 92, 93,  
100, 128, 165, 179, 180 Sołżenicyn Aleksandr - 166, 256 Sommer Piotr - 271 Sontag Susan - 265  
Sosnowska Halina - 26, 103, 139 Soutine Chaim - 116 Spaeman Robert - 30 Spender Stephen - 288,  
292 Staff Leopold - 21, 177, 178 Stalin Josif Wissarionowicz (właśc. I.W.  
Dżugaszwili) - 13, 38, 56, 115, 135,  
163, 164, 168, 274, 280 Stein Gertrudę - 318 Steiner George - 132 Stendhal (właśc. Henri Beyle) -  
82, 192,  
229 Stempowski Jerzy - 82, 103, 230, 268,  
269, 270 Stempowski Stanisław - 141, 189 Sterne Lawrence - 66 Stevenson Adlai - 150 Stołypin  
Piotr - 256 Stomma Stanisław - 173 Stromengerowie - 186 Struve Gleb - 232 Stryjeńska Zofia - 259  
Stwosch Wit - 123 Supervielle Jules - 15, 258 Sutzkewer Abraham - 215 Swedenborg Emanuel - 28,  
77, 95, 214,  
248  
Świeczewscy - 247 Swinarski Konrad - 262 SymIgo - 313, 314 Syruć Szymon - 108 Syruciowie - 22  
Szablowska - 127 Szapocznikow Alina - 259 Szczepański Jan Józef 87, 88-91, 271 Szekspir  
William (W. Shakespeare)  
- 55, 56, 316, 322 Szenwald Lucjan - 102 Szestow Lew - 112, 237, 290 Szikibu Izumi 240  
Szumska Danuta - 81 Szymanowski Karol - 85 Szymborska Wisława - 271  
Śliwiński Ludwik - 128 Światło Józef - 153 Święcicki Ignacy - 176 Świrszczyńska Anna - 40, 53,  
190, 271, 301

Tank Maksym - 25, 195 Tarnowski Jan - 235 Tarski Alfred - 19 Tatarkiewicz Władysław - 103 Tatrę Allen - 263 Taufer Venio - 271 Teilhard de Chardin Pierre - 286 Tischner Józef-29, 31,71 Tołstoj Lew - 131 Tołstoj Tatiana - 193, 271 Toporska Barbara - 208, 218 Torańska Teresa - 164 Trocki Leon - 280, 287 Tross Seweryn - 216 Trościanko Wiktor - 76 Trzciński Teofil - 313 Trznadel Jacek - 52 Turowicz Jerzy - 27, 52, 88, 132 Turowiczowa Anna - 88, 132 Tuwim Julian - 112, 124, 177, 178, 184, 190, 248, 250, 262  
Ulatowski Jan - 15, 160, 251 Umińska Stanisława - 315-322, 325 Uniłowski Zbigniew - 68, 69, 70, 85, 102 Urbańska - 306 Urbański - 306  
Valery Paul - 130, 164, 165, 281  
333  
Vallejo Cesar - 56  
Vanderbroeck Andre - 305  
Venclova Tomas - 25  
Vendler Helen - 263  
Venn George - 267  
Verne Jules - 261  
Vincenz Barbara - 291  
Vincenz Irena - 15, 291  
Vincenz Stanisław - 122, 279, 282, 283,  
289 Voltaire (właśc. Francois Marie Arouet)  
-94  
Walicki Andrzej - 51, 256  
Wallace Henry - 150  
Wałęsa Lech - 52  
Wańkiewicz Melchior - 244, 250  
Warsinsky - 284  
Washington George - 61  
Wat Aleksander - 78, 190, 231-233,  
236, 238, 242, 320, 322 Watowa Ola - 81, 295 Watowie - 232 Ważyk Adam - 37 Weil (matka Simone) - 287 Weil Simone - 53, 66, 71, 74, 95, 137,  
287, 292, 302 Wergili (Publius Vergilius Maro) - 123 Wereszycki Henryk - 173, 174 Wertenstein Ludwik - 187 Wertenstein Wanda - 187 Wertensteinowie - 48, 187 Westfalewicz Zofia - zob. Dembińska  
Zofia Weyssenhoff Józef - 82, 179, 180 Whitfield Frank - 27 Whitman Walt - 239, 295, 301  
Wielopolski Aleksander - 146 Wierciński Edmund - 312, 314 Wierzyński Kazimierz - 120, 184, 190,  
272 Wieseltier Leon - 265  
Wilde Oscar - 180  
Wilder Thornton - 141  
Winiewicz Józef - 140  
Winnicka Wiktoria - 45, 112, 120, 184,  
190 Witkiewicz Stanisław Ignacy - 85, 104,  
120, 181, 183, 220 Witsch Kaspar - 285 Wittlin Józef-45, 184 Wojtyła Karol - zob. Jan Paweł II  
Wolfe Bertram - 280 Woolf Wirginia - 85 Woźniakowski Jacek - 29 " Wojtowicz - 257 Wraga Ryszard (właśc. Niezbrzycki)  
-279 Wyszomirski Jerzy - 145, 146, 196 Wyszynski Stefan - 45  
Zagajewski Adam - 101, 190, 271, 301  
Zagórski Jerzy - 79, 258, 315  
Zagórski Stefan - 18, 287  
Zagórski Waclaw - 203, 204  
Zahorski Władysław - 125  
Zaleski Bohdan - 179

Zaleski Marek - 11  
Zawistowski Władysław - 186  
Zemsz Abrasza - 253  
Zieliński Tadeusz - 180  
Zielonko Jane - 63, 94, 147, 148-151  
153 Zinik Zinovy - 271 Zinowiew Aleksandr - 101 Ziółkowska Aleksandra - 244 Zwang - 118  
Żeleński Boy Tadeusz - 68, 155 Żeromski Stefan - 90, 219, 270 Żyznowska Michalina - 317  
Żyznowski Antoni - 317 Żyznowski Jan - 317-319, 325